Ta książka porusza serce i pokazuje, jak wielka jest siła miłości. Polecam.

Magdalena Różczka

PRAWDZIWA HISTORIA MATKI I CÓRKI, KTÓRE ODNALAZŁY SIĘ PO 77 LATACH

CZEKAŁAM NA CIEBIE

CATHY LaGROW

CINDY COLOMA

znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PRAWDZIWA HISTORIA MATKI I CÓRKI,
KTÓRE ODNALAZŁY SIĘ PO 77 LATACH

CZEKAŁAM NA CIEBIE

CATHY LaGROW
i CINDY COLOMA

Przekład
Maria Olejniczak-Skarsgård

Wydawnictwo Znak · Kraków 2016

Dla Minki, która nie przestała czekać

Wprowadzenie

Przez te wszystkie lata miała tylko fotografię.

Tysiące razy spoglądała ukradkiem na pieczołowicie przechowywany czarno-biały wizerunek. Pamiętała najdrobniejsze szczegóły. Jej wzrok biegł wpierw ku niemowlęciu, śpiącej kruszynce o słodkiej buzi. Z boku, patrząc na dziecko, przykucnęła młoda matka; miała na sobie porządną sukienkę, wykrzywione ręce spoczywały na kolanach. Te same dłonie, zgrubiałe ze starości i pokryte plamami, delikatnie trzymały teraz drogocenną fotografię.

Czy rzeczywiście była kiedyś taka młoda?

W schludnym mieszkaniu jak zwykle panowała cisza. Przez otwarte okna wpadał ciepły morski wiaterek. Cisza jednak już nie odpowiadała echem pustce. Wnętrze wypełniło się nowym życiem, podobnie jak serce staruszki.

Miała dziewięćdziesiąt cztery lata, cóż, była niezaprzeczalnie stara. Po tak długim czasie, wraz ze wszystkim, co odzyskała, wróciły do niej także listy. Wiele kartek papieru, setki, które zapisywała rok w rok.

Bolesne przeżycia z przeszłości zasnuwały jej pamięć jak mgła, pamiętała jednak udrękę przejawiającą się w słowach listów – udrękę

i miłość. Dobrze je pamiętała. Towarzyszyły jej nieustannie przez prawie osiemdziesiąt lat.

Gdy wykrzywione palce dotknęły kartek, czas zaczął się przewijać wstecz.

Wzięła list, którego nie widziała wcześniej i pod którym widniał nie jej podpis. Słowa skreślił pastor, zmarły dawno temu, jak niemal wszyscy wspomniani na tych stronach.

Zaczęła czytać. Z wolna otwierały się bramy, za którymi był inny czas, inne stulecie... Sierpniowy dzień, taki jak teraz, a jednak ani trochę do niego niepodobny...

Rada Misji Zagranicznych
Ewangelicko-Luterański Synod Iowa
i innych stanów

KANCELARIA PASTORA

MGR W.F. KRAUSHAAR

Aberdeen, Dakota Południowa

3 kwietnia 1929

Szanowna Pani!

W moim zborze jest nieszczęsna dziewczyna, która spodziewa się dziecka pod koniec tego miesiąca. Rozpatrzyłem jej przypadek i przekonałem się, że padła ofiarą niecnej napaści. Pochodzi z dobrego domu i od pewnego czasu przebywa u krewnych w Sioux City. Czy mogłaby Pani przyjąć ją pod swój dach i otoczyć opieką na czas rozwiązania i połogu? Jej rodzina nie jest zamożna, ale wniesie wszelkie należne opłaty.

Muszę również dodać, że krewni nakłaniają dziewczynę do oddania dziecka, gdyż jego

ojciec jest zbiegłym przestępcą. Ona sama wolałaby je zatrzymać. Może Pani doradzi im najlepiej? Czy wyszukuje Pani dobre domy dla takich dzieci? Rodzina wolałaby oczywiście, żeby trafiło do luteranów.

Będę wdzięczny za szybką odpowiedź.

Z poważaniem

pastor Kraushaar

Część pierwsza

Utrata

Rozdział pierwszy

Sierpień 1928

Cztery i pół godziny wcześniej, nim jej życie zmieniło się na zawsze, Minka czekała na piaszczystym parkingu na resztę swojej rodziny i z niecierpliwością mięła chusteczkę. Jeżeli będą się ociągać, po prostu zakasze sięgającą kostek spódnicę i puści się biegiem do domu.

Jej ojczym Honus stał z rękami w kieszeniach letniego garnituru, oparty o bok czarnej furgonetki do rozwożenia mleka, zasłaniając białe D w nazwie Sunnyside Dairy, rodzinnej farmy mlecznej. Jeszcze nie nadeszło południe, ale już było gorąco i duszno. Zewsząd dolatywał terkot uruchomionych korbą fordów T. Kobiety wykrzykiwały słowa pożegnania i przywoływały dzieci, po czym wsiadały do aut.

Siostra Minki Jane i ich mama wciąż stały na półokrągłych ceglanych schodach luterańskiego kościoła Syjonu zadowolone z pogawędki ze znajomymi. W każdą inną niedzielę Minka też by się przyłączyła, gdyby się tylko zdobyła na śmiałość, i rozmawiała w jednym z używanych tu języków, po angielsku, niemiecku albo niderlandzku.

Przed dziesięcioma miesiącami ich zbór, składający się przeważnie z imigrantów, wreszcie zagłosował za tym, żeby wszystkie ceremonie

kościelne i zebrania w interesach odbywały się w języku angielskim, natomiast po ich zakończeniu, żeby się posługiwano językami ojczystymi.

Tego dnia Minka wierciła się na ławce przez całe nabożeństwo. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu.

Szesnastoletnia Minka DeYoung była wyższa od większości swoich rówieśnic i smukła jak źdźbło trawy. Ładne brązowe włosy, z karbowaną wstążeczką wpiętą z jednej strony, sięgały równo do szyi. Oczy miała żywe i inteligentne, ale często spuszczała wstydliwie głowę i jak większość ludzi borykających się z nieśmiałością milkła w miejscach publicznych. Wiedziała, że ma za duży nos i uszy, ale nie zdawała sobie sprawy, jak pięknie rysują się jej delikatne kości policzkowe. Dokładała wszelkich starań, żeby nikt nie zwracał uwagi na powykrzywiane ręce.

Honus zdjął kapelusz, ale nie wachlował się nim, tylko trzymał go w rękach i zmrużywszy oczy, patrzył w bladoniebieskie niebo, przyglądając się drozdowi lecącemu na czubek wieży kościelnej.

Minka zerknęła w kierunku świątyni. Mama już zeszła ze schodów, natomiast Jane wciąż rozmawiała z przejęciem, pochylając się ku swojej przyjaciółce Jette i uśmiechając się z jakiegoś powodu. Że też one się nie pospieszą!

Po południu miało nastąpić wydarzenie od tygodni wyczekiwane i zaprzątające jej myśli: piknik nad jeziorem Scatterwood dla dziewcząt z kółka krawieckiego. W domu wisiała na wieszaku nowa, świeżo wyprasowana sukienka. Jeszcze tylko założyć odpowiednie ozdoby, uczesać na nowo włosy i potem, choć przez kilka godzin, być znów zwykłą nastolatką, a nie robotnicą, od rana do wieczora pracującą na rodzinnej farmie, i w mleczarni, i w pakowni mięsa.

Teraz jednak nie pozostało jej nic innego, jak czekać, żeby mama i Jane wreszcie ruszyły do domu.

Z drugiego rzędu wyjechał samochód, w którym siedział pracownik First National Bank. Elegancki ciemnoniebieski lakier lśnił tak, że odbijały się w nim drzewa. Minka odprowadzała wzrokiem auto. Lubiła ładne rzeczy, nawet cudze.

Honus skinął głową bankowcowi za kierownicą, a ten odpowiedział mu tym samym.

– To nowy ford, wiesz. Nazywa sie* model A – powiedział Honus do Minki.

– Jest lepszy? Od modelu T? – zapytała.

Zwykle umiała się powstrzymać od zadawania pytań, które przychodziły jej do głowy, gdy przysłuchiwała się dorosłym – była przecież dobrze wychowaną dziewczyną – ale emocje związane z wyjazdem na piknik okazały się silniejsze niż stosowne zachowanie wobec ojczyma.

– Mówi sie, że wygodny... nie trzensie. I jest szybki. Ale za to *duur*... drogi.

Podobnie jak jej mama Jennie, która przypłynęła do Ameryki zaledwie kilka miesięcy przed narodzinami Minki, Honus też przybył z Holandii. Do końca życia mówił z wyraźnym niderlandzkim akcentem.

Patrzyli, jak auto skręca w Jay Street i znika za rogiem. Tyle się zmieniło przez tych dziesięć lat po wojnie... Naprzeciwko kościoła wciąż był drążek do przywiązywania koni, a niektórzy farmerzy przyjeżdżali na nabożeństwa bryczką. Minka pamiętała czasy, gdy ludzie nie jeździli niczym innym.

Parę lat temu była z rodzeństwem pierwszy raz na pokazie filmu. Widząc, jak na białym ekranie z materiału poruszają się w ciszy ludzie i przesuwają widoki, otworzyła ze zdumienia usta. Siedziała tak z rozdziawioną buzią, aż wysechł jej język i musiała przełknąć ślinę,

pokonując ból. Jane i John, zawsze skorzy do naśmiewania się z siostry, nawet nie dali jej kuksańca. Im też oczy wychodziły na wierzch.

Niemal każdy miesiąc, jak się wydawało, przynosił coś nowego. Większość domów w Aberdeen, w Dakocie Południowej, miała już światło elektryczne, a niektóre korzystały z nowomodnego urządzenia do przechowywania żywności w zimnie, w warunkach dużo lepszych niż w ziemiance, jeśli tylko trujące środki chemiczne używane do chłodzenia nie wylały się człowiekowi na skórę. W salonach stało radio, no i brzegi spódnic podniosły się trochę wyżej niż odważne dwanaście cali nad ziemią.

Honus miał łazienkę w domu, co było luksusem, do którego rodzina Minki szybko przywykła – i który przyjęła z wdzięcznością. Zanim DeYoungowie wprowadzili się do Honusa, przez dwanaście lat mieszkali w pozbawionym wygód domu na prerii, na farmie wujka, u którego mama pracowała jako gospodyni. Trzy lata temu, gdy wujek przeszedł na emeryturę, odwiedził ich Honus Vander Zee i wkrótce potem, bez zapowiedzi i rozgłosu, Jennie wyszła za mąż.

Dzięki temu małżeństwu dzieci miały stały dom, ale jednocześnie ich życie, jedyne, jakie znały, wywróciło się do góry nogami. Honus otwierał nową mleczarnię i potrzebował silnych robotników. Uważał, że nauka w szkole średniej „jest dla miastowych dzieci, które nie majom nic innego do roboty”. Gdy dzieci Jennie skończyły czternaście lat, każde po kolei szło pracować na cały dzień przy dojeniu i oporządzaniu krów. Nie minęło wiele czasu, a starszy brat Minki John wyrwał się z domu i zaciągnął do marynarki.

Honus nadal stał przy samochodzie, na parkingu. Po chwili milczenia chrząknął i powiedział:

– Bendzie goronco. – Spojrzał na kapelusz i obrócił go w palcach. – Może bardziej niż wczoraj.

– Pewnie tak, proszę pana.

Minka lekko uniosła ręce. Nie chciała, żeby przepociła się odświętna sukienka. Podczas kazania słychać było w całym kościele szelest papierowych wachlarzy. Minka wierciła się na twardej ławce, rozmyślając o nowej sukience, rychłym wyjeździe nad jezioro i godzinach wolności, które miała przed sobą. Nie mogła się powstrzymać.

– Może będzie chłodniej nad jeziorem. Na pikniku po południu.

– *Ja*. Możliwe.

Minka nie wiedziała, że to mama namówiła go, żeby puścił ją na tę wycieczkę. Honus ożenił się, dopiero gdy miał trzydzieści pięć lat; młode kobiety były dla niego zagadką. Wychowany w Europie, wyniósł z domu surowe zasady z innej epoki, inaczej postrzegał sprawy dotyczące dzieci, pracy i wynagradzania. Z jego punktu widzenia należało przedkładać obowiązek nad przyjemność – na farmie każdego dnia jest mnóstwo pracy. Nieobecność powoduje, że pracy przybywa i trzeba nadrabiać zaległości.

Zdarzało się, że w ciepły sobotni wieczór, po wykonaniu wszystkich prac w mleczarni, Honus opierał się o framugę drzwi kuchennych i cicho, jak to miał w zwyczaju, mówił: „Wybierzmy się na przejażdżkę”. Ponieważ na farmie należało wcześnie kłaść się spać, nie było czasu, żeby przed wyjazdem odświeżyć się i zmienić robocze ubranie. Minka i Jane wdrapywały się na tył dusznej furgonetki i Honus zabierał je razem z Jennie do lodziarni w mieście. Kupował jeden koktajl słodowy zmieszany z lodami, brał cztery papierowe słomki, po czym wracał z blaszanym kubkiem do samochodu. Kubek z koktajlem krążył od jednej osoby do drugiej, a gdy każda upiła tyle samo łyków i pokazało się dno, odnosił kubek do sklepu, po czym wracali do domu. W jego odczuciu zaspokojenie

takiego kaprysu – czego zapewne nie zaznał jako chłopiec – w zupełności wystarczało.

Grupka parafian zmierzała do swoich aut. Minka zauważyła wśród nich znajome dziewczyny z kółka krawieckiego. Przyglądała się, jak machają do siebie na pożegnanie i wsiadają do samochodów.

Po drugiej stronie parkingu jedna z nich, Dorothy, zawołała do koleżanki: „Claro, przyjedziemy po ciebie za godzinę!”, i trzasnęła drzwiami terkoczącego już forda T.

Minka zacisnęła pięści i wypuściła powietrze, wydymając policzki. Obrzuciła spojrzeniem mamę i Jane, które jeszcze nie ruszyły się z miejsca, i przeniosła wzrok na Honusa, nadal stojącego z zadowoloną miną przy samochodzie. Zazwyczaj poganiał tych, co się guzdrali – nawet kazania pastora Kraushaara o dniu świętym nie zmieniały tego, że dzień w dzień czeka na człowieka robota. Teraz jednak tylko zerknął na Minkę, rozwiewając jej nadzieje, że kiwnięciem ręki przywoła mamę i siostrę.

Choć jej życie sprowadzało się do codziennej ciężkiej pracy, Minka w ogóle się tym nie przejmowała. Była chuda, ale odporna na trudy. Często się zdarzało, że im dłużej pracowała, tym większy ogarniał ją zapał. Czuła, że jest silna fizycznie, i to napawało ją dumą. Z pewnością nie rozświetlała pokoju samym swoim wejściem, jak to robiła Jane, ale mogła pracować równie długo i wydajnie jak inni, wliczając dorosłych.

Dręczyło ją tylko to, że nie chodzi do szkoły. Wychowywała się w biedzie, ale w poczuciu własnej wartości. Już w dzieciństwie, gdy latem biegała boso po gospodarstwie, które nie należało do jej rodziny, biły z niej godność i przekonanie, że dorównuje każdej innej dziewczynce zacnością i zdolnościami. Teraz, mając szesnaście lat, spoglądała na siebie ze wstydem. A jeżeli nadaje się tylko do dojenia krów i ludzie będą w niej widzieć jedynie niewykształconą dojarkę?

Tego popołudnia, na pikniku, znów poczuje się „jak równa z równymi”. Serce jej waliło, po części ze zdenerwowania, po części z emocji. Może gdyby mama i Honus wiedzieli, że ta wycieczka nie odbije się na jej pracy, to w przyszłości częściej pozwoliliby jej na takie wyjazdy.

W końcu Jane ruszyła w stronę parkingu. Trzymała pod rękę mamę oparta o nią i rozchichotana. Jennie się uśmiechała. W tym przytłaczającym upale szły wolnym krokiem, Minka miała ochotę pociągnąć je do siebie. Odwróciła się i otworzyła tylne drzwi furgonetki. Metalowa klamka aż parzyła, zawiasy skrzypiały. Wchodząc do środka, uderzyła kolanem w jedną z drewnianych skrzynek, na których można było usiąść podczas jazdy. Z ręki wypadła jej chusteczka, tak pomięta, że gdy sfrunęła na blaszaną podłogę, wyglądała jak ukręcona kurza szyja.

* * *

Minka stała przed lustrem w sypialni mamy i przymierzała sznury naszyjników. Choć dorastała na lichej farmie, zawsze lubiła ładne ozdoby. Przed laty, wyjeżdżając z Holandii do Ameryki, Jennie zabrała trochę prostej biżuterii. Minka często hasała po domu wujka obwieszona naszyjnikami, które wpadły jej w ręce. Jane i John przezywali ją Cyganką.

Tego dnia Jane nie dokuczała siostrze. Od powrotu z kościoła starała się nie robić naburmuszonej miny. Ponieważ ich życie nie obfitowało w ekscytujące wydarzenia, siostry prawie zawsze przeżywały swoje radości wspólnie. Poprzedniego wieczoru Jane sama zaproponowała, że pomoże Mince upiec ciasteczka na to wielkie wydarzenie.

Jane, traktowana zwykle przez rodzinę jak urocza „dzidzia”, nie zwykła jednak stać w cieniu, więc dzielenie radości siostry nie przychodziło jej łatwo. Trudno było pogodzić się z tym, że nowa sukienka Minki przyćmiewa wszystko, co wisi w ich szafie, i że tylko ona pojedzie na

piknik. Wydymając śliczne usteczka, Jane ospale przebierała się do pracy, która czekała ją tak jak zwykle każdego popołudnia.

Do prowadzonego latem kółka krawieckiego należały dziewczęta ze wspólnoty kościoła Syjonu. Choć wystawy sklepowe były pełne gotowych towarów, poczynając od ubrań szytych fabrycznie, a kończąc na żywności konserwowej i przyborach toaletowych, przyszła gospodyni nadal musiała się odznaczać umiejętnością szycia. Jak większość farmerów, również rodzina Vander Zee oporządzała swoje zwierzęta, hodowała warzywa i owoce na przetwory, samodzielnie naprawiała urządzenia gospodarskie, robiła mydło i szyła ubrania.

Jennie była wprawną krawcową, mogłaby z powodzeniem uczyć krawiectwa, gdyby starczyło jej czasu i miała mniej obowiązków w domu. Z konieczności wysłała więc Minkę do kółka krawieckiego, gdzie okazało się, że córka ma wrodzone zdolności twórcze i ku swemu zaskoczeniu i zadowoleniu szybko się uczy. Nikt w grupie nie wykonywał ściegów tak doskonale – Minka słyszała, jak nauczycielka chwali ją w rozmowie z mamą. Uwielbiała dotykać nowych materiałów. Bywało, że podczas zajęć gospodarskich albo jazdy samochodem wyobrażała sobie kosztowne jedwabie w żywych kolorach, spływające jej z ramion i przylegające idealnie do wąskich bioder.

Swoją pierwszą sukienkę, o luźnym fasonie i z obniżonym stanem, jak to się wtedy nosiło, uszyła z twarzowego biało-zielonego perkalu. Nie mogła się pohamować, by nie ozdobić jej aplikacją w kształcie jabłka z listkiem, wyciętą z materiału w kontrastującym kolorze i naszytą poniżej lewego ramienia. Strój miał w sobie tyle świeżości, że nawet najlepsza odświętna sukienka Minki wyglądała przy nim tandetnie.

Gdy zapinała korale na szyi, do pokoju weszła Jennie. Aż przyłożyła dłoń do ust na widok córki, swojego najspokojniejszego i najpracowitszego

dziecka. W lustrze odbijała się sylwetka kobiety, którą to dziecko wkrótce miało się stać.

– *Je ziet er mooi uit* – szepnęła. „Ślicznie wyglądasz”. I dodała głośniej: – Jesteś dobrom szwaczkom, Minnie.

Minka delektowała się komplementem. Od dziecięcych lat to jej młodsza siostra zawsze była w centrum uwagi. Minka najchętniej trzymała się na uboczu, ale czasem, widząc, jak Jane wskakuje mamie na kolana, też chciała to zrobić. W ich domu, gdzie wszyscy odnosili się do siebie nawzajem z powściągliwością właściwą Holendrom, rzadko słyszało się komplementy, a do kontaktu fizycznego dochodziło wtedy, gdy ktoś się go domagał. Minka była zbyt nieśmiała – i tak naprawdę zbyt zacięta – żeby domagać się czegokolwiek.

– Przyjadom po ciebie? – zapytała Jennie, biorąc farmerki starszej córki z jej łóżka.

– Tak, mamo.

Minka pociągnęła za końce włosów. Zwilżyła je w łazience, żeby palcami i grzebieniem zrobić fale, ale za szybko wyschły w tym skwarze i trochę sterczały. Pewnie wszystkie dziewczęta będą miały ten kłopot, doszła do wniosku.

– Wrócisz na dojenie, *ja*?

Dojenie odbywało się o piątej, rano i wieczorem. Krowy z pełnymi wymionami nie będą czekać na dojarkę, bez względu na to, czy pojechała na piknik czy nie.

– Tak mówili, mamo.

Jennie pochyliła się i przetarła wierzch butów Minki, po czym postawiła je przed nią na podłodze. W tych niezgrabnych trzewikach będą jej się pocić nogi, ale trudno, tak musi być. Pantofelków z paskiem nie produkowano w jej rozmiarze. Po jakimś przodku z nieznanej gałęzi drzewa

genealogicznego dzieci Jennie odziedziczyły ponadwymiarowe geny – John był słusznego wzrostu, znacznie przerósł swojego ojca. Gdy większość dziewcząt miała drobne stopy i nosiła buty w rozmiarze cztery albo cztery i pół, Minka potrzebowała butów dwa razy takich.

Ręce też miała duże, choć nie dlatego dokładała starań, by nie były na widoku. Najbardziej przejmowała się tym, że są zdeformowane. Na ich wyglądzie odbiło się nie tylko wielogodzinne codzienne dojenie krów, lecz przede wszystkim urazy, których nabawiła się w dzieciństwie. Na farmie wujka, z konieczności, dzieci pomagały w pracach domowych, ledwie nauczyły się stawiać nogę za nogą. John pracował przy koniach i w polu, natomiast Jane wolała trzymać się blisko mamy i pomagała jej, siedząc na podłodze. Minka była najstarsza i najsilniejsza, więc jej przypadły najbardziej męczące obowiązki w domu. Przynosiła wiadra z wodą, taszczyła kubły z karmą dla zwierząt, dźwigała pokaźne snopki zboża podczas młócki. Sama się do tego rwała zadowolona, gdy Jennie kiwnęła jej potem głową albo się uśmiechnęła. Była szczęśliwa, mogąc pomóc zajętej matce. W rezultacie doszło do tego, że w wieku trzynastu lat Minka miała trwale zdeformowane kości w stawach, czubki wykrzywiały się do środka w miejscach, gdzie małe paluszki tysiące razy chwytały za pałąki ciężkich wiader czy koszy.

Przez otwarte okno doleciał warkot silnika, zapowiedź nadjeżdżającego po Minkę samochodu. Jeszcze raz zerknęła w lustro, bezwiednie opuszczając ręce i chowając je w fałdach sukienki. Była tak podekscytowana, że dopuściła do siebie płochą myśl: Nigdy nie wyglądałam tak ładnie. Obróciła się na pięcie i pobiegła do kuchni po kosz z obiadem.

– Nie zapomnij tego! – zawołała za nią Jane, trzymając w wyciągniętej ręce puszkę z ciasteczkami.

Poprzedniego wieczoru, gdy ich wypieki ostygły, Jane wybrała dwadzieścia najładniejszych ciasteczek, żeby starczyło dla wszystkich dziewcząt i opiekunek. Minka umieściła je na dwóch serwetach, które potem ładnie zawiązała i włożyła do puszki.

– *Danke*. – Niewiele brakowało, a wybiegłaby z domu bez słodyczy.

– Powiedz im, że ci pomagałam – dodała Jane, patrząc ze smutkiem na paczuszkę.

Choć to było jej „święto” i choć przez całe życie przyglądała się z boku, jak Jane wykonuje lżejsze zajęcia i otrzymuje więcej pochwał, Mince zrobiło się żal, że młodsza siostra nie może jechać z nią na piknik.

* * *

Za sznurem samochodów zmierzających nad jezioro Scatterwood unosiły się kłęby pyłu. Żeby całkowicie nie zniknąć w kurzu, auta jechały w odległości około ćwierci mili od siebie.

Trzy dziewczyny gawędziły z ożywieniem na tylnym siedzeniu, a Minka siedziała z przodu i patrzyła przez boczną szybę na przymglony krajobraz. Mama Agathy prowadziła dużego chryslera imperiala swojego męża, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbielały jej knykcie. Gdy ruszyły w drogę, uprzejmie zapytała, jak miewa się mama Minki i jak idzie praca w mleczarni, po czym skupiła się na mijaniu nielicznych pojazdów jadących z przeciwka. Minka najpierw obserwowała owce zbite w stado pod cienistymi topolami, później zaczęła skubać rąbek sukienki i w myślach powtarzała zdania przydatne w dziewczęcych pogaduszkach. Postanowiła, że włączy się do rozmowy, gdy dojadą do parku.

Spiekota dawała się we znaki; można by sądzić, że dokuczała jeszcze bardziej przy opuszczonych szybach. Dziewczęta czuły, jak owiewa je

zapylone powietrze i wdziera się do płuc. Mince spocone włosy kleiły się do skóry, próbowała wycierać twarz i szyję czystą haftowaną chusteczką. Inne panny wymachiwały wachlarzami z drewna i koronki. Minka nie miała wachlarza, używała chusteczek zrobionych z sukienek, które przeszły wszystkie stopnie przydatności: najpierw chodziło się w nich do kościoła, potem do pracy, a na koniec cięło się je na szmaty.

Do parku nad jeziorem Scatterwood ściągało całe Aberdeen. Jedni przychodzili na tańce w parkowych pawilonach, inni jeździli na wrotkach, pływali, urządzali pikniki, łowili ryby albo grali w baseball. Tego dnia główną atrakcją było jednak jezioro. Przed kilkoma laty pewien młody muzyk o imieniu Lawrence, pochodzący z Dakoty Północnej, wystąpił tu przed zaskakująco liczną publicznością, gdy z powodu deszczu odwołano mistrzostwa hrabstwa w baseballu i kibice schronili się w pawilonach na terenie parku. Wiele lat później ów piosenkarz stał się chlubą Środkowego Zachodu, gdy jego *Lawrence Welk Show* zyskał światową sławę.

Rozległy park i pobliskie jezioro przyciągały również ludzi, którzy trafili do miasta przejazdem. Od włóczęgów roiło się jak od świerszczy na łące. Możliwości pracy, których było pod dostatkiem po wojnie, teraz kurczyły się, choć jeszcze niewiele wskazywało na to, że nadciąga Wielki Kryzys.

Samochody zaparkowały na polu jeden za drugim. Niemal natychmiast wypadły z nich dziewczęta, poprawiając fryzury i wygładzając pogniecione sukienki. Gdy zbierały się w gromadkę, skrzykując koleżanki z innych aut, wiele z nich wciąż chłodziło się wachlarzami. Przez chwilę niepewne, dokąd się udać, wskazywały różne miejsca na piknik, w końcu skierowały się w stronę kępy drzew, gdzie były wolna polanka i trochę cienia. Miały wrażenie, że wrzucono je do rozgrzanego pieca.

Minka rozłożyła koc obok Clary, spokojnej dziewczyny, od dawna wzbudzającej jej sympatię. Potem zaczęła wyjmować z koszyka jedzenie: racuchy, które Jennie usmażyła tego ranka, butelkę po mleku z ciepłą już wodą i smażonego kurczaka, który dzień wcześniej jeszcze biegał po podwórzu. Minka własnoręcznie oskubała ptaka, wsadziwszy go najpierw do garnka z gotującą się wodą, żeby zmiękły pióra. Od tak dawna sprawiała drób, że mogłaby to robić przez sen.

Pod kopułą nieba, rozbielonego w jaskrawym słońcu, diamentowym blaskiem mieniła się powierzchnia jeziora. Położony nieco dalej plac do jazdy na wrotkach właściwie opustoszał tego popołudnia. Minka nie zamierzała tam iść, nawet gdyby temperatura trochę spadła. Choć wśród znajomych dziewcząt kilka miało własne wrotki, śmieszne urządzenie na kółkach, przywiązane paskami do butów, ona nigdy nie próbowała bawić się w ten sposób. Nauczycielka szycia powiedziała jej, że przy placu jest wypożyczalnia, ale Minka była pewna, że nie znajdzie tam butów, które by na nią pasowały, damskich butów, rzecz jasna.

Obserwowała pozostałe dziewczęta i gdy zauważyła, że większość zjadła już kanapki z kurczakiem, kiełbasą lub rostbefem, wyjęła z koszyka puszkę z ciasteczkami. Z nerwów zakłuło ją w brzuchu, poczuła się głupio. Zamiast ogłaszać, że zaprasza koleżanki na deser, postanowiła przejść się swobodnym krokiem od jednej do drugiej i każdą poczęstować.

– Masz ochotę na ciastko? Sama je robiłam. Razem z Jane.

Chętnie wyciągnęły ręce. Żadna nie odmówiła. Gdy przełknęły pierwszy kęs, obsypały ją pochwałami.

– Ale dobre! Robiłaś je na maśle?

Przesunęły koce, jedna szturchnęła drugą i wkrótce wszystkie utworzyły trochę krzywy krąg. Minka usiadła z nimi, uśmiechając się z zadowoleniem od ucha do ucha.

Wokół Minki aż wrzało od rozmów. Dotyczyły przede wszystkim mieszkańców miasta, osób, których nie znała. W ostatnich dwóch miesiącach usłyszała tyle plotek, dowiedziała się o tylu skandalach i występkach, że głowa puchła. Mówiono, gdzie jakoby są nielegalne bary i tajne knajpy w piwnicach. Nie mogła uwierzyć, że zwykli ludzie, nie tylko przestępcy, spotykają się i łamią prawo o prohibicji – i to w jej mieście. Może nawet niektórzy z nich piją mleko rozwożone przez jej rodzinę, choć chyba nie siedzą w ławkach podczas niedzielnego nabożeństwa.

Przyciszonym głosem roztrząsano na kocach jeszcze inne sprawy. Jedna z dziewcząt, rzadko widywana na spotkaniach kółka, podobno opuszczała lekcje, żeby spotykać się z chłopakiem z miasta.

Jakiś czas temu gadatliwa Agatha rzuciła wymownie: „Rozumiecie, co to znaczy, prawda?”, a wtedy pozostałe dziewczęta wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. W oczach Minki wyglądały dorośle i mądrze, natomiast ją samą paliły policzki. Nie miała pojęcia, o czym mówi Agatha, ale na pewno było to coś potwornego. Jej matka nigdy nie powtarzała plotek ani nie prowadziła jałowych rozmów, więc taka gadanina deprymowała ją i jednocześnie ekscytowała.

I tak na lekcjach szycia Minka uczyła się nie tylko posługiwać igłą i nożycami. Oprócz spotkań w kółku krawieckim jej oknem na świat były jeszcze sporadyczne listy od jej brata Johna, które przekazywano sobie z rąk do rąk i czytano z przejęciem, oraz cotygodniowe wizyty przyjaciela Honusa Charliego. W sobotni wieczór obaj zasiadali w salonie i rozmawiali po niderlandzku o wydarzeniach na świecie, o gospodarce i o sprawach lokalnych.

Minka i Jane przysłuchiwały się ich rozmowom. W ostatnich miesiącach Honus i Charlie omawiali toczącą się dyskusję o tym, czy portrety czterech prezydentów wyryte w granitowych skałach Black Hills

rzeczywiście przyciągną turystów na pustkowia Dakoty Południowej. Wielu uważało, że było to ogromne marnotrawstwo federalnych pieniędzy.

Minka miała słabe pojęcie o gospodarce i turystyce, nie rozumiała, dlaczego ludzie piją alkohol, ryzykując więzieniem, ani dlaczego dziewczyna opuszcza lekcje szycia, żeby spotkać się z chłopakiem. Ciekawiło ją jednak wszystko, co dotyczyło świata, w którym nie chodzi się w farmerkach i nie oporządza krów.

Tego dnia rozmowy dziewcząt przybrały życzliwszy ton, prawdopodobnie ze względu na obecność opiekunek. Mimo to Minka miała w swej naiwności przeżyć wstrząs potężniejszy i głębszy, niż mogła sobie wyobrazić.

* * *

Po posiłku dziewczęta rozeszły się po parku: jedne moczyły nogi w ciemnej wodzie jeziora, inne kręciły się po placu do jazdy na wrotkach, jeszcze inne dalej snuły opowiastki w cieniu drzew. W głowie Minki zaczął tykać zegar, zapowiadający porę wieczornego dojenia krów. Jej wypad z domu niedługo się zakończy. Znów przysunęła się do Clary.

– Chcesz się przejść nad jeziorem? – zagadnęła.

Czuła się swobodniej w obecności jednej osoby niż w grupie, poza tym odpowiadało jej towarzystwo nienarzucającej się Clary.

Szły wąską ścieżką wśród drzew i zarośli, wydeptaną przez rybaków. Minka puszczała od czasu do czasu kaczki na wodzie i zastanawiała się, jakie to uczucie móc popływać. Nigdy się nie nauczyła.

Jezioro kojarzyło jej się z rodzonym ojcem. Nie pamiętała go, pozostało jej tylko jedno zdjęcie portretowe, przedstawiające siedemnastoletniego młodzieńca, i kilka opowieści, które Jennie ciągle powtarzała. Te strzępy informacji przechowywała w sercu niczym skarb, kartkowała je jak stronice

dziennika, gdy tęskniła za ojcem, którego w ogóle nie znała. Wiedziała, że umarł równie skwarnego dnia, choć nad innym jeziorem w Dakocie Południowej.

Minka nie zdawała sobie sprawy, jak daleko zawędrowały ustronnymi ścieżkami, dopóki nie spostrzegły trzech mężczyzn i nie zorientowały się ze strachem, że dookoła nich nikogo nie ma. Nieznajomi byli dorosłymi ludźmi, mieli może po trzydzieści lat. Otoczyli Minkę i Clarę, uśmiechając się przyjaźnie. Minkę od razu ogarnęło znane jej uczucie onieśmielenia. Spuściła oczy i odsunęła się na bok.

– Cześć! Co panienki tu robią w tak upalny dzień? – zapytał jeden z mężczyzn, a drugi, w kowbojskim kapeluszu, nie odzywał się, tylko stał z rękami głęboko w kieszeniach.

Minka milczała. Clara wyszeptała jakieś powitanie i spojrzała niepewnie na towarzyszkę. Minka czuła, że kurczy się w sobie, jakby dzięki temu nieznajomi mieli się oddalić.

– Niech wam chociaż zrobię zdjęcie! – zawołał ten rozmowniejszy.

Widząc aparat fotograficzny, przysunęły się do siebie; co to szkodzi, że zrobią im zdjęcie? Ale wtem jeden z mężczyzn stanął za dziewczynami i odwrócił się do tyłu, zerkając na drogę, którą przyszły. Ten rozmowniejszy chwycił Clarę i pociągnął w gęstwinę drzew. Minka patrzyła za nimi i widziała przerażenie w oczach koleżanki. Gdy postąpiła kilka kroków za nią, podszedł ten w kapeluszu kowbojskim.

Być może powiedział, że nazywa się Mack, teraz jednak wszystko toczyło się w zwolnionym tempie, jakby puszczono płytę gramofonową z niewłaściwą szybkością, a jednocześnie wydawało się Mince, że nie nadąża za wydarzeniami. Nie rozumiała, co ten mężczyzna do niej mówi. Pamięta, że zawęził jej się obraz: jego sylwetka zdawała się malutka, jakby stał po drugiej stronie szerokiej ulicy.

Nie pojmowała, co się dzieje, nawet gdy pchnął ją na ziemię i zadarł jej sukienkę. Zażenowana i zszokowana, nie zdołała wykrztusić nawet słowa sprzeciwu. Po prostu wbiła wzrok w jego kapelusz.

Potem uprzytomniła sobie, że stało się coś potwornego. Ból, jaki sprawił jej ten mężczyzna, poufałość, jakiej się dopuścił, wyraz jego twarzy, gdy stał nad nią przez chwilę, a potem odwrócił się i odszedł bez słowa – to wszystko napawało ją wstydem. Gdzieś z prawej strony usłyszała płacz Clary, ale Minka była jak sparaliżowana, nie miała sił podejść do koleżanki.

Podciągnęła nogi, zasłoniła je sukienką i objęła ramionami kolana. Suche osty przebiły się przez materiał i wplątały we włosy. Piekły ją nadgarstki i kolana, inne części ciała też, pulsowały w jakiś nowy, upokarzający sposób.

Podniosła się z ziemi. Jeden but leżał w zaroślach, ubranie całkiem się pogniotło. Trzęsły jej się ręce, gdy wyciągała wczepione w dół sukienki osty.

Płacz Clary ucichł po kilku minutach. Niedługo potem wyszła zza drzew zgarbiona, jakby bolały ją plecy. Wyglądała na bardziej przerażoną od niej. Minka spodziewała się, że Clara będzie potrafiła „to” wyjaśnić, wytłumaczyć, co się właściwie stało, ale nie zdobyła się na zadanie pytania.

Która może być godzina? – przeleciało jej przez myśl. Clara nie spojrzała w jej stronę, bąknęła tylko, że trzeba wracać. Minka chciała się pospieszyć, ale przy każdym ruchu krzywiła się z bólu. Czuła pieczenie, które nie wiadomo skąd się brało. Strzepnęła źdźbła trawy z włosów i otarła policzki. Były mokre. Prawie dzwoniła zębami – w takim skwarze.

Wiedziała, że krwawi, jeszcze zanim zobaczyła krew. Sprawdziła, czy sukienka nie przesiąkła z tyłu, ale w materiał wczepiły się tylko osty. Nie miała czym wytrzeć się między udami, więc starła krew garścią suchych liści. W końcu powlokła się ścieżką za Clarą idącą chwiejnym krokiem.

Wyszły spośród cienistych drzew na słońce. Z prawej strony dobiegały pluski i nawoływania kąpielowiczów. Dziewczęta z kółka krawieckiego stały przy samochodach, trzymając puste koszyki i zabrudzone trawą koce. Jedna z nich przysłoniła oczy dłonią i spoglądała w stronę drzew.

– O, są! – zawołała, machając ręką.

Ani Minka, ani Clara nie kiwnęły.

Clara usiadła na tylnym siedzeniu samochodu i skulona w rogu, wycierała twarz. Nie reagowała na zatroskane pytania.

– Co jej się stało? – szepnęła Agatha do koleżanki.

Minka czekała, aż rozlegnie się warkot silników i opiekunka policzy uczestniczki wycieczki, po czym wsiadła do innego auta, wszystko jedno którego, byle nie koło Clary.

W drodze powrotnej do Aberdeen zamknęła oczy i zacisnęła powieki, nie zwracała uwagi na złociste promienie spływające na pola pszenicy. Lepiła się od potu, nie tylko własnego, i z trudem pokonywała ochotę, by wyskoczyć z auta i wyszorować się do czysta w zimnej wodzie z jakiejś głębokiej studni.

Gdy samochód podskakiwał na wyboistej drodze gruntowej, Minka przyrzekła sobie, że nikomu nie wyjawi, co się stało. Była na wskroś uczciwa, ale wiedziała, że trzeba przemilczeć i zataić tę sprawę. Zniknie w niepamięci, jeśli również Clara nic nikomu nie powie.

Minka miała jednak nie dotrzymać przyrzeczenia. Tamtego dnia nie wyobrażała sobie, że mogłaby je złamać, ale czekało ją życie w ciągłej udręce. Każdy następny dzień nieuchronnie łączył się z tym jednym popołudniem nad jeziorem Scatterwoood.

Czas wymazał z jej pamięci słowa napastnika, ubiór, rysy twarzy. Tylko obraz kowbojskiego kapelusza poruszającego się na tle rozbielonego sierpniowego nieba pozostał niezatarty.

Tego detalu Minka nie zapomniała do końca życia. A żyła bardzo, bardzo długo.

---

* W oryginale starsze pokolenia imigrantów z Holandii kaleczą język angielski, wymawiając „th” jako „d”. W tłumaczeniu nie wymawiają „ę” ani „ą” (przyp. tłum.).

Rozdział drugi

– Dziewczęta!

Głos Honusa dobiegał z dołu schodów. Po trzech latach pracy w mleczarni to jedno słowo wystarczało, żeby Minka i Jane budziły się co rano jak na terkot budzika.

Było ciemno, choć oko wykol, a po wyjściu spod puchowej pierzyny zimno, ale jeszcze nie lodowato, jak pod koniec roku. Odrobinę ciepła dawała rura od pieca, która szła przez podłogę i sufit sypialni na dach.

Wróciwszy z nocnych łowów, kot Jane leżał zwinięty w kłębek między siostrami, ku ich zadowoleniu podnosząc temperaturę pod kołdrą. Jane uparła się, żeby przed pójściem spać zostawiały lekko uchylone okno, nawet gdy padał śnieg. Nad ranem nieraz widać było zlodowaciałe odciski mokrych łapek na pościeli.

Tego dnia, 10 listopada, przypadały siedemnaste urodziny Minki. Nie pamiętała o tym po przebudzeniu, ponieważ w jej rodzinie nie świętowało się urodzin. Dlatego więc ten ranek wydawał jej się taki sam jak wszystkie inne – oprócz tamtego przed trzema miesiącami, gdy się obudziła z bólem w dole brzucha i zdarzenie z poprzedniego dnia wypełniło bez reszty jej pamięć.

„To” zdarzenie.

Próbowała je wymazać. Wspomnienie wracało jednak, uparcie i niespodziewanie, w różnych sytuacjach: gdy doiła krowę albo wieszała pranie, a często gdy kąpała się w wannie w sobotni wieczór, widząc ciało, którego tamten typ dotykał i które zranił. Czasem wpadała w popłoch i z trudem pokonywała pragnienie, by porzucić dotychczasowe życie, po prostu spakować się, wsiąść do pociągu i pojechać gdzie bądź – być kimś innym. Bywało też, że chciała pobiec aż na farmę wujka i schować się w ustronnej, ciemnej ziemiance, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy jej szukać.

Tydzień po „tym”, będąc w pakowni mięsa, gdzie każdego popołudnia razem z robotnikami wiązała pęta kiełbasy, upuściła puszkę z obiadem. Jeden z Niemców schylił się i podał ją ze słowami: *Ach, Minnie, Sie mussen achtgeben*. „Uważaj, Minnie”. Powiedział to życzliwie, łagodnym tonem, ale stał tak blisko, że doleciał ją zapach przepoconego ubrania i jakiejś potrawy, może gotowanej kapusty. Natychmiast oblała się lepkim potem i dopiero po półgodzinie przestały jej się trząść ręce.

Teraz czuła się lepiej. Już nie zapadała się w siebie głucha na prowadzone tuż obok rozmowy, czym złościła Jane, która nie mogła się powstrzymać od pytania: „Co się z tobą dzieje?!”. Z upływem czasu rana się zagoiła. Minka nie zwierzyła się nikomu. Każdy ma jakiś sekret, prawda? Jennie też wyszła za Honusa w tajemnicy. Żadne z dzieci wciąż nie miało pojęcia, gdzie i kiedy odbył się
ślub.

– Pospiesz się – powiedziała Jane rankiem w dniu pomijanych milczeniem urodzin siostry.

Minka spuściła nogi z łóżka. Zwykle to ona musiała popędzać siostrę, ale w tym tygodniu Jane już trzeci raz wstała pierwsza. Ostatnio wszystko przychodziło Mince z trudem, nawet wysunięcie nóg spod pierzyny.

W pokoju nie było lampy, ale siostry na pamięć znały swoją skromną sypialnię. Chwyciły farmerki, wiszące na ramie żelaznego łóżka. Jane mruknęła „pa, pa” do kota i zeszła za Minką po schodach. Zimne deski podłogi odbierały ciepło bosym stopom.

W zimowe miesiące dziewczęta ubierały się w jadalni, w przyjemnym cieple, idącym od piecyka na węgiel. Słaby żar w palenisku, widoczny przez wąskie szpary, dawał mętne światło, pozwalające jednak trafić ręką do rękawa i zapiąć guziki. Na ostatnim schodku Mince zakręciło się w głowie, tak że musiała oprzeć się dłonią o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

Ostatnio stale przytrafiały jej się zawroty głowy. Może za mało je? Miała kiepski apetyt i kilka razy prosiła mamę o szafirową butelkę z napisem Bromo-Seltzer, licząc na to, że słone lekarstwo pomoże jej na niestrawność.

Gdy włożyły farmerki i zapięły sprzączki, przeszły przez kuchnię, mówiąc „dzień dobry” Jennie, która siedziała przy stole i obierała kartofle. W piecu już się palił ogień; chłód w pomieszczeniu z wolna ustępował. Minka i Jane włożyły wysokie skórzane buty i wyszły na dwór.

Rześki przedświt odpędził resztki senności. Ziemię pokrywał szron; połyskiwał w blasku księżyca i chrzęścił pod butami. Ciszę zakłócał łoskot i brzęk z bocznicy kolejowej po drugiej stronie drogi. Siostry minęły kurnik – ptactwo Jennie wciąż spało – i poszły w stronę smugi światła sączącego się przez uchylone drzwi obory, gdzie Honus zapalił już lampy na słupach. Po przyjściu ze dworu czuło się ciepło płynące od krów. Przestępowały tylko z nogi na nogę w boksach i kołysały pełnymi wymionami. Zwróciwszy okrągłe czarne oczy w kierunku wejścia, przeciągle zamuczały, jakby zniecierpliwione.

Jane szła od boksu do boksu po jednej stronie, Minka po drugiej. Najpierw nasypała kukurydzy do żłobu przed każdym zwierzęciem. Potem przywiązała łańcuch do nogi pierwszej krowy. Ta lubiła kopnąć, o czym świadczyły duże ciemne siniaki na skórze Minki. W zeszłym tygodniu nawet umyślnie się na nią osunęła i przygniotła jej nogę. Próbując się spod niej wydostać, Minka przewróciła wiadro pełne mleka – co za strata, zwłaszcza że tak tu się ceni oszczędne gospodarowanie.

Minka opierała się o ciepły bok krowy, gdy przez na wpół otwarte drzwi wpadło światło rozpoczynającego się dnia. Uwierał ją twardy stołek, więc przesunęła się odrobinę, a wtedy uniósł się słomiany kurz i zakręciło ją w nosie. Mocnymi palcami objęła strzyk i ścisnęła, ciągnąc w dół. Rozległy się miarowe uderzenia ciepłego mleka o ściankę wiadra.

Krowa poruszyła się i mało brakowało, a nastąpiłaby Mince tylną nogą na stopę. Minka odepchnęła zwierzę ramieniem, ale odwróciło tylko łeb, obrzucając ją obojętnym spojrzeniem, po czym znów wsadziło pysk do żłobu. Gdy mleko zaczęło skapywać kroplami, Minka przelała udój do dużej blaszanej bańki i zaczęła doić następną krowę.

Na szczęście była sobota, więc nie musiała żałować, że w szkole średniej na wzgórzu odbywają się lekcje, a jej tam nie ma. Łudziła się nadzieją, że z czasem przestanie się martwić brakiem wykształcenia, ale ta myśl nieustannie ją dręczyła, jak nieznośny brat, który szturcha siostrę kijem. Gdyby mogła, uczyłaby się sama. W domu ojczyma nie było jednak książek, a na chodzenie do biblioteki w Aberdeen nie miała czasu, choć duży ganek z kolumnami i sale pełne książek wyglądały zachęcająco.

Nie poprawiał jej się nastrój, gdy Honus jechał rozwieźć mleko i zabierał ją ze sobą, twierdząc, że „powinna poznać trasę”. Po drodze mijali Central High School, mieszczącą się w ładnym ceglanym budynku

z trzema rzędami lśniących okien. Minka odnosiła wrażenie, że nad wejściem wisi namalowany białą farbą, ogromny napis: To nie dla ciebie.

Jak na ironię, gdy mieszkali u wujka, nie lubiła lekcji. W jednoklasowej szkole na prerii panował taki zgiełk, że nie mogła zebrać myśli. Nie wiedziała, że ma słaby wzrok i dlatego często ją boli głowa – sądziła, że wszyscy rodzą się z bólem głowy. Gdy mrużyła oczy, patrząc na tablicę, albo przysuwała sobie książkę pod nos, niezamężna nauczycielka krzyczała na nią z irytacją.

Z całego dnia najbardziej lubiła długie wędrówki do szkoły i z powrotem do domu, przez pola sąsiadów i gospodarstwa ogrodzone rozpadającymi się płotami. Bezkres nieba nad głową i powiew wiatru w otwartej przestrzeni sprawiały, że czuła się wolna. Nic nie zakłócało jej prywatności, nawet paplanie Johna i Jane, gdy szli obok. Natomiast na lekcjach wydawało jej się, że siedzi zamknięta w klatce.

Dopiero zakończywszy edukację na ósmej klasie, Minka zdała sobie sprawę, jak bardzo przydałoby jej się krzepiące poczucie dumy, wynikające ze zdobywania wiedzy. Nauka w szkole była ciężką próbą dla jej nieśmiałości, ale pożywką dla umysłu, dawała pewność posuwania się do przodu w życiu. Minka miała wtedy skarb, ale go straciła.

Dałaby wszystko, aby teraz go odzyskać.

* * *

Dojenie dwunastu krów było zaledwie jednym z obowiązków, które Minka i Jane wykonywały dwa razy dziennie. Kiedy napełniły już szare dziesięciogalonowe bańki, taszczyły je do chłodni mieszczącej się w osobnym budynku, aby ziemny zapach obory nie przeniknął do mleka. Po schłodzeniu mleka, co hamowało rozwój bakterii, dziewczyny niosły bańki do budynku, gdzie znajdowało się duże pomieszczenie z maszyną do

butelkowania. Ta czynność była najłatwiejsza i dawała najwięcej zadowolenia: pociągało się za dźwignie i patrzyło, jak uzyskane ciężką pracą mleko spływa do szklanych butelek. Na koniec maszyna zamykała je papierowymi kapslami i ustawiała równo w rzędach. Obu siostrom podobał się ten czysty, kojący proces.

Minka zawsze pamiętała, jak to pewnego razu jej upodobanie do porządku połączone z żelazną wolą wpędziło ją w kłopoty. Jeszcze w dzieciństwie chciała, żeby wszystko leżało na swoim miejscu, nawet jedzenie na talerzu. Nie lubiła, gdy mięso stykało się z marchewką albo tłuczone kartofle zsuwały się na pieczywo. Bywało, że Jennie podawała posiłek w pośpiechu i wszystkie składniki na talerzu Minki łączyły się ze sobą. Dobrze wychowana mała Holenderka nie śmiałaby okazywać niezadowolenia ani odszczekiwać się starszym, ale Minka odsuwała się od stołu i zaplatała rączki na piersiach. Wszyscy pałaszowali z apetytem, podczas gdy ona gapiła się w talerz.

Jennie najczęściej nie zwracała uwagi na niemy bunt córki, natomiast wujek, gdy miał zły dzień, wpadał w złość. Odkładał widelec i wygrażając paluchem, ryczał: *Schmeiss sie in den Keller!*. „Zamknij ją w piwnicy!”.

Minka podnosiła się, głośno szurając krzesłem, i maszerowała do piwnicy z poważną miną człowieka skazanego za niewinność. Szła po rozchwianych schodach, mijała półki z przetworami i siadała na ziemi obok kopca kartofli, czekając, aż wypełzną salamandry. Potem bawiła się nimi, aż wszyscy zjedli kolację i Jennie zawołała ją na górę.

Z czasem przestała stroić fochy podczas jedzenia, choć nieraz czuła, że opanowuje ją dawny upór. Był jej nieodłączną cechą, jak brązowe włosy i duże stopy. Nauczyła się wykorzystywać swoją stanowczość do tego, by wstawać z łóżka wczesnym rankiem i należycie wykonywać obowiązki, nie

poddawać się przygnębieniu, z nadzieją myśleć o przyszłości, która przyniesie coś innego niż sprzątanie domu i oporządzanie krów.

Nieustępliwy charakter pomagał jej spychać „to” w najdalsze zakamarki pamięci i w ogóle tam nie zaglądać. Również codzienna, niekończąca się praca fizyczna ułatwiała trzymanie tych myśli na wodzy.

Owego listopadowego ranka, po rozlaniu mleka do butelek, siostry załadowały ciężkie skrzynki na furgonetkę. Potem Jane zaniosła do domu kankę z zebraną z mleka śmietaną. W drzwiach kuchennych minęły Honusa, który jechał dostarczyć towar.

Jennie już przygotowała śniadanie: w garnku bulgotała gęsta owsianka, plastry bekonu i pokrojone na kawałki kartofle były usmażone. Kawa perkotała na kuchni, jeszcze gorzka, ale gdy dolało się słodkiej śmietanki, nabierała łagodnego smaku. Zapachy mieszały się w powietrzu, stwarzając ciepłą domową atmosferę.

Ale Mince żołądek podszedł do gardła.

– Zjem dziś samą owsiankę – powiedziała, nabierając zupy łyżką.

Gęsty płyn zbił się w bryłki i wyglądał jak wymiociny. Minka usiadła przy stole, starając się odepchnąć od siebie tę myśl. Jane stała przy kuchni i nakładała sobie bekon z patelni.

Jennie odwróciła się i popatrzyła na Minkę z zatroskaniem. Z drewnianej łyżki, którą trzymała w ręce, spadła kropla wysmażonego tłuszczu i rozprysła się na szmacianym chodniku pod nogami. Minkę uderzyła nowa myśl: Czy mamie coś dolega? Nie wiedziała jednak, jak o to zapytać – zmogło ją zmęczenie. Gmerała łyżką w misce.

– Macie ochote iść po południu do Janssenów? – zapytała Jennie, wycierając ścierką tłustą plamę. – Widziałam sie z paniom Janssen. Zapraszała nas z wizytom. Może po obiedzie?

Jane poderwała głowę. Oczy rozbłysły jej z radości.

– O tak! Naprawdę? Może Nellie zagra nam na pianinie. Włożę niebieską sukienkę. Jest czysta?

Jennie odparła ze śmiechem:

– *Ja*, jest czysta. Wisi w szafie.

Spojrzała na Minkę. Jakby na coś czekała, czegoś wypatrywała.

– Mogę iść. – Sama usłyszała, jak obojętnie to zabrzmiało. – Włożę sukienkę w szkocką kratę – dodała, uśmiechając się do Jennie i starając się ukryć zmęczenie.

Minka zawsze się cieszyła, gdy miała sposobność pobyć z dala od krów, a spotkanie w gronie kobiet było rzadką przyjemnością. Szkoda tylko, że jest taka zmęczona. Oby ta niestrawność szybko jej przeszła.

* * *

Minka siedziała w salonie u Janssenów i dziobała widelcem jeszcze ciepły kawałek piernika, który upiekła mama. Janssenowie też byli Holendrami i co niedziela obie rodziny widywały się w kościele. Jak większość nastolatek w mieście Janssenówny, Jette i Nellie, uczyły się w szkole średniej, chodziły na szkolne mecze futbolowe i potańcówki, co jakiś czas były w kinie. Niewiele łączyło je z Minką i Jane, nie rozumiały, dlaczego tamte mają zgrubiałą skórę na rękach i nie znają wyższej matematyki. Dostały jednak staranne wychowanie i grzecznie odnosiły się do koleżanek. Siedziały na kanapie i gawędziły z Jane.

Ta zaś, jak zawsze, zachowywała się swobodnie.

Minka bardzo lubiła piernik. Takie smakołyki rzadko widziało się u nich w domu, gdzie Honus i Jennie co miesiąc głowili się, jak zapłacić rachunki za żywność. Tego dnia Minka miała jednak wrażenie, że ciasto jest przesłodzone i mdłe; wmuszała w siebie każdy kęs.

Może coś złapałam, gdy w czwartek rozwoziłam mleko, pomyślała. To ona wyskakiwała z furgonetki, żeby zabrać z ganków puste butelki i zostawić kwarty świeżego mleka, pomagała Honusowi wnosić skrzynki do sklepów spożywczych, uprzejmie rozmawiała z ekspedientami. Od czasu tej strasznej hiszpańskiej grypy, która rozniosła się po całym świecie przed dziesięciu laty, wszyscy bali się chorób i infekcji, którymi ludzie zarażali się od siebie nawzajem. Przed dwoma miesiącami pewien szkocki naukowiec odkrył „sok z pleśni” – takiego użył określenia – ale nikt nie docenił wagi tego wynalazku; miało upłynąć jeszcze dziesięć lat, nim rozpoczęto produkcję penicyliny.

– Nellie – odezwała się pani Janssen, wychodząc z kuchni, gdzie gawędziła z mamą Minki.

Dziewczęta przerwały rozmowę i odwróciły się do pani Janssen. Gdy mówili dorośli, dzieci milczały – takie było uniwersalne prawo, równie niepodważalne jak to, że wypuszczony z ręki kamień spada na ziemię.

– Może zagrasz coś naszym gościom? – Pani Janssen wskazała ręką wysoki brązowy instrument pod ścianą.

Nellie zrobiła niepewną minę i spojrzała na Minkę i Jane.

– Chcecie posłuchać?

Dziewczyny natychmiast kiwnęły głowami. W domu Honusa nie było instrumentów muzycznych.

Nellie podniosła błyszczące wieko i gdy pokazały się białe i czarne klawisze, w sercu Minki zachwyt zmieszał się z zazdrością. Patrzyła, jak Nellie przewraca strony śpiewnika, które ocierają się o siebie z szelestem, stanowiąc jakby preludium do utworu. Nellie nie grała tak dobrze jak pani Johnston, organistka w kościele, ale spod jej palców wychodziła prawdziwa pieśń, płynęła muzyka.

Minka spojrzała na swoje zniszczone ręce splecione na kolanach. Prawdopodobnie nawet gdyby miała pianino, nawet gdyby pobierała lekcje, nigdy nie uderzałaby płynnie w klawisze, wszystko przez te krzywe paluchy. Gdyby jednak była na miejscu Nellie, na pewno grałaby dzień w dzień. Dopóty, dopóki ręce by jej nie omdlały ze zmęczenia.

Użalanie się nad sobą było czymś niespotykanym w świecie Minki. Jennie nigdy się nie skarżyła, że spotkały ją nieszczęścia, że po śmierci pierwszego męża codziennie harowała w pocie czoła. W swoich najwcześniejszych wspomnieniach Minka widziała, jak mama poleruje miękką szmatką piec kuchenny, co było jedną z setek czynności, które wykonywała od świtu do wieczora. Takie nastawienie do pracy zostało wpojone obu siostrom, powielały ten wzorzec nieświadomie i skrupulatnie.

Ostatnio jednak narastało w Mince niezadowolenie trapiące
ją jak choroba. Wykonana przez Nellie pieśń poruszyła w niej falę smutku i wzbudziła poczucie winy, niemal doprowadzając do łez. Przełknęła ślinę i zacisnęła zęby, żeby się nie rozpłakać, nie wprawić wszystkich w zażenowanie i znów nie narazić się na pytające spojrzenie Jennie. Lekko odwróciła się w stronę Nellie i zaraz dostrzegła, że wzrok mamy już na niej spoczywa. Najchętniej poszłaby do domu.

Już lepiej robić porządki i doić krowy, niż mieć taki mętlik w głowie, zamęt w sercu, jakkolwiek to nazwać.

* * *

Następnego dnia, po powrocie z kościoła, Jennie poprosiła Minkę, żeby pomogła jej rozwiesić pranie.

Wyniosła więc na dwór ciężki kosz i postawiła na zimnej, stwardniałej ziemi. Słabe słońce przeświturywało przez chmury, ale od prerii nieustannie wiał przenikliwy wiatr. Mokre pranie wieszało się na dworze bez względu

na to, jak nisko spadała temperatura, nawet jeśli rzeczy zamarzały i musiały tajać w pomieszczeniu, nim je złożono i schowano.

Ze stosu ubrań Minka wyciągnęła koszulę Honusa, powiesiła na sznurku i przypięła klamerkami. Sięgnęła po następną. Jennie stała obok, wieszając spodnie męża. Po chwili odezwała się:

– Nie uprałaś podpasek, Minnie?

Myśli Minki krążyły wokół chłopczyka z miękkimi czarnymi kędziorami i brakującym zębem na przodzie, uroczego dziecka, które siedziało przed nią w ławce podczas nabożeństwa.

– Słucham? – bąknęła.

Jennie zapytała jeszcze raz, dodając:

– Po miesiączce.

– Aha. – O to jej chodzi, pomyślała. Szczęśliwie już jakiś czas nie miała miesiączki. – Nie było trzeba – wyjaśniła, zarzucając duże prześcieradło na sznurek.

– Nie było trzeba? Od kiedy?

– Bo ja wiem? Od paru miesięcy.

Jennie zamarła.

– Od lata?

Po chwili zastanowienia Minka odparła:

– Hmm... chyba tak.

Jennie wbiła w nią wzrok. Na jej łagodnej twarzy odmalował się niepokój. Zaległa cisza.

– Minnie, czy ty... czy byłaś... z chłopcem? – wykrztusiła Jennie.

Minka poczuła uderzenie adrenaliny. Choć nie rozumiała pytania mamy, słowo „chłopiec” przywołało na myśl „to”: nagrzaną suchą trawę pod plecami, strużkę krwi, kowbojski kapelusz na tle prażącego nieba.

– To znaczy? – Jej głos zabrzmiał piskliwie.

– Pytam, czy... byłaś kiedyś sam na sam z chłopcem? *Wanneer hij... jou aangeraakt*? Czy on cie dotykał?

Skąd mama to wie? – przemknęło jej przez myśl. Skąd jej to w ogóle przyszło do głowy? A może ktoś widział i jej powiedział? Może Clara się zwierzyła? Albo przyszedł ten Mack?

Minka zaczęła się jąkać. Nie mogła się wysłowić.

– Minnie. – Głos Jennie zabrzmiał stanowczo. Puściła prześcieradło, nie patrząc, że upada na ziemię. Wzięła Minkę za ręce i przyciągnęła do siebie. – Mów, co sie stało.

Minka jej opowiedziała. O placu do jazdy na wrotkach, o spacerze z Clarą, o aparacie fotograficznym i o mężczyznach. Czerwona na twarzy, patrząc w ziemię i zacinając się, opowiedziała wszystko od początku do końca.

– Och, Minnie.

Minka podniosła głowę, słysząc rozpacz w jej głosie. Dobrotliwe oczy Jennie napełniły się łzami. Białe prześcieradło rozpościerało się wokół jej nóg niczym mgła.

– Myśle, że bendziesz miała dziecko, Minnie...

Rozdział trzeci

Kancelaria luterańskiego kościoła Syjonu doskonale harmonizowała z dostojnym pastorem Williamem F. Kraushaarem, którego Minka znała całe życie. Na ścianach wisiały poważne dokumenty w ozdobnych ramach; w oszklonych bibliotekach stały grube tomy, jeden przy drugim. Duże drewniane biurko, choć pokryte rysami, lśniło. Można było odnieść wrażenie, że każdy, kto choć przez chwilę posiedzi w tym wnętrzu, od razu zyska mądrość i spokój ducha, co dla Minki byłoby upragnionym cudem. Z całej jej postaci biło głębokie, koszmarne zawstydzenie, z pewnością widoczne dla każdego.

Nigdy dotąd nie przebywała w tym pokoju, nigdy nie szła prywatnym korytarzem, który do niego prowadził. To miejsce za zamkniętymi drzwiami było szczególne, przeznaczone dla dorosłych, surowo umeblowane, wypełnione ciszą. Starała się stąpać lekko, ale buty głośno stukały o drewnianą podłogę i niósł się pogłos.

Minka porządnie się ubrała na to spotkanie. W głębi szafy, gdzie wisiały ubrania całej rodziny, dostrzegła biało-zieloną sukienkę, którą szyła z takim przejęciem i nadzieją, jakby ten strój miał jej otworzyć drzwi do nowego życia. Włożyła ją tylko raz, tamtego dnia, gdy jechała nad jezioro Scatterwood, a potem wetknęła w ciemny kąt i nie nosiła nigdy więcej.

Objęła spojrzeniem cały pokój, przykładając rękę do sztucznych pereł, które założyła do swojej najlepszej sukienki od święta. Perły były ulubionym naszyjnikiem mamy. Tego ranka Jennie wyjęła je z szuflady i zapięła córce na szyi. Dotyk ręki mamy na ramieniu i znajomy zapach robionego w domu mydła, którego używała do mycia naczyń po obiedzie, sprawiły, że Mince stanęły w oczach łzy.

Usiadła teraz obok Jennie z przemożnym pragnieniem, aby znaleźć się gdzie indziej. Przed tygodniem, gdy Jennie wygłosiła zaskakujące zdanie: „Bendziesz miała dziecko”, Minka w pierwszej chwili nie zrozumiała sensu tych słów.

– To znaczy, że przyniesie je bocian? – zdziwiła się.

Głosem pełnym udręki, na wpół po angielsku, na wpół po niderlandzku, Jennie zaczęła tłumaczyć córce, że bociany nie przynoszą dzieci; są zwykłymi ptakami, a nie posłańcami z bajki, szybującymi po niebie i wracającymi na ziemię z noworodkami.

Dorośli, z którymi stykała się Minka, podobnie jak przedtem ich rodzice, bardzo się starali utrwalać tradycyjne opowieści ze Starego Świata. Przed kilkoma laty Jennie pojechała z rodziną w odwiedziny do swojego brata, który również wyemigrował do Ameryki i potem ożenił się z pokojówką. Jennie i ciocia Teresa rozmawiały w kuchni, a Minka i Jane bawiły się ze swoją kilkuletnią kuzynką. Nagle z drugiego pokoju doleciało je głośne zawodzenie niemowlęcia.

– O rety. – Ciocia Teresa przyłożyła rękę do ust, nie posiadając się ze zdumienia. – Skond ono sie wzieło?

Minka i Jane spojrzały jedna na drugą, unosząc brwi.

– No, idźcie – szturchnęła je ciocia. – Zobaczcie, co tam jest.

Dziewczęta wślizgnęły się do sypialni cioci Teresy i zobaczyły na łóżku wrzeszczącego niemowlaka. W szeroko otwartym oknie powiewały

zasłonki.

– Bocian przyniósł nastempne dziecko! – wykrzyknęły ciocia i mama.

Minka popędziła do okna z nadzieją, że choć mignie jej ten czarodziejski ptak, którego nigdy nie widziała, choć zatrzepocze w oddali skrzydłami.

Nigdy nie zastanawiała się nad prawdziwością tej opowieści. Mimo że siostry wychowały się na farmie, skomplikowany kanon przyzwoitości decydował, z czym mogły mieć kontakt. Gdy Jennie zarzynała kury czy gęsi, córki stały obok, żeby sparzyć korpusy i je oskubać, ale nie pozwalano im zbliżać się do miejsca, gdzie zabijano duże zwierzęta, krowy czy świnie. Wiedziały, że wujek czasem wsadza do worka i topi niechciane kocięta, ale nie miały pojęcia, skąd te kotki się biorą, gdyż nigdy nie widziały, jak się rodzą.

Zanim Minka tak boleśnie przebudziła się ze stanu nieświadomości, wyobrażała sobie, że bociany są niebiańskimi stworzeniami, które lecą do Boga i wracają z miękkimi, pomarszczonymi podarkami. Cieszyła się na myśl, że za jakiś czas, gdy wyjdzie za mąż, ten poruszający się z taką gracją ptak przyleci i do jej domu i przyniesie przeznaczone jej dzieci.

Nic z tego nie było prawdą. Jennie powiedziała jej, że dzieci rosną „tu”, po czym dotknęła swojego brzucha. Kiedy Minka to usłyszała, ogarnął ją strach, zdało jej się, że wkracza na nieznany teren. Co jeszcze – z tego, w co wierzyła – było nieprawdziwe? Jakie jeszcze przejawy życia nie miały w sobie cudowności ani piękna, gdy ona wierzyła, że również tego można doświadczyć, nie tylko rzeczywistości, która sprowadza się do pól, obór i skrzynek z butelkowanym mlekiem?

Po tygodniu rozmyślań nad tymi rewelacjami Minka dostrzegła bezsens opowieści, którą akceptowała przez całe życie. Nie mieściło jej się w głowie, że nigdy nie zastanawiała się, dlaczego ciocia Teresa i inne panie

widywane w kościele przybierają co jakiś czas na wadze – ukrywają tuszę pod szerokimi fartuchami, to prawda, ale niewątpliwie jest co ukrywać – a potem w zagadkowy sposób chudną. Nie mieściło jej się w głowie, że przez siedemnaście lat mama nie znalazła odpowiedniej chwili, aby zakończyć etap dzieciństwa swoich córek i powiedzieć im, jak jest w rzeczywistości. Minka czuła się oszukana.

Teraz czekała ją rozmowa z pastorem Kraushaarem.

Duchowny wszedł do kancelarii, witając się ciepło, i usiadł za biurkiem. Słysząc zgrzyt przesuwanego po podłodze krzesła, Minka aż się wzdrygnęła. Nie wiedziała, na co spogląda ksiądz, ponieważ wbiła wzrok w zniszczony brzeg książki z hymnami, leżącej przy jego dłoni. Miała ochotę zajrzeć do środka i pogrążyć się w lekturze znajomych pieśni. Przez następne pół godziny skupić się na czymś innym niż temat tej rozmowy.

Pastor oczywiście już wiedział. Jennie była u niego przed kilkoma dniami. Dzięki temu Minka nie musiała słuchać tej historii ani, co gorsza, jej opowiadać. Gdy była mała, całą rodziną chodzili do małego kościoła luterańskiego w Warner, niedaleko farmy wujka. Co niedziela, po odprawieniu nabożeństw w Aberdeen, pastor jechał bryczką dziesięć mil do zboru na wsi. Minka wiedziała, że jest dobrotliwym człowiekiem, ojcem córek, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby mu powiedzieć o „tym”.

– Minko – odezwał się łagodnie i umilkł. Usłyszała, że westchnął. Nadal nie odrywała wzroku od książki z hymnami. – Twoja matka powiedziała mi, co się stało.

Sądziła, że dość już się najadła wstydu i nie może więcej, ale gdy pastor wspomniał o „tym”, znowu poczuła na policzkach piekący rumieniec. Tak jej się zakręciło w głowie, że musiała się chwycić krzesła. Dobre wychowanie kazało jej odpowiedzieć.

– Tak, proszę księdza – odrzekła, próbując spojrzeć mu w twarz, ale bez powodzenia. Jej wzrok spoczął na szwie ciemnego wełnianego garnituru.

– Zastanawialiśmy się, co uczynić. Co będzie najlepsze dla ciebie i... hm, dla dziecka.

Jennie położyła dłoń na lewej ręce córki. Minka była wdzięczna za ten gest. Czując dotyk matczynej ręki, może nie zsunie się z krzesła i nie przeleci przez szparę między deskami podłogi.

– Sytuacja jest niewątpliwie trudna, wyrządzono ci wielką krzywdę – mówił dalej pastor – ale znaleźliśmy rozwiązanie. Sposób, żebyś... nadal cieszyła się dobrą opinią. Bo na to zasługujesz, jestem tego pewien. – Dla podkreślenia wagi swoich słów przyłożył szeroką dłoń do piersi, akurat tam, gdzie patrzyła Minka. – Wiem, że niczym nie zawiniłaś. Nie zrobiłaś nic nagannego. Ale teraz musimy... myśleć o twojej przyszłości. Twojej i... dziecka, które się urodzi.

Jennie najwyraźniej nie zamierzała się włączać. Nadal trzymała dłoń na ręce córki.

– Słyszałem o pewnym miejscu. W Sioux Falls. Pomagają tam dziewczętom... takim jak ty. Tym, które popadły w... hm... kłopoty. Kiedy będzie zbliżał się termin, napiszę do nich i poproszę o pomoc. Zanim to nastąpi, twoja matka i ojczym postanowili, że zamieszkasz u ciotki pana Vander Zee w Iowa.

Minka spojrzała na mamę i zobaczyła, że ma ściągnięte brwi i zaciśnięte usta, co oznaczało, że jest zmartwiona. A więc to prawda. Chcą ją stąd odesłać. Jak za karę. Nigdy nie była w Sioux Falls, nigdy nie wyjeżdżała do innego stanu, ale wiedziała, że ma zamieszkać z dala od domu. Marzyła, żeby uciec od pracy w mleczarni, ale to nie tak się miało odbyć.

– Najlepiej nikomu nic nie mówić – ciągnął pastor. – Nie mów o tym nawet swojej siostrze. Urodzisz dziecko, a potem... znajdą się ludzie, którzy je adoptują. Dadzą mu dobry dom. I wtedy tu wrócisz. Nikt nie będzie wiedział, co się w tym czasie działo. Znowu będziesz mogła żyć jak dawniej...

Jego głos zagłuszyły myśli, które kłębiły się w przerażonym umyśle Minki. Pierwszy raz pragnęła z taką mocą, żeby pytania, jakie mają dzieci, nie były *verboten*. Kto z nią pojedzie? Czy będzie mogła spać, nie czując, że po drugiej stronie łóżka śpi jej siostra? Czy znów zobaczy swoją rodzinę?

No i jak się zdoła przygotować na to, co ją czeka?

* * *

Po powrocie do domu Jennie poklepała Minkę po plecach i poprosiła, żeby „poszła sie położyć”; w środku dnia była to rzecz niesłychana, chyba że zmogła człowieka śmiertelna choroba. Minka rzeczywiście była zmęczona ponad miarę, jakby przez cały dzień pieliła grządki. Czuła jednak silną potrzebę zajęcia się czymkolwiek, zatracenia się w znajomym rygorze pracy. Wzięła z kuchni ścierkę od kurzu, przebrała się w farmerki i pobiegła na górę. Nie mogła znieść udręczonego wzroku mamy, pytających spojrzeń siostry ani gonitwy własnych myśli.

Ale myśli i tak kłębiły jej się w głowie.

A więc to tak. Wszystko zostało postanowione, zanim przeszła przez próg kancelarii. Będzie miała dziecko, a potem nie będzie go miała.

Położyła rękę na brzuchu. Już wiedziała, jak „to” doprowadziło do tego. Takie „kłopoty”, jak to ujął pastor, powinno się mieć po ślubie, z mężem, a nie wbrew własnej woli, z obcym mężczyzną. Jennie wytłumaczyła jej to

w zeszłym tygodniu. Minka wciąż nie mogła ułożyć sobie tego wszystkiego w głowie.

Ścierając kurze na piętrze, słyszała kroki Jane, która chodziła po domu na parterze, zamykała drzwi i szuflady. Siostra nie zasypie pytaniami mamy, tylko zachowa je dla niej i wyrzuci z siebie wieczorem, gdy będą same w pokoju. A Minka będzie musiała ją oszukać, po raz kolejny.

Przed kilkoma dniami obudziło ją szarpanie za rękę i głos Jane: „Co ci jest? Źle się czujesz?”. Zwyczajowe wołanie Honusa: „Dziewczęta!”, nie odniosło skutku. Choć Jane była mniej spostrzegawcza od Minki, zauważyła, że mama traktuje teraz Minkę inaczej, niemal tak jak zawsze traktowała ją. Jakby była delikatniejsza, wymagała opieki.

Minka nigdy nie okłamała siostry ani niczego przed nią nie zataiła; nie miała nic do ukrycia – do wyjazdu nad jezioro Scatterwood. Nie da się utrzymać w tajemnicy faktu, że się będzie miało dziecko, ale tego popołudnia, w kancelarii pastora, właśnie to kazano jej uczynić. Dla własnego dobra.

Przetarła szmatką poręcz schodów, mając nadzieję, że jednostajna czynność choć trochę rozproszy zmartwienia. Gdy nadchodziły ciepłe miesiące i wietrzono dom przy otwartych oknach, kurze ścierało się każdego popołudnia, nawet jeśli powietrze w pokojach na górze było gorętsze niż syrop do gotowania brzoskwiń na przetwory. Dym i sadza z pociągów oraz kurz wzbijany przez krowy w pobliskiej zagrodzie nieustannie osiadały na wszystkich przedmiotach w domu.

Teraz, gdy nastały zimowe chłody, okna pozamykano, więc odkurzanie odbywało się tylko dwa razy w tygodniu. To zajęcie zawsze sprawiało Mince najwięcej przyjemności – rozkoszowała się samotnością. Często śpiewała dla wprawy przed lustrem, udając wielką śpiewaczkę operową, madame Schumann-Heink, znaną z radia. Wyobrażała sobie, że w drzwiach

staje Douglas Fairbanks albo jakiś inny ciemnowłosy aktor z niemych filmów, wyrywa jej gałgan od kurzu i wywozi ją z farmy.

Oddawanie się marzeniom pozwalało w nieszkodliwy sposób urozmaicić sobie nudne popołudnie. Ale tego popołudnia myśli kotłowały jej się w głowie. Jane wciąż wierzyła, że bocian przynosi dzieci. Minka chciała ją ostrzec. Nie bocian, tylko „to". Co będzie, jeśli i Jane przydarzy się coś takiego?

Zalana falą tęsknoty za przyjaźnią, jaką darzyła ją Jane, pragnęła umocnić łączącą je więź. Odmienność charakterów wywoływała czasem między nimi waśnie: Jane bezlitośnie dokuczała nieśmiałej siostrze, a Minka zazdrościła jej swobody w kontaktach z obcymi ludźmi, także z mamą. Ale przez tyle czasu jedna miała za towarzyszkę tylko drugą i w takich wyjątkowych chwilach jak ta teraz Minka wyraźnie widziała, jak mocno są ze sobą związane.

Po wytarciu poręczy i listew przy podłodze w korytarzu weszła do pierwszej z czterech sypialni na piętrze, tej, którą dzieliła z Jane. Umeblowanie pokoju było skromne: podwójne łóżko i drewniana komoda. Narzuta na łóżku nie miała ani jednej zmarszczki; szmaciany chodnik leżał idealnie równo między łóżkiem a komodą. Słabe światło dzienne sączyło się przez boczne okno i padało na lustro, w którym Minka ujrzała swoje odbicie: jedną połowę w nikłym świetle, drugą zamazaną, jakby przebywała w tym pokoju tylko częściowo. Znowu położyła rękę na brzuchu. Był płaski i jędrny jak dotychczas. A jednak gdzieś w środku tkwiło dziecko, pod skórą, żyłami i kośćmi. Jak to możliwe, że prawdziwe dziecko jest takie maleńkie, mniejsze od myszy?

Minka nigdy nie miała wielu zabawek, ale kiedyś dostała lalkę. Gdy mieszkali u wujka, pieniądze, które Jennie zarabiała na sprzedaży masła i kurczaków w mieście, zwykle szły na kupno materiałów na ubrania,

butów do szkoły i sprzętów kuchennych. Pewnego razu Minka dostała na Gwiazdkę paczkę zawiniętą w papier i zawiązaną sznurkiem. Zdumiona, wyjęła z niej lalkę, która miała korpus ze skóry, ręce i nogi z porcelany i była ubrana w strojną sukienkę, poza tym zamykała oczy, gdy leżała na wznak. Minka traktowała ją jak żywe dziecko, przytulała do piersi, wpatrywała się w nią długo i uważnie. Niedługo potem mała Jane, drepcząc po domu, znalazła lalkę i natychmiast wydłubała jej oczy. Ale Minka wciąż pamiętała, że była jej wielkim skarbem, nawet popsuta.

Przez ostatni tydzień wielokrotnie próbowała wyobrazić sobie rosnące w niej dziecko. Myślała o tym, jak trzyma je na rękach i klepie po plecach. Parę razy trzymała na rękach dziecko cioci Teresy, więc wiedziała, że ma bardzo miękką skórę i jest zupełnie nieporadne. Może urodzi się chłopiec, taki jak ten, którego widziała w kościele w ostatnią niedzielę.

Ale przecież miało być tak, że ona i to dziecko staną się sobie obcy. Czy ono będzie podobne do niej, gdy dorośnie? Czy ona rozpozna swojego syna lub córkę, gdy miną się na ulicy?

Minka straciła poczucie czasu, nie wiedziała, jak długo stoi nieruchomo i patrzy w lustro, ale widzi jedynie sytuacje przesuwające się przed oczami, możliwości, nakazy i niepewności. Myśli się plączą, jedne biegną wstecz, drugie do przodu. Może jeśli się nie poruszy, to wszystko się nie wydarzy. Będzie zawieszona w czasie, tu i teraz, i nie będzie musiała podejmować żadnych decyzji ani działań.

Straszna rzeczywistość wyrwała ją z zamyślenia i rozproszyła do cna fantazje. To dziecko jest rzeczywiste, poczęte przez nią, no i przez „to”. Niezamężna nastoletnia dziewczyna stanie się matką. I jak oznajmił pastor w porozumieniu z mamą, ta dziewczyna miała wrócić do domu bez dziecka. Kolejna sprawa do przemyślenia.

Jaka kobieta powita swoje dziecko na tym świecie tylko po to, by się z nim pożegnać?

* * *

Mama była najwłaściwszą osobą, która opowiedziałaby córce, jaką drogę będzie musiała przebyć, ale Jennie, choć miała już trzydzieści dziewięć lat, nie potrafiła przełamać sztywnych granic między rodzicami i dziećmi. W dzieciństwie, gdy mieszkała w Holandii, choć nie wątpiła, że rodzice bardzo ją kochają, nigdy tego od nich nie usłyszała. Nie dzielili się swoimi myślami ani nie okazywali czułości potomstwu. Jennie w ogóle nie przyszło do głowy powiedzieć własnym dzieciom: „Kocham cię”, mimo że kochała je szczerze, całą sobą.

Tydzień temu, w środku nocy, Jennie nagle uprzytomniła sobie, co może dolegać Mince. Było to wykluczone... a jednak prawdziwe, jak się później przekonała. Gdy córka opowiadała jej, co wycierpiała i ukrywała, pękało jej serce. Od tamtej pory wykonywała wszystkie codzienne obowiązki – czy to szykowanie posiłków, czy szorowanie podłóg, karmienie kur i robienie prania – ze zbolałą duszą.

Sama wiedziała aż nazbyt dobrze, jak nagła tragedia może zdruzgotać człowieka.

Mimo woli zastanawiała się, czy to mogłoby się wydarzyć w świecie jej młodych lat. Wyemigrowała do obcego kraju, będąc niedługo po ślubie, jako pierwsza z rodziny, podekscytowana i pełna nadziei. Odżyły w niej wspomnienia z dawnych czasów i mieszały się z tym świeżym zmartwieniem, aż jego ciężar niemal ją przygniótł. A jeśli to ona ponosi odpowiedzialność, w jakiejś mierze? Może doprowadziły do tego jej dziewczęce wybory?

Przybyła do Ameryki, a Ameryka odebrała jej córce niewinność.

Tak samo jak przed piętnastu laty odebrała jej mężowi życie.

* * *

Lipiec 1911

Pewnego dnia, gdy Amerykanie świętowali fajerwerkami i pochodami sto trzydziestą piątą rocznicę narodzin swojego kraju, do portu w Nowym Jorku zawinął SS Potsdam, mijając ogromny posąg kobiety odzianej w luźną szatę i trzymającej w ręce pochodnię. Jego miedziana powłoka, już pokrywająca się jasnozieloną patyną, która z czasem miała powlec całą powierzchnię, lśniła w prażącym słońcu. Obszar znajdował się w pasie bardzo wysokich temperatur, tylko odrobinę mniej dotkliwych przy słabej bryzie od strony portu.

To była wyczerpująca podróż dla Tjiske de Jong. Gdy w kwietniu wyprawiła za morze swojego męża Bouche'a, nie wiedziała, że nosi w sobie drugie dziecko. Przybyła do Ameryki prawie w piątym miesiącu ciąży. W upale, jaki tu panował, długa spódnica kleiła jej się do nóg i wystającego brzucha. Na statku Jennie jadła słone
krakersy, opiekowała się kilkuletnim synem Johnem i raz po raz sprawdzała, czy ma przy sobie dwadzieścia pięć dolarów amerykańskich, które przysłał jej mąż i których w żadnym wypadku nie mogła zgubić. Powtarzała nowe imiona, Ben i Jennie, których mieli używać w tym kraju. Nie była przyzwyczajona do takiego płaskiego brzmienia imion; język z trudem układał się do wymówienia niemych głosek. „Ben i Jennie. Ben i Jennie DeYoung".

Jennie i jej synowi oszczędzono stania w tłoku i czekania w kolejce w budynku imigracyjnym na Ellis Island – te trudy musieli znosić pasażerowie trzeciej klasy. Ponieważ Jennie miała bilet drugiej klasy, mogła odbyć badania lekarskie na pokładzie statku. Po zakończeniu formalności

ostrożnie zeszła z Johnem po trapie i znalazła się w mieście pełnym zgiełku i zamętu, drugim największym na świecie.

Posługując się mieszanką niderlandzkiego, niemieckiego i angielskiego w rozmowie z urzędnikami, którzy z wprawą zajmowali się przyjezdnymi, Jennie odebrała bagaże i kupiła bilety kolejowe. Razem z małym Johnem wsiadła do pierwszego z wielu pociągów, które z łoskotem przemierzały północne Stany Zjednoczone, okrążając obszar Wielkich Jezior. Oszołomiona ogromem swojego nowego kraju, nie mogła oderwać wzroku od okna. Po trzech dniach podróży w dusznych wagonach, przez małe i duże miasta rozrzucone wśród bezkresnych wzgórz, lasów i pofałdowanych prerii, Jennie przejechała wszerz zaledwie połowę Ameryki.

Podejmując decyzję o wyjeździe, Jennie i jej mąż pewnie nigdy nie widzieli nawet zdjęć kraju, w którym mieli zamieszkać. W lokalnych holenderskich gazetach zamieszczano jedynie opisy i czasem odręczne ilustracje. Ale sława Ameryki była równa jej rozmiarom i miliony Europejczyków nie mogły się oprzeć krążącym opowieściom. Ziemia za darmo dla osadników! Nieprawdopodobne możliwości! Taka niezależność, że człowiek czuje się jak król.

Trzy miesiące przed wyjazdem za ocean Bouche i jego dwaj przyjaciele dostali propozycje pracy od znajomego Holendra, który osiedlił się w miejscu zwanym Dakota Południowa. Mieli pracować w mleczarni – początek skromny, ale czasu pod dostatkiem, by snuć wielkie plany. Bouche miał ledwie dwadzieścia cztery lata; choć nikłej postury, był dobrym i wytrzymałym robotnikiem.

Gdy Jennie wreszcie stanęła na zapiaszczonym drewnianym peronie dworca w Aberdeen, w Dakocie Południowej, rozglądając się ciekawie po okolicy, która miała się stać jej nowym domem, wypatrywała w gruncie

rzeczy jednej jedynej twarzy. Po chwili dostrzegła Bouche’a... nie, teraz Bena... jego kochaną, poważną twarz i starannie uczesane blond włosy. Objął wzrokiem małego chłopca, zaokrąglony brzuch, spojrzał jej w oczy. I się uśmiechnął.

Miasto wyglądało jak dziki, otwarty teren, jakby powstało niedawno. Na ulicach, w większości nadal nieutwardzonych, bryczki wzbijały tumany kurzu i żłobiły koleiny. Nie było tu wiatraków, kanałów z drzewami wzdłuż brzegów ani wiekowych katedr.

Rodzina DeYoungów była jednak szczęśliwa, że znów jest razem. Jennie pracowicie urządzała ich jednoizbową chatę i szyła ubranka dla mającego się narodzić dziecka. W listopadzie urodziła dziewczynkę, która otrzymała imiona Minka Bernard. W pierwszych dniach jej życia wszyscy siedzieli przy piecu kuchennym, ponieważ temperatura zbliżała się do zera i spadło zatrważająco dużo śniegu. W Wigilię Bożego Narodzenia oziębiło się jeszcze bardziej, a w styczniu 1912 roku w Aberdeen zanotowano najniższą temperaturę w dziejach miasta po dzień dzisiejszy – przeszywające do szpiku kości czterdzieści sześć stopni poniżej zera.

Tę pierwszą ostrą zimę DeYoungowie przeżyli w swojej małej chatce. Następnego roku John umiał już składać słowa i budować zdania. Minka nauczyła się raczkować i gaworzyć, a Jennie stwierdziła, że znów jest w ciąży. Małżonkowie byli przekonani, że sprzyja im opatrzność. Zaczęli oszczędzać pieniądze, po dolarze. Z czasem kupią sobie dom. No i kto wie, ile będą mieć dzieci? Sami pochodzili z dużych rodzin – ojciec Jennie spłodził dziewięcioro dzieci.

Pochłonięci młodzieńczymi marzeniami, jak mogli przewidzieć, co ich spotka?

* * *

Niedziela 29 czerwca 1913 roku

Jennie leżała w łóżku po porodzie i karmiła dziewięciodniową Jane. Minka, która miała już rok i siedem miesięcy, dreptała za swoim bratem Johnem. Ponieważ kurczyły się domowe zapasy, Ben postanowił pojechać do Aberdeen i kupić coś do jedzenia. Możliwe, że mały John – prawie czterolatek – też chciał z nim jechać, ale, koniec końców, cała trójka została w domu z mamą. Minęło kilka godzin. I jeszcze kilka. W chacie zrobiło się ciemno, więc Jennie zapaliła lampę. Dzieci poszły spać. Ben nie wracał.

Żołądek podchodził jej do gardła z niepokoju, ale nie miała kogo wysłać do miasta na poszukiwanie męża. Krążyła tam i z powrotem po izbie, wyglądała przez okno, nie mogła dłużej tego znieść.

Zostawiła dzieci w łóżku i wyszła z domu. W ciemny, ciepły wieczór szła wolno drogą, wciąż obolała po porodzie. Po jakimś czasie usłyszała znajome dźwięki: stukot końskich kopyt, terkot jadącej bryczki. Uniosła lampę, tak żeby słabe światło padało przed nią, i zawołała:

– Bouche? To ty?

To nie Ben wracał do domu. Ben miał już nigdy nie wrócić.

Jego przyjaciele opowiedzieli ze smutkiem, co się stało. Dzień był upalny. Ben załatwił wszystkie sprawy w mieście późnym popołudniem. Słońce stało wysoko i ostro prażyło. Gdy natknął się na kilku holenderskich znajomych, wszyscy się zgodzili, że przy takiej pogodzie nie ma to jak popływać. Udali się bryczkami nad jezioro Minne-Eho, popularne kąpielisko, utworzone przez mieszkańców na dawnych terenach bagiennych. Leżało ledwie milę od domu. Ben chciał się tylko zanurzyć dla ochłody przed kolejnym skwarnym tygodniem pracy w mleczarni.

Nie był dobrym pływakiem. Na środku sztucznego jeziora znajdowała się wysepka, porządnie usypana i kusząca. Koledzy tam popłynęli, a Ben za

nimi. W pewnej chwili stracił rytm i chwyciły go skurcze z prawej i lewej strony pleców.

Zapewne walczył ze wszystkich sił, starając się pokonać przeszywający ból mięśni. Gdy jego głowę przykryła woda, z pewnością pomyślał o swojej młodej żonie i trójce małych dzieci. Koledzy rzucili się ku niemu, wołali go, potem wzywali pomocy.

Gdy do niego dopłynęli, Ben już się utopił, leżał w dole powstałym w miejscu, gdzie stare koryto drogi przecinało mokradła. Koledzy nurkowali raz po raz. Ktoś podpłynął łódką. Minęło pół godziny, nim go znaleziono, ale było już o wiele za późno.

Koledzy przenieśli ciężkie od wody ciało na bryczkę. Udręczeni, wieźli je do domu. Po drodze napotkali dwudziestotrzyletnią kobietę, która jeszcze przez te kilka chwil, gdy była widoczna w świetle lampy, nie wiedziała, że jest wdową.

Przez lata Jennie opowiadała tę historię przyjaciołom, a dzieci słuchały jej w milczeniu. Mówiła, jak jechali gruntowymi drogami na cmentarz, a woźnica tak się spieszył, że drewniana trumna podskakiwała na wozie. Tego afrontu nie mogła ścierpieć do końca życia. W tej trzęsącej się skrzyni leżał jej ukochany, mężczyzna o pełnych ustach i chłopięcym nosie, którego poślubiła, mając zaledwie kilkanaście lat. Ojcu jej dzieci należało się więcej szacunku.

Jennie stała przy grobie, trzymając niemowlę na jednej ręce, a drugą ręką obejmując mocno rączkę córki, która dopiero co nauczyła się chodzić.

– John – powiedziała do syna – *Houd mijn rok vast... en nooit loslaten.* – „Mocno trzymaj mnie za spódnicę... i nie puszczaj”.

Po dwóch latach pobytu w Ameryce, które w większości spędziła w chacie z dziećmi albo w towarzystwie innych imigrantów, Jennie słabo

mówiła po angielsku. Nie miała zawodu. Ale wiedziała, jak prowadzić dom, jak oszczędnie wydawać pieniądze, poza tym potrafiła pracować ciężej od innych. Teraz wyłącznie na jej barkach spoczywała odpowiedzialność za przetrwanie czteroosobowej rodziny, więc musiała jakoś sobie radzić.

W żadnym razie nie zamierzała bez dzieci wyruszać za pracą – to nie podlegało dyskusji. Gdy przyjeżdżali do niej farmerzy poszukujący kobiety do prowadzenia domu, zdecydowanym ruchem wskazywała kąt, gdzie bawiła się starsza dwójka i spało najmłodsze, i ciągle powtarzała po angielsku: „Som moje. Som moje”.

W tej sposób dawała do zrozumienia: gdzie ja, tam i one.

Jennie z wdzięcznością przyjęła pierwszą propozycję, jaką otrzymała. Złożył ją młody farmer, któremu chyba przypadła do gustu wdowa holenderskiego pochodzenia. Mniej podobały mu się dzieci. Johna zaprowadził do stodoły i zostawił na strychu, gdzie przechowywano zapasy siana. Minkę wsadził do kufra i opuścił wieko. Maleńką Jane przysunął tak blisko pieca kuchennego, że mogłaby poparzyć sobie nóżki.

Po kilku tygodniach Jennie zabrała dzieci i się wyprowadziła. Chcąc zapewnić im przetrwanie, nie zamierzała ryzykować ich bezpieczeństwa. W końcu przyszedł im na ratunek starszy wiekiem farmer niemieckiego pochodzenia. Nazywał się Pansegrau. Dzieci nie potrafiły wymówić jego nazwiska.

Mówiły do niego po prostu „wujku”.

* * *

Koniec końców, choć Jennie tak się starała zapewnić przetrwanie sobie i dzieciom i osłonić je przed nieszczęściami, nie zdołała ochronić swojej cichej, spokojnej córki. Minka zawsze była posłuszną dziewczyną, na nic się nie skarżyła. Potrafiła być uparta, o tak, ale nigdy nie dawała Jennie

powodu do zastanawiania się, co z niej wyrośnie. To niezależnego Johna i beztroskiej Jane musiała bacznie pilnować.

Jennie nie pozostało teraz nic innego, jak dołożyć wszelkich starań, by Minka w miarę możności nie odczuła następstw tego, co ją spotkało. Dziecko trafi do innego domu, do prawdziwej rodziny. Minka zasługiwała na to, by mieć dobre życie, nienaznaczone hańbą. Musiała wyjechać, zanim jej szczupła sylwetka zacznie pęcznieć, dając świadectwo jej „stanu". Jennie była o tym przekonana. Honus też. I pastor. Nikt inny nie musiał nic wiedzieć.

Minka pojedzie jak najszybciej na południe. Latem przyszłego roku będzie po wszystkim. I może, ale tylko może, życie ukochanej córki Jennie potoczy się tak, jakby nigdy nic się nie stało.

Rozdział czwarty

W następnych tygodniach Minka zauważyła, że siostra obrzuca ją bacznym spojrzeniem: raz, gdy Minka miała pociągnąć krowę za wymię i przeszył ją ostry ból, i jeszcze kilka razy, gdy zdejmowała przez głowę koszulę nocną.

– Tyjesz – stwierdziła w końcu Jane pewnego niedzielnego poranka, kiedy Minka z trudem zapinała guziki sukienki.

To, co farmerki zasłaniały cały czas, zaznaczała odświętna sukienka. Mince urosły piersi, a figura nabrała krągłych kształtów gwiazdy filmowej. Wzruszeniem ramion przyjęła tę uwagę. Bała się, że gdy zacznie się tłumaczyć, siostra przejrzy ją na wylot.

Kiedy Jane znów to powiedziała przy śniadaniu, Jennie odparła bez wahania:

– Minnie ma siedemnaście lat, nie jest małą dziewczynką.

Mijał tydzień za tygodniem, a Minka ledwie mogła się pohamować, by nie głaskać rosnącego brzucha. Nieustannie miała się na baczności przy Jane, która nie kryła niezadowolenia ze zmian ukradkiem wprowadzonych w domu. Jennie traktowała ją z lekkim zniecierpliwieniem, natomiast łagodniej odnosiła się do jej siostry. Nawet Honus był wobec nich bardziej wyrozumiały niż dawniej. A Minka zachowywała się dziwnie, unikała

siostry, nawet gdy przyszła pora szykować się do snu. W ich życiu zaszły jakieś tajemnicze zmiany, ale Jane oczywiście nie potrafiła sobie wyobrazić skali kłamstwa.

Niedługo po Bożym Narodzeniu Jennie powiedziała Mince, że w następnym tygodniu razem z Honusem zawiezie ją do *tante* Hogerhide, do Iowa. Minka słabo znała ciotkę Honusa, wiedziała jednak, że wkrótce będzie musiała opuścić dom.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, Jane była niezadowolona z tego, że zostaje na farmie. Do pomocy przy dojeniu krów i rozwożeniu mleka przyszli koledzy Honusa, a pani Janssen zobowiązała się codziennie zaglądać do Jane. Dziewczyna miała być sama w domu, jej obowiązki się nie zmieniały – tylko brak siostry bił w oczy. Tego ranka Jane ledwie mruknęła „do widzenia”, gdy szła ciężkim krokiem do obory, śliczna jak zawsze, nawet w sfatygowanych farmerkach.

Powiedziano jej, że Minka jedzie do *tante* Hogerhide, ale przecież to jasne, że środek zimy nie jest odpowiednią porą na składanie wizyt dalekim krewnym. Kto by się włóczył po kraju, ryzykując, że utknie w zamieci? Jane próbowała poznać powody wyjazdu siostry, robiła aluzje i przyglądała się reakcjom. Może *tante* Hogerhide potrzebuje pomocy, może jest chora albo umierająca, a na jej dorosłych synów nie można za bardzo liczyć. W takim razie dlaczego nie powiedziano tego otwarcie?

A może Honus i Jennie rozglądają się za mężem dla córki. Siostry znały kilka dziewcząt niewiele starszych od Minki, które już się zaręczyły.

Stojąc w swojej najlepszej sukience i wełnianym palcie i czekając, aż Honus podjedzie furgonetką, Minka zdawała sobie sprawę, że wygląda jak faworyzowane w rodzinie dziecko, które wybiera się w ekscytującą podróż.

W rzeczywistości była tak zdenerwowana, że zbierało jej się na wymioty.

Gdyby tylko Jane to wiedziała.

* * *

Za zmrożonymi równinami, za majaczącym o poranku horyzontem kryło się nieznane. Minka, która nigdy nie wyjeżdżała dalej niż piętnaście mil od Aberdeen, myślała o tym, co ją czeka, ze strachem, ale i z ciekawością.

Furgonetka kiwała się na zasypanych mokrym śniegiem drogach gruntowych i na utwardzonych jezdniach, zmierzając w stronę przyszłości, która kojarzyła się z puzzlami unoszonymi wiatrem. Choć Minka starała się pamiętać o tym, co zostawiła za sobą – o siostrze, mleczarni, zajęciach, które nadawały stały, przewidywalny rytm każdemu dniowi i tygodniowi – nieznane przybliżało się z godziny na godzinę, a oddalał się swojski dom.

Jedną ręką trzymając się klamki, drugą ręką przytrzymując koc narzucony na palto, Minka siedziała na skrzynce z tyłu turkoczącej furgonetki. Przy nogach miała torbę ze swoimi rzeczami. Nigdy w życiu nigdzie nie jechała z takim bagażem.

Samochód prowadził Honus; patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie i tylko od czasu do czasu zerkał w lusterko wsteczne, po czym na nowo wbijał wzrok w drogę. Na miejscu dla pasażera siedziała wyprostowana i spięta Jennie, z rzadka prowadząc z Honusem krótką rozmowę, której Minka się nie przysłuchiwała.

Nie należała do osób łatwo ulegających emocjom, ale gdy w porze młócki zjeżdżały na farmę wujka wielkie terkoczące maszyny, ich widok przyprawiał ją o zawrót głowy, również wszystkich dorosłych. Wciąż pamiętała, jak pewnego ranka późnym latem weszła na płot, żeby z góry przyglądać się karawanie nadjeżdżających młockarni. Teraz jednak była ogromnie przejęta. Oddychała płytko, czuła pulsowanie w gardle i musiała

rozpiąć palto pod szyją. Sukienka, i tak już poszerzona w talii, opinała się na brzuchu przy każdym głębszym oddechu.

Przecierała ręką zimną szybę, gdy od jej oddechu pokrywała się parą i zasłaniała widoki. Połacie prerii przywodziły jej na myśl opowieści mamy o bezkresie oceanu, który miała przed oczami, płynąc z Holandii do Ameryki. Znajomy widok rozległych pól przywracał Mince spokój.

Ktoś, kto znalazłby się w Dakocie Południowej przejazdem, pewnie by nie dostrzegł różnorodności krajobrazu. Natomiast Minka widziała, jak z każdą milą coś się zmienia: wyrasta wysoko jak stóg siana albo fałduje się niczym chodnik zwinięty pod drzwiami na ganku. Trochę dalej pagórkowaty teren wygładzał się raptem i przez wiele mil ciągnęła się równina.

Tu i ówdzie na prerii powstały farmy, ale o tej porze roku pola uprawne przykrywał śnieg. Rosnące kępami wiązy, wierzby i topole pięły się ku niebu albo niczym wartownicy ochraniały rzeki i strumienie. Miasta, jedne całkiem spore, inne wielkości placówki wojskowej, stanowiły miłe urozmaicenie krajobrazu. Ilekroć furgonetka jechała przez miasto, Minka przyklejała nos do szyby i wstrzymywała oddech, żeby para nie zasłaniała jej widoku ludzi i budynków.

W jednej z miejscowości, gdy Honus jechał wolno, manewrując między przechodniami, autami i furmankami, Minka dostrzegła dziewczynkę uczepioną poły palta matki. Kobieta prowadziła ożywioną rozmowę z rzeźnikiem w poplamionym krwią fartuchu. Dziewczynka spojrzała na furgonetkę i pomachała Mince, a ta jej odmachała.

Swego czasu też była taką dziewczynką, przyglądała się przejeżdżającym ludziom i zastanawiała, czy zmierzają do jakiegoś ciekawego miejsca, które opisywano w radiu i pokazywano w kronice filmowej w kinie, gdzie czarno-białe obrazy wydawały się mieć niewiele

wspólnego z rzeczywistością. Minka wiedziała, że są w tym kraju fascynujące i niebezpieczne miasta, jak na przykład Nowy Jork – Jennie opowiadała jej o swoich pierwszych wrażeniach po dopłynięciu do Ameryki, o mieście tak dużym, że mogłoby wchłonąć całą Holandię – i dzielnice świateł i rozrywki jak Hollywood, gdzie rosną wysokie palmy i jest tak ciepło, że panowie i panie spędzają całe dnie w kostiumach kąpielowych równie skąpych jak bielizna. Te światy były dla Minki na wpół realne, niczym kraina z bajki.

Teraz przenosiła się nawet nie do innego miasta, ale do innego stanu. Dałaby wszystko, żeby znaleźć się w domu, ale wyrok już zapadł. Będzie mogła wrócić dopiero po narodzinach dziecka.

* * *

Po krótkim postoju na lunch i przejechaniu znów wielu mil w zimnie Honus zajechał przed płaski piętrowy dom, oszalowany i pomalowany na biało, z zadbanym gankiem. Znajdowali się w północnej części stanu Iowa, niedaleko Sioux Falls, dokąd Minka miała się ostatecznie udać. Domy stały rzędem, oddzielone przystrzyżonym trawnikiem od chodnika, no i panowała cisza. Okolica w ogóle nie przypominała rodzinnych stron, gdzie obory i spichrze stały wśród pól uprawnych, a zza drogi dolatywał łoskot pociągów
z bocznicy.

Minka rozprostowała zesztywniałe nogi i wysiadła z furgonetki. Było tu cieplej niż w Aberdeen, ale wciąż dobrze poniżej zera. Honus niósł jej bagaż z jakimś niemym współczuciem, które okazywał, odkąd zaczęły się kłopoty.

Gdy wchodzili po schodkach na ganek, już otwierały się drzwi. *Tante* Hogerhide szybko wprowadziła gości do domu, żeby nie stali na zimnie.

– *Welkom, welkom, kom je maar opwarmen bij her vuur* – powiedziała. „Chodźcie się ogrzać przy kominku”.

Położyła rękę na ramieniu Minki, zapraszając ją do środka. Delikatny dotyk trochę podniósł dziewczynę na duchu. Przynajmniej nie zostawią jej tu z despotką.

– *Danke* – wymamrotała Minka.

Oblała się rumieńcem. Mimo uprzejmości ciotki sytuacja była bardzo żenująca.

Podeszła do małego piecyka na węgiel, dyskretnie rozglądając się po pokoju. Zauważyła, że jest tu czysto i schludnie jak w domu, ale inaczej pachnie – nie czuło się wszechobecnego zapachu bydła i dymu z lokomotyw. Trójka dorosłych, usprawiedliwiając się cicho jak na pogrzebie, zostawiła Minkę samą i poszła na górę, gdzie Honus zaniósł torbę Minki do wskazanego przez ciotkę pokoju i gdzie omówiono półgłosem plany wobec dziewczyny.

Honus i Jennie spędzili niecałą godzinę u ciotki Hogerhide. Wzywały ich obowiązki w mleczarni i chcieli wrócić do domu przed wieczornym dojeniem krów. Minkę ściskało coś za gardło, niemal dławiło. Jak małe dziecko pragnęła objąć mamę za nogi i błagać, żeby ją zabrała.

W ciągu całego dotychczasowego życia rozstała się z mamą tylko raz. Miała wtedy około jedenastu lat i właśnie wycięto jej migdałki. Jennie nie mogła opuścić gospodarstwa wujka, więc Minkę zostawiono na tydzień u pewnych państwa w Aberdeen, żeby była blisko lekarza. Choć nie wróciła jeszcze w pełni do zdrowia, oczekiwano, że przez ten czas będzie się zajmowała gromadką małych dzieci. Okrutnie wtedy tęskniła za domem i gdy wróciła na farmę, do Jennie, nogi się pod nią uginały ze szczęścia.

A teraz miała być dużo dalej od domu, przez kilka miesięcy. I czekały ją straszniejsze przeżycia.

Minka odprowadziła mamę i ojczyma przed dom.

– Bende pisała... postaram sie... co dzień – obiecała Jennie.

Wzięła Minkę w objęcia i tuliła do siebie dłuższą chwilę, jakby i ona nie chciała się rozstawać. Potem opuściła ręce. Stały naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy, z których biła wspólna im obu wewnętrzna siła. W tym momencie Jennie przypomniała sobie, jak przed laty stała zupełnie sama w obliczu przytłaczających trudności. Nie było w jej mocy uwolnić córkę od tego ciężaru, choć pragnęła tego całym sercem.

Minka mniej więcej wiedziała, co się ma wydarzyć. Następne tygodnie spędzi u *tante* Hogerhide i jej dorosłego syna Billa. Jej brzuch będzie coraz większy. Wciąż nie mogła się nadziwić, że rośnie w niej życie. Będzie miała dziecko, a potem nie będzie go miała. Z czasem wróci furgonetką do mleczarni, do Jane, zacznie znów doić krowy i pracować w rzeźni.

Będzie tak jak dawniej. Czy to w ogóle możliwe?

Minka patrzyła, jak mama i Honus wsiadają do furgonetki, nie oglądając się za siebie. Okna były zaparowane, ale wydawało jej się, że mama ociera policzki.

Obejmując rękami lekko wystający brzuch, Minka stała jak wrośnięta w ziemię, dopóki furgonetka nie zniknęła na końcu ulicy. Dopiero wtedy odwróciła się, bez słowa skargi, bez ani jednej łzy. Nie pobiegła za furgonetką, choć rwały się i serce, i nogi. Zamknąwszy za sobą drzwi, nie wiedziała, czym się zająć.

W domu każdy dzień był zaplanowany, prawie każda chwila wypełniona pracą. Widząc, że dziewczyna stoi skrępowana na progu pokoju, ciotka zaproponowała jej, by usiadła. Minka położyła mocno splecione dłonie na kolanach. Żałowała, że nie ma tu rozgadanej Jane. Uważała, że jej siostra, gdyby tylko chciała, zdołałaby nakłonić

przymierającego głodem człowieka do podzielenia się ostatnim kawałkiem chleba. Jane już by się postarała, żeby nie zapadła tu krępująca cisza.

Pierwszego wieczoru ciotka nie pozwoliła Mince pomagać przy kolacji. Usiedli w jadalni w trójkę, razem z Billem, gdy wrócił do domu i wstawił samochód do garażu. Minka starała się opanować zdenerwowanie, które odczuwała w obecności ciotki i jej syna, zwłaszcza jego. Złapała się na tym, że prostuje plecy, ale zaraz się spostrzegła i zasłoniła brzuch. Oblała się rumieńcem, gdy Bill chyba to zauważył.

– Myślę, że ci się tu spodoba. Nie ma porównania do Minneapolis czy Chicago, ale jest o niebo lepiej niż w Aberdeen – powiedział, mrugając żartobliwie.

– Aberdeen to też miłe miasto – wtrąciła ciotka, karcąc syna wzrokiem. – Dakota Południowa jest... całkiem przyjemna. Majom tam jeziora i te Black Hills...

– Zgadza się – odrzekł Bill – ale czy mają prezydenta elekta?

Tante pokiwała głową, przyznając mu rację.

– Rzeczywiście, nie majom. Mimo to jest tam przyjemnie.

Republikanin Herbert Hoover, który zeszłej jesieni dał łupnia swojemu rywalowi wyznania rzymskokatolickiego, szykował się do objęcia urzędu w marcu. Urodził się we wschodniej części stanu Iowa i choć wyjechał stamtąd bardzo dawno temu, dumni mieszkańcy stanu uznawali go za ziomka.

Minka uśmiechnęła się, widząc, jak ciotka próbuje bronić Aberdeen, i zorientowała się, że po raz pierwszy dorośli włączają ją do rozmowy i mówią do niej jak do równej sobie.

Szybko zjadła kolację. Posiłek, jak wszystko w tym domu, był przyjemny, ale inny, co sprawiało, że Minka czuła się niepewnie. Ciotka nie pozwoliła jej posprzątać po jedzeniu.

– Na pewno jesteś zmenczona, *ja*? Odpocznij sobie.

Bill zaproponował, żeby razem z nim posłuchała radia, ale grzecznie odmówiła i poszła do swojej sypialni na górze, żeby pobyć w ciszy i spokoju. Dzięki żeliwnemu urządzeniu, które ciotka nazywała kaloryferem, w pokoju nie czuło się zimna. Minka powoli rozpakowała swoje rzeczy, kilka razy złożyła pościel i ręczniki i schowała do pustej drewnianej komody. Jeszcze nigdy nie miała pokoju tylko dla siebie.

Gdy się ściemniło, stanęła przy oknie z lampą w ręce i patrzyła, jak pada śnieg. Wspaniałe poczucie prywatności zniknęło, a pojawiły się samotność i opuszczenie. Minka przebrała się w luźną koszulę nocną i położyła w zimnej pościeli. Była pewna, że nie zaśnie, gdy tyle myśli kłębi jej się w głowie i brak jej ciepła leżącej obok Jane. Jej życie naprawdę się zmieniło – bezpowrotnie. Aż
strach.

Przebudziła się, mając wrażenie, że coś jest nie tak. I wtedy przypomniało jej się, gdzie jest. Usłyszała kroki pod drzwiami, chwilę później ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju.

Spała niespokojnie, często się budziła, całkowicie przytomna, i wpatrywała się w nieprzeniknioną ciemność. Cisza na przedmieściu, niezakłócona odgłosami zwierząt i pociągów, wprawiała ją w niepokój.

Na długo zanim zimowy świt rozjaśnił horyzont, Minka usiadła na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Jane na pewno się obudziła, wkłada farmerki, idzie do obory. Jak jej siostra pierwszy raz przespała tę noc sama?

Minął dzień, potem tydzień i miesiąc, a Minka rozmyślała o swojej siostrze każdego ranka. Nie było nocy, żeby nie brakowało jej obecności Jane po drugiej stronie łóżka, ani ranka, żeby w myślach nie szła z nią doić krów. Domyślała się, że siostrze jest jeszcze ciężej. Zawsze ciężej jest tym, którzy są porzuceni.

Choć Minka tęskniła za domem, ku własnemu zdumieniu przystosowała się bez trudu do nowego życia. Mdłości minęły. Pozbawiona opieki rodziny, jednak się nie załamała. Pod względem fizycznym była silna jak zawsze i chętnie wykonywała domowe czynności, na które pozwalała jej ciotka. Starsza pani zachwycała się, że w domu panuje taka czystość, gdy jest w nim dziewczyna, a nie tylko chłopcy.

Tante Hogerhide była równie żwawa jak Honus, ale mniej sztywna. Nie brała Minki w objęcia, nie wciągała w szczere rozmowy, nie napomykała o ciąży – obchodziła ten temat, mówiąc „do twojego wyjazdu” albo „kiedy będzie zbliżał się termin”. Jej życzliwość odczuwało się jednak w ciepłych słowach i dobroci serca, co Minka przyjmowała z wdzięcznością. Dostała od niej nawet wykrój i materiał na sukienkę, którą można było poszerzać w talii.

Zdarzało się, że ciotka kazała jej odpoczywać. Ponieważ nadmiar wolnego czasu potęgował samotność, Minka pisała listy. Adresowała je do Jennie, ale wiedząc, że Jane będzie chciała sama wszystko przeczytać, nie wspominała o ciąży.

Przyszedł marzec, a wraz z nim odwilż. Gdy ciotka zabierała Minkę do kościoła w niedzielę i do gwarnych sklepów w mieście, wzrok Minki przyciągały kobiety z dziećmi w ozdobionych falbankami wózkach. Była zadowolona, że obszerne wełniane palto maskuje wydatny już brzuch, ale czasem jakiś przechodzień spoglądał na nią przeciągle i jej twarz płonęła, jakby na dowód przyznania się do winy.

Zdarzało się oczywiście, że dziewczyny w jej wieku były mężatkami, poza tym gapie nie orientowali się, że Minka jest panną – właśnie to było przecież powodem przyjazdu do tego obcego miasta – niemniej na samą myśl, że jakiś przechodzień wie o jej odmiennym stanie, chciała zaszyć się w domu.

Pewnego słonecznego dnia ciotka namówiła Minkę, żeby poszły zobaczyć pomnik ku czci sierżanta Floyda, imponujący obelisk z piaskowca, wysoki na sto stóp, wzniesiony nad rzeką Missouri dla upamiętnienia członka ekspedycji Lewisa i Clarka, zmarłego podczas wyprawy. Wiele lat później, w roku 1960, obelisk został wpisany jako pierwszy do rejestru Pomników Historii Narodowej.

Tante Hogerhide nie traktowała Minki jak dziecka. Szczerze dzieliła się z nią własnymi troskami, żaliła się, że jej syn pije. Choć w kraju wprowadzono prohibicję, alkohol można było kupić dość łatwo, zwłaszcza w stanie Iowa, słynącym z uprawy kukurydzy. Bywały dni, że Bill wjeżdżał samochodem do garażu późnym wieczorem i wtedy Minka słyszała cichy głos ciotki: „Och, Bill, Bill”, gdy prowadziła syna do jego pokoju.

Kiedy Minka była sama, bez skrępowania dotykała brzucha i krzywiła się zdumiona i zarazem zaniepokojona, czując ruchy dziecka i mocne kopnięcia. Jak bardzo jej ciało może się jeszcze powiększyć?

* * *

Tymczasem w Aberdeen pastor Kraushaar spełnił obietnicę i napisał do ośrodka w Sioux Falls, gdzie mogły uzyskać pomoc niezamężne młode damy w odmiennym stanie. Rychło otrzymał niecierpliwie oczekiwany list.

5 kwietnia 1929

Wielebny Pastorze!

W odpowiedzi na list Pastora dotyczący jego parafianki, której potrzebna jest pomoc, jaką oferuje nasz ośrodek, informujemy, co następuje. [...] Miesięczny koszt pobytu u nas wynosi 25 dolarów od osoby. Do tego należy dodać 50 dolarów za przyjęcie porodu. W tym czasie kobieta przebywa pod doskonałą opieką

w jednym z miejscowych szpitali, z którymi zawarliśmy umowę na specjalnych warunkach.

Matka wraca do nas z dzieckiem i pozostaje w ośrodku przez miesiąc, wtedy to zapadają ostateczne decyzje dotyczące dziecka.

Od przybywającej do nas kobiety wymagamy przedstawienia świadectwa lekarskiego, w którym stwierdza się, iż nie choruje wenerycznie, albowiem nie jesteśmy przygotowani do opieki nad osobami chorymi i musimy chronić osoby zdrowe, które u nas mieszkają. [...]

Mamy tu również stowarzyszenie, które zajmuje się poszukiwaniem dobrych chrześcijańskich domów dla dzieci. [...] Matki wyznania luterańskiego mogą być spokojne, że ich dzieci trafią do luterańskich rodzin. [...]

Bardzo chętnie będziemy współpracować z Pastorem dla dobra jego parafianki.

Oczekując na odpowiedź, pozostaję z szacunkiem

Bertha Bragstad

Luterański Dom Miłosierdzia

Sto pięćdziesiąt mil na wschód od domu *tante* Hogerhide kobieta mająca synów marzyła o córce. Przed dziewięcioma laty Olava Nordsletten i jej mąż adoptowali chłopca, zaledwie kilka tygodni po śmierci ich nowo narodzonego dziecka. Kobieta wzięła na ręce zaadoptowanego syna tak szybko po porodzie, że mogła go karmić piersią, co dawało ukojenie im obojgu. W następnych latach dwukrotnie zaszła w ciążę i szczęśliwie urodziła zdrowych chłopców.

Gdy trzech synów podrosło i zaczęło odkrywać otaczający ich świat, wyobraźnia Olavy podsunęła jej obrazy sukieneczek z falbankami, fartuszków dobranych pod kolor i małej dziewczynki, która śpi na jej kolanach. Kobieta znów pomyślała o adopcji i powiedziała do męża:

– Chcę mieć córkę.

Rozdział piąty

„Pan dał, Pan wziął”*.

Te refleksyjne słowa nie opuszczały pastora Kraushaara od chwili, gdy obudził się u boku żony w niedzielny kwietniowy poranek, choć tekst z Księgi Hioba nie miał być tematem rozważań na ten dzień. Kalendarz czytań liturgicznych w nadchodzącym tygodniu przewidywał radośniejsze wersety. Stateczne słowa z Pisma Świętego towarzyszyły pastorowi w drodze do kościoła.

Być może przyszły mu na myśl pod wpływem niedawnej Wielkanocy, upamiętniającej zmienne życie Jezusa, który był dany ludzkości w darze, następnie jej odebrany na skutek działań człowieka, po czym ponownie jej dany poprzez zmartwychwstanie i na koniec znów odebrany poprzez wniebowstąpienie. W pierwszą niedzielę po Wielkanocy rozpoczynały się przygotowania do uroczystości Zesłania Ducha Świętego, kolejnego daru Boga dla Jego ludu.

Ubrany w szaty liturgiczne pastor Kraushaar stał teraz przed parafianami, których znał jak swoją rodzinę, i wpatrywał się w ich twarze. Nauczał zgodnie z porami roku, wedle których żyli i pracowali tutejsi imigranci i farmerzy, udzielał wsparcia i wskazówek, gdy przychodziły smutne czasy: wojna światowa, grypa hiszpańska, susze i pożary. Był

z nimi w najważniejszych chwilach ich życia: podczas ślubów i pogrzebów, narodzin i chrztów. Oddana mu trzódka nie zrażała się przeciwnościami losu; jego cotygodniowe nauki i udzielane na osobności porady przynosiły im ulgę w kłopotach, choćby niewielką. Bywało jednak, że zgryzoty i straty kogoś bliskiego nie sposób było wyjaśnić racjonalnie.

Tak oto słowa z Księgi Hioba wyrażały myśl bliską tutejszej wspólnocie borykającej się z trudami życia. Pamiętanie o tym, że „Pan dał, Pan wziął”, oznaczało, że pamięta się o boskiej dobroci. Pomagało również pastorowi zawierzyć woli Bożej, pokładać ufność w suwerenne, czasem tajemnicze zrządzenia opatrzności.

Gdy czytał przy pulpicie wyznaczone wersety Pisma Świętego, zatrzymał przez chwilę wzrok na Jennie Vander Zee. Obok niej z jednej strony siedział mąż, z drugiej – młodsza córka Jane. Ta ostatnia wyglądała tak, jakby go nie słuchała. Jej oczy ślizgały się po ludziach, choć głowa kierowała się do przodu, z szacunkiem.

Od tamtego dnia gdy Jennie opowiedziała mu o kłopotach Minki, wyraźnie się postarzała, choć jeszcze nie skończyła czterdziestu lat. Pastor miał nadzieję, że wiadomość, którą przekaże dzisiaj małżonkom, podniesie ich na duchu i powzięty plan okaże się najlepszym rozwiązaniem dla ich starszej córki.

Niedługo potem skończył kazanie. Nauczał i prowadził tę wspólnotę i ten kościół od 9 sierpnia 1908 roku. Teraz, dwadzieścia lat później, jego posługa w Dakocie Południowej dobiegała końca.

Pan dał, Pan wziął.

Bóg wytyczył przed nim i jego rodziną nową drogę, czyniąc go rektorem Kolegium Luterańskiego w Seguin, w Teksasie. Pastor był zaszczycony tą propozycją i cieszył się na myśl o czekających go wyzwaniach. Niestety, oznaczało to, że będzie musiał opuścić zbór,

któremu służył tak długo. Po tylu latach nabrał pewności, że wyczuwa miłość Pana Boga do swojej trzódki.

Wyglądało na to, że wokół niego nastała pora zabierania – tak pomyślał, gdy jego wzrok znów padł na rodzinę Vander Zee. Czuł na sobie ciężar powinności, jaką było niesienie pomocy tej młodej dziewczynie i jej rodzinie. Niewątpliwie miał w Aberdeen jeszcze trochę do zrobienia.

Znał Jennie Vander Zee od dawna, jeszcze jako Jennie DeYoung, gdy była wdową z trójką małych dzieci, mieszkała i pracowała jako gospodyni u podstarzałego Gusa Pansegraua. Pastor Kraushaar w gruncie rzeczy prowadził wówczas działalność wędrownego kaznodziei, no i był taki młody! Potem, podczas wojny, służył jako kapelan i zyskał wiedzę pochodzącą nie ze studiowania ksiąg w seminarium, lecz z dźwigania wraz z całą ludzkością najcięższych brzemion.

Pismo Święte nakazywało duchownym roztaczać opiekę nad wdowami i sierotami. Jennie, młoda wdowa, dobrze sobie poradziła w porównaniu z innymi w takim samym położeniu. Pastora pokrzepiała myśl, że rodzina znalazła schronienie na farmie wujka na tak długi czas.

Jennie wychowywała dzieci twardą ręką, ale z miłością. Jej sytuacja jeszcze się poprawiła po ślubie z Honusem Vander Zee. Pastora cieszył widok dwóch pobożnych osób – z jego dwóch zborów – które żyły w tak miłym dla oka związku. Nowa rodzina rozkwitła po kupieniu mleczarni. Prowadziła ją należycie, tylko pierworodny syn John przeciwstawił się zmianom i wolał życie wojskowego niż mleczarza. John, wychowany bez ojca, był silnym, wysokim młodzieńcem. Tacy, jak się przekonał pastor Kraushaar, często nadawali się do służby w armii.

Szkoda tylko, że siostry Johna nie mogły dalej się uczyć, przynajmniej w szkole średniej. Pastor przykładał wielką wagę do kształcenia. Ale przez dwadzieścia lat zdążył dobrze poznać swój zbór. Przyszły ciężkie czasy;

w rodzinach imigrantów pracowali wszyscy. Dla większości wykształcenie było luksusem.

Pan Bóg okazał się łaskaw dla Jennie DeYoung i jej dzieci. Wystarczyło pomyśleć o tragediach ludzi, którzy stracili synów na wojnie albo farmy w okresach suszy. Ta rodzina mogła się czuć bezpieczna, trzymała się razem i rozwijała nowy interes. Ona i mleczarnia były integralną częścią Aberdeen. Ale wśród członków wspólnoty brakowało tego dnia drugiej córki Jennie.

„Pan dał, Pan wziął”. Kiedy znów przypomniał mu się ten werset, pojawiło się pytanie, które najczęściej zadawano mu jako kapłanowi i które najbardziej dręczyło człowieka przez całe życie: Dlaczego?

Pastor Kraushaar wiedział, że odpowiedź na to pytanie zazwyczaj przychodzi po długim czasie.

* * *

Po udzieleniu komunii i zakończeniu nabożeństwa pastor stanął przy drzwiach kościoła, żeby pożegnać się ze wspólnotą. Widział zbliżającą się wolnym krokiem rodzinę Vander Zee, Jennie i Jane rozmawiały ze znajomymi kobietami i ich córkami. Gdy podszedł do niego Honus, pastor pochylił się ku niemu, ściskając mu rękę.

– Chciałbym porozmawiać z panem i pana żoną w mojej kancelarii.

Honus skinął głową. Napotkał spojrzenie Jennie i kiwnął na nią. Przerwała ożywioną rozmowę. Jane została wśród znajomych, ale popatrzyła na matkę i ojczyma spod zmarszczonych brwi.

– Dostałem list z ośrodka, o którym państwu mówiłem – zaczął pastor, zamknąwszy drzwi biura.

Mówił płynnie po niemiecku, ale zauważył, że wierni wolą rozmawiać z nim po angielsku. Może tak wypadało.

– W Sioux Falls?

– Tak, w Luterańskim Domu Miłosierdzia. – Podał Jennie kartkę papieru. – Dostałem ten list. Od dawna znam przełożoną ośrodka i wiem, że Minnie będzie tam pod dobrą opiekę, jeśli oboje wyrazicie zgodę.

Patrzył, jak Jennie przebiega wzrokiem list, ściskając kartkę i marszcząc czoło z zatroskania. Gdy zobaczył jej skrzywioną minę, domyślił się, że przeczytała fragment na temat kosztów albo badania na chorobę weneryczną – krępująca sprawa, ale ze zrozumiałych względów świadectwo było konieczne. Potem dotknęła kartki w pewnym miejscu i podsunęła ją Honusowi, zerkając na niego z ukosa. Najprawdopodobniej pokazała mu cenę pobytu Minki i opieki lekarskiej.

– Zapłacimy – rzekł bez wahania Honus.

Koszty, pięćdziesiąt dolarów oraz opłata za mieszkanie i wyżywienie, były wysokie – zwłaszcza dla skromnie żyjącej holenderskiej rodziny, która skrupulatnie liczyła każdego centa – zważywszy, że bochenek chleba kosztował od ośmiu do dziesięciu centów, a sztukę bydła można było sprzedać za pięćdziesiąt dziewięć dolarów.

Nikt z nich nie mógł się spodziewać, że jeszcze w tym roku nastąpi krach na giełdzie i nadejdzie Wielki Kryzys. W ciągu zaledwie pięciu lat cena bydła spadnie do siedemnastu dolarów i pięćdziesięciu centów za sztukę.

– *Dit is het beste* – powiedział Honus do Jennie. „Tak będzie najlepiej”.

Kiwnęła głową i opuściła ręce na kolana; na jej twarzy widać było ulgę, ale również coś jeszcze – grymas smutku, a może wstydu, rysujący się od pół roku.

– Wróci do domu po dziecku – oświadczyła.

Jennie nie chciała, żeby po porodzie dziecko zostało przy Mince – to by pogorszyło sytuację. Pastor rozumiał obawy matki: znała córkę lepiej od

innych. Minka przywodziła mu na myśl jego własne trzy córki, żyjące pod kloszem i mogące łatwo paść ofiarami nikczemności. Jak widać, zło tego świata żeruje na niewinnych.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby Minnie szybko trafiła do tego ośrodka – powiedział pastor.

Gdy małżonkowie opuścili kancelarię, duchowny wyjął z szuflady dwa arkusze papieru listowego. Choć była niedziela i rodzina czekała na niego z obiadem, nie mógł zwlekać. Czas naglił. Najpierw napisał kilka słów do Minki.

Potem do panny Bragstad z Luterańskiego Domu Miłosierdzia.

Szanowna Pani!

[...] dziewczyna, o której Pani pisałem, to Minnie DeYoung, zamieszkała obecnie przy E. Ave. 3315 w Sioux City, w Iowa. Jej przypadek jest szczególny, albowiem rodzice nalegają, żeby możliwie jak najszybciej dziecko zostało oddane do adopcji i Minnie wróciła do domu.

W tej rodzinie są jeszcze inne dzieci, przede wszystkim młodsza siostra, której rodzice nie chcą informować o stanie Minnie. Ponadto powrót Minnie do dawnego życia byłby praktycznie niemożliwy, gdyby przyjechała tu z dzieckiem.

Jestem całkowicie przekonany o niewinności tej dziewczyny. Padła ofiarą niecnej napaści. [...] Jej matka uważa, że dziecko należy odebrać Minnie zaraz po porodzie i wyprawić ją do domu po około trzech tygodniach. Ale czy zdoła Pani zaopiekować się niemowlęciem, dopóki nie zostanie zaadoptowane?

Staram się zrobić dla Minnie tyle, ile zrobiłbym dla własnej córki. [...] Dziękuję za życzliwość okazaną tej nieszczęsnej dziewczynie.

Z poważaniem

pastor Kraushaar

* * *

– Wygląda na to, że za kilka tygodni przybędzie do nas nowa rezydentka – powiedziała Bertha Bragstad do swojej pomocnicy Julii Questad. Gdy panie omawiały plan pracy w następnym tygodniu, wzrok panny Bragstad prześlizgnął się po liście, który pisała w odpowiedzi pastorowi Kraushaarowi. – Nazywa się Minnie DeYoung.

– Jaki jest termin porodu? – zapytała panna Questad, notując nazwisko.

– Koniec maja. Wcześniej będę musiała jednak wyjaśnić, że zgodnie z zasadami, jakimi kieruje się nasz ośrodek, matka musi zostać u nas przez miesiąc po rozwiązaniu. Rodzina chce, żeby od razu wróciła do domu, ale wierzę, że to zrozumie. Ta młoda kobieta ma doskonałe rekomendacje od swojego duszpasterza. Jego zdaniem nie ponosi winy za to, co się stało.

– Trudno to pojąć – odparła panna Questad.

Przełożona dostrzegła jej uniesione brwi i zatrzymała spojrzenie na swojej współpracownicy.

– W wypadku tej kobiety ja również wierzę w jej niewinność – rzekła.

– Tak, oczywiście. – Panna Questad wyprostowała się i z jej twarzy zniknął wyraz powątpiewania.

Lekko wzdychając, panna Bragstad wstała od biurka.

– Przyjmij to nie jako naganę, lecz przypomnienie. Od kiedy zaczęłaś tu pracować, słyszałaś najrozmaitsze zapewnienia o niewinności. Czasem prawdziwe, zazwyczaj nieprawdziwe. Niezależnie od tego, jaka jest jej historia, mamy obowiązek traktować każdą z tych młodych kobiet bez uprzedzeń i otaczać możliwie najlepszą opieką. Uwierz mi, mają przed sobą trudną drogę, te niewinne i te, co zawiniły.

– Przepraszam. – Panna Questad poruszyła się niespokojnie na krześle i spuściła wzrok na otwarty na kolanach zeszyt.

Idąc w stronę drzwi, panna Bragstad uspokajającym gestem ścisnęła współpracownicę za ramię.

– Nie ma co przepraszać. Zacznijmy obchód.

Młoda kobieta trochę się odsunęła wciąż nieco zmieszana. Panna Bragstad wiedziała jednak, że reakcja jest chwilowa. Przypominanie o tych sprawach przydawało się wszystkim pracownicom, jej też. Pan Bóg nakazał im okazywać życzliwość i współczucie, gdy je wezwał do Domu Miłosierdzia.

Bez względu na to, co sprawiło, że te samotne matki tu trafiły, panna Bragstad pragnęła, aby wyjeżdżały stąd z rozbudzoną na nowo nadzieją, iż wrócą do świata jako osoby z charakterem i poczuciem godności.

Panie poszły długim korytarzem, po drodze rozmawiając o bieżących sprawach: konieczności naprawy poręczy na klatce schodowej, znalezieniu odpowiedniego zastępstwa za kucharkę, która jedzie odwiedzić rodzinę, kontroli dokonanych ostatnio adopcji, wprowadzeniu zmian w coraz bardziej napiętym budżecie. Gdy minęły salon i główne schody, z kuchni doleciał je brzęk zmywanych naczyń i odgłosy przygotowań do następnego posiłku.

W ośrodku mieszkało teraz kilka kobiet, trzy z nich miały niedługo rodzić. Jedna z dziewcząt przygotowywała się do wyjazdu razem z dzieckiem, niezachwianie wierząc, że ojciec dziecka przyjmie ją, gdy tylko zobaczy nowo narodzonego syna.

– Kiedy wyjeżdża panna Sheldon? – zapytała panna Bragstad, zanim poszła schodami na górę, by ponownie porozmawiać z tą ufną młodą matką.

– W przyszłą niedzielę. Dopilnuję, by jej pokój przygotowano dla nowej rezydentki.

– Doskonale.

Panna Bragstad rozkoszowała się właśnie takimi chwilami, gdy ośrodek i biuro funkcjonowały należycie. Stworzyła sprawny system przyjmowania kobiet, prowadzenia domu i kuchni oraz pośredniczenia między rodzicami adopcyjnymi, władzami stanu Dakota Południowa i rodzicami biologicznymi.

Całe osiem lat, od roku 1921, pracowała na stanowisku przełożonej Luterańskiego Domu Miłosierdzia. Mając już czterdzieści trzy lata, pogodziła się z myślą, że zostanie starą panną. Życie nie uchroniło jej przed rozczarowaniami, ale na obecnym stanowisku – które napawało dumą – spisywała się znakomicie i budziła szacunek.

Doświadczenie bolesnej straty w dziecinnych latach przygotowało ją do tego, by prowadzić Dom Miłosierdzia, gdzie starała się wynagrodzić upokorzenie, jakiego zaznały przybywające tu dziewczęta, pełnym empatii traktowaniem, które pomoże im rozpocząć nowe życie. Jeśli osierocona dziewczynka, jak ona, mogła zostać przełożoną takiego szacownego ośrodka, to te kobiety też mogą wejść na ścieżkę prowadzącą ku czemuś lepszemu.

Granica między jej życiem prywatnym a zawodowym była nikła. Gdy zaszła potrzeba, panna Bragstad podejmowała się każdej roli bez słowa skargi. Miała swoje pokoje na parterze i była na wezwanie całą dobę. Często budzono ją w środku nocy. W nagłych wypadkach zastępowała pielęgniarkę, a nawet tymczasowo lekarza. Mówiła kobietom, jakie mają możliwości wyboru, słuchała ich planów, pozwalała się wypłakać na ramieniu, a gdy łamały zasady, stanowczo je upominała.

Przez pełne dwadzieścia osiem lat pracy Bertha Bragstad gładko wchodziła w rolę matki i babki setek małoletnich matek i dzieci, z którymi wracały ze szpitala do Domu Miłosierdzia. Ale nie wyszła za mąż i nie miała dzieci.

– Zamiast pokoju panny Sheldon dajmy nowej rezydentce pokój różany – przystając na schodach, odezwała się nagle panna Bragstad, przypomniawszy sobie list pastora.

– Oczywiście. – Panna Questad była wyraźnie zaskoczona, ale zanotowała polecenie.

Pokój różany był ulubionym pokojem panny Bragstad, mieścił się na piętrze i wpadało do niego najwięcej światła o tej porze roku. Rekomendacja pastora Kraushaara coś mówiła. Skoro on traktuje tę dziewczynę jak własną córkę, ona też będzie ją tak traktować.

Dość już przeszła, ale najgorsze jeszcze przed nią – panna Bragstad wiedziała to aż nazbyt dobrze.

---

* Biblia Warszawska, Księga Joba 1, 21.

Rozdział szósty

Gdy zgasł silnik furgonetki, Minka nadal siedziała z tyłu. Patrzyła przez okno na okazały budynek, w którym spędzi najbliższe dwa miesiące. Jennie otworzyła tylne drzwi i kiwnęła na nią ręką.

– Chodź, Minnie.

Trzymając się framugi drzwi dla równowagi, Minka wysiadła z samochodu. Honus wyjął torbę z jej rzeczami. Dziewczyna splotła ręce na zaokrąglonym brzuchu i uniosła głowę, obejmując wzrokiem piękną białą piętrową budowlę usadowioną na szczycie ocienionego drzewami wzgórza. Dom ciepło powitał ją czystym dziedzińcem, szerokim gankiem z widokiem na intensywnie zielony trawnik, kolorowymi kwiatami, które wystawały przez płot ogrodu za domem. Pąki na drzewach niedawno się rozwinęły niczym tysiące zielonych motyli wychodzących z zimowych kokonów. W normalnej sytuacji Minka zachwyciłaby się takim cudnym widokiem.

Tyle że już od miesięcy nie była w normalnej sytuacji.

Honus i Jennie zabrali ją od *tante* Hogerhide i zawieźli do Luterańskiego Domu Miłosierdzia; podczas podróży z Iowa do Sioux Falls w Dakocie Południowej denerwowała się, widząc, jak upływa czas.

W ostatnich tygodniach podtrzymywała ją na duchu myśl o tym, że zobaczy mamę, a teraz okazało się, że będą razem zaledwie kilka godzin.

Na dodatek kalendarz pokazywał, że zbliża się wielkie nieznane, jakim było urodzenie dziecka.

Minka ledwie podziękowała ciotce, ledwie się z nią pożegnała. Ciotka z kolei rozstawała się z nią ze smutkiem, mocno trzymała ją za ramiona, zapraszając do ponownych odwiedzin.

Gdy już wsiedli do samochodu, Mince rozwiązał się język, tak była spragniona wiadomości. W listach, które matka i córka pisały do siebie, wiele rzeczy zostało przemilczanych.

– Co słychać u Jane? Czym się zajmuje? Czy pyta o mnie?

Minka zasypała Jennie pytaniami, wychylając się przez okno do szoferki. Po przejechaniu kilku mil wiedziała już, co nowego w mleczarni, jak się miewają Janssenowie i inne holenderskie rodziny, nawet pies Honusa. Interesowało ją wszystko, choćby błahostki, na temat Aberdeen.

Natomiast Jennie i Honus wcale nie stali się rozmowniejsi podczas kilkumiesięcznej nieobecności Minki. Zawieszanie głosu i chwile milczenia między pytaniami uprzytomniły jej, że w oczach mamy i ojczyma wciąż jest dzieckiem, a dzieci nie odzywają się niepytane. Jennie wspomniała jednak o dwojgu członkach ich wspólnoty, którzy niedawno się pobrali, a potem zakomunikowała wstrząsającą wiadomość, że pastor Kraushaar będzie piastował stanowisko rektora kolegium w odległym Teksasie. Minka uznała, że pomyśli o tym później. Teraz zmagała się z natłokiem wrażeń.

Była zawiedziona skąpymi odpowiedziami na swoje pytania. Jennie zachowywała się tak, jakby nie mogła się doczekać, kiedy dojadą na miejsce. Dwa razy przypomniała Mince, że ma okazać wdzięczność za to, że została przyjęta do Domu Miłosierdzia. Dziewczyna z westchnieniem

cofnęła się w głąb samochodu i znalazła sobie wygodną pozycję do dalszej jazdy.

Był piękny wiosenny dzień. Minka miała na sobie bawełnianą sukienkę, luźną i nieforemną, jedyną, jaka na nią teraz pasowała. Jechali wzdłuż krętej Big Sioux River, wezbranej po niedawnych deszczach. Po miesiącach chłodu ciepłe promienie słońca i świeży zapach w powietrzu, które wpadały przez okna szoferki, przyprawiały Minkę o zawroty głowy.

Po pewnym czasie wróciła myślami do rzeczywistości i jej żołądek zawiązał się w węzeł. Pobyt na wygnaniu zbliżał się do końca, ale przedtem musiała przystosować się po raz kolejny do zupełnie nowego miejsca. Tyle że teraz miała mieszkać nie u krewnych, ale z innymi zhańbionymi dziewczynami. Tu miała czekać na narodziny dziecka... a potem? Podejrzewała, że jeszcze nie o wszystkim jej powiedziano.

Trapiło ją, czy nie będzie musiała zarabiać na swoje utrzymanie, czy prowadzące Dom Miłosierdzia nie będą kazały jej sprzątać albo załatwiać różnych spraw w mieście. Choć wciąż miała dużo siły, wydatny brzuch utrudniał ruchy. No i nie nosiła już zimowego palta, maskującego jej odmienny stan. Nie cierpiała być na widoku i przyciągać spojrzeń ciekawskich.

* * *

Stała teraz na podjeździe, patrząc w górę na Dom Miłosierdzia. Dookoła panowały cisza i spokój. Nikt się nie poruszał ani w domu, ani na dziedzińcu.

– Przełożona odpisała, mówiąc, że mogę przyjechać dzisiaj – odezwała się Minka. Nagle ogarnął ją lęk. – To znaczy ktoś wysłał ten list. Był niepodpisany. Napisałam, że zrobię tak, jak im odpowiada, ale nie powiedzieli, co mam zrobić... – Przysunęła się krok do mamy.

W tym momencie otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi domu i dwie panie w schludnych, skromnych sukienkach zeszły po schodach, by powitać przybyłych. Minka ruszyła im naprzeciw, mając po bokach Jennie i Honusa. Stojąca za nią furgonetka, której kiedyś nie znosiła, wydała jej się bezpiecznym schronieniem.

– Witajcie. Nazywam się Bertha Bragstad, jestem przełożoną Luterańskiego Domu Miłosierdzia.

Mówiąca te słowa kobieta była chyba w wieku Jennie. Uśmiechnęła się wprost do Minki jak do przyjaciółki, nie jak do zhańbionego wyrzutka. Dziewczyna się odprężyła.

Panna Bragstad przywitała się z Honusem i Jennie, przedstawiła swoją współpracownicę pannę Questad i ponownie zwróciła się do Minki:

– A ty jesteś Minnie. – Sprawiała wrażenie ucieszonej, że może ją poznać.

– Tak. Właściwie nazywam się Minka, ale wszyscy mówią do mnie Minnie. Miło mi.

– Mnie też. Którego imienia mamy używać: Minnie czy Minka?

– Zawsze mówiono do mnie Minnie.

Panna Bragstad milczała przez chwilę, jakby oczekiwała innej odpowiedzi, ale gdy Minka nic nie dodała, zaprosiła wszystkich do środka, żeby pokazać dom. Honus wymówił się i został na ganku, gdzie bardziej odpowiadał mu widok foteli na biegunach niż gromady ciężarnych dziewcząt.

W domu panowały czystość i porządek. Wystrój miał nieco kobiecy charakter: na stołach stały świeżo ścięte irysy, do każdego pokoju starannie dobrano też meble, lampy i dywaniki.

Gdy weszły na górę, Minka poznała kilka mieszkanek. Jedna robiła na drutach w swoim pokoju, opierając ręce na brzuchu; druga czytała książkę.

Pokaźny stos tomików piętrzył się na niewielkim biurku opodal. Drzwi do jednego z pokoi były zamknięte; jak wyjaśniła panna Bragstad, prawdopodobnie spało tam dziecko i nie należało mu przeszkadzać.

Minka miała wrażenie, że te zamknięte drzwi prowadzą do tajemnego pokoju. Za takimi drzwiami niedługo znajdzie się i ona, a przy niej będzie spało niemowlę.

Gdy schodziły na dół, Minka dla bezpieczeństwa trzymała się poręczy. Panna Bragstad przystanęła w wejściu do jadalni, którą wypełniał duży stół.

– Posiłki jemy razem. Przez resztę dnia dziewczęta mogą odpoczywać albo zajmować się dziećmi.

Oczy Jennie pobiegły ku Mince. Dziewczynę znowu ogarnął niepokój. Mama niedługo wyjedzie, a ona stanie sama przed tajemnicą porodu. Aberdeen dzieliło od Sioux Falls ponad dwieście mil, więc wzywanie Jennie, kiedy Minka zacznie rodzić, było bez sensu, a nawet nierealne. Matka i córka miały się zobaczyć, dopiero gdy Minka pożegna się z dzieckiem.

– Przejdźmy teraz do mojego gabinetu – zaproponowała panna Bragstad. – Postaram się odpowiedzieć na wasze pytania.

Panna Questad pożegnała się i odeszła. Minka została kilka kroków z tyłu, zastanawiając się, co ma robić i jak długo mama zostanie w ośrodku.

– Chodź z nami, Minnie – poprosiła panna Bragstad.

Przełożona ośrodka i Jennie przystanęły, czekając, aż Minka do nich dołączy. Gdy stanęła obok Jennie, poszły dalej razem, jakby również matka wreszcie uprzytomniła sobie, że jej córka nie jest już dzieckiem.

Mając w pamięci kancelarię pastora Kraushaara, która tchnęła mądrością i tajemniczością wiedzy i wykształcenia, Minka rozejrzała się ciekawie po gabinecie. Pokój przełożonej był inny, uporządkowany, a zarazem pełen ciepła, tak jak i jego użytkowniczka. Minka

z przyjemnością słuchała panny Bragstad. Kobieta mówiła świetnie po angielsku, bez cienia niderlandzkiego czy niemieckiego akcentu, głosem stanowczym, ale nie bezwzględnym. Nosiła się z pewnością siebie, o jakiej Minka mogła teraz tylko marzyć.

– Rozumiem, że chciała pani, by Minka szybko wróciła do domu – powiedziała ciepło panna Bragstad. – O ile wiem, pastor Kraushaar wyjaśnił pani nasze zasady. Czy zgadza się pani na te warunki?

Miłym tonem zwróciła się zarówno do matki, jak i do córki.

Jennie kiwnęła głową. Minka chciała się dowiedzieć, jak długo będzie musiała czekać, zanim pojedzie do domu, ale się nie odezwała, tylko słuchała, jak panna Bragstad wyjaśnia reguły panujące w domu. Nie trwało to długo.

– Będziemy miały okazję jeszcze dzisiaj porozmawiać, Minnie. Ale może teraz chciałabyś o coś spytać?

Choć cisnęły jej się na usta nieskładne pytania, zaprzeczyła i siedziała bez ruchu, powstrzymując napływające do oczu łzy. Ostatnio, jak nigdy wcześniej, często zbierało jej się na płacz.

– Możemy porozmawiać na osobności? – poprosiła Jennie.

– Oczywiście – odparła panna Bragstad.

Spojrzała na Minkę i dała jej znak kiwnięciem głową. W jej uśmiechu było tyle łagodności i zrozumienia, że zmaganie się ze łzami na pewno by się Mince nie udało. Zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

* * *

Gdy Minka szła na ganek, starając się tak stawiać nogi, żeby nie kołysać się na boki, nie zdawała sobie sprawy, jak ciężki jest dla jej mamy ten dzień i wiele poprzednich.

Od dnia gdy się okazało, że Minka jest w ciąży, Jennie wciąż krwawiło serce, z każdym miesiącem coraz bardziej, teraz niemal pękało z bólu. Zamierzała podczas tego spotkania udzielić córce wskazówek, choć wiedziała, jak drastyczny jest przeskok od bajkowych bocianów do rzeczywistego porodu i jak druzgocące jest wyrzeczenie się własnego dziecka. Zamierzała znów opowiedzieć o śmierci ojca Minki. O tym, jak trzymała na rękach dziewięciodniową Jane i czekała na męża, który miał już nigdy nie wrócić. Chciała opowiedzieć o porodzie, choć trochę ją przygotować, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Ale po raz kolejny zawiodła córkę. Po prostu nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

– Ona nie wie... jak to sie odbywa... ani potem... – wykrztusiła, mnąc brzeg spódnicy.

– Przygotujemy ją.

– Bendzie chciała zatrzymać dziecko. Na pewno. To zniszczy jej życie. Dziecka też. Dziecko nie może sie tak wychowywać.

Panna Bragstad kiwnęła głową, dobrze wiedząc, co oznacza urodzenie nieślubnego dziecka. Jeżeli będzie mu towarzyszyć historia jego poczęcia... społeczeństwo z całym okrucieństwem nie przestanie mu o tym przypominać.

– Ma prawo podjąć decyzję. Rozumiem jednak, że zachodzą tu szczególne okoliczności. Porozmawiam z nią.

* * *

Kiedy Honus i Jennie pożegnali się, Minka nie odprowadzała wzrokiem furgonetki znikającej na końcu ulicy. Bała się, że pobiegnie za nią, a to tylko pogorszyłoby sytuację. Spędziła z mamą za mało czasu – nie ukoiło jej to spotkanie, choć tak na to liczyła. Doskwierała jej samotność, nieomal

ją rozsadzała, a przecież wydawało się, że jej wnętrze całkowicie wypełnia nienarodzone dziecko.

Już nic nie dzieliło jej od tego, co się niedługo miało wydarzyć i budziło w niej taki strach.

Panna Bragstad zaprosiła Minkę na spacer po ogrodzie. Traktowała go jak swój azyl. Minka szła obok niej, siląc się na uprzejmość, ale gdy przełożona ośrodka wymieniała nazwy kwiatów i wskazywała grządki, gdzie wkrótce zakwitną, informacje wylatywały jej drugim uchem.

Widząc to, kobieta zmieniła temat rozmowy.

– Mój ojciec zmarł, gdy byłam mała. Matka chorowała, więc razem ze starszymi braćmi musiałam przerwać naukę w szkole i iść do pracy.

Panna Bragstad szła z koszykiem przewieszonym przez ramię i ścinała gałązki rośliny o delikatnych fioletowych kwiatach, której Minka nie znała. Od czasu do czasu zerkała na dziewczynę, ale przede wszystkim skupiała się na kwiatach i swoim zajęciu, żeby tamta miała czas jej się przyjrzeć.

Sama poczyniła już wiele spostrzeżeń dotyczących nowej podopiecznej. Znała dziewczęta, które przyjechały tu zrezygnowane, o duszach zranionych bezwzględnością rodziców albo nieczułych z powodu ich braku. Były też i takie, które zachowywały się niemal bezczelnie, z niefrasobliwą pewnością siebie, jaką często okazują panny o ładnej buzi. Panna Bragstad spotkała najróżniejsze dziewczyny, którym się w życiu nie powiodło, i nauczyła się znajdować odpowiednie słowo dla każdej, nawet jeśli wywoływało to nikły oddźwięk.

Ta była inna. Zachowywała się powściągliwie i uprzejmie. Bez wątpienia wychowała się w bezpiecznym środowisku. A przy tym nosiła się z godnością rzadko widywaną u tak młodej osoby. Nie całkiem była to duma, raczej wewnętrzna siła, i to ona zaintrygowała starszą kobietę.

W 1900 roku nad odległym Galveston w Teksasie przeszedł straszny huragan, najgorszy w historii Stanów, pochłaniając tysiące ofiar. Panna Bragstad, wówczas nastolatka jak Minka, usłyszała potem, że potwornej nawałnicy oparł się kościół luterański na wyspie Galveston. Gdy wszystko wokół obróciło się w gruzy, historyczny budynek Lyceum Hall stał się schronieniem dla wstrząśniętych obywateli.

Patrząc teraz na Minkę, miała wrażenie, że ta drobna istota również przetrwa najgorszą życiową zawieruchę. Odznaczała się rzadką cechą. Hartem ducha. To określenie idealnie do niej pasowało.

Minka też się przyglądała pannie Bragstad. Czy ta pani wiedziała, że i ona przestała chodzić do szkoły, bo musiała pracować? I że jej tato umarł? Chyba wiedziała, inaczej po co mówiłaby o swoim ojcu? Minka pomyślała, że Jennie na pewno opowiedziała przełożonej o niektórych wydarzeniach z przeszłości. Mimo wszystko nie mogła uwierzyć, że taka kulturalna kobieta mogła mieć podobne życie jak ona.

Przyjemna, wciągająca rozmowa, zapach bzu w powietrzu i ciepłe promienie słońca na włosach i ramionach – to wszystko powoli łagodziło ból po wyjeździe mamy.

– Co lubisz robić? – zapytała panna Bragstad, unosząc głowę i obejmując wzrokiem ogród.

Pytanie zaskoczyło Minkę. Chyba nikt z dorosłych nie zadał jej takiego pytania od czasów szkolnych, gdy nauczycielka poleciła uczniom napisać, co ich interesuje. Gwałtownie szukała w głowie odpowiedzi.

– Hmm... Lubię szyć. – Spacerowały po ogrodzie. Minka trzymała splecione ręce za plecami. – Żałuję, że nie umiem grać na pianinie.

Panna Bragstad uśmiechnęła się.

– Będzie ci tu dobrze, Minnie.

* * *

Noce były niespokojne, choć Minka już przywykła do tego, że śpi sama – cieszyła się, że ze względu na duży brzuch ma więcej miejsca, a poza tym nikomu nie przeszkadza, wiercąc się i przewracając z boku na bok. Często się budziła, żeby opróżnić uciskany pęcherz. Nocami tęsknota za domem doskwierała jej jeszcze bardziej, ponieważ nic nie zaprzątało jej uwagi. Pewnej nocy usłyszała płacz którejś z dziewcząt. Innej nocy zapłakało dziecko i Minka ze strachem pomasowała sobie brzuch. Jak ona da radę opiekować się tak maleńką istotą?

Podczas posiłków spotykała inne mieszkanki ośrodka. Żadna nie mówiła o okolicznościach zajścia w ciążę, natomiast chętnie uskarżały się na fizyczne dolegliwości. Te, które miały niedługo rodzić, bacznie przysłuchiwały się opowieściom dwóch matek o ich noworodkach.

Minka spędzała czas na obrębianiu tetrowych pieluch, a gdy nie mogła już usiedzieć bez ruchu, spacerowała po ośrodku. Codziennie sprzątała swój pokój, aż wszystko lśniło. Potem brała ścierkę i odkurzała pokoje na dole, dopóki gospodyni jej nie pogoniła, sądząc, że Minka chce odebrać jej posadę.

– Twoja rodzina zapłaciła za to, że tu mieszkasz – powiedziała pewnego dnia. – Powinnaś odpoczywać albo zajmować się czymś innym.

– Kochanie, jesteś tu gościem – oświadczyła panna Bragstad przy ponownym spotkaniu.

– Ale ja zawsze pracowałam – odparła Minka.

Nie potrafiła wyjaśnić, że praca jest jej mocną stroną, daje jej oparcie i przekonanie o tym, że robi to, co trzeba.

– Tutaj masz odpoczywać, a po rozwiązaniu troszczyć się o siebie i o dziecko. Chodź ze mną na spacer do ogrodu. Na różach są mszyce,

musimy zmyć liście wodą z mydłem. – Po chwili dodała z uśmiechem: – Świeże powietrze dodaje człowiekowi rześkości i poprawia myślenie.

Pierwszy raz w życiu Minka spotkała osobę, z którą mogła rozmawiać o wszystkim. Szybko zyskała przyjaciółkę, jakiej nigdy dotąd nie miała, również w osobie panny Questad, która opowiadała jej o rozmaitych wydarzeniach w Domu Miłosierdzia: o tym, jak pewnego razu dziecko urodziło się, zanim dojechały do szpitala, albo o tym, jak chłopak jednej z dziewcząt przyjechał z różami i się oświadczył. Minka już nie była osobą, którą tylko widać, ale jej nie słychać – wypowiadała pytania i wyrażała myśli, rozwijała się jak kwiat.

Każda rozmowa z panną Bragstad przynosiła coś nowego, co Minka starała się przetrawić i połączyć z tym, czego się dowiedziała – albo tak jej się zdawało – w domu na temat miłości, małżeństwa, dzieci i ogólnie życia. Choć starsza kobieta wypowiadała się szczerze, przestrzegała zasad dobrego wychowania i w rezultacie Minka nie zawsze była pewna, czy dobrze ją zrozumiała. Często prosiła później o wyjaśnienia: „Mówiła pani, że dziecko wyjdzie z brzucha, ale którędy? Czy to będzie bolało?”.

Zrozumiała już, dlaczego dawniej opowiadano jej historyjki o bocianie, i jak nigdy wcześniej żałowała, że nie są prawdziwe.

Mijały tygodnie. W Domu Miłosierdzia cały czas coś się działo. Jedne dziewczęta wyjeżdżały, inne przyjeżdżały. Kolejna kobieta urodziła dziecko w szpitalu i wróciła do ośrodka, a potem jeszcze więcej przesiadywała w swoim pokoju przy zamkniętych drzwiach. Minka wiedziała, że niedługo otworzą się przed nią tajemne drzwi. Tymczasem jednak chciała godzinami przebywać w towarzystwie panny Questad i panny Bragstad.

Dzień w dzień bolały ją plecy. Miała spuchnięte palce i kostki – koło południa wyglądały już jak kiełbaski – a po wejściu na schody ledwie mogła złapać oddech.

Aż pewnego dnia poczuła w dole brzucha przeszywający ból, tak silny, że zatoczyła się do przodu.

Nie musiała o nic pytać. Wreszcie otwierały się przed nią tajemne drzwi macierzyństwa.

Rozdział siódmy

Minka ocknęła się w sterylnie czystym pokoju. Była otumaniona i dygotała jak w febrze.

– O, już się obudziłaś.

Kobieta, która to powiedziała, pochyliła się nad nią i wtedy jej twarz stała się wyraźniejsza. Miała na głowie biały czepek pielęgniarki, który przypominał Mince czapkę marynarską jej brata. Zasłony w oknach były zaciągnięte, ale przez szpary po bokach wpadało jasne światło. Koszula szpitalna i pościel Minki były czyste. W pokoju unosił się zapach środków wybielających i dezynfekujących.

– Już po wszystkim? – zapytała Minka.

Wydawało jej się, że zamiast języka ma w ustach kawał wysuszonej skóry. Wstrząsały nią dreszcze, choć w pokoju nie było zimno. Chciała podciągnąć się wyżej na łóżku, ale aż jęknęła, gdy chwycił ją ostry ból w tym samym miejscu co rankiem po tym, jak „to” się stało.

– Ostrożnie. Upłynie trochę czasu, zanim rana się zagoi – wyjaśniła pielęgniarka. – Wystraszyłaś nas.

– Jak to?

– Za długo leżałaś na stole.

Minka nie wiedziała, co to znaczy. Napłynęły bezładne wspomnienia: ból, jaskrawe światła, twarze, upokorzenie i niepojęty strach.

Gdy Minkę przywieziono do dużego oszalowanego budynku, gdzie mieścił się szpital w Sioux Falls, natychmiast podano jej środki uspokajające. Następne godziny zlały się w jedną rozmazaną plamę. W tym czasie lekarz zastosował najnowocześniejsze metody postępowania, opisane przez doktora Josepha DeLee w podręczniku położnictwa. Miały na celu uchronienie pacjentek przed powikłaniami, ale niestety w większości przypadków wymagały użycia noża. Gdy nadeszła faza parcia, Minkę uśpiono eterem. Wtedy lekarz naciął krocze i kleszczami wyjął dziecko.

Pielęgniarka odchyliła pościel i podciągnęła Mince koszulę, a gdy ta odruchowo chciała się zasłonić, odsunęła jej rękę i szybko zbadała pacjentkę. Minka leżała spięta, dopóki znów nie nakryto jej kocem.

Zauważyła, że brzuch się zmniejszył, choć jeszcze nie był taki jak normalnie. Całkowicie wróciła do przytomności.

– A dziecko? – zapytała.

– Najpierw dokończę obchód – odparła pielęgniarka i wyszła.

Minka spróbowała się podnieść. Przy każdym ruchu jej ciało rozrywał ostry ból, ale zdołała spuścić nogi z łóżka i usiąść. Coś trysnęło na prześcieradło. Uniosła pościel i zobaczyła plamę krwi. Jej miesiączki nigdy tak nie wyglądały, więc z niepokojem zastanawiała się, czy wszystko jest w porządku.

– Leci ze mnie krew – zwróciła się do drugiej pielęgniarki, przechodzącej obok łóżka.

– Tak będzie przez pewien czas – odrzekła tamta, przystając przy łóżku, i zaraz zniknęła.

Minka zamknęła oczy, słuchając stukotu jej butów. Jakiś czas później dotarł do niej głos pierwszej pielęgniarki.

– Chcesz ją zobaczyć?

– Ja... tu jest krew... dużo krwi... – Po chwili dotarł do niej sens pytania i wytrzeszczyła oczy. – Powiedziała pani „ją”?

– Masz córkę – oznajmiła pielęgniarka.

W ramionach Minki spoczęło małe zawiniątko.

Wpatrywała się w maleńką buzię, zauważając najdrobniejsze szczegóły. Usteczka były ściągnięte. Powieki opuszczone, różowawe. Kosmyki jasnych włosów rozkładały się na główce, równie rzadkie jak włoski na ramionach Minki. Wargi poruszyły się, oczy zadrżały.

Jej ciało było mięciutkie jak topniejące masło.

– To moje dziecko? Naprawdę?

Minka spojrzała z niedowierzaniem na pielęgniarkę i znów na noworodka. Miała wrażenie, że zalewa ją fala ciepła. Czuła to w klatce piersiowej. Zakręciło jej się w głowie. To było... niezwykłe.

Pielęgniarka schyliła się, żeby zabrać zawiniątko.

– Daj mi ją. Musimy zmienić ci podkład.

– Ale... – wymamrotała Minka.

Przeleciało jej przez myśl: Nie chcę się z nią rozstawać. Nigdy. Zostawcie mi ją, proszę.

– Możesz mi pomóc? – Pielęgniarka zwróciła się do młodszej kobiety ubranej w inny mundur, która właśnie przechodziła obok pokoju.

– Oczywiście. – Dziewczyna uśmiechnęła się, biorąc na ręce dziecko.

Pielęgniarka stanowczym ruchem położyła Minkę na plecach, wyjęła spod niej jakieś grube szmatki i zmieniła na świeże. Minka nie spuszczała z oczu kobiety trzymającej jej dziecko. Jej dziecko. Jej.

– Zmieniałaś kiedyś pieluchy? – zapytała Minkę pielęgniarka, ruchem głowy dając znak tej drugiej kobiecie, żeby zwróciła noworodka matce.

Minka pokręciła głową, ale nie chcąc znów oddawać dziecka, powiedziała:

– Mogę to zrobić.

Pielęgniarka poszła za parawan i wróciła z potrzebnymi rzeczami. Minka tuliła w ramionach śpiące dziecko. Było takie lekkie, a mimo to drżały jej ręce.

– Połóż ją na łóżku i odwiń kocyk.

Minka wykonywała polecenia tak wolno i starannie, że pielęgniarka zaczęła jej pomagać, żeby było szybciej.

– Niech pani popatrzy na te stópki z malutkimi paluszkami i na te rączki – szepnęła, gdy odkryły całe niemowlę.

Nigdy w życiu nie dotykała czegoś tak delikatnego jak niewiarygodnie miękka skóra tego dziecka.

Przypomniała sobie zaskakujące kopnięcia pod żebrami i wypukłości na brzuchu zrobione łokciem czy kolanem. Kto by pomyślał, że to te delikatne stopy, kolana i ręce tak się poruszały. Chciała dokładnie obejrzeć każdy skrawek ciała swojej córki: paznokietki, dołeczki na paluszkach, jasną, lekko różową skórę, białawe bruzdy między fałdkami na nóżkach.

– Nigdy nie widziałam czegoś... o, niech pani popatrzy na tę bródkę. I na uszka.

Pielęgniarka włożyła niemowlęciu czapeczkę z cienkiego płótna.

– Odepnij agrafki z pieluchy – rzekła z westchnieniem pielęgniarka ujęta radością młodej matki.

Oczywiście Minka wiedziała, że nosi w sobie dziecko. Czuła jego ruchy. Wiedziała, że wyjdzie z brzucha i to będzie bolesne. Ale nie

spodziewała się czegoś takiego. Tak silnego... poczucia łączności. Jakby ten maleńki człowieczek znał jej duszę.

Nagle Minka zapragnęła mieć przy sobie mamę. Jennie oczywiście znała to uczucie, które teraz poznała także i ona. Oczy piekły ją od łez. Nie przypuszczała, że poczuje tak głęboką miłość do osoby ledwo poznanej – że bez wahania rzuciłaby się pod pociąg, żeby ją uratować.

Dotarło do niej, że popełniła błąd. Myśl o oddaniu dziecka do adopcji stała się w jednej chwili nie do zniesienia. Nigdy nie zdoła rozstać się z tym cudownym darem.

Podczas przewijania dziewczynka poruszyła się i cicho zakwiliła. Słysząc to, Minka aż otworzyła usta – jaki słodki, piękny płacz. Szybko zmieniła pieluszkę, wykonując polecenia pielęgniarki, która pokazała jej, jak opatulić dziecko i pobujać je, żeby się uspokoiło i zasnęło.

– Pieluchę trzeba zmieniać często – powiedziała kobieta, poklepując niemowlę po pupie. – Zawsze, kiedy dziecko się zsiusia czy wypróżni. Inaczej może dostać wysypki albo zakażenia.

Minka kiwnęła głową z przejęciem. Zamierzała ściśle przestrzegać zaleceń pielęgniarki. W żadnym razie nie zrobi krzywdy temu maleństwu.

– Nazywasz się Betty Jane – szepnęła, gdy pielęgniarka wyszła i zostały same. – *En je bent zo mooi*. „Jesteś taka piękna”.

Nie potrafiła zrozumieć, jak personel szpitala może tak chłodno odnosić się do Betty Jane. Przytuliła ją do piersi, wąchając kędzierzawe jasne włoski. Gdy dziecko obudziło się i spojrzało na nią granatowymi oczkami, zaczęła mu się przyglądać bezgranicznie zachwycona, że trzyma w objęciach ten żywy cud.

Po chwili zauważyła własne powykręcane palce na miękkim kocyku. Przesunęła jedną rękę pod spód zawiniątka, a wtedy róg kocyka zsunął się,

przykrywając drugą rękę. Siedząc w tym cichym, czystym pokoju, miała wrażenie, że ona i Betty Jane są jedynymi istotami na świecie.

* * *

Zaabsorbowana własnymi sprawami Minka nie miała pojęcia, że rok narodzin jej dziecka przyniesie tyle doniosłych wydarzeń. Rok 1929 niechlubnie zasłynął krachem na Wall Street, zwanym „czarnym wtorkiem”, i rozpoczął Wielki Kryzys, ciągnący się w Stanach Zjednoczonych dziesięć lat.

Wyróżnił się także tym, że narodziło się wiele osób, które w rozmaity sposób wpłynęły potem na kształt świata: Grace Kelly, aktorka i przyszła księżna Monako; Dick Clark, legenda telewizji, człowiek, który przez cztery dziesięciolecia witał razem z Amerykanami Nowy Rok; Audrey Hepburn, aktorka i znana społeczniczka; Martin Luther King junior, bojownik o prawa człowieka i laureat Nagrody Nobla; Jacqueline Lee Bouvier, potem Jacqueline Kennedy, pierwsza dama Ameryki; i Anne Frank, którą pozbawiono życia, gdy miała piętnaście lat, ale słowa napisane przez nią na strychu domu w Holandii dotarły na krańce świata.

W roku 1929 odbył się pierwszy lot nad biegunem południowym, ukazało się *Pożegnanie z bronią* Ernesta Hemingwaya i po raz pierwszy wręczono Oscary, w Roosevelt Hotel, w Hollywood.

Ale dla siedemnastoletniej dziewczyny przebywającej w szpitalu w Sioux Falls, w Dakocie Południowej, ten rok miał być pamiętny dlatego, że nieodwołalnie zmieniło się jej życie. Pękło na zawsze.

Lata do 22 maja 1929 roku.

Lata od 22 maja 1929 roku.

Minka nie miała pojęcia, że kilka tygodni wcześniej panna Bragstad otrzymała list, który ukształtował bieg życia Betty Jane.

Jewell, Iowa, 8 maja 1929

Szanowna Pani!

Dziewięć lat temu, gdy mieszkaliśmy w Irene, w Dakocie Południowej, adoptowaliśmy chłopczyka, który urodził się w Domu Miłosierdzia. [...] Dziecko daje nam wiele radości. Ostatnio często rozmawialiśmy, pani Nordsletten i ja, o adoptowaniu małej dziewczynki.

Mamy trzech synów, ale brakuje nam córki. Dlatego zwracamy się z pytaniem, czy pod Pani opieką jest mała dziewczynka, która znalazłaby u nas dom. Syn trafił do nas za pośrednictwem stowarzyszenia luterańskiego, którego celem jest poszukiwanie rodzin adopcyjnych. Tą samą drogą chcemy adoptować teraz córkę.

W oczekiwaniu na rychłą odpowiedź pozostajemy z szacunkiem

pastor Peder Nordsletten z małżonką

* * *

Po kilku dniach Minka wróciła do Domu Miłosierdzia wcale nie witana fanfarami, za to z taką radością w duszy, jakby rozwarło się nad nią niebo i ukazał cały wszechświat. Ledwie mogła uwierzyć, że inne matki odczuwają to co ona. Ledwie mogła uwierzyć, że jest matką. I nie chciała, żeby to uczucie zachwytu kiedykolwiek ją opuściło.

Tęskniła za rodziną. W pokoju czekał na nią list od mamy. Panna Bragstad poinformowała pastora Kraushaara o narodzinach Betty Jane, a ten przekazał wiadomość Jennie. Matka dopytywała się w liście o zdrowie córki i żałowała, że nie może przy niej być.

Niepewność i strach, nieodstępujące Minki przez kilka miesięcy, przestały ją dręczyć. Co więcej, nie chciała ukrywać swojego dziecka. Pragnęła, by mama i Jane podziwiały każdy skrawek ciała Betty Jane, wykrzykiwały ochy i achy na widok jej trzepoczących się powiek po

przebudzeniu, śmiały się razem z nią, gdy zgłodniałe maleństwo wyciągało usta, a potem żarłocznie ssało z butelki.

Minka była w siódmym niebie, gdy karmiła córkę, dawała jej pokarm, którego dziecko domagało się i potrzebowało, patrzyła, jak maleństwo wciąga policzki podczas jedzenia. Żałowała, że nie może karmić piersią, ale rozumiała, dlaczego to nie jest jej dane. Nauczyła się podgrzewać w garnku mleko, aż będzie miało właściwą temperaturę, a potem jeszcze rozpuszczać w nim odpowiednią ilość sproszkowanego mleka dla niemowląt, pożywnej mieszanki cukru i skrobi.

Początkowo Betty Jane zasypiała podczas jedzenia. Gdy jej usta się rozluźniały, z kącika ulewała się strużka mleka. Minka ścierała ją kciukiem tak delikatnie, jakby gładziła cienką skorupkę ptasiego jajka.

– Co za piękność – powiedziała pewnego dnia panna Bragstad, patrząc na idealnie owalną buzię niemowlęcia i promienną twarz Minki. – Nie mów innym dziewczętom, ale rzadko zdarzało mi się widzieć takie śliczne dziecko.

Minka wypełniała obowiązki matki instynktownie. Przez pierwszy tydzień po porodzie bolały ją piersi, z czasem, gdy mleko wyschło, ból minął. Szwy źle się goiły – „doszło do perforacji”, oznajmił lekarz – lecz lata znojnej pracy fizycznej w połączeniu z radością i zachwytem nad własnym dzieckiem sprawiły, że dolegliwości nie dokuczały jej bardziej niż skrzypienie w jakimś zakamarku pokoju.

Wszystko wydawało się cudowne. Granatowe oczy dziecka wpatrzone w Minkę tak, jakby ją znało. Usta poruszające się we śnie w poszukiwaniu butelki z mlekiem. Pewnego razu, gdy Betty Jane uśmiechnęła się przez sen, Minka roześmiała się tak radośnie, że dziecko obudziło się z płaczem. Na szczęście łatwo było je uspokoić; zdaniem panny Questad Betty Jane była najsłodszym i najlepszym dzieckiem, jakie mieszkało w tym domu.

Z każdym dniem Minka coraz mocniej przywiązywała się do niemowlęcia. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Minął jeden tydzień, potem dwa. Nowe doznania zapadały Mince głęboko w serce, a w głowie nie ustawała huśtawka myśli. I jedne, i drugie były nie do opanowania.

Przychodziły dni, gdy Minka nie wyobrażała sobie rozstania z najdroższą córką. Jakoś dadzą sobie radę. Przecież jej mama została sama z trójką dzieci, a była zaledwie o kilka lat starsza.

Wystarczyło jednak, że spojrzała na swoje ręce, a nastrój jej się zmieniał. Gdy Betty Jane spała, Minka wybiegała myślą w przyszłość. Wyobrażała sobie, jak jej dziecko dorasta na farmie mlecznej, chodzi w roboczych farmerkach, ma stwardniałe od pracy ręce i powykręcane palce, które już nigdy się nie wyprostują.

W jaki sposób utrzyma córkę i zapewni jej życie w odpowiednich warunkach? Jej własna matka miała szczęście, że spotkała wujka. Czy ona sama będzie miała takie szczęście, zważywszy, że z egoistycznych pobudek postanowiła zatrzymać dziecko przy sobie?

Nie, to nie są egoistyczne pobudki, wykrzykiwało zbolałe serce, to miłość. Matczyna miłość. Płynąca z serca. Najsilniejsza, jaką kogokolwiek darzyła.

Minka pragnęła dać swojemu dziecku wszystko, czego sama nigdy nie miała. Szafę z pięknymi sukienkami i modnymi kapeluszami. Naszyjniki i sznury pereł. Możliwość uczenia się gry na pianinie i śpiewania w chórze kościelnym.

Tylko czy będą mogły pokazać się w mieście, nie wzbudzając pogardy mieszkańców? Minka nie chciała, by jej ukochana córka pracowała tak ciężko jak ona sama. Ale jak do tego nie dopuścić?

Zniszczone ręce, odciski na palcach, zęby przebarwione od wody w studni u wujka, brak wykształcenia, brak umiejętności poza dojeniem krów i wiązaniem pęt kiełbasy...

Minka oddałaby życie dla tego dziecka – bez wahania. Chciała dla córki tego, co najlepsze na świecie.

Tylko czy ona była tym, co najlepsze dla małej Betty Jane?

* * *

Minka patrzyła na śpiącą w wiklinowym łóżeczku Betty Jane, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Po rytmie kroków na korytarzu i charakterystycznym czterokrotnym pukaniu domyśliła się, że to panna Bragstad.

– Minnie? Możemy teraz porozmawiać?

Chciała odmówić. Wcześniejsze rozmowy z przełożoną ośrodka, jeszcze przed porodem, otworzyły przed Minką świat nowych możliwości i rozbudziły wiarę w siebie. Jednak tego dnia Minka nie miała ochoty podejmować tematu, który panna Bragstad zamierzała poruszyć od jakiegoś czasu, ale wciąż zwlekała – tematu pozostającego w cieniu, dręczącego Minkę w bezsenne noce od powrotu ze szpitala.

Dobre wychowanie jednak przeważyło.

– Tak, proszę pani.

Panna Bragstad weszła do pokoju i z uśmiechem spojrzała na łóżeczko. Lekko pogładziła niemowlę po brzuszku, po czym odwróciła się do Minki. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

– Musimy porozmawiać o twoich planach.

Minka kiwnęła głową, ale jej wzrok pobiegł ku córce. Podeszła do łóżeczka i wzięła niemowlę na ręce. Betty Jane stęknęła i sapnęła, wyrwana

z głębokiego snu, i zaraz znów zasnęła w ciepłych objęciach matki, przy uspokajających uderzeniach jej serca.

– I co postanowiłaś, Minnie?

Panna Bragstad wierzyła w dobroczynne skutki zasad, jakimi kierował się jej ośrodek. Młode kobiety miały opiekować się swoimi dziećmi przez sześć tygodni po porodzie. Tego nie mógł robić personel ośrodka. Poza tym kobiety potrzebowały czasu, żeby nabrać sił i wygoić rany po porodzie. Po miesiącu niemowlęta przyzwyczaiły się pić mleko z butelki. Stwierdzono wszelkie choroby czy powikłania. Matki były fizycznie gotowe do powrotu do domu.

Wiele z nich przywiązywało się jednak do swoich dzieci i właśnie wtedy mogły z pełną świadomością podjąć tę najtrudniejszą decyzję.

– Ja nie... nie mogę. – Minka starała się powstrzymać od płaczu; czuła, że wypełnia ją nie siła, lecz strach.

– W porządku – rzekła łagodnie panna Bragstad, kładąc rękę na jej plecach.

– Mama mówiła, że najlepszy dla Betty Jane jest dom z matką i ojcem. Ona... Ja nie mam wykształcenia. Jestem zwykłą dojarką.

Panna Bragstad to wiedziała.

Minka przemilczała coś jeszcze, z czego przełożona też zdawała sobie sprawę – że dziewczynka będzie dorastała okryta wstydem przez to, że nie ma ojca. Jej doskonałe dziecko będzie obrzucane wyzwiskami. Co ona mu odpowie, gdy zacznie wypytywać o ojca?

– Decyzja należy do ciebie. Tylko ty możesz ją podjąć.

Mince cisnęło się na usta, że już postanowiła. Że w żadnym wypadku nie odda swojej córeczki. Ale przed oczami stanęły jej naraz własne sękate palce, wymierzone w nią szyderczo. Przez głowę przelatywały myśli: Idealne paluszki Betty Jane będą wyglądały jak twoje, jeżeli ją zatrzymasz.

Co za życie będzie miała przy tobie? Nie masz nic, co byłoby twoją własnością.

– Jak powinnam postąpić pani zdaniem? – szepnęła Minka.

Panna Bragstad nie odzywała się tak długo, że Minka uniosła wzrok, chcąc się upewnić, czy kobieta wciąż jest w pokoju.

– Ja nigdy nie będę matką – odrzekła przełożona ośrodka.

– Może któregoś dnia...

– Nie. – Panna Bragstad pokręciła głową w geście, który nie świadczył o użalaniu się nad sobą, lecz wyrażał pogodzenie się z faktem. – W boskich planach nie zostałam wyznaczona na matkę. Mogę tylko patrzeć i wyobrażać sobie, co czujesz do Betty Jane.

Minka słuchała panny Bragstad. Już wiedziała, jak wiele dają rozmowy prowadzone na równych zasadach, z osobą szanowaną. Widząc teraz, jak ta układna, opanowana kobieta chodzi tam i z powrotem po pokoju, uprzytomniła sobie, że to przejaw wewnętrznych zmagań. Jej też nie było łatwo.

– Gdy się zastanawiam, co będzie dla ciebie najlepsze, przepełnia mnie nadzieja. Z nieślubnym dzieckiem... choć nie z twojej winy... będziesz osądzana. Tak już jest. Zastanawiam się również nad tym, co będzie najlepsze dla Betty Jane.

– Małej będzie lepiej z kimś innym. – Głos jej się łamał ze smutku.

– Wcale nie. Spójrz na siebie. Jesteś urodzoną matką. Ale ona też będzie osądzana, przez całe życie. – Po chwili dodała: – Nie wydaje mi się jednak, by ktokolwiek kochał ją bardziej niż ty.

Panna Bragstad prowadziła tę rozmowę z bólem serca: Minka była jej ulubienicą. Gdy ujrzała ją z Betty Jane na rękach, od razu wiedziała, że macierzyństwo pochłonęło dziewczynę bez reszty i że nadchodzące dni będą potwornie trudne, może nawet druzgocące.

Zdawała sobie również sprawę z tego, że dziecko uniemożliwi Mince rozpoczęcie nowego życia. Co się stanie z matką i córką, jeżeli zostaną razem? Kto się ożeni z kobietą, która ma nieślubne dziecko, nawet jeśli zaszła w ciążę nie ze swojej winy?

– Możesz zaoferować światu dużo więcej niż dojenie krów. Porozmawiam z twoją matką o tym, co robisz na farmie. Może zgodzi się posłać cię na lekcje muzyki albo na studia do college'u.

Te słowa nie były czczą pociechą. Panna Bragstad naprawdę zamierzała porozmawiać z matką Minki i przekonać ją, że po powrocie do domu dziewczyna musi żyć inaczej. Dla Minki muzyka i wykształcenie nie miały żadnego znaczenia w porównaniu z dzieckiem trzymanym w ramionach. Panna Bragstad uprzytomniła sobie, że Minka ma teraz do wszystkiego inny stosunek. Niektóre dziewczęta po porodzie odnoszą się z chłodną rezerwą do swoich dzieci i nie chcą ich brać na ręce. Inne odczuwają głęboką więź.

Minka była zakochana po uszy.

Kilka minut później panna Bragstad skierowała się do drzwi, mówiąc na koniec:

– Będę się modlić, żebyś podjęła właściwą decyzję, bez względu na to jaką.

Wracały do tematu przy innych okazjach, w niepewnych, urywanych rozmowach. Za dnia Minka uważała, że Betty Jane będzie się żyło lepiej w szacownym domu. Podejmowała taką decyzję w przekonaniu, że robi to dla dobra córki i poświęca własne pragnienia dla jej przyszłości.

Nocą, gdy smętne światło księżyca padało na podłogę w sypialni, Minka chciała porwać córkę w ramiona i uciec w nieznane.

W końcu jednak przeważyło światło dnia. Wzięła dziewczynkę na ręce i poszła z nią po trzeszczących schodach, korytarzem, do gabinetu

przełożonej. Nie czekała, aż panna Bragstad zakończy obchód i wszystkie kobiety usiądą do posiłku – musiała oznajmić swoją decyzję, zanim się rozmyśli.

– Znajdzie pani jak najlepszą rodzinę? – padły przerażające słowa, najgorsze, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. – Matkę i ojca dla Betty Jane? Najlepszą matkę i najlepszego ojca?

Panna Bragstad żałowała, że nie może pokazać Mince listu od pastora Nordslettena i jego żony. Lepszego domu dla Betty Jane nie można było sobie wymarzyć; ta rodzina pojawiła się jak odpowiedź na jeszcze niewypowiedziane modlitwy. Panna Bragstad nie mogła pogwałcić zasady prywatności. Mimo to, chcąc choć trochę pocieszyć Minkę, powiedziała:

– Tak, obiecuję. W rzeczy samej... mam pewne małżeństwo na uwadze. Szukają małej dziewczynki. Pastor z żoną.

Minka uniosła głowę.

– Pastor? – Pannie Bragstad krajało się serce, gdy ujrzała niespokojną nadzieję w jej oczach. – Oni są stąd? Mieszkają niedaleko?

– Nie wolno mi powiedzieć nic więcej. Ale to jest bardzo dobry dom. Nie mogłam marzyć o lepszym.

Minka nachyliła się nad Betty Jane.

– Słyszysz, cukiereczku? Będziesz dorastała w rodzinie pastora.

Wezbrała w niej duma, a po chwili znów fala żalu. Przyszłość Betty Jane została ustalona.

Obcy ludzie już czekali, żeby ją zabrać.

* * *

Jakieś dziecko płakało w pokoju w głębi korytarza, zawodziło całą noc.

– Kolka – oświadczyła panna Bragstad przy śniadaniu.

Minkę zawsze uczono, że pycha jest grzechem, a jednak nic nie mogła poradzić na to, że rozpiera ją duma na myśl o własnej córce. Wydawało się jej, że jest doskonała pod każdym względem. Minka nie odrywała od niej oczu i rzadko wypuszczała ją z rąk. Gdy już podjęła decyzję, chłonęła najdrobniejszy szczegół słodkiej buzi dziecka, by ją zapamiętać na zawsze.

– Dziś wyjeżdża Margaret – oznajmiła pewnego dnia panna Bragstad, co oznaczało, jak wiedziała Minka, że wyjeżdża matka, a dziecko zostaje.

Tej nocy Minkę doleciał płacz dziecka. Miało kolkę jeszcze przed wyjazdem Margaret, ale teraz jego płacz wydawał się bardziej żałosny.

Cały następny dzień Minka przesiedziała w swoim pokoju, wychodząc tylko do łazienki albo do kuchni, żeby przygotować butelkę z mlekiem. Nie rozstawała się z Betty Jane, tuliła ją do piersi, wąchała jej włosy i skórę.

Kilkanaście razy była bliska zmiany decyzji. Nie wiedziała, jak się zachowa, gdy przyjdzie chwila rozstania. Czy mogłaby zostawić tu swoje dziecko? Czy mogłaby podać je komuś i odejść?

Betty Jane wpatrywała się w nią swymi granatowymi oczami. Któraś z dziewcząt powiedziała jej, że wszystkie dzieci rodzą się z granatowymi oczami i dopiero z czasem kolor oczu się zmienia. Minka nie chciała się nad tym zastanawiać. Wolała nie myśleć o wszystkim, czego nie będzie wiedziała o swojej słodkiej Betty Jane. Teraz córeczka należała do niej. Tylko do niej.

Wybiegała też myślami do Jane i mleczarni. Miała wrażenie, jakby tamte sprawy działy się w innym życiu. Wtedy była dzieckiem. Teraz jest kobietą. A właściwie nie tylko kobietą, również matką. Zawsze nią będzie, choćby nie wiadomo ile udawać albo wracać
do gospodarstwa, jakby nigdy nic się nie stało. A stało się bardzo dużo. Obudziła się ze snu i już w ten sen nie zapadnie.

Wiedziała, że Betty Jane nie będzie jej pamiętać, mimo to zasypywała ją czułościami. Pragnęła, żeby córka zaznała jej miłości, żeby nigdy nie miała poczucia porzucenia przez matkę. Może jakoś zdoła to jej przekazać.

* * *

Panna Bragstad już wcześniej delikatnie uprzedziła, że nie będzie jej w Domu Miłosierdzia 27 czerwca, w dniu powrotu Minki do Aberdeen. Przełożona ośrodka zaplanowała podróż na wschód Stanów dawno temu, zanim jeszcze poznała małą DeYoung. Zbieżność dat ją martwiła – czuła, że sprawia Mince zawód, nie będąc przy niej tego najtrudniejszego dnia w jej życiu.

Bertha Bragstad nie zdołałaby zliczyć wszystkich dziewcząt, z którymi się rozstawała podczas wieloletniej pracy w ośrodku. Miała jednak przeczucie, że nie potrafiłaby ukryć emocji podczas pożegnania z silną, lecz wrażliwą Minką.

Całe szczęście, że przed wyjazdem przynajmniej znalazła dom dla jej córki, najlepszy z możliwych.

17 czerwca 1929

Do pastorostwa Nordslettenów

Drodzy przyjaciele!

W odpowiedzi na Państwa list pragnę poinformować, że w naszym ośrodku przebywa wspaniała malutka dziewczynka, urodzona 22 maja, która będzie mogła pojechać do nowego domu, począwszy od 28 bieżącego miesiąca. Zgodnie z naszymi zasadami matki zostają ze swoimi dziećmi przez pewien okres, a w tym wypadku upływa on 29 tego miesiąca.

Dziecko jest całkowicie zdrowe, ma niebieskie oczy i brązowe włosy. Matka pochodzi z bardzo dobrej holenderskiej rodziny. Trafiła do nas z polecenia pastora

Kraushaara z Aberdeen, który wyrażał się z uznaniem zarówno o niej, jak i jej rodzinie. [...] O ojcu wiadomo niewiele.

Polecamy tę dziewczynkę z całym przekonaniem. Matka i jej najbliżsi z ulgą przyjmą wiadomość, że trafi do dobrego luterańskiego domu. Bardzo ją lubią, ale wiedzą, że o wiele lepiej wiodłoby jej się w rodzinie adopcyjnej, i zgodzili się, by taką dla niej znaleźć. Matka ma siedemnaście lat. [...]

Z poważaniem

Bertha Bragstad

* * *

Rankiem 27 czerwca furgonetka z napisem Sunnyside Dairy znowu zajechała pod Dom Miłosierdzia. Gdy Jennie wysiadła z samochodu, zobaczyła, że na ganku siedzi Minka i trzyma na rękach zawiniątko w kocyku. Bezwiednie zamknęła drzwi, głucha na skrzypienie zawiasów. Patrząc na córkę wielkimi oczami, podeszła do schodów na ganek.

– To jest Betty Jane – powiedziała Minka tonem pełnym dumy i czci, niczym dworzanin anonsujący członka rodziny królewskiej.

Gdy podała niemowlę mamie, Jennie w popłochu zerknęła na córkę, a potem przeniosła wzrok na dziecko. Zaparło jej dech. Przez chwilę widziała jak przez mgłę, musiała mrugnąć powiekami.

– *Zo mooi* – szepnęła. „Jaka piękna”.

Dziewczynka miała na sobie białą sukieneczkę do chrztu. Wymachiwała pulchnymi rączkami.

– Czekamy na pastora – wyjaśniła Minka. – Powiedzieli, że możemy... ją ochrzcić, zanim... zanim wyjedziemy. – Ostatnich słów prawie nie było słychać.

Honus podszedł do nich i stanął przy Jennie. Wszyscy troje wpatrywali się w dziewczynkę. Po chwili Minka znów się odezwała, bardziej zdecydowanie:

– Ochrzcimy ją i się pożegnamy.

Minka była ubrana w ładną czarną sukienkę, którą Jennie widziała pierwszy raz, na szyi miała sznur białych korali. Włosy były obcięte równo do szyi i ułożone w idealne fale. Wyglądała wytwornie i elegancko. W jej głosie pobrzmiewała pewność – nowy ton w uszach Jennie. Kochana twarz jej dziecka była tak zdruzgotana, że Jennie musiała odwrócić wzrok.

Honus przyjął słowa Minki kiwnięciem głową. W rękach trzymał kapelusz, od którego oklapły mu włosy. Odszedł na bok, by spojrzeć na ogród kwiatowy panny Bragstad.

Wkrótce przybył miejscowy pastor. Minka widziała niejeden chrzest w kościele i pamiętała, że dzieci często płakały, gdy polewano je wodą. Betty Jane tylko machała nóżkami. Minka w ogóle nie mogła się skupić na słowach pastora. Serce biło jej jak oszalałe, żołądek podchodził do gardła. Pragnęła, by te chwile razem z dzieckiem trwały wiecznie, chciała tu zostać na zawsze.

Honus zrobił zdjęcie w ogrodzie. Betty Jane leżała w wiklinowym fotelu, podparta grubymi kocykami. Minka klęczała obok niej odwrócona tyłem do aparatu. Ani na sekundę nie mogła oderwać oczu od maleńkiej córeczki. Wówczas nie wiedziała, że to zdjęcie będzie dla niej jedynym materialnym ogniwem łączącym ją z tym dniem i jej dzieckiem. Do końca życia nosiła je przy sobie.

Przez myśl przelatywały gorączkowe osobiste wyznania.

„Najsłodsza córeczko, tak bardzo cię kocham. Robię to tylko dla ciebie. Nie myśl, że cię opuściłam. Pragnę być z tobą każdego dnia twojego życia. Wiem jednak, że będzie ci się wiodło lepiej beze mnie. Ogromnie żałuję, że

nie mogę być taką matką, na jaką zasługujesz. Ale będziesz miała szczęśliwe życie i szczęśliwy dom. Nie będziesz musiała ciężko pracować. Będziesz miała śliczne sukieneczki, koraliki i kokardy we włosach. A nie farmerki – obyś nigdy nie nosiła farmerek. Będę cię kochać do końca życia. Obiecuję”.

Ostrożnie wzięła Betty Jane na ręce. Mogłaby jej powiedzieć jeszcze mnóstwo rzeczy. Mogłaby trzymać to zawiniątko w ramionach do końca swoich dni, gdyby tylko czas stanął w miejscu.

Dotknęła delikatnego karku i aksamitnego policzka. Wsunęła palec do rączki i poczuła, jak maleńkie paluszki zaciskają się na jej wykrzywionym palcu. Huczało jej w głowie. Zamknęła oczy. Jeszcze nigdy nie zemdlała, ale teraz niewiele brakowało.

Wszyscy przeszli podjazdem do furgonetki; Minka kołysała Betty Jane w objęciach. Wokoło niósł się silny zapach świeżo skoszonej trawy. Jennie spojrzała na budynek ośrodka i zobaczyła w dwóch oknach na piętrze zarysy twarzy i odsunięte firanki. Ciężarne kobiety patrzyły na to, co je czeka.

Minka pocałowała córkę w policzek, raz i drugi, rozpaczliwie. Gdy podawała zawiniątko pannie Questad, róg białego kocyka zsunął się i odsłonił skórę z różowo-białymi plamami. Minka opatuliła dziecko i pogładziła kocyk. Na miękką wełenkę spadła łza, którą wytarła koślawym palcem. Z jej drżących ust wydobył się gwałtowny szloch.

Jennie zrobiło się ciemno przed oczami. Pierwszy raz była niezdolna do działania. Nie wiedziała, jak załagodzić sytuację, jak ją naprawić. Już nigdy nie zobaczy swojej pierwszej wnuczki. Ta myśl nagle stała się nie do zniesienia.

Panna Questad przygarnęła Minkę do siebie jedną ręką i stała przy niej z zamkniętymi oczami, mocno ją trzymając. W końcu Minka wysunęła się

z objęć. Odwróciła się od Betty Jane, zachwiała, ale po chwili zaczęła iść wyprostowana w stronę furgonetki. Honus skinął głową pannie Questad, która miała zajęte ręce i nie mogła się pożegnać uściskiem dłoni. Jennie pomogła córce wsiąść do samochodu.

W końcu ruszyli w drogę. Minka nie obejrzała się za siebie, wiedząc, że gdyby to zrobiła, nie powstrzymałaby krzyku. Drzewa jak zwykle migały za oknem, słońce jak zwykle odbijało się od szyb, a Minka czuła, że rozrywają się w niej wnętrzności i rozsypują w proch. Wydawało jej się, że umiera, że to agonia. Świadomość, że stworzone w niej życie, trzymane przez nią w ramionach, że to życie będzie się miało lepiej bez niej. Świadomość, że oddala się od najważniejszej cząstki siebie, na zawsze.

Nie. Śmierć byłaby prawdopodobnie łaskawsza.

Rozdział ósmy

Wiele godzin później Jennie i Minka wysiadły z furgonetki przy parku Riverside w rodzinnym mieście *tante* Hogerhide. Od razu doleciały do nich zewsząd dźwięki i zapachy: z lewa i z prawa melodie wygrywane na katarynkach mieszały się z radosnymi okrzykami i zapachami smaru, mięsa i słodyczy. Na gałęziach drzew i drewnianych szyldach wisiały lampki elektryczne. Na straganach przystrojonych pasiastymi zasłonkami sprzedawano coca-colę, laleczki Kewpie i watę cukrową. Wszystko razem wyglądało tak zaskakująco, że ściśnięte serce Minki trochę się odprężyło. Jeszcze nigdy nie widziała ani nie słyszała takiego zamieszania i harmidru.

Jennie miała dobre wyczucie. Na koniec tego okropnego dnia przydałoby im się coś na poprawę nastroju, a w tym miejscu rozrywek nie brakowało. W dwie godziny po wyjeździe z Domu Miłosierdzia przybyli do Iowa, zamierzając spędzić noc u *tante* Hogerhide. Podczas podróży Jennie siedziała w szoferce cała spięta. Choć z tyłu samochodu tylko czasem dochodziły zduszone dźwięki, rozpacz jej córki jak wilgotna mgła wnikała w każdy zakamarek samochodu. Jennie nie wiedziała, co powiedzieć, więc odzywała się rzadko, nawet do Honusa.

Gdy przyjechali do ciotki, czekał na nich suto zastawiony stół. Przygotowała tyle jedzenia, że mogłaby wydać bankiet – jakby wierzyła, że różnorodność potraw ukoi zgryzotę. Honus bąknął pod nosem, że musi naprawić zapadający się okap dachu, i umknął na podwórko. Minka starała się zachowywać jak należy, ale przełknęła zaledwie kilka kęsów. Kiedy ciotka wspomniała o wesołym miasteczku w pobliskim parku Riverside, Jennie skorzystała z okazji, by wyciągnąć córkę z tego aż nazbyt spokojnego domu, gdzie miało się wrażenie, że w każdym pokoju pozostał ślad utraconego
dziecka.

Od leniwie płynącej Big Sioux River zawiewał wiatr. Słońce wisiało nad horyzontem, kładąc się łagodnie na drzewa i na powierzchnię wody. Skwar zelżał. Wcześniej spadł ciepły przelotny deszcz, ale ziemia szybko wyschła. Ludzie opędzali się od napastliwych komarów, tłukli je na szyjach i na rękach.

– Popatrz tylko – powiedziała cicho Minka, wskazując drewnianą kolejkę górską, która wynosiła wysoko w powietrze rozkrzyczanych pasażerów.

W jej głosie nie było radości, ale pojawiła się nuta zaciekawienia jak u dawnej Minnie. Pierwszy raz od wyjazdu z Domu Miłosierdzia odezwała się sama z siebie. Jennie natychmiast podtrzymała rozmowę.

– W życiu nie widziałam czegoś takiego. Jadom tak wysoko... i tak szybko... Bałabym sie, że wypadnem...

Dłuższą chwilę obserwowały pikujące wagoniki. Alejkami przetaczały się tłumy ludzi. Co rusz nowa atrakcja przyciągała wzrok: karuzela albo kołysząca się platforma z wirującymi samochodzikami.

Stanęły przy ogromnym drewnianym kole, na którym wznosiły się i opadały rozbujane wagoniki. W pewnym momencie Jennie zauważyła, że

Minka wpatruje się w młodą kobietę z małym zawiniątkiem na rękach, dokładnie takim, jakie sama trzymała jeszcze tego ranka. Niemowlę. Dwójka małych dzieci plątała się przy jej nogach. Kobieta poklepywała malucha po plecach, słuchając okrzyków naganiacza klientów.

W oczach Minki zalśniły łzy. Z całej siły zacisnęła zęby. Jennie szukała słów w trzech znanych sobie językach, ale nie znalazła żadnego, które na coś by się zdało.

Mimo to jej plan dawał jaki taki rezultat. Rozglądając się wokoło, krążyły wśród grajków, akrobatów i chętnych na przejażdżkę na karuzeli. Minka przyglądała się wszystkiemu, choć rzadko coś naprawdę przykuwało jej uwagę. Gdy Jennie kupiła watę cukrową, Minka machinalnie wyciągała ją z papierowego rożka, jakby nie docierało do niej, że wkłada do ust puszysty przysmak.

W zapadającym zmierzchu poruszała się jak duch. Jennie miała wrażenie, że córka zacznie przechodzić przez ściany i drzewa albo ludzie zaczną przechodzić przez nią jak przez powietrze.

Raptem odezwała się.

– Panna Bragstad mówiła, że niedługo ją zabiorą... za kilka dni.

Szły brzegiem Big Sioux River, z dala od tłumów. Lampki odbijały się w czarnym lustrze wody.

– *Ja*. To dobrze. – Jennie szukała w głowie słów. – Wiesz, że zajmom sie niom jak należy.

– Wiem, mamo. – Minka stała nieruchomo, wyglądała jak ubrany w sukienkę posąg o bladej twarzy. Poruszały się tylko usta. – Będzie miała dobry dom.

Jennie nie była pewna, czy powinny rozmawiać o dziecku. Pragnęła zbliżyć się do córki, która teraz była jedną żywą raną, ale nie chciała sprawić jej więcej bólu. Komplement chyba nie zaszkodzi.

– Jak ona na mnie spojrzała! Te jej oczy – powiedziała. – Bystre dziecko, *ja*? Poradzi sobie.

Minęli je dwaj chłopcy, biegli w stronę karuzeli. Ich rozemocjonowane głosy wdarły się w ciszę i po chwili rozpłynęły w powietrzu.

Jennie mówiła dalej:

– Miała twoje uszy. Też odstajonce. Nigdy ich nie zapomne.

Minka odezwała się cichym głosem, ale twardym jak granit. Jej słowa zabrzmiały jak błogosławieństwo. Jak obietnica.

– Nie zapomnę niczego.

Jennie spojrzała z niepokojem na córkę.

Jak uleczą się rany Minki, jeżeli nie będzie potrafiła zapomnieć Betty Jane?

* * *

Następnego ranka, po pożegnalnych uściskach, Honus znowu ruszył na północ. Im większa odległość dzieliła Minkę od jej maleństwa, tym dotkliwiej odczuwała jego nieobecność i tym bardziej ciążyła wszystkim cisza w samochodzie.

Honus prowadził przez cały dzień, a Minka spała na kocu w tyle furgonetki – odrętwiała, wyczerpana, zlana potem. Tego wieczoru, przejechawszy połowę stanu Dakota Południowa, zatrzymali się na noc u jeszcze jednych krewnych. Gospodarze nic nie wiedzieli o przeżyciach Minki, więc Jennie usprawiedliwiła ją przed wszystkimi, mówiąc: *Ze voelt zich ziek*. „Ona źle się czuje”. Wczesnym wieczorem dziewczyna padła na łóżko w pokoju gościnnym. Panował tam zaduch, a prześcieradła były takie ciepłe, jakby dopiero co wyszły spod żelazka. Patrzyła, jak ostatnie promienie letniego słońca gasną na ścianie sypialni, aż w końcu zmęczona płaczem, pogrążyła się w upragnionym niebycie snu.

Następnego dnia mieli do pokonania ostatni odcinek drogi. Minka była do cna wycieńczona. Zwinięta w kłębek na kocu, po raz kolejny zapadała w drzemkę, gdy rozległ się krzyk Jennie w szoferce. Minka gwałtownie usiadła i spojrzała tam, gdzie wskazywała mama. Honus już zjeżdżał na skraj drogi.

Dach wiejskiego domu po prawej stronie obejmowały płomienie.

Minka wyskoczyła z furgonetki. Serce waliło jej jak młotem i tylko jedna myśl kołatała w głowie: Czy są tam dzieci? Przerażona, popędziła do drzwi wejściowych. Gdy nikt nie odpowiadał na gorączkowe pukanie, wpadła do środka, zanim Honus i Jennie zdążyli dobiec.

Nie widząc nikogo w środku ani nie słysząc krzyków, zaczęli wynosić meble i sprzęty. Nawet udało im się wytaszczyć z salonu pianino. Wkrótce przybyli na pomoc sąsiedzi i zaczęli ratować co się dało. Ocalało wszystko prócz pieca. W końcu przyjechała właścicielka, rozgorączkowana i przerażona, kurczowo trzymała dzieci za ręce.

Choć dom spłonął, kobieta podziękowała Honusowi, Jennie i Mince za uratowanie tak dużej części majątku jej rodziny. Sąsiad udzielił schronienia zrozpaczonej gospodyni i jej dzieciom. Przejęci, z poczuciem wykonanego zadania Honus, Jennie i Minka ruszyli w dalszą podróż.

Po kilku godzinach wreszcie wjechali na drogę prowadzącą do gospodarstwa. Reflektory samochodu omiotły dom, potem oborę. Buldog Honusa, leżący pod mleczarnią, nagle przestał ziać i wybiegł im na spotkanie. Mrok ledwie zapadł, ale wciąż było duszno. W ciągu dnia jakiś wolontariusz prowadzący obserwacje meteorologiczne po drugiej stronie miasta zapisał w księdze temperaturę: 103°F.

Wszyscy w gospodarstwie spali już od dłuższego czasu. Podróżni wysiedli z furgonetki i rozprostowali spocone ręce i nogi. Honus zdjął lampę z haka przy drzwiach kuchennych i zapalił knot zapałką. Jennie

zaniosła do kuchni swoją torbę podróżną, zrobioną z dywanowej tkaniny, i resztki prowiantu.

Minka weszła do domu ze swoim bagażem. Zawartość była nikłym świadectwem podróży, która tyle dla niej znaczyła. Trzy zmiany bielizny, luźna koszula nocna, dwie sukienki z długimi rękawami. Wzięła je ze sobą przed wieloma miesiącami, gdy jeszcze leżał śnieg.

Obszerna sukienka, którą nosiła codziennie pod koniec ciąży, została u panny Bragstad, z przeznaczeniem dla innej dziewczyny.

Z ciemnego korytarza wyłoniła się Jane.

Drzemała, nie słyszała warkotu samochodu ani szczekania psa, obudził ją dopiero trzask zamykanych drzwi. Jej wzrok pobiegł najpierw ku siostrze, niewidzianej przez prawie pół roku. W świetle lampy zauważyła luźniejszą skórę na krawędziach twarzy – bardziej wiotką niż przed wyjazdem. Minka wyglądała marnie. Wszyscy troje wyglądali marnie.

– Cześć – odezwała się Jane. – Witaj w domu.

– Jesteś *nog wakker*, Jane? – zapytała Jennie. „Jeszcze jesteś na nogach?”. Ze zmęczenia wtrącała niderlandzkie słowa. – Myślałam, że o tej porze bendziesz spała.

– Spodziewałam się was dzisiaj. – Jane podeszła bliżej, spoglądając na Jennie, a potem na Minkę. – Tyle że wcześniej. Na górze było tak gorąco, że położyłam się w pokoju gościnnym na dole. – Widząc ich zaczerwienione twarze, zawołała: – Ojej, opalaliście się?!

– Mieliśmy *avontuur* – wyjaśniła ze śmiechem Jennie. „Przygodę”. – Jesteś po kolacji, Jane? Przywiozłam chleb i szynke.

Postawiła na stole koszyk z jedzeniem.

– Zajrze do obory – rzekł Honus, biorąc z kredensu lampę i kierując się do drzwi.

– Tęskniłaś za nami, Minnie? – zapytała Jane i usiadła na krześle. – Nie było cię całe wieki. Co robiłaś?

– No tak... ja... – Po wielu godzinach jazdy samochodem całkiem zesztywniała i wolała stać. – Hm... pomagałam cioci w domu. Sama nie dawała sobie rady.

– Podróżowałaś? Widziałaś coś ciekawego?

– Raczej nie... Rzadko byłam poza domem.

– Minnie, opowiedz Jane o pożarze – wtrąciła się Jennie, stawiając przed Jane talerz z kilkoma plasterkami szynki i sucharem posmarowanym dżemem truskawkowym. – Zjesz coś? – Wyjęła trzy szklanki i napełniła wodą z kranu.

– Nie, dziękuję – odrzekła Minka.

– O pożarze? Coś się wam paliło? – Jane ugryzła suchara.

– Nie nam. Byliśmy koło Mitchell... – zaczęła Minka.

– O, a widzieliście Corn Palace? – Jane słyszała o tym dziewiętnastowiecznym ośrodku kultury w stylu mauretańskim, reklamowanym jako unikat na skalę światową. Ale oczywiście nigdy nie znalazła się tak daleko od domu.

– Przejeżdżaliśmy koło niego. Jest rzeczywiście duży i z zewnątrz ozdobiony obrazami z kolb kukurydzy, a na krawędzi dachu powiewają flagi. Stała przy nim kolejka ludzi.

– Nie weszliście do środka? Jaka szkoda!

– Mieliśmy opóźnienie przez ten pożar.

Jennie postawiła przed córkami szklanki z wodą i usiadła ze swoją szklanką przy stole, widząc, że nawet nie musi posprzątać kuchni, taki porządek utrzymywała w domu Jane.

– Paliło się w Mitchell?

– Nie, tuż przed. – Minka upiła trochę wody. – Zobaczyliśmy z drogi wiejski dom, z którego buchał dym.

– Z dachu. Wielkie szare kłęby. – Jennie zatoczyła łuk rękami.

– Był ktoś w środku? – dopytywała się Jane.

– Nikogo nie było. Pukałam do drzwi, nikt nie odpowiadał, no to weszłam, żeby sprawdzić – opowiadała Minka. – Paliło się na strychu, więc zaczęliśmy wynosić rzeczy.

– Dlatego mamy opalonom skóre – dodała Jennie. – I jesteśmy brudni. Ależ tam było goronco!

– O rany! Przyjechali w końcu domownicy?

Minka wpatrywała się w piec kuchenny, miała pustą twarz, bladą jak kartka papieru. Milczenie się przedłużało. W końcu odezwała się Jennie:

– *Ja*. Prawie wszystko wynieśliśmy, zanim wróciła gospodyni z dziećmi. Zobaczyła, że krowa wydostała sie z zagrody... i poszła zagonić jom z powrotem. Dom sie spalił... ale przynajmniej uratowaliśmy dobytek.

Jane skończyła jeść. Podeszła do zlewu i umyła swój talerz.

– No dobrze, dziewczenta, czas do łóżka – zarządziła Jennie. – Jutro pastor ma pożegnalne kazanie. Trzeba bendzie wcześnie wstać, żeby zrobić zapiekanki na obiad.

Minka wstała od stołu.

– Zaraz przyjdę na górę – powiedziała do Jane. – Tylko trochę się umyję.

Poszła do łazienki spragniona przede wszystkim chwili w samotności. Coś wzbierało jej w piersi i koło oczu, znajome odczucie.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, osunęła się na podłogę wstrząsana płaczem. Chwyciła za krawędź umywalki, żeby przestało jej się kręcić w głowie, i przyłożyła drugą rękę do ust. Wreszcie znalazła się w domu, do

którego tak tęskniła przez ostatnie pół roku. Ale nie był już taki jak przedtem i nigdy nie będzie. Nie ukoił jej bólu. Prawdziwy dom został w tamtym pokoju na piętrze, z wiklinowym łóżeczkiem i miękkim zawiniątkiem, którego nigdy więcej nie będzie trzymała w ramionach.

* * *

Następnego ranka rodzina Vander Zee siedziała na swoich miejscach w kościele Syjonu, gdy pastor Kraushaar wygłaszał pożegnalne kazanie. Wszyscy byli pogrążeni w smutku, wielu miało łzy w oczach. Po nabożeństwie pastor spotkał się z Minką prywatnie. Powitał ją znów we wspólnocie, a gdy opowiedziała mu o uroczej córeczce, zapewnił ją, że tę decyzję pomógł jej podjąć sam Bóg.

– Nie będziesz tego żałowała, Minnie – rzekł łagodnym tonem.

W poniedziałek wieczorem, gdy Jane poszła do ich sypialni sama, Minka usiadła przy stole w mrocznej kuchni. Lampa naftowa rzucała krąg światła na stosik białych kartek papieru. Obok leżał starannie zastrugany ołówek. Minka była tak przejęta, że aż robiło jej się słabo na myśl, że zaraz napisze list do Domu Miłosierdzia, który był jedynym ogniwem łączącym ją z córką.

Zdawała sobie sprawę, że dziecko prawdopodobnie jest już u nowych rodziców, mimo to wciąż czuła obecność Betty Jane na końcu drogi, którą miał przebyć jej list.

Pierwsza przesyłka zawierała sześć kartek.

> [...] Przede wszystkim pytam, jak się czuje malutka Betty Jane. Czy pastor już ją zabrał? Jak się podobała jemu i jego żonie? Co o niej mówili? Czy Panie ładnie ją ubrały? Wszyscy bardzo się cieszymy, że trafi do takiego miłego domu. Gdy się nad tym chwilę zastanowię, już nie żałuję.

Kupiłam sobie śliczną książkę dziecka i będę w niej notować, jak rośnie Betty Jane. [...]

Wszyscy mówią, że dobrze wyglądam. Nikt nic nie wie i jestem z tego zadowolona. [...]

Zawsze będę pamiętać, jak dobrze mi u was było, i dziękuję za opiekę nad nami. Zamierzam zrobić coś dla was wszystkich, bo myślę, że ucieszy was to bardziej niż jakaś kupna rzecz. [...]

[...] Proszę o długi list z wiadomościami o Betty Jane i o jej nowych rodzicach. O tym, co mówili. Pytały Panie, czy oni zechcą przyjmować moje prezenty?

[...] Wiem, że ten list jest niezdarny, nie patrzcie na to, tylko napiszcie wszystko o małej Betty. Jeżeli wciąż jest u was, ucałujcie ją ode mnie. [...]

[...] Proszę napisać „do rąk własnych” na kopercie.

Przez tydzień po wysłaniu listu Minka codziennie biegła z bijącym sercem na spotkanie listonoszowi. Wreszcie przyszła odpowiedź.

5 lipca 1929

Kochana Minnie!

[...] Nie masz najmniejszego powodu, by martwić się o Betty Jane. Jest pod dobrą opieką. Pastorostwo przyjechali po nią w poniedziałek po południu. Zaraz powiedziałam Elli, żeby ją przebrała w nowe ubranka. Betty Jane wyglądała uroczo. Gdy podałam ją pani pastorowej, kobieta nie posiadała się z radości. Oboje rodzice powiedzieli, że dziewczynka przerosła ich oczekiwania, kazali Cię pozdrowić i przekazać, że są bardzo dumnymi rodzicami. [...] W sprawie prezentów radzili, żebyś pamiętała o innych niebożętach w potrzebie. Ponieważ Betty Jane nigdy nie będzie niczego brakować. [...]

Ella doskonale zajmowała się dwoma niemowlętami. Wiem, że żadnego nie wyróżniała, Twoim zajmowała się równie troskliwie jak własnym. [...] Elli też trudno było zostawić swoje dziecko, ale i ono ma dobry dom. [...]

Wdzięczna choć za te skąpe wiadomości Minka napisała kolejny list.

Kochana Panno Bragstad i Panno Questad!

[...] Dostałam wasz list parę dni temu. Bardzo mnie ucieszył, także to, że maleńka Betty Jane tak się podobała. Jestem pewna, że będzie dla nich wielkim darem. Ciężko mi było się z nią rozstać, ale wiem, że tak jest dla niej najlepiej. Tęsknię za nią każdej nocy, bo w ciągu dnia dużo pracuję.

Mam już małą książkę dziecka. Czy mogłyby Panie napisać do nich z prośbą o przysłanie loczka jej włosów, żebym mogła wkleić do książki? To znaczy za jakiś czas, bo teraz ma chyba mało włosków.

Kupiłam sobie dużą lalkę i ubrałam ją tak samo, jak była ubrana Betty. To nie było mądre, prawda?

[...] Przesyłam każdej z was mały podarunek na znak mojej wdzięczności. Mam nadzieję, że się wam spodoba. Ponieważ zostało mi trochę materiału, uszyłam powłoczkę na poduszkę do łóżeczka, w którym spała Betty.

[...] Czy miały Panie jakieś wiadomości od rodziców Betty, gdy wrócili z nią do domu? Tak bym chciała wiedzieć, jak się ona czuje.

[...] Wyrabiam teraz z ceraty odbojniki do drzwi. Pewnie widziały je Panie. Sprzedaję po dolarze za sztukę, więc mam trochę pieniędzy.

Minęło upalne lato, a Minka nadal pisała listy do Domu Miłosierdzia. Nawet ona nie sądziła, że ta korespondencja będzie trwała tyle czasu. W sumie napisała równo sześćdziesiąt listów. Zawsze pytała o pannę Bragstad i dziewczęta przebywające w ośrodku. Opowiadała, co się działo w jej życiu. W każdym liście przewijało się rozpaczliwe błaganie o wiadomości, jakiekolwiek, o malutkiej dziewczynce z jedwabistymi włoskami.

Choć rzadko dowiadywała się czegoś o córce i nigdy nie dostała loczka jej włosów ani niczego innego na pamiątkę, pisała i prosiła przez prawie

dwadzieścia lat.

* * *

Minka nawet nie zauważyła, że minął rok od wydarzenia nad jeziorem Scatterwood, tamtego sierpnia, Macka i „tego”. Dziewczyna, którą była przed wyjazdem na piknik, wydawała się kimś ledwie znajomym.

Jej wnętrze wypełniała nieobecna córeczka. Minka czuła, że poddanie się tym potężnym emocjom, które ją rozpierały, doprowadziłoby do tragedii. Świadomie powściągała swoje uczucia, tak jak wujek ściągał uzdy swoich dużych, łagodnych koni pociągowych, Dicka i Doca, gdy była mała i mieszkała u niego na farmie.

Ulgę niosła jedynie samotność. Kiedy Minka ścierała kurze popołudniami, oddawała się marzeniom, wiedząc, że skwar w pokojach na piętrze szybko osuszy łzy na policzkach. Nocami zaś, gdy Jane już od dawna spała obok niej, Minka w ciszy moczyła łzami poduszkę, czując w ramionach i sercu pustkę po swoim dziecku.

Zdumiewające, jak nieustępliwy był to ból.

Przynajmniej nie musiała już doić krów. Panna Bragstad przekonała Jennie, że Minka powinna żyć normalniej, tak jak inne młode dziewczęta. Honus zatrudnił kilku mężczyzn do pracy w mleczarni, dzięki czemu Minka i Jane miały znów takie same obowiązki jak na farmie wujka, zajmowały się domem i ogrodem. Gdy nastały jesienne chłody, robiły przetwory z gruszek, doglądały małych indyczek i kopały kartofle, z wydajnością stu dwudziestu pięciu buszli w trzy dni, co skutkowało naciągnięciem mięśni.

Pod koniec października, gdy w dalekim Nowym Jorku zaczynał się krach na giełdzie, małżeństwo z Aberdeen najęło Minkę do sprzątania domu. Zarabiała dolara na dzień. Miała dryg do takich robót, była dokładna i sumienna. W każdą niedzielę, na kilka godzin, zabierała do siebie dwoje

dzieci swojej chlebodawczyni, żeby pani mogła odpocząć. Ilekroć Minka brała na kolana dwuletnią dziewczynkę, czuła ciężar ciepłego ciała Betty Jane.

W każdej chwili mogła powiedzieć, w jakim wieku jest jej córka: ile dokładnie ma miesięcy, tygodni i dni. Tylko nikt o to nie pytał. Nikt nic nie wiedział i o nic nie pytał.

Minka traciła na wadze, miała zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Jennie omijała smutny temat. Jedynie późną nocą rozmawiała z córką o swojej wnuczce, nie kryjąc, że też za nią tęskni. Szukała sposobów, by ulżyć cierpieniu Minki. Choć wizyty u dentysty uchodziły za ekstrawagancję, zaprowadziła Minkę do lekarza, żeby usunął irytujące ją brązowe przebarwienia zębów po wodzie ze studni artezyjskiej. Dentysta wybielił zęby, przemywając je wodą utlenioną. Jennie postarała się również wyprawić córce urodziny, przypadające w listopadzie, i dała jej w prezencie osiemnaście dolarów, po jednym na każdy rok życia.

Dzieciństwo Minki, które tak naprawdę skończyło się przed laty, dobiegło formalnie kresu.

W połowie listopada, gdy Betty Jane kończyła sześć miesięcy, panna Bragstad napisała list do Minki. Wspomniała, że w Domu Miłosierdzia odbędzie się obiad z okazji Święta Dziękczynienia, na który, z braku indyka, zamierzają podać kurczaki. Napisała również kilka słów o Betty Jane, których Minka nie mogła się doczekać. Panna Bragstad rzadko się dzieliła wiadomościami na ten temat, a gdy już skreśliła parę słów, Minka czytała jej list na okrągło, aż kartka papieru była niemal w strzępach.

> Mała Betty Jane czuje się doskonale. Doniesienia od pastorostwa są nad wyraz pozytywne. Zwracają się do nas ich znajomi, piszą, że chcieliby adoptować równie miłe dziecko. Betty Jane bez wątpienia miała szczęście, trafiając do takiego domu.

Minka, wdzięczna za te informacje, od razu zapakowała do klatki indyka ze stada Jennie i wysłała do panny Bragstad. Potem robiła to przez wiele lat, jeśli tylko w gospodarstwie były indyki, a jeśli ich nie było, przesyłała kilka dolarów.

Boże Narodzenie zniosła z trudem. Choć w domu Honusa nie przystrajano choinki i nie wręczano prezentów, w kościele rozbrzmiewała świąteczna muzyka, a w mieście rozwieszano lampki. W dzień Bożego Narodzenia praca w gospodarstwie toczyła się jak zwykle, jedynie w przerwach między obowiązkami Minka i Jane siadały przy ciepłym piecu, jadły indyka albo ciasto, słuchały kolęd w radiu.

Minka inaczej już patrzyła na świat. Wszędzie widziała dzieci, opatulone w kocyki przed zimnem; umęczone matki biegały od sklepu do sklepu, wypuszczając na zimnie obłoczki pary z ust, kupowały jedzenie i prezenty gwiazdkowe. Wstydziła się prosić, żeby dały jej potrzymać dziecko, choć ręce same jej się wyciągały. Próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda pierwsze Boże Narodzenie Betty Jane.

Przygotowała prezenty dla kobiet z Domu Miłosierdzia i dołączyła list.

[...] Ciekawa jestem, jak jej się podobało Boże Narodzenie. Wyobrażam sobie, że siedzi na wysokim krzesełku i przygląda się kolorowym lampkom. Proszę napisać, co dostała na Gwiazdkę i jak jej się podobała choinka.

Brakuje mi jednego i założę się, że wie Pani, co mam na myśli. Nigdy nie czułam atmosfery świąt i po tym wszystkim pewno nigdy nie poczuję. Co najwyżej w Duchu Bożym, i tyle. [...]

Pozdrawiam wszystkich

Minnie

PS Proszę koniecznie spytać, czy Betty podobało się Boże Narodzenie.

* * *

Pewnego razu Minka i Honus spędzali wieczór w domu, przy nowym radiu produkcji Atwatera Kenta. Jennie i Jane poszły załatwić jakieś sprawy. Przez szumy i trzaski przebijał się głos prezentera kończącego odczytywanie ponurych informacji o lokalnych cenach zbóż i ogólnokrajowych kursach akcji, których ruchy przybrały formę spadku swobodnego. Minka nie potrafiła przejmować się jak dawniej kłopotami innych ludzi. Jej własne serce było aż nadto zbolałe.

Po wiadomościach nastąpiła przerwa wypełniona trzaskami, a potem popłynęła muzyka, utwór na instrumenty smyczkowe i fortepian. Zabrzmiała pieśń wykonywana przez śpiewaczkę głosem delikatnym jak krople deszczu i pełnym żalu.

Ponieważ nie było Jane, przy której Minka musiała się kontrolować, jej emocje łatwo znalazły ujście. Po policzkach popłynęły gorące łzy, z gardła wyrwało się łkanie i wstrząsnął nią szloch. W geście bezradności na przemian to splatała dłonie, to wycierała policzki.

Honus tarł dłońmi o nogawki roboczych portek. Przez chwilę liczył na to, że w drzwiach zaraz stanie Jennie, że wróci wcześniej i pospieszy mu na ratunek, ale nie doleciał go warkot podjeżdżającego pod dom samochodu. Z takim lamentem stykał się jedynie podczas pogrzebów. Nie wiedział, co robić. Czy okaże Mince najwięcej serca, gdy uda, że nie widzi jej łez?

Dziewczyna była mu bliska jak własna córka, silna, choć drobnej budowy, teraz wymizerowana z rozpaczy wciągającej wszystko jak wir. Wstał, przeszedł kilka kroków, przystanął. Usiadł koło Minki. Otoczył szczupłe ramiona lewą ręką, lekko, delikatnie.

Siedzieli w milczeniu, sterany rolnik i zapłakana dziewczyna. Razem strzegli ducha, strzegli małego dziecka, które nigdy nie znajdzie się pod dachem tego domu.

* * *

Skończyła się śnieżna zima. Na początku 1930 roku bystry młody Clyde Tombaugh, mieszkaniec stanu Kansas, odkrył planetę Pluton, ale bliżej domu było niewiele powodów do radości. Każdego dnia upadał jakiś bank, radio informowało o coraz bardziej przygnębiających wydarzeniach. Ludzie ruszali w drogę, wskakiwali do pociągów w biegu z nadzieją, że gdzieś na trasie znajdą pracę.

Z bocznicy po drugiej stronie drogi przychodzili do gospodarstwa rodziny Vander Zee wygłodniali mężczyźni, prosząc o strawę: „Choć trochę, łaskawa pani, cokolwiek”. Minka i Jane dawały im kartofle i suchary, stawiały talerz za talerzem, postępując zgodnie z odziedziczoną po przodkach zasadą: człowiek robi to, co należy. Nakarmiły tylu, ilu mogły, ale kolejni ciągle pukali do drzwi.

Minka wpadała w zmienne nastroje. To ogarniało ją przygnębienie, to tryskała energią i układała plany na przyszłość, która będzie coś warta, dla dobra Betty Jane. Większość tych pragnień miała się nie ziścić z powodu Wielkiego Kryzysu i braku pieniędzy, ale samo snucie marzeń pomagało jej odpędzić smutek. Ponieważ na studia w college’u przyjmowano bez świadectwa ukończenia szkoły średniej, Minka napisała do Augustana Academy z prośbą o przysłanie informatora. Uczelnia mieściła się koło Sioux Falls, niedaleko Domu Miłosierdzia i panny Bragstad, nierozerwalnie związanych z Betty Jane.

Minka zapisała się do chóru kościelnego i zaczęła pobierać lekcje gry na pianinie, choć nie miała własnego instrumentu do ćwiczeń. Chcąc towarzyszyć Jennie w podróży do Holandii później tego roku, oszczędzała na utrzymaniu i chowała pieniądze do szuflady w komodzie. Marzyła o podróży za ocean, o przygodach i niebezpieczeństwach.

Nie miała już nic do stracenia; to, co najważniejsze, straciła.

Zbliżały się pierwsze urodziny Betty Jane. Minka ponad wszystko pragnęła wysłać córce prezenty, choćby anonimowo, ale panna Bragstad wytłumaczyła jej w liście, że to niemożliwe. Zawiedziona, nie pozwoliła się zniechęcić i postanowiła zrobić podarunki dla dzieci z Domu Miłosierdzia.

Honus dał jej pieniądze na zakup tkanin, nici i ozdób. Co wieczór, gdy Jane poszła spać, Minka i Jennie siedziały do późna w nocy. Uszyły osiem sukieneczek, jedenaście śliniaków, cztery kocyki, trzy koszulki – te były najtrudniejsze – i trzy opaski na główkę noworodka, zrobione ze wstążki.

Podczas pracy Minka widziała oczami wyobraźni, jak Betty Jane drepcze po domu, stawiając niepewnie kroki i łapiąc się pulchnymi rączkami wszystkiego dokoła. Zastanawiała się, czy już wyrosły jej włosy i czy się kręcą.

Wkrótce po pierwszych urodzinach wnuczki Jennie wyjechała do Holandii, którą opuściła jako dwudziestojednoletnia matka. Jej dwumiesięczny pobyt miał być dla krewnych niespodzianką, nawet dla jej ojca.

Ostatecznie Minka nie mogła z nią pojechać, ale odprowadziła mamę na dworzec. Gdy się uściskały na pożegnanie, wsunęła jej do ręki zdjęcie Betty Jane, które Honus zrobił przed Domem Miłosierdzia.

– Weź je ze sobą – szepnęła – na szczęście. – Po chwili wyrwało jej się: – Spoglądaj na nią cały czas!

Może to było naiwne, ale Minka chciała, żeby jej maleństwo zobaczyło kraj przodków, nawet jeśli dotrze tam tylko na fotografii.

Po roku od powrotu do domu dochowywanie tajemnicy zaczęło Mince ciążyć. Wyczerpały ją płacze w poduszkę, robienie po nocach prezentów dla panny Bragstad, pisanie listów pod nieobecność Jane. Minka była gotowa wyjawić siostrze prawdę. Czuła, że Jane odsunęła się od niej,

wyczuwając, że coś jest nie w porządku, że domownicy coś ukrywają. W końcu Jennie uznała, że nadszedł czas.

* * *

– Dziecko?

Jane wbiła wzrok w Minkę, tak jakby się dowiedziała, że w oborze mieszkają nie krowy, lecz słonie.

– Tak. Dziewczynkę.

– Ty? Ty urodziłaś dziecko?

Siedziały same w swoim pokoju. Zaczęło się od tego, że Jane, która ostatnio często była rozdrażniona, zapytała z irytacją: „Kiedy wreszcie przebierzesz się do snu?”.

Minka przygotowała się do tej rozmowy, zawczasu wyjęła ze schowka drogocenne zdjęcie córki. Trzymając je obiema rękami, podała siostrze.

Jane zdziwiła się jeszcze bardziej. Usiadła na skraju łóżka i podsunęła zdjęcie pod lampę. Długo siedziała nieruchomo, w milczeniu. Niewiele brakowało, by Minka wzięła ją za ramiona i potrząsnęła.

– Dlatego więcej nie nosiłaś tej sukienki – zauważyła Jane, nie podnosząc głowy.

Minka zerknęła na szafę zaskoczona tą uwagą. Uprzytomniła sobie, że siostra ma rację. Zielona sukienka z aplikacją w kształcie jabłka, uszyta przez nią z taką dumą, wisiała w szafie od tamtego sierpniowego dnia, gdy Betty Jane została poczęta. Jane pożyczała ją sobie bez pytania, po wyjeździe siostry, ale Minka już nigdy jej nie włożyła.

W ciągu prawie dwóch lat od tamtego pamiętnego pikniku Jennie wyjaśniła Jane podstawowe sprawy dotyczące poczęcia i urodzenia dziecka. Jej córki już nie spędzały większości życia odizolowane na farmie mlecznej. Choć były potrzebne w mleczarni, zwłaszcza gdy nastały ciężkie

czasy, Honus i Jennie zdali sobie sprawę, dzięki pannie Bragstad, że życie dziewcząt nie może ograniczać się do pracy.

Jane nadal pomagała Jennie w domu, ale miała więcej swobody: mogła odwiedzać koleżanki, chodzić na imprezy i spotkania towarzyskie pod opieką starszej osoby. Wiedziała, jak toczy się życie, jak wyglądają zaloty i małżeństwo. Była pewna, że dzieci nie przynoszą bociany. Ale to, co powiedziała jej Minka, zupełnie ją zaskoczyło.

– Nie byłaś u *tante* Hogerhide? – zapytała, nie odrywając oczu od zdjęcia.

– Byłam u niej kilka miesięcy. Potem mieszkałam w Luterańskim Domu Miłosierdzia w Sioux Falls, w pięknym ośrodku dla dziewcząt takich jak ja... to znaczy nie całkiem takich. O większości z nich raczej nie można powiedzieć, że stawiały opór.

Do tej pory Minka dusiła w sobie słowa, które miały związek z jej dzieckiem, wystraszona, że się wygada w obecności siostry. Teraz płynęły jedno za drugim, jak woda przelewająca się przez
tamę.

– Za domem był ogród z kwiatami. Podczas pobytu tam nie pracowałam... Wyobrażasz sobie, że można nic nie robić całymi tygodniami? No, ale byłam wielka jak szafa. Urodziłam w szpitalu. Przez pięć tygodni zajmowałam się moją dziewczynką. Cały dzień i całą noc byłyśmy tylko we dwie.

– Mama nie pozwalała mi wyjmować listów ze skrzynki. Nie mogłam zrozumieć dlaczego.

– Jest najsłodszym dzieckiem na świecie. Nawet panna Bragstad i panna Questad, które prowadzą ten dom, tak mówiły. Tamci ludzie... jej nowi rodzice... powiedzieli, że przerosła ich oczekiwania. Znajomi tych państwa chcą adoptować takie samo dziecko.

– Nie mogę w to uwierzyć – mamrotała Jane, jakby głucha na ten potok słów.

Minka usiadła koło siostry, żeby ją pocieszyć. Nie przyszło jej na myśl, że to Jane powinna pocieszać ją.

– Przepraszam za te kłamstwa. Mama i pastor Kraushaar tak mi kazali. Uważali, że to konieczne. Że tak będzie lepiej również dla ciebie. Nikt nie miał się dowiedzieć.

Jane obrzuciła spojrzeniem Minkę.

– Pastor Kraushaar też wiedział?

– Pomógł wszystko załatwić. Był bardzo życzliwy. A co ty wtedy myślałaś? Czasem wydawało mi się, że coś wiesz.

Jane pokręciła głową i pochyliła się nisko nad zdjęciem, które wciąż trzymała pod lampą.

– Nie miałam pojęcia. Nigdy bym się nie domyśliła. Przypuszczałam, że chodzi o ciotkę, ale nie mogłam zrozumieć, jaki niecny uczynek należało trzymać w tajemnicy nawet przede mną. Byłam taka zła, że nie chcesz mi powiedzieć.

– A czego dopuściła się ciotka według ciebie? – zapytała Minka, uśmiechając się na myśl, że ta nieatrakcyjna kobieta mogła zrobić coś gorszącego.

– Najróżniejsze rzeczy przychodziły mi do głowy. Może ktoś siedział w więzieniu? Może jej syn napadł na pociąg czy na bank? Przemycał alkohol? Nie rozumiałam, o co chodzi. Wiedziałam jednak, że to musi być jakaś okropna sprawa, skoro nie możesz mi o niej powiedzieć.

– To prawda. Było mi bardzo ciężko, że nie mogę porozmawiać z tobą o mojej córeczce. Nie wyobrażasz sobie, jak ciężko. Kocham ją nade wszystko. Nie mogłam uwierzyć, że tak mocno ją kocham. Popatrz, jaka jest piękna.

Niespodziewanie łzy zalśniły w jej oczach i spłynęły po policzkach, nim zdążyła je powstrzymać. Sięgnęła po zdjęcie.

– Nie chciałam się z nią rozstawać. Nigdy w życiu. Ale oni mówili, że tak będzie łatwiej. Że zapomnę. Wcale nie jest łatwiej. I nigdy nie zapomnę. Wciąż nie chcę być z dala od niej.

Jane wpatrywała się w swoją siostrę i miała wrażenie, że na jej oczach dokonała się w Mince kompletna przemiana.

– Wybrałam dla niej imię – mówiła cicho Minka. – Chciałam to zrobić, zanim... zanim...

Słowa o rozstaniu z dzieckiem zawsze więzły jej w gardle, jakby dławiła się łzami. To się nigdy nie zmieniło. Całą sobą buntowała się, gdy miała je wypowiedzieć.

– ... zanim wyjadę. – Z lubością oznajmiła: – Dałam jej na imię Betty Jane.

Po chwili, gdy to do niej dotarło, Jane wykrztusiła:

– Jak ja?

– Tak. Drugie imię ma po tobie.

Ich spojrzenia się spotkały. Na ustach Jane pojawił się ciepły uśmiech. Minka pomyślała wtedy, że jej śliczna siostra nigdy nie była piękniejsza.

* * *

Minka i Jane jeszcze kilka lat mieszkały na farmie. Tam dorosły. Rozmowy z siostrą o Betty Jane, choć dotykały żywej, niezabliźnionej rany, przynosiły ulgę. Wyznanie prawdy sprawiło, że na nowo zacieśniła się więź między siostrami. Słuchając opowieści Minki, Jane nie mogła się nadziwić, że dotyczą jej cichej, spokojnej siostry. Wszystko zaczęło do siebie pasować i znów były sobie bliskie jak dawniej.

Minka przestała chować listy od panny Bragstad, a Jane mogła wyjmować przesyłki ze skrzynki.

Czas płynął. Betty Jane skończyła pięć lat. I wtedy w życiu Jennie, Minki i Jane kolejny raz nastąpiła gwałtowna zmiana.

Część druga

Tęsknota

26 lutego 1935

Kochana Panno Bragstad!

Mój ojczym odszedł z tego świata 28 stycznia, po zaledwie pięciu dniach zmagania się z zapaleniem płuc.

Nie mamy słów, żeby wyrazić, jak go nam brakuje. Był dobrym, uczciwym człowiekiem i zawsze starał się postępować właściwie. Tak chwalił małą Betty Jane. Nigdy nie zapomniał o niej w dniu urodzin. Ani w Boże Narodzenie. Tęsknimy za nim każdego dnia.

Miała Pani ostatnio jakieś wiadomości o Betty Jane? Nie mieści mi się w głowie, że za trzy miesiące skończy sześć lat. Bardzo mi żal, że nie poznała swojego dziadka, który tak dobrze o niej mówił. I bardzo się cieszył, że dziecko ma porządny dom i dostaje staranne wychowanie.

Gorąco pozdrawiam

Minnie

Rozdział dziewiąty

1935–1944

Minka zobaczyła go pierwszy raz, gdy popychając ramieniem drzwi, wchodził ze skrzynką jabłek i drwiącym uśmiechem. Serce zaczęło jej walić jak szalone. Na pewno dało się zauważyć falowanie sukienki.

Stanęła za kontuarem, starając się zachowywać jak ekspedientka, która z wprawą obsługuje klientów i prowadzi sklep, choć i jedno, i drugie było dla niej nowym, ekscytującym doświadczeniem.

Jeszcze nigdy nie widziała tak przystojnego mężczyzny – szczupła sylwetka, ciemne włosy, idealnie zarysowane kości policzkowe. Był niewysoki, ale dobrze się prezentował – w porządnym garniturze i kapeluszu, który szykownie nachodził na czoło i przysłaniał ciemne oczy o ujmującym spojrzeniu. Wypisz, wymaluj gwiazdor filmowy. Postawił skrzynkę na ladzie i popatrzył Mince w oczy.

– Dzień dobry – powiedział.

Minka chwyciła się krawędzi drewnianego kontuaru. Przypomniała sobie o uśmiechu. W głowie miała kompletną pustkę. Za jej plecami rozległ się głos Cecila, który stał przy ladzie z mięsem.

– Cześć, Roy. Jak leci?

Mężczyzna wolno przeniósł wzrok na Cecila. Minka obejrzała się za siebie zadowolona, że ktoś inny będzie prowadzić rozmowę z nieznajomym. Cecil w zasadzie też był obcy, ale przynajmniej nie wprawiał jej w taki stan.

– Nie narzekam – grzecznie i spokojnie odrzekł Roy.

Znów spojrzał na Minkę. Ich oczy znajdowały się prawie na tym samym poziomie. Żałowała, że nie jest trochę niższa. Mężczyzna pochylił głowę i dotknął dwoma palcami ronda kapelusza.

– Nazywam się Eugene LeRoy Disbrow – rzekł – ale wszyscy mówią do mnie Roy.

Zrobiło jej się sucho w gardle.

– A ja Minnie... To znaczy Minka. Mówią do mnie Minnie. Miło pana poznać.

Do rozmowy wtrącił się Cecil:

– Matka Minnie kupiła ten sklep. Dopiero wczoraj się wprowadziły do mieszkania od tyłu i jeszcze nie wiedzą, co jest co. – Spojrzał na Minkę. – Roy jest handlowcem, pracuje dla Jewett Brothers. Codziennie będzie ci przywoził owoce. Długo się znamy... od szkoły.

– Jesteście tu nowe? – zapytał dostawca.

Minka pokręciła głową. Starała się zebrać myśli, ale bezskutecznie i w końcu bąknęła:

– Nie.

– Nie pamiętam, żebyś chodziła do Central High.

Ogarnęło ją znajome uczucie wstydu. Uniosła brodę i odparła:

– Nie chodziłam do szkoły. Ale od urodzenia mieszkam w okolicy. Prowadziliśmy Sunnyside Dairy. Musieliśmy sprzedać mleczarnię tego

lata... po tym jak w styczniu umarł mój ojczym. Mama i siostra załatwiają coś w mieście.

Gdyby była tu Jane, już by śmiało z nim flirtowała, ale poszła z mamą kupić materiał na nowe zasłonki. Minka nie miała pojęcia o flirtowaniu.

Roy wskazał kciukiem za siebie.

– Przyniosę jeszcze kilka skrzynek. Zaraz wracam.

Gdy wyszedł, w sklepie zrobiło się pusto.

Cecil odciął tasakiem następny kawałek wołowiny na pieczeń. Wkrótce przyjdą klientki, żeby zrobić weekendowe zakupy.

– Cały Roy – mruknął pod nosem.

Dostawca obrócił dwa razy, zanim przyniósł wszystkie skrzynki ze śliwkami, morelami i wiśniami. Minka wyszła zza kontuaru i pochyliła się nad towarem.

– Te są ładne – powiedziała, wskazując jabłka – ale śliwki jakieś małe.

Po co ten rzeczowy ton? Należało wdać się z nim w pogawędkę, Minka nie umiała jednak prowadzić towarzyskiej rozmowy o niczym. Od razu zaczęli się targować. Może Jane miała rację: jej siostra jest beznadziejna w kontaktach z mężczyznami.

– Rzeczywiście są małe – zgodził się Roy – ale dobrze, że w ogóle są. Chyba jeszcze nigdy tak źle nie obrodziły. Te pochodzą z północy. Lepiej popatrz na wiśnie.

Podał jej garść. Nie było rady: musiała pokazać mu ręce. Wzięła owoce i je pomacała.

– Te to co innego. Mają ładny kolor i są jędrne. Doskonale nadają się na placek.

– Założę się, że robisz świetny placek z wiśniami – powiedział Roy.

Minka zerknęła na niego. Miał rozbawioną minę, nie wiadomo czemu.

– Nauczyłam się jeszcze w dzieciństwie. Cała sztuka polega na tym, żeby zrobić dobry spód. Jeżeli doda się do ciasta trochę octu i włoży do gorącego pieca, to wyjdzie ładne i kruche.

Roy zaśmiał się i spojrzał na Cecila.

– Na pewno do ciebie wpadnę, gdy będę potrzebował przepisu.

– Och... hm... sam też dasz radę...

Te pogaduszki wydawały jej się bez sensu. Słowa więzły jej w gardle. Czegoś tu nie rozumiała.

Dostawca wrócił do interesów.

– No i są tanie. – Wskazał na wiśnie. – Najtańsze owoce, jakie mam. Cena spada szybciej niż podaż.

– O tak, przyszły ciężkie czasy dla biednych farmerów – westchnęła Minka. – Tak mi ich żal. Niektórzy wszystko stracili.

– No to ile bierzesz?

Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i wsadził lewą rękę do kieszeni.

– Hm... czy ja... – Minka spojrzała na Cecila i potem znów na Roya. – Nie wiem, ile przedtem... co im było potrzebne. Nie wiem, co będziemy...

Roy pstryknął palcami.

– Zróbmy tak. Zostawię ci parę skrzynek, tyle co zwykle, a ty po kilku dniach zobaczysz, czy to za mało, czy za dużo.

– Dobry pomysł – przytaknęła, oddychając z ulgą.

Już polubiła ten sklep. Podobało jej się, że panuje tu czystość i porządek, no i że nie ma bydła. Chciała szybko poczuć się tu jak u siebie.

Dostawca przesypał owoce do sklepowych koszy, pogadał z Cecilem o wspólnych znajomych i znów dotknął ronda kapelusza.

– Do zobaczenia jutro, szanowna pani – powiedział na pożegnanie.

Mówiono do niej „pani” już wcześniej, ale od czasu gdy zaczęła wykonywać konkretny zawód, tak zwrócono się do niej po raz pierwszy. Przepełniała ją pogoda ducha. To było nowe życie, o jakim marzyła, nowy początek. I to jaki udany.

– Do widzenia, Roy. Miło było cię poznać.

Odwrócił się i wyszedł. Zaszurały zamykające się za nim drzwi.

– Cały Roy – mruknął znowu Cecil nieprzeniknionym tonem.

* * *

Gdy na początku roku Honus zmarł nagle na zapalenie płuc, Minka nie przypuszczała, że tak ją to zasmuci. Choć nie pozwolił jej chodzić do szkoły i pod wieloma względami ograniczył jej życie, życzliwie mówił o Betty Jane, a jej samej zastępował ojca, bez którego się wychowała.

Kilka lat wcześniej jej brat John wystąpił z marynarki po długiej służbie i wrócił do Aberdeen. Ożenił się z uroczą dziewczyną Dorothy, która stała się Mince bardzo bliska. Kiedy Dorothy zaszła w ciążę, Minka zwierzyła jej się – jej, a nie własnemu bratu – że ma dziecko. Dorothy urodziła dziewczynkę i dała jej na imię Betty Joanne, dla uhonorowania dziecka szwagierki, którego nigdy nie poznała. Minka uwielbiała bratanicę, zaledwie dwa lata młodszą od swojej imienniczki; zabawy z nią koiły jej serce i zarazem przysparzały bólu. Gdy John i Dorothy przeprowadzili się do odległego Rhode Island, Minka musiała się rozstać z jeszcze jedną małą dziewczynką.

Wielki Kryzys trwał już ponad pięć długich lat. We wczesnych latach trzydziestych farmerzy, którym udało się utrzymać gospodarstwa, wykorzystywali niesprzedane zboże do palenia w piecach kuchennych i grzewczych. Kraj nękały plagi. Roje świerszczy niszczyły uprawy na powierzchni milionów akrów. Potężne burze pyłowe zwiewały wierzchnią

warstwę gleby na terenach zbyt pospiesznie oczyszczonych z trawy preriowej i zasypywały całe farmy, dziesiątkowały rośliny, blokowały dopływ światła, zabijały wszystko, co nie usunęło się z drogi.

Wielu farmerów, którzy zdołali przetrwać rozmaite kataklizmy, w końcu dobiła susza. Suche pola płonęły od iskier przejeżdżających pociągów. Od węgielków wylatujących z komina lokomotywy spaliły się jabłonie i śliwy Jennie i niemal cały zbiór lucerny Honusa.

Mimo to wpojony Jennie i Honusowi zmysł oszczędzania – choć zatrzymał nastoletnią Minkę na farmie – pozwolił rodzinie Vander Zee nie tylko przetrwać Wielki Kryzys, ale nawet zgromadzić trochę pieniędzy. Po śmierci Honusa w styczniu 1935 roku Jennie na znak żałoby nosiła czarne suknie. Szybko podjęła jednak konkretną decyzję o sprzedaży mleczarni i zabezpieczeniu bytu córek.

Dowiedziała się, że jest na sprzedaż sklep spożywczy w Aberdeen, położony o rzut kamieniem od wysokich murów Szpitala Świętego Łukasza. Prowadzenie sklepu spożywczego wydawało się rozsądnym przedsięwzięciem, zwłaszcza że znajdował się tam dział mięsny, obsługiwany przez doświadczonego rzeźnika. Ludzie nie wydawali pieniędzy na luksusy, ale musieli jeść. Marna pogoda w ostatnich czasach utrudniała produkcję żywności na własne potrzeby. Jennie złożyła ofertę. Po dwudziestu dwóch latach od przyjazdu do obcego kraju, kiedy to miała pod opieką trójkę dzieci i ledwie znała angielski, owdowiała emigrantka z Holandii stała się właścicielką firmy i nieruchomości.

Do sklepu przylegało wygodne mieszkanie z sypialnią dla Jane i Jennie oraz z zamkniętą werandą, gdzie spała Minka. Minęło trochę czasu, nim przyzwyczaiła się do spania samej, ale była bardziej niezależna niż siostra i mama. W wieku prawie dwudziestu czterech lat rozkoszowała się myślą, że wreszcie ma własne łóżko i ciche pomieszczenie tylko dla siebie.

Z rzadka jedynie wracało wspomnienie tamtego dnia nad jeziorem Scatterwood. Utrata Betty Jane przyćmiła inne bolesne doświadczenia. Mimo lat cierpień Minka niczego nie żałowała – wszystko wynagradzało jej posiadanie córki. Starała się nie myśleć o Macku, zapomnieć tamten sierpniowy dzień.

Nadal prowadziła korespondencję z panną Bragstad.

10 marca 1931

Jak jej się wiedzie? Mama przywiozła dla niej (z Holandii) dwa małe chodaki. Możliwe, że by na nią pasowały. Ogromnie byśmy chcieli choć przez chwilę popatrzeć, jak w nich drepcze. [...]

6 maja 1931

Czy słyszała coś Pani o mojej córeczce? Może ją Pani widziała? Pewnie duża z niej dziewczynka. Im jest starsza, tym bardziej za nią tęsknię. Wiem jednak, że ma wspaniały dom i wspaniałych rodziców, więc nie powinnam się martwić, ale u matki to chyba naturalne. Życzę jej wszystkiego najlepszego i wielu długich lat.

W niedzielę jest Dzień Matki. Niech Bóg ma ją w swej opiece. [...]

20 maja 1931

Jeszcze tylko kilka słów i wysyłam tę paczkę dla mojej córeczki. Mam nadzieję, że jest zdrowa i zadowolona i że świętowanie tych urodzin raduje jej rodziców tak samo jak ją. [...]

Czekam na rychłą odpowiedź i jeśli to możliwe, wiadomości o mojej Betty Jane.

6 sierpnia 1931

Moja córeczka bez wątpienia rośnie jak na drożdżach. I jest małą psotnicą, jak to dzieci w jej wieku. Cały czas próbuję ją sobie wyobrazić, ale nie jestem pewna,

czy rzeczywiście wygląda tak jak w mojej wyobraźni. [...] Czekam na dobre wiadomości o niej, bo bardzo za nią tęsknię.

Październik 1931

[...] Czy ma Pani jakieś wiadomości o Betty Jane? Jutro kończy dwa lata i pięć miesięcy. [...]

Wrzesień 1932

Nie do wiary, że Betty Jane wkrótce skończy cztery lata. [...] Proszę mi o niej napisać, jeśli Pani się z nią widziała albo rozmawiała. Jest już dużą dziewczynką, na pewno ma mnóstwo do powiedzenia. [...]

Listopad 1933

No cóż, panno Bragstad, zapewne męczy Panią odpowiadanie na tysiące pytań takich jak moje, ale chciałabym się dowiedzieć, co słychać u mojej dużej dziewczynki. Czy jest jak dawniej szczęśliwym maleństwem, pełnym ufności?

Gdyby tylko zechciała Pani, w miarę możliwości, odpowiedzieć na te pytania, byłoby mi dużo łatwiej. Niekiedy tak ciężko jest iść do przodu, więc gdybym od czasu do czasu czegoś się o niej dowiedziała, bardzo by mi to pomogło. Słońce rozbłyskuje wtedy takim blaskiem, że aż trudno wytrzymać.

Jesienią przyszłego roku Betty Jane pójdzie do klasy zerowej. Jeszcze trochę, a wyrośnie z niej młoda dama. Dla mnie wciąż jest tylko maleństwem.

Grudzień 1934

[...] wiem, że rodzice Betty Jane są również bardzo zajęci przygotowaniami do świąt, i nie tylko. Pewnie spora z niej dziewczynka. Jak daje sobie radę w szkole?

Mijały lata, a Minka wcale nie myślała rzadziej o Betty Jane. Próbowała wyobrazić sobie, jak rośnie jej córka. Z trudem dawała wiarę, że „maleństwo” chodzi już do szkoły, ma kokardy we włosach i zawiera przyjaźnie. Zastanawiała się, czy Betty Jane też jest chorobliwie nieśmiała,

jak kiedyś ona sama. Miała nadzieję, że nie. Modliła się o wszystko, co najlepsze, dla swego dziecka. Choć jej wiara ciągle była w zarodku, Minka nigdy nie modliła się tak często jak po wyjeździe z Domu Miłosierdzia.

Gdy pisała listy do panny Bragstad, wyobrażała sobie, że Betty Jane stawia idealne, równe litery, ucząc się alfabetu. Była pewna, że jej córeczka jest mądra, ładna i dobra.

W wyobraźni Minki odznaczała się samymi dobrymi cechami.

* * *

Następnego dnia po ich pierwszym spotkaniu Roy dostarczył Mince więcej owoców i trochę mniej przyjemności z flirtowania. Zapewne doszedł do wniosku, uznała, że prostej ekspedientki z wykrzywionymi rękami nie warto czarować wdziękiem. Przyjęła to niemal z ulgą. Mogła udawać, że Roy jest zwykłym znajomym, z którym robi interesy, i że nie dostrzega jego pociągającej urody.

Zachowywali się wobec siebie naturalnie i swobodnie. Roy przychodził każdego ranka, razem przeglądali skrzynki z owocami i zazwyczaj jednakowo oceniali ich jakość. Po kilku miesiącach Minka prowadziła już sklep sprawnie i pewnie. Obsługiwała klientów, składała zamówienia przez telefon i decydowała o wyborze towarów oferowanych przez handlowców.

Gdyby nie ciągły żal po utracie Betty Jane, każdy dzień dawałby jej całkowite zadowolenie, jak nigdy przedtem. Przestała być cichym obserwatorem. Kierowała swoim losem i miała udział w rodzinnych interesach. Jedno i drugie sprawiało jej ogromną satysfakcję. Życzliwe zainteresowanie, jakie okazywała jej panna Bragstad w czasie pobytu, choć niezbyt długiego, w Domu Miłosierdzia, pomogło Mince rozkwitnąć. Ku swej radości coraz łatwiej nawiązywała kontakty z ludźmi, również z obcymi.

Gdy kobiety chodziły po sklepie, wkładając produkty do koszyków, ich dzieci wędrowały prosto do kontuaru. Stały na nim słoje z lśniącymi cukierkami sprzedawanymi na sztuki. Za pięć centów nabierały do papierowej torebki trochę kandyzowanych orzeszków ziemnych, trochę żelków z lukrecją i trochę czekoladowych ciągutek. Minka traktowała dzieci jak najlepszych klientów, cierpliwie pomagając im dokonywać trudnych wyborów.

Delikatne małe dziewczynki niemal zawsze przypominały jej o Betty Jane. Jedna z nich, z ciemnymi loczkami i słabością do dropsów cytrynowych, pewnego razu powiedziała, że ma sześć lat. Mince aż zaparło dech w piersiach na myśl, że to może być jej Betty Jane. Gdy spojrzała na starszą siostrę dziewczynki i jej matkę, zauważyła, że wszystkie mają takie same ciemne oczy i gęste brwi, a zatem najwyraźniej są spokrewnione. Odetchnęła głęboko i troskliwie je obsłużyła.

Sklep był czynny przez sześć dni w tygodniu, ale jeśli zdesperowani klienci pojawili się w niedzielę, przed nabożeństwem albo po nim, Jennie otwierała drzwi i dawała im potrzebne produkty. Jane prowadziła księgowość, co miesiąc wysyłała faktury. Gdy Jennie kupiła samochód, obie córki dzielnie nauczyły się prowadzić i na zmianę dowoziły zamówienia. Wieczory spędzały na szyciu, słuchaniu nowych programów w radiu, zwłaszcza nadawanego
w odcinkach *Fibber McGee and Molly*, i na spotkaniach z sąsiadami. Jennie zaprzyjaźniła się z pielęgniarkami ze Szpitala Świętego Łukasza, które w przerwach między zmianami przychodziły do niej odpocząć; wchodziły przez sklep do mieszkania i ucinały sobie drzemkę w jednej z sypialń.

Rozmowy Minki z Royem już nie ograniczały się do jakości owoców. Minka nabrała śmiałości i często wypowiadała swoje zdanie na różne tematy. Nieraz przyłączał się do nich Cecil. Rozmawiali o wydarzeniach

w kraju: o katastrofalnych tornadach wiosną 1936 roku czy o przedsiębiorcy Howardzie Hughesie, który bił rekordy w lotach samolotem i rozwinął przemysł lotniczy, jeszcze nieistniejący w czasie gdy trójka przyjaciół przyszła na świat. Komentowali przebieg olimpiady w Berlinie, gdzie czarnoskóry lekkoatleta Jessie Owens wprawił w zakłopotanie hitlerowskie Niemcy. Minka słuchała radia co wieczór, czytała gazety, gdy tylko mogła, i zapamiętywała wszystko, czego się dowiedziała.

Wydarzenia w szerokim świecie mogły wpłynąć na życie jej córki i dlatego każda wiadomość, bardziej i mniej ważna, miała znaczenie.

Pogawędki z Royem i Cecilem sprawiały przyjemność całej trójce. Minka była świetnym kompanem. Być może tylko tyle jest mi pisane, stwierdzała w duchu, widząc, że zbliża się do staropanieństwa.

Aż pewnego dnia, dwa lata po tym jak Minka stanęła za kontuarem sklepu spożywczego i zaczęło się dla niej nowe życie, Cecil poszedł kupić sobie kanapkę i wtedy, pod jego nieobecność, Roy umówił się z Minką na randkę.

* * *

Już osiem lat Minka rozpaczliwie tęskniła za kimś, kogo nie mogła mieć przy sobie; wydała na świat dziecko, ale nigdy nie wypuściła go z duszy. Cóż to była za zmiana – a nawet pewnego rodzaju ulga – gdy w jej życiu pojawił się człowiek pragnący, żeby się nim zainteresowała.

Roy zabrał Minkę do Capitol Theatre, gdzie obejrzeli pełnometrażowy film animowany, cudowną *Królewnę Śnieżkę i siedmiu krasnoludków*. Dwa miesiące później film *Brawura* wprawił ich oboje w stan ekscytacji. Roy zachwycił się szaleńczymi wyczynami głównego bohatera, który grał

lotnika, a Minka na zawsze straciła kawałek serca dla występującego w tej roli aktora, przystojnego Clarka Gable’a.

Innym razem poszli na dansing do parku Wylie. To znajome miejsce z jeziorem Minne-Eho zawsze napawało ją lekkim smutkiem. Tu utonął jej ojciec, niedaleko pawilonu, w którym grała orkiestra i tańczyły pary, spocone i rozbawione, pod rozpiętymi na sznurach lampkami. Ale fakt, że jest tu z kawalerem, jak zwyczajna dziewczyna, wreszcie w ślicznej sukience, wprawiał ją w doskonały nastrój. Kiedy po latach smutku człowiek jest szczęśliwy i zakochany, ma wrażenie, że urodził się na nowo.

Do tej pory Minka miała okazję tańczyć tylko z powłóczącym nogami Honusem. Nie znała kroków, nie wiedziała, co to prawdziwy taniec. Roy był świetnym tancerzem i cierpliwym nauczycielem. Jego zdaniem cała sztuka tańczenia polega na tym, żeby być miękkim w kolanach.

– Kochanie – mówił spokojnie – teraz musisz pozwolić mi prowadzić. – Przykładał do jej pleców ciepłą dłoń, która wydawała się niczym kotwica, dreszcz obietnicy.

Jakiż on był pewny siebie, obyty, zdolny i bystry! Przesiedziawszy tyle lat w cieniu, skrępowana w towarzystwie, zażenowana swoimi dużymi rękami i stopami, napatrzywszy się na znajome z kościoła, które wyszły za mąż i założyły rodziny, Minka niemal dostawała zawrotów głowy u boku Roya. Tylko pomyśleć, że ona, niedouczona dziewczyna z przeszłością, idzie pod rękę z najprzystojniejszym mężczyzną w mieście.

Początkowo spotykali się niezobowiązująco: szli na spacer albo do kina w weekendy. Pory roku następowały jedna po drugiej. Najważniejszym tematem był już nie stan gospodarki, lecz mały, rozzłoszczony kanclerz Niemiec o nazwisku Hitler, który pożerał Europę kawałek po kawałku. Roy i Minka mogli rozmawiać ze sobą chyba o wszystkim. Ich umysły pracowały w podobny sposób, myśleli szybko, byli dociekliwi. Nawet jeśli

Roy nigdy wyraźnie nie powiedział swojej dziewczynie, że jest ładna, to okazywał jej takie względy, że czuła się prawie ładna.

Wszystko układało się doskonale do dnia, gdy Cecil wspomniał o żonie Roya.

* * *

Roy dostarczył zamówienia złożone dzień wcześniej, po czym oparł się łokciem o kontuar i zapalił papierosa. W swoich planach codziennie rezerwował teraz trochę czasu na pogawędki z Minką.

Tego dnia rozmowa zeszła na sprawy zagraniczne. Japonia prowadziła wojnę z Chinami. Hiszpania walczyła sama ze sobą. Niemcy szykowały się do wojny ze wszystkimi.

– Wiadomo, że powołają nas do wojska – zauważył Roy, nie pierwszy zresztą raz. Spodziewał się tego każdy młody mężczyzna. – Tam w Niemczech... nie dzieje się nic dobrego. Ten gość się nie zatrzyma.

– Na to wygląda – przytaknął Cecil, siedząc na stołku i wycierając ręce ścierką po tym, jak skończył porcjować kurczaki.

Po chwili odezwała się Minka.

– Może nie będziemy musieli się włączać. Załóżmy, że to się skończy, zanim tam dojedziemy.

Podczas poprzedniej wojny światowej, zwanej Wielką Wojną, była dzieckiem. Wujek przekroczył wiek poborowy. Tamte wydarzenia prawie nie docierały do ich odosobnionej farmy. Honus walczył we Włoszech, ale jeszcze przed małżeństwem z Jennie.

Minka była już dorosła i potrafiła sobie wyobrazić, czym jest wojna. Na samą myśl ogarniało ją przerażenie.

– Nie sądzę. Źle to wygląda – rzekł Roy. – Tato mówi, że już to widział. Prędzej czy później Ameryka będzie musiała przystąpić do wojny i gdy do

tego już dojdzie, rozpęta się piekło. Przykro mi, kochanie – dodał, zerkając na Minkę.

– Najpierw gdzieś nas wyślą. Na szkolenie – oznajmił Cecil. – Żeby te żółtodzioby nie postrzeliły się w nogi.

– Umiem posługiwać się bronią, ale nie chcę iść do piechoty – oświadczył Roy i klepnął się po spodniach. – Zastanawiałem się nad tym. Jeżeli będę musiał, chcę być w lotnictwie. Latać myśliwcem.

– Matko Święta! – zawołała Minka, wycierając jabłka ręcznikiem, żeby ładnie lśniły. – Chcesz być lotnikiem, Roy? Przecież ty nie umiesz kierować samolotem.

– Nie umiem, ale oni człowieka nauczą. Najpierw go szkolą, potem wysyłają.

– Jak można się zaciągnąć? – zainteresował się Cecil. – Trzeba zaliczyć jakieś testy? Chodzić przedtem na kurs?

– Musisz tylko przejść badanie lekarskie, jak żołnierze zawodowi – wyjaśnił Roy. Odwrócił głowę i wypuścił dym z papierosa, starając się, żeby nie poleciał na Minkę. – Kłopot w tym, że nie chcą przyjmować mężczyzn powyżej dwudziestu ośmiu lat. Nie na pilotów.

– Nie masz trzydziestki, jak ja? – spytał Cecil.

– Dopiero skończy – wtrąciła Minka. – Piątego września – dodała z dumą, nie mogąc się pohamować. Dziewczyna powinna wiedzieć takie rzeczy o swoim chłopcu.

– No właśnie, ale wymyśliłem sposób, żeby to obejść. – Roy pochylił się do przodu i ciągnął z przejęciem: – Znajomy powiedział mi, że rejestrując się, trzeba mieć świadectwo urodzenia. Wezmę świadectwo młodszego brata.

– Którego? – dopytywał się Cecil.

– Pewnie Roberta. Między nami jest osiem lat różnicy. Tylko będę musiał nosić jego imię.

– A jeżeli to się wyda? – wtrąciła się Minka zaniepokojona. Nie podobało jej się naginanie zasad.

– O rety, kochanie, jak przyjdzie co do czego, będą zadowoleni z byle frajera w oddziale.

Minka układała w koszyku wachlarz z jabłek, przypominający bukiet kwiatów. Nie znał nikogo, kto przykładałby taką wagę do wyglądu różnych rzeczy, poczynając od witryny sklepowej, a kończąc na jej wąskiej, idealnie wyprasowanej spódnicy. Sam też lubił porządek i cenił tę cechę u innych.

– Zdaje się, że Roosevelt nie ma ochoty wysyłać tam naszych chłopców – odezwał się Cecil.

– W końcu to zrobi – odrzekł Roy. – Ja raczej nie będę stał i czekał. Jeżeli Kanada włączy się pierwsza, pojadę tam i wstąpię do Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych.

– Gdy do tego dojdzie, wszystkim będzie ciężko. – Cecil pokiwał głową. – Kobietom w kraju, rodzinom...

– Ciężko jest zwłaszcza wtedy, gdy nie ma wiadomości – przytaknęła Minka. – Musimy jednak wytrwać i robić to, co trzeba. Człowiekowi nie pozostaje nic innego. Poza tym – dodała nieśmiało – mogę pisać listy.

Cecil spojrzał na nią i przeniósł wzrok na Roya.

– Oczywiście, kochanie, możesz do mnie pisać – odparł Roy.

Zapadła cisza. Roy zaciągnął się papierosem. Cecil odchrząknął.

– Miałeś ostatnio wiadomości od swojej żony? – zapytał.

Roy spojrzał na kolegę.

– Nie, ostatnio nie.

– Od kogo? – wtrąciła się Minka.

Ustawiała równo na półce puszki musu jabłkowego. Pytanie Cecila było tak absurdalne, że w ogóle nie uchwyciła sensu.

Znowu zapadła cisza.

– No... hm... od żony – powtórzył Cecil, siląc się na zdawkowy ton.

Przez chwilę myślała, że to żart. Widziała, że Roy wpatruje się w Cecila, że przestał się uśmiechać. Krew uderzyła jej do głowy. Musiała się chwycić brzegu kontuaru, żeby nie ugięły się pod nią nogi. Nie mogła poruszyć ustami.

– Rozwodzimy się – powiedział chłodno Roy.

– Masz żonę? – Odzyskała głos, ale nie brzmiał normalnie. – Jesteś żonaty?

Spojrzał na nią z uwagą. Nagle gorąco zapragnęła znów zobaczyć ciepło w jego oczach.

– Byłem. Sprawa zamknięta.

– Co... gdzie ona jest? – dopytywała się Minka.

Roy zgasił papierosa, obciągnął marynarkę.

– W Black Hills. Ma gruźlicę. Wystąpiła o rozwód.

Minka nie wiedziała, co powiedzieć.

Roy wbił wzrok w Cecila, a ten wytrzymał jego spojrzenie.

– Pobraliśmy się zaraz po szkole średniej – rzekł Roy, spoglądając ponownie na Minkę. – Wyjechała dawno temu. Nie układało nam się. To skończone, kochanie.

Cecil wstał, zdjął fartuch i położył go na ladzie. Wziął kapelusz.

– Idę się przejść, Minnie – powiedział. – Cześć, na razie.

Roy milczał.

Cecil zamknął drzwi. Zapadła cisza.

– To skończone, możesz mi wierzyć – powtórzył Roy. – Nie mam jeszcze papierów, ale...

– Kiedy ją poznałeś? – Minka zwykle nie przerywała Royowi, ale teraz jej świat przewrócił się do góry nogami.

– W szkole. Byliśmy za młodzi do małżeństwa, a potem ona zachorowała i musiała wyjechać, i wszystko... – wzruszył ramionami – się rozpadło.

– Wciąż ją kochasz?

– Nie. Myślę, że kiedyś ją kochałem, ale... teraz już nie.

Minka stała nieruchomo.

– Zajmę się tym przed wyjazdem – oświadczył.

Po tych słowach zmienił temat. Lekko i swobodnie, tak jak prowadził ją na parkiecie.

* * *

Minka nie miała pojęcia, co robić. Zastanawiała się, kto jeszcze wie o tej nieobecnej żonie. Co powie mama? Całe życie Minki, wyjąwszy jedno szczególne zdarzenie będące poza jej kontrolą, pozostawało całkowicie w zgodzie z wymogami przyzwoitości i konwenansów. Ani razu nie opuściła niedzielnego nabożeństwa; wiedziała, co mówi Pismo Święte o rozwodach. Co sobie pomyślą kobiety ze zboru? Jakie zdanie będą mieć o niej rodzice i bracia Roya?

Chciała złapać go za ramię i wymusić odpowiedzi. Ale jej ciało działało jak automat, obsługiwało kolejnych klientów.

Jak mam postąpić? – zastanawiała się gorączkowo. Dlaczego zachowywał się tak, jakbym była jego dziewczyną? Czy w ogóle mu na mnie zależało?

Uprzytomniła sobie, że była głupia. To jasne, że nie traktował jej poważnie. Jak ktoś taki jak Roy mógł się zainteresować taką dziewczyną jak ona? Choć przecież nie mogła nie zauważyć, że w następnych dniach okazywał jej większe względy i jeszcze bardziej o nią zabiegał.

A jednak, mimo strachu, niepewności i wątpliwości, prawda dawała o sobie znać z każdym dniem coraz dotkliwiej. Minka nie chciała stracić Roya. I tak za dużo już straciła.

Gdy minął pierwszy wstrząs, zaczęła wałkować sprawę w myślach jak bryłę ciasta. Jak on mógł ukrywać przed nią prawdę? No ale jakie miała prawo wypowiadać się na temat mrocznych tajemnic z przeszłości?

Niemniej... żona?!

Roy przychodził do niej dzień w dzień i rozbrajał ją swoim urokiem. Minka nabrała śmiałości i wyznała mu wszystko o Betty Jane, a on, słysząc te rewelacje, oczywiście nie mógł nawet zmarszczyć brwi. Nie w tej sytuacji. Potraktował ją z całą delikatnością i życzliwością. Jego nastawienie przypieczętowało więź, jaka ich
łączyła.

Tymczasem życie biegło wartko, odciągało uwagę od prywatnych kłopotów. Nadal krążyły pogłoski o wojnie. Hitler złamał postanowienia traktatu wersalskiego i dokonał remilitaryzacji Nadrenii, potem przyłączył Austrię i Sudety do Rzeszy. W marcu 1939 roku, po zajęciu Czechosłowacji, Niemcy już defilowali ulicami Pragi. Wielka Brytania i Francja wolały patrzeć w inną stronę.

– Jeżeli Niemcy zaatakują Polskę, zacznie się wojna – powiedział do Minki Roy.

Myśl o tym, że Roy zginie w powietrzu gdzieś nad Europą, nie dawała jej spać. Gorąco modliła się o bezpieczeństwo ukochanego, natomiast w ogóle nie przyszło jej do głowy prosić Boga o pokierowanie jej własnym

życiem, o pomoc w podjęciu decyzji, czy wyjść za Roya. Bóg miał w jej odczuciu wielką moc, ale był oschły i daleki. Prawdopodobnie i tak nie prosiłaby Go o radę: jej serce pragnęło mieć Roya tylko dla siebie.

Może Minka też wolała patrzeć w inną stronę? Nigdy nie podjęła rozmowy o kobiecie, która miała słabe płuca i mieszkała w Black Hills.

* * *

Pod koniec znojnych lat trzydziestych wojna przesłoniła sprawy i prywatne, i społeczne. W porównaniu ze wszystkim, z czym Minka dotychczas miała do czynienia, praca w sklepie sprawiała jej najwięcej zadowolenia. Było oczywiste, że codzienność zwykłych ludzi ulegnie wkrótce zmianie. Minka czuła, że nadciągają czarne chmury, i postanowiła wywrócić swoje życie do góry nogami.

John zamieszkał z żoną w Rhode Island; Dorothy pracowała na nocną zmianę w fabryce konserw. Któregoś dnia Minka dostała od niej list z pytaniem, czy nie chciałaby się przeprowadzić i opiekować wieczorami ich córką.

Roy, którego zaprzątały własne plany wstąpienia do wojska, radził jej pojechać.

W lipcu 1939 roku Minka zapakowała swoje rzeczy do walizki, mocno uścisnęła Jennie i Jane i wpadła w ramiona Roya, rozkoszując się jego czułym pożegnaniem. Zdenerwowana i podekscytowana, wsiadła do pociągu zmierzającego na Wschodnie Wybrzeże.

Providence było gwarnym miastem, piętnaście razy większym od Aberdeen pod względem liczby mieszkańców. Dostała pracę w sklepie pewnej żydowskiej krawcowej, gdzie mierzyła i kroiła tkaniny wełniane i jedwabne, sprzedawała też artykuły pasmanteryjne. Każdego ranka jechała autobusem do śródmieścia, lawirowała tam wśród trolejbusów, solidnych

czarnych aut i zaskakująco licznych przechodniów. Wieczory upływały jej na uroczych zabawach i pogawędkach z ośmioletnią bratanicą. Bywało, że robiły razem zakupy albo przesiadywały w pięknym ukwieconym parku Rogera Williamsa.

Choć Dorothy była miłą towarzyszką, Minka tęskniła za Jane. Ale najbardziej brakowało jej Roya – jego męskiej siły i uroku, ich żywych rozmów, poczucia pewności i bezpieczeństwa, jakie daje związek z drugim człowiekiem.

Dwa miesiące po wyjeździe Minki z Aberdeen, 1 września, hitlerowskie Niemcy dokonały kolejnej agresji: napadły na Polskę. Tego było już za wiele. Dwa dni później Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Niedługo potem kanadyjski parlament po raz pierwszy samodzielnie wypowiedział wojnę i Kanada włączyła się do działań.

Roy nie wyobrażał sobie, że nadal będzie handlował owocami, gdy na froncie toczą się walki. Ze świadectwem urodzenia swojego brata Roberta, starannie złożonym w kieszeni, wsiadł do pociągu jadącego na północ. Pół roku po przybyciu do Montrealu rozpoczął służbę w Kanadyjskich Królewskich Siłach Powietrznych. Listy krążące między nim a Minką scementowały ich uczucia.

Następnej wiosny, gdy armia niemiecka wkroczyła do Holandii, przestały przychodzić prywatne wiadomości. Jennie czekała w niepokoju pięć lat i dopiero po zakończeniu wojny dowiedziała się, że jej rodzina przeżyła.

Gdy po rocznym szkoleniu Roy został pilotem, Minka postanowiła go odwiedzić w Montrealu. Zapakowała do walizki najlepsze ubrania, w większości uszyte własnoręcznie, z pomocą leciwej sąsiadki włoskiego pochodzenia. Koszmarne robocze farmerki należały do przeszłości.

Pierwszy raz wyjeżdżała za granicę, ubrała się więc pięknie: wzięła ze sobą szyte na miarę kostiumy z dopasowanym żakietem, z paskiem albo szarfą w talii. Przypięła do piersi broszkę. Włosy starannie ułożyła w fale i zaczesała za uszy, spinając wsuwkami. Zaprzyjaźniona Włoszka uszyła jej śliczny kapelusik w kształcie furażerki. Zawadiacko przechylając kapelusik w prawo, tak jak Roy nosił furażerkę, Minka z dumą kroczyła obok swojego kawalera. Starała się zawsze wkładać miękkie rękawiczki, choć Roy nigdy nie żartował z jej dużych, powykręcanych rąk. Ani razu, do końca życia.

Spacerowali po zielonych parkach Montrealu w słoneczne letnie dni. Już nie byli dziećmi bujającymi w obłokach – Minka kończyła trzydzieści lat za parę miesięcy – ale wojna wprowadzała do wszystkiego jakieś podniecające napięcie. Roy miał być wysłany do Anglii i latać na bombowcach wraz z lotnikami RAF-u. Kto wie, czy wróci do kraju? A jeśli został im dany tylko ten dzień, tylko ta chwila?

Wydawało się, że dany im czas nieubłaganie się kończy.

Pożyczonym od Dorothy aparatem Minka raz po raz fotografowała umundurowanego Roya. Choć sama zazwyczaj wolała patrzeć przez obiektyw, kilka razy też pozowała do zdjęć. Roy chciał mieć jakąś rzecz, która będzie mu o niej przypominać. Jak miliony kobiet na świecie Minka obiecała, że będzie czekać na swego mężczyznę, dochowując mu wierności.

A potem, po ostatnich szczepieniach przeciw ospie, Roy wyjechał. Minka wróciła do Rhode Island. Cztery miesiące później, 7 grudnia 1941 roku, Japonia zbombardowała bazę marynarki wojennej Pearl Harbor. Ameryka przystąpiła do wojny. Ludzie, którzy przelewali krew podczas pierwszej wojny światowej, teraz wysyłali swoich synów na kolejną.

Gazety donosiły o ruchach wojsk. Obywatele amerykańscy, którzy nie mogli brać udziału w walkach, starali się nieść wszelką pomoc. Fabryki

w Rhode Island rozpoczęły masową produkcję bagnetów, mundurów i pokrowców na spadochrony. Na mocy rządowego programu budowy statków, uchwalonego na potrzeby wojny, w nowo powstałej stoczni ruszyła produkcja frachtowców. W bazie marynarki załadowywano świeżo upieczonych żołnierzy na ledwo co ochrzczone statki i wysyłano za morze, do walki o przetrwanie. Przed seansami w kinach wyświetlano kroniki filmowe informujące o przebiegu działań, co dla ogarniętych niepokojem obywateli stanowiło dodatkową zachętę do obejrzenia filmu.

W tych dramatycznych czasach życie Minki toczyło się dość spokojnie. Nadal sprzedawała tkaniny i artykuły pasmanteryjne, zajmowała się swoją bratanicą Betty i wysyłała listy. Pisała do panny Bragstad na każde Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie i zawsze dołączała do listu dolara „na indyka”. Co roku w maju, na urodziny Betty Jane, robiła paczkę z prezentami dla niemowląt z Domu Miłosierdzia.

Pisała również do Roya, który przebywał w Anglii. Czasem dostawała od niego krótki list albo zdjęcie. Posyłał jej swoje czarno-białe portrety, niezmiennie z tym samym dopiskiem na dole: „Na zawsze, Roy”. Nie mógł zamieszczać żadnych informacji o wykonywanych misjach, więc listy były krótkie.

Wiele lat po zakończeniu wojny Minka znalazła mały czarny notes, gdzie Roy zapisywał imiona Angielek, do których zalecał się w tamtych tragicznych czasach. Ale jej coś podobnego nawet przez myśl nie przeszło, gdy siedziała w domu i czekała na jego powrót.

Na początku 1943 roku Roy został przeniesiony do Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, nadal figurując jako Robert Disbrow. Latał tam i z powrotem przez Atlantyk, dostarczając bombowce aliantom, aż na skutek stresu dostał wrzodów żołądka. W maju 1944 roku Minka odebrała niespodziewany telefon z Nowego Jorku – od Roya, którego odesłano do

kraju na leczenie. Przeszedł operację w szpitalu wojskowym, ale lekarzom nie udało się go wyleczyć ze wszystkich dolegliwości żołądkowych. Podczas krótkiego przesłuchania w dowództwie Roy poprosił o zezwolenie na dalsze wykonywanie lotów, ale ostatecznie został z honorami zwolniony z wojska.

Wrócił do domu, na stałe. Do Minki.

Ale nie wrócił taki sam.

Rozdział dziesiąty

1944–1947

W październiku 1944 roku, tuż przed swoimi trzydziestymi trzecimi urodzinami, Minka wzięła cichy ślub z Royem w pustym kościele w Providence. Był to wojenny ślub, zwyczajny i skromny. Panna młoda miała na sobie codzienną sukienkę, własnoręcznie uszytą. Młoda para nie wyjechała w podróż poślubną; Roy od razu wrócił do pracy na nocną zmianę w stoczni, gdzie zatrudnił się jesienią po wyjściu z wojska. Minka przez pewien czas starała się jakoś wybrnąć z tego, że pracują na różne zmiany i w rezultacie ona nocą gotuje mężowi obiad, i po kilku godzinach snu wstaje i szykuje się do pracy w sklepie tekstylnym.

Gdy tego roku napisała do panny Bragstad list z życzeniami na Boże Narodzenie, pierwszy raz podpisała się jak dorosła kobieta, używając imienia Minka, a nie Minnie.

> Ciekawa jestem, co słychać u mojej małej Betty. Na pewno powinnam być z niej bardzo dumna. Jest już młodą damą, niedługo skończy szesnaście lat. Często o niej myślę i bardzo chcę, żeby zawsze przynosiła dumę i radość swoim rodzicom. Proszę napisać mi coś o niej w następnym liście, dobrze?

> [...] Dokładam się do bożonarodzeniowego obiadu w ośrodku. Z całego serca życzę wszystkim wesołych świąt. W obecnych czasach ten dom jest błogosławieństwem dla niejednej dziewczyny – sobie życzę, żebym znalazła pod choinką chłopczyka i dziewczynkę. Może szuka Pani domu dla bliźniaków?

Gdy Niemcy poddały się w maju następnego roku, Ameryka szalała ze szczęścia na widok wracających do domów synów, braci i mężów. Chcąc skorzystać z wprowadzonej niedawno ustawy o darmowej edukacji dla zdemobilizowanych żołnierzy, Roy postanowił przeprowadzić się do Minneapolis i zapisać na kurs kreślarstwa w Dunwoody Institute. Słynna Mayo Clinic znajdowała się nieopodal, więc mógłby korzystać z pomocy tamtejszych lekarzy na wypadek nawrotu dolegliwości żołądkowych.

Minka twierdziła do końca życia, że Minneapolis, z jego rozmigotanymi jeziorami i kępami gęstych zielonych drzew, jest najpiękniejszym ze znanych jej miast. Nazywano je Miastem Jezior. Widok na potężną Missisipi, która płynęła przez jego środek, był baśniowy. W śródmieściu tłoczyły się wspaniałe katedry, drapacze chmur, instytuty kultury i luksusowe hotele. Ulicami płynęły strumienie zachwycających samochodów, niosło się trąbienie klaksonów. Przechodniom mogło się zakręcić w głowach od szyldów i reklam na chodnikach. To miasto dawało schronienie dla pół miliona ludzi – gdy pokazywali się w miejscach publicznych, paradowali w najlepszych strojach.

Minka przebywała w Minneapolis przez jakiś czas, niezbyt długo, kilka lat po urodzeniu Betty Jane. Pewien przedsiębiorca z Aberdeen miał tu dom. Pracowała u niego jako gospodyni, gdy kryzys doprowadził do masowego bezrobocia w Dakocie Południowej. Wówczas była samotna i załamana, teraz jej życie wyglądało zupełnie inaczej.

Nazwisko Minki widniało na akcie własności wysokiego, wąskiego domu przy wysadzanej drzewami ulicy, zaledwie kilka przecznic od plaż

nad jeziorem Calhoun, chętnie odwiedzanym przez miłośników kąpieli słonecznych i pływania łódką. Jennie dała Mince pieniądze na wpłacenie zaliczki, co miało stanowić rekompensatę za lata dojenia krów, wiązania pęt kiełbasy i prowadzenia sklepu. Dom miał już pół wieku, wymagał odmalowania i gruntownego wyczyszczenia, ale był dostatecznie duży, by wynajmować pokoje lokatorom – Minka potrafiła wyobrazić sobie, jaki będzie piękny, gdy troskliwie się nim zajmie.

Najbardziej satysfakcjonowało ją jednak to, że na akcie własności widniało nazwisko Disbrow.

Dwa miesiące po przyjeździe do Miasta Jezior dziewczyna, która niegdyś zachwycała się nowym urządzeniem zwanym lodówką, usłyszała, jak wynalazek zwany bombą atomową w przerażający sposób położył kres drugiej wojnie światowej.

Rozkwit gospodarczy sprawił, że oboje pracowali, Roy przy taśmie w fabryce, Minka w kolejnym sklepie tekstylnym. Każdego ranka jedli razem owsiankę i pili kawę w nowej kuchni, a potem jechali do miasta, które tętniło powojennym ruchem ulicznym. Na wieczór Minka szykowała obiad, odpowiedni dla wrażliwego żołądka Roya, często jakieś proste danie z jego ulubioną białą fasolą. Potem oboje przebierali się w znoszone ubrania i remontowali parter domu z myślą o przyszłych lokatorach.

Malowali ściany, reperowali instalację wodną i kanalizacyjną, zawieszali wesołe markizy w zielono-białe paski. Roy zamocował dekoracyjne osłony na sporych rozmiarów kaloryfery i przytwierdził skrzynki na kwiaty za oknami. Minka sprzątała dom, godzinami tkwiła w suterenie, robiąc pranie jak zwykle za pomocą tary i wyżymaczki. Szyła sobie sukienki i wełniane palta dla siebie i męża.

Nowożeńcy energicznie pracowali całymi dniami. Ich noce wypełniało coś zupełnie innego – mroczne dziedzictwo wojny.

Roy wylatał około sześciuset godzin w kokpicie bombowca. Gdy podczas snu nie kontrolował umysłu, władały nim wspomnienia. Napływały wartkim strumieniem: zwięzłe rozkazy i modlitwy w ciasnych pomieszczeniach. Ekscytujący strach podczas startu. Nieustanny, nieznośny ryk silnika. Wybuchy, ogień i dym, co rusz pojawiające się za zlaną deszczem przednią szybą. Trzaski zagłuszające rozmowy z kolegami przez interkom. Kanapki i szkocka po powrocie do Londynu dla tych, co przeżyli.

Taśma wspomnień przewijała się, aż ciszę ciemnej sypialni w Minneapolis przeszyły ochrypłe krzyki Roya.

– Minka, Minka! Oni nie wrócili!

Koszmar nie ustawał. Roy krzyczał, wymachując rękami.

– Rozumiesz? Oni nie wrócili!

– Rozumiem, Roy, rozumiem – powtarzała Minka, długo starając się go uspokoić.

Mimo to z wielu ważnych powodów byli szczęściarzami. Senne zmory mijają, uważała Minka. Byli małżeństwem, mieli własny dom, zaczęli nowe życie.

Minka bardzo chciała mieć dziecko, mimo że Roy nie okazywał takiej chęci. Pustka po rozstaniu z Betty Jane nigdy się nie wypełniła.

Nie postało jej w głowie, że gdyby tego pierwszego miesiąca po przyjeździe do Minneapolis wyszła ze swojego domu, udała się dwie mile 31st Street, mijając park Powderhorn, gdzie miały się odbyć eliminacje przedolimpijskie w łyżwiarstwie szybkim, i skręciła w prawo w Longfellow Avenue, ujrzałaby, jak nastolatka o brązowych włosach, która nazywa się Ruth Nordsletten, pomaga załadować rodzinny dobytek na wynajętą ciężarówkę. Po dwóch latach pobytu w Minneapolis ojciec Ruth właśnie obejmował zbór w Wisconsin. Rodzina się przeprowadzała.

Ruth przez pierwszych pięć tygodni swego życia nosiła inne imię. Była ładną, rozsądną i otwartą dziewczyną. Szesnaście lat wcześniej młodziutka zrozpaczona matka dała jej na imię Betty Jane.

* * *

Minka czekała, aż Roy zje ostatni kęs tarty miętowej i zapali papierosa. Trzymając splecione dłonie na kolanach, siedziała obok niego na krześle, ubrana w sukienkę, która była jedną z jego ulubionych, i przyglądała się jego twarzy, przysłanianej smużkami dymu. Przez otwarte okna uchodziło nagrzane za dnia powietrze.

– Byłam dzisiaj u lekarza – powiedziała Minka, starając się, żeby jej głos zabrzmiał spokojnie. – Zrobił test... i... mam dla ciebie nowinę.

Gorąco pragnęła, żeby ucieszył się z tej wiadomości. Rok po przeprowadzce do Minneapolis Royowi przybyło zmarszczek w kącikach oczu, a na jego twarzy rzadko pojawiał się uśmiech. W czasie wojny kanadyjscy urzędnicy zapisali w aktach, że ważył zaledwie sto trzydzieści funtów; teraz był jeszcze chudszy: jego eleganckie garnitury na nim wisiały. W drodze do domu wstępował do barów na drinka, co w pojęciu Minki było zdumiewającą rozrzutnością.

Roy potrzebował czegoś, co go zaabsorbuje, czegoś pozytywnego i krzepiącego, co oderwie go od wspomnień. Czegoś innego niż alkohol, który wyzwalał u niego niemiłe zachowania. Minka była pewna, że jej wiadomość odniesie taki właśnie skutek.

Roy odchylił się na oparcie krzesła i oparł prawy łokieć o blat stołu.

– Co to za nowina, kochanie?

– No więc... – z trudem zachowywała obojętność – jak byś się czuł, gdyby nazywano cię tatusiem?

Roy obrzucił ją bacznym spojrzeniem. Wyglądał tak, jakby spodziewał się usłyszeć coś jeszcze.

– Ja... jestem w ciąży. Będziemy mieć dziecko.

Roy nie poderwał się z krzesła ani nie chwycił jej w ramiona. Nie zaczął nucić pod nosem, jak zawsze, gdy był w dobrym humorze. Nawet się nie uśmiechnął.

Spojrzał na nią spod oka.

– Jesteś pewna?

– Tak. Doktor to potwierdził. Poza tym sama wiem, bo... rozumiesz, już tak się czułam. Dawno temu. Gdy... nosiłam Betty Jane.

Minka czekała na jego słowo, ale od środka aż ją rozsadzało wszystko, co chciała mu powiedzieć. Że chce znów trzymać swoje dziecko w ramionach. Że miała w oczach łzy szczęścia, gdy wracała od lekarza do domu autobusem. Że w skrytości ducha liczy na jeszcze jedną dziewczynkę, choć równie zadowolona będzie z chłopca albo bliźniąt, płeć nie ma znaczenia.

Nie podzieliła się tymi myślami. Czekała, co powie Roy.

– A niech to, kochanie!

Nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech.

– Wiesz, że nie planowałem dzieci.

Czuła, że coś gorącego naciska na oczy od wewnątrz. Zdołała się opanować.

– Wiem. Ale wydaje mi się, Roy... że pokochasz to dziecko. Gdy tylko się urodzi. Gdy je zobaczysz, weźmiesz na ręce... wszystko się zmieni. To będzie silniejsze od ciebie.

Roy wpatrywał się w Minkę. Opuściła głowę i patrzyła na kawałek kruchego ciasta polanego czekoladą. Zza okna doleciał ją trzask

zamykanych drzwi samochodu, „kichanie” silnika.

– No dobrze.

Wzbierało w niej rozczarowanie, piekące i nieprzyjemne. Zdusiła je. Miała w sercu tyle miłości, tyle tęsknoty, że starczy na ich dwoje. Gdy dziecko przyjdzie na świat, wszystko się zmieni. Wiedziała to z własnego doświadczenia. A on się jeszcze przekona.

* * *

W ciemny sobotni wieczór w połowie grudnia, gdy drobny śnieg przyprószył zmrożoną trawę w ich małym ogródku, zaczęły się bóle porodowe. Wsiedli więc do auta i ruszyli przez miasto, przystrojone bożonarodzeniowymi lampkami i girlandami z iglastych gałązek, do wyglądającego jak ceglany zamek, ładnego Szpitala Świętego Barnaby w centrum Minneapolis. Roy oddał ją pod opiekę personelu, a sam usiadł w holu, zapalił papierosa i zaczął czytać poranną gazetę.

Minka ucieszyła się, gdy doktor Robbins zrobił jej zastrzyk w kręgosłup i znieczulił od pasa w dół. Skurcze były tak silne, że nie mogła oddychać.

Kilka minut przed trzecią rano dziecko się urodziło. Lekarz i położna stali w nogach stołu, klepali, pocierali i owijali noworodka, rozmawiając szeptem. Lekarz uniósł głowę i spojrzał na Minkę.

– Dziewczynka – oznajmił.

Minka miała wrażenie, że urosły jej skrzydła.

Wyciągnęła szyję, żeby coś zobaczyć, ale położna wybiegła z dzieckiem z sali.

– Ona, hm, zaniosła dziecko na oddział noworodkowy – powiedział doktor, stojąc między nogami Minki. – Teraz zakładam pani szwy. Urodziła pani bardzo dużą dziewczynkę.

– Jest zdrowa? – Obleciał ją strach.

– Hm, tak... była trochę sina. Ale oddycha. Więc... zobaczymy po badaniu.

Okazało się, że dziewczynka, której nadano imiona Dianna Dace, miała wadliwą zastawkę płucną; po ośmiu dniach pobytu w szpitalu jej stan się poprawił. Minka cały czas przy niej była, szczęśliwa, że po raz pierwszy karmi dziecko piersią, i wpatrywała się w duże niebieskie oczy córeczki. Wreszcie mogła rozkoszować się przytulaniem noworodka, nie przeżywając udręki na myśl, że będzie musiała się z nim rozstać. To dziecko już z nią zostanie.

Roy dał Mince jedną czerwoną różę. Jego brat Robert, mieszkający w Aberdeen, wysłał telegram, w którym zażartował sobie z Roya, przekonanego, że będzie miał syna: NAJSERDECZNIEJSZE GRATULACJE I WYRAZY NAJGŁĘBSZEGO WSPÓŁCZUCIA. SPRÓBUJ JESZCZE RAZ.

W Wigilię Minka napisała do panny Bragstad list na pojedynczej kartce wyrwanej ze szpitalnego notatnika. Tego dnia matka i niemowlę zostali wypisani ze szpitala. Minka podzieliła się dobrą wiadomością. Powiedziała, że nie posiada się ze szczęścia i że dziecko jest urocze. Jak zawsze dopytywała się o pierwszą córkę.

> Mam nadzieję, że przyjemnie spędza Pani święta. I że dostaje dobre wiadomości od Betty Jane. W maju ta panna kończy osiemnaście lat. Najlepszego! [...]

Pod koniec ciąży Minki Jennie pokonała niemal trzysta mil z Aberdeen do Minneapolis, żeby pomóc przyszłym rodzicom. Minka wróciła z dzieckiem do ciepłego, rozświetlonego świecami domu, w którym pachniało świeżo upieczonym chlebem. Dumna babcia przygotowała tyle jedzenia, że starczyłoby dla pułku wojska. Na kuchni perkotała zupa

jęczmienna na maślance, do której trzeba było tylko dodać trochę masła i syropu klonowego – wymarzone powitanie.

Minka miała rację: Roy zwariował na punkcie córki już pierwszego dnia.

* * *

Co wieczór, gdy tylko przekroczył próg domu, zdejmował kapelusz i wyciągał ręce do Dolly, jak nazywał córkę. Sadzał ją na kolanach i śpiewał wymyślane na poczekaniu melodyjki albo puszczał się z nią w tany po pokoju, a dziewczynka wpatrywała się w jego twarz. Po kilku miesiącach zaczęła wydawać pomruki do wyśpiewywanych melodii.

Minka była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Przestała pisać listy z błaganiem o strzępy wiadomości i zadawać pytania, na które rzadko przychodziły odpowiedzi; zamiast tego zapełniała wszelkimi informacjami stronice ślicznej książki dziecka. Odnotowywała każdy drobiazg: nowy ząbek, przyrost wagi, nabytą umiejętność czy nazwę ulubionej zabawki. Dianna nie lubiła, gdy zostawiano ją samą, więc Minka nauczyła się sprzątać jedną ręką, na drugiej nosząc córkę.

Nie chcąc zatrudniać niani, zrezygnowała z pracy w sklepie tekstylnym i przyjęła dzieci pod opiekę u siebie w domu w ciągu dnia. Sporo trudu wymagało przyzwyczajenie się do nowego trybu życia. Zajmowanie się maluchami – zmienianie i pranie pieluch, gotowanie jedzenia, reagowanie na złe humory – wszystko to przysparzało mnóstwa uciążliwej pracy.

Ciężko jej było przywyknąć do ciągłej wrzawy, ale z czasem weszła w rytm, prowadząc jednocześnie dom tak, jak nakazywała dawna holenderska tradycja. Codziennie wszystko szorowała. Zaraz po posiłkach zmywała naczynia i odstawiała na miejsce. Ubrania należało wieszać, nie zaś rzucać na łóżko czy krzesło. Minka nie znosiła bałaganu do tego

stopnia, że wyrzucała niemal wszystko, co uznała za nieprzydatne, również listy. Nie zachowała nawet stroniczki z obfitej korespondencji z panną Bragstad ani choć jednego listu od Roya z czasów wojny.

Natomiast zachowała niewielki zbiór fotografii, starannie ułożonych w pudełkach. Głęboko w szufladzie, gdzie nikt by go nie znalazł, trzymała zdjęcie malutkiej Betty Jane. Od czasu do czasu, gdy miała chwilę dla siebie, i zawsze w dniu jej urodzin, wyjmowała tę fotografię i rozkoszowała się wspomnieniem swojej pierwszej miłości. Jak mantrę powtarzała słowa modlitwy: „Proszę, daj jej zdrowie. Spraw, żeby była szczęśliwa. Spraw, żeby była kochana”.

W marcu państwo Disbrow pojechali do Aberdeen, gdzie w luterańskim kościele Syjonu, do którego Minka chodziła jako dziecko, odbył się chrzest Dianny. Dziewczynka była ubrana w długą białą sukieneczkę, którą Minka sama uszyła. Dziadkowie oraz ciocie i wujkowie z obu stron zachwycali się wspaniałym dzieckiem. Dianna miała wydatne kości policzkowe po matce, a po ojcu oliwkową cerę, ciemne włosy i żywe oczy.

Uroczystość przebiegła w radosnej atmosferze. Niemal nic nie zapowiadało nadchodzących kłopotów.

Po chrzcie Roy zrobił sobie zdjęcie ze swoimi braćmi, trzema przystojniakami, którzy również walczyli w ostatniej wojnie. Stoją w salonie ich matki, dwaj są uśmiechnięci, a pozostali dwaj mają pusty wzrok: „patrzą w bezkresną dal”, tak to się mówiło. Cierpieli na chorobę żołnierzy, zwaną niegdyś nostalgią, a obecnie nerwicą frontową; choć zaobserwowano ją przed wiekami, wciąż niewiele o niej wiedziano.

Jeden z braci o nieobecnym spojrzeniu wkrótce miał umrzeć z własnej ręki.

Drugi, świeżo upieczony ojciec, żył dłużej, lecz nie mniej cierpiał. Stres pourazowy, jak później nazwano tę dolegliwość, sprawił, że Roy wpadł

w alkoholizm. W niedługim czasie obudził w nim coś, co głęboko tkwiło i przesłoniło wszystko inne – doprowadził do choroby, która zniszczyła mu życie i zdruzgotała jego młodą rodzinę.

* * *

Roy i Minka Disbrowowie wyjechali z Dakoty Południowej i wrócili do Minneapolis. Choć pobierali czynsz od lokatorów mieszkających na parterze, a Minka zarabiała jako opiekunka do dzieci, nie starczało im pieniędzy. Zatrudniła się dodatkowo w drogerii i pracowała tam wieczorami i w weekendy. Nadal miała silny organizm. Nie opuściła ani jednego dnia w pracy, nawet gdy w nocy budził ją płacz zgłodniałego dziecka albo koszmarne sny męża.

Na Boże Narodzenie 1947 roku przyjechały Jennie i Jane. Choć z pieniędzmi było krucho, warunki życia znacznie się poprawiły w porównaniu ze skromną egzystencją na farmie i w latach Wielkiego Kryzysu. Trzy kobiety urządziły ucztę. Upiekły faszerowanego indyka, zrobiły rozmaite galaretki owocowe, słodkie kartofle przekładane piankami cukrowymi, kilka placków jabłkowych i orzechowych. Minka przystroiła rzadko używaną jadalnię wiankami i szyszkami, nakryła stół idealnie wyprasowanym obrusem i rozłożyła porcelanowe talerze.

Na dworze było przenikliwie zimno, ale w domu szumiały kaloryfery parowe. Roy ustawił choinkę, na której wszyscy zawieszali ozdoby. Dianna przyglądała im się z zachwytem. Jane, która uwielbiała swoją siostrzenicę, nauczyła ją marszczyć nos na żądanie.

Późnym wieczorem Minka napisała list do panny Bragstad.

Przełożona Luterańskiego Domu Miłosierdzia miała jeszcze dwa lata do emerytury. W ciągu prawie trzydziestu lat pracy Bertha Bragstad spotkała tyle młodych kobiet, że nie zdołałaby wszystkich zapamiętać, usłyszała

mnóstwo opowieści i wyjaśnień, nieskończenie wiele razy wysłuchiwała lamentów. Ale żadnej z rezydentek nie dało się porównać do tej holenderskiej dojarki, która zaszła w ciążę na skutek gwałtu, a potem zakochała się w swojej córce. Przez prawie dziewiętnaście lat utrzymywała kontakt listowny – dłuższy i częstszy, niż panna Bragstad kiedykolwiek przypuszczała. Dziewczyna przysyłała datki, własnoręcznie uszyte ubranka, podarunki, indyki, nawet w latach kryzysu i wojny.

Nigdy nie zapomniała o swoim dziecku, przez tyle lat.

Ten list miał być jednak ostatni. Młodsza córka zaczęła niedawno stawiać pierwsze kroki; starsza już dorosła, była w wieku, gdy idzie się do college'u. Minka pisałaby w nieskończoność, gdyby w odpowiedzi przychodziły jakieś wiadomości o Betty Jane. Tymczasem listy panny Bragstad zawsze były taktownie ogólnikowe. Pisała niewiele więcej ponad to, że Betty Jane „dobrze się rozwija" i „ma szczęśliwy dom".

Minka nie wiedziała, że rodzice adopcyjni dali dziecku na imię Ruth. Nie wiedziała również, że w nadchodzącym roku dziewczyna wyjdzie za mąż za dawnego kolegę, w którym się kochała od szkoły średniej.

Choć Minka tak pragnęła dowiedzieć się czegoś o córce, właściwie nie wiedziała o niej nic.

> [...] czujemy się dobrze. Jest u mnie mama, przyjechała w listopadzie. Moja córeczka skończyła rok i chyba nie muszę mówić, jak bardzo wszyscy ją kochają. Wniosła tyle radości w nasze życie. Ma duże niebieskie oczy i średnio ciemne włosy, jest bardzo podobna do Betty Jane, tyle że Betty była jaśniejsza. [...]
>
> Będę wdzięczna za odpowiedź, jeśli ma Pani jakieś wiadomości o Betty. Tak chciałabym usłyszeć, jak jej się wiedzie. [...]
>
> Proszę, Panno Bragstad, niech Pani napisze, jeśli coś będzie wiedziała. Umili mi Pani święta. [...]

Minka dołączyła do listu skarpetę z prezentem od Dianny dla dzieci przebywających akurat w ośrodku. Zakończyła tę korespondencję. Teraz zostało jedno jedyne zdjęcie, garść wspomnień i obietnica złożona w dniu, gdy rozstała się ze swoim pierwszym dzieckiem.

Nigdy nie zapomniała o Betty Jane.

Rozdział jedenasty

1947–1955

Mijały miesiące. Roy wciąż pił, a Minkę ogarniało coraz większe rozczarowanie. Im rzadziej mąż bywał w domu, tym częściej wybuchały między nimi kłótnie. Tylko w jednej kwestii zgadzali się całkowicie: gdy chodziło o ich czarującą córkę. Dianna była dzieckiem równie bystrym, jak urodziwym. Odnosiło się wrażenie, że w jej życiu wszystko dzieje się wcześnie: w pierwsze urodziny, gdy rozchylała w uśmiechu usta podobne do pączka róży, widać było dwanaście idealnych lśniących ząbków. Dwa miesiące później umiała zapinać buciki na sprzączkę. Kiedy miała półtora roku, nauczyła się na pamięć pierwszego z wielu wierszyków: *I Had a Little Pony*.

Chcąc okazać swojej córce miłość, co nie przychodziło na myśl jej własnej matce, Minka brała Diannę na ręce, tuliła ją i całowała. W książce dziecka napisała ze smutkiem: „Gdy to piszę, śpisz smacznie w łóżeczku. Miałaś taki pracowity ranek, chodziłaś na czworakach po domu, zaglądając do pokoi i szuflad, przede wszystkim do szafek mamusi, gdzie jest dużo garnków i patelni, którymi można pohałasować... Mamusia ma nadzieję, że nie będziesz rosła zbyt szybko i że zawsze będziesz taka szczęśliwa jak

dziś. Często jest inaczej, ale mamusia modli się, żeby nic nie mąciło szczęścia jej małej dziewczynki”.

Latem następnego roku Minka znów była w ciąży. Jej trzecie dziecko, syn o imieniu Donnie, urodziło się trzeciego dnia nowego 1949 roku, więc Minka miała upragnioną parkę. Donnie też był ślicznym dzieckiem: duże oczy, jasne kędzierzawe włosy i ujmujący uśmiech już po kilku miesiącach.

Roy zapisał się na kurs kreślarstwa technicznego w Dunwoody Institute. Przez dwa lata chodził na zajęcia w kratkę, robił piękne rysunki i dostawał dobre oceny, ale często był nieobecny z powodów zdrowotnych: nadal dokuczał mu żołądek. Pracował tak starannie i uważnie, że w oczach nauczycieli uchodził za „powolnego”. W istocie często miał w głowie gonitwę myśli i trudno mu się było skupić. „Zanim oni coś wymyślą, ja już mam to dawno zrobione”, mówił.

Był niewątpliwie inteligentny. Jego żona nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się boryka z wyzwaniami na swej drodze.

W ich życiu zdarzały się też miłe chwile – czasami. W niedzielę Roy czytał dzieciom historyjki obrazkowe, a Minka smażyła gofry na śniadanie i dusiła wołowinę na obiad. Nie ulegając powszechnym na początku lat pięćdziesiątych lękom przed chorobą Heinego-Medina, które powodowały, że ludzie unikali miejsc publicznych, Minka zabierała dzieci nad jezioro Calhoun, gdzie mogły pływać i łowić ryby. W niedzielne wieczory całą rodziną jechali wielkim buickiem Roya na wycieczkę wokół jeziora, a w drodze powrotnej szli na lody. Zimą, gdy ulice przykrył śnieg, chodzili na sanki.

Boże Narodzenie było wyjątkowym czasem w roku. We czwórkę szli na zakupy do domu towarowego Daytona, gdzie Dianna i Donnie ustawiali się w długiej kolejce do nadziemnego pociągu na „biegun północny”. Nawet zdroworozsądkowa Minka nie zaprzeczała istnieniu Świętego Mikołaja.

Piekła ciasteczka, które wystawiało się na dwór w Wigilię. Potem dzieci siedziały w oknach, przyglądając się płatkom śniegu spadającym z odległego ciemnego nieba. Gdy Roy i Minka przeczytali dzieciom wiersz pod tytułem *Noc wigilijna* i utulili je do snu, do późna w nocy pakowali prezenty, a przed pójściem do łóżka wystawiali na dwór szklankę z resztką mleka i talerzyk z okruszkami, które Dianna i Donnie znajdowali następnego ranka, gdy rodzice udawali, że śpią.

Minka była wprawną krawcową, od czasu gdy uszyła tamtą pierwszą prostą sukienkę nierozerwalnie związaną z Betty Jane. Roy wolał nosić garnitury kupione w sklepie, ale dla siebie i dla dzieci Minka wszystkie ubrania szyła własnoręcznie, poczynając od palt zimowych, a kończąc na kostiumach maskaradowych. Robiła nawet ubranka dla lalek Dianny, przystrojone malutkimi falbankami, koronkami i guziczkami. Gdy szli do miasta, wszyscy czworo byli „odstawieni”: Roy i Donnie mieli na sobie garnitury, kapelusze i wyglansowane buty, Minka i Dianna śliczne sukienki, kapelusze, rękawiczki i biżuterię.

Ostatecznie Jennie sprzedała sklep spożywczy w Aberdeen, przeprowadziła się do Minneapolis i kupiła całą kamienicę w odległości kilku przecznic od domu Minki. Razem z nią przyjechała Jane, wówczas trzydziestoparoletnia, nadal niezamężna. Choć Minka była zajęta pracą zarobkową i opieką nad dziećmi, matka i siostra nie posiadały się z radości, że znów mieszkają blisko siebie. Jennie zachowała nazwisko drugiego męża, Vander Zee, i dlatego Dianna i Donnie nazywali ją babcią Van. Uwielbiali zostawać u niej na noc. Rano piekła im bułeczki cynamonowe, a w tym czasie niezmiennie pełna energii ciocia Janie, ubrana w halkę, robiła porządki, tańcząc po pokojach i drocząc się z dziećmi, które ją ubóstwiały.

Radości rodzinnego życia przyćmiewał mrok nieodstępujący Roya. Teraz już co wieczór wstępował do barów. W domu nałogowo palił papierosy. Jego palce cuchnęły dymem papierosów bez filtra; Dianna i Donnie wstrzymywali oddech w chmurze wiszącej nad jego fotelem. Czasem zachowywał się jak nie on, jak ktoś obcy, bezwzględny i przebiegły. Dzieci miały się na baczności przed tym innym tatusiem.

Minka zaczęła chodzić do luterańskiego kościoła w Minneapolis, znalazła tam pokrzepienie w znajomych obrządkach. Cotygodniowe rozmyślania i modlitwy dawały jej poczucie pewności i bezpieczeństwa.

Roy jej nie towarzyszył, pewne ukojenie przynosiło mu uprawianie ogrodu. Potrafił spędzać w nim wiele godzin; przy płocie od tyłu zasadził dalie o pełnych kolorowych kwiatach, a w rogu krzak pachnącego bzu. Zrobił dzieciom piaskownicę. Tyle że nie zawsze mógł przebywać na słońcu i grzebać w żyznej ziemi. Wzywały go inne obowiązki. Zmieniała się pora roku i ogród leżał miesiącami pod śniegiem. Terapia świeżym powietrzem była czasowa.

Życie państwa Disbrowów kolebało się między mrokiem a światłem. Nieraz Roy bywał tym samym inteligentnym, czarującym mężczyzną, w którym Minka się zakochała. Cała rodzina, z wystrojonymi dziećmi, które udawały dorosłych, szła na obiad do miasta. Dianna i Donnie siadali z rodzicami przy barze, każde ze swoim napojem z piwa imbirowego, lemoniady i grenadiny, zwanym Shirley Temple, i zanurzali w nich wisienki, uśmiechając się do barmana. Latem Roy wynajmował małą chatę nad jeziorem, gdzie łowili ryby, pływali i budzili się z popołudniowej drzemki, czując, że spocone włosy kleją im się do karku. Obdarowywał żonę i dzieci prezentami: Donniemu kupił lokomotywę do coraz dłuższej kolejki, Diannie wytworną lalę. Puszczał płytę gramofonową i porywał

Minkę do tańca, jak w dawnych czasach gdy uczył ją kroków; dzieci przyglądały im się z rozbawieniem.

Choć dokładali wszelkich starań, wszystko i tak się waliło. Można by sądzić, że szczęście nazbyt wiele ważyło i na nic się nie zdało podpieranie go w nieskończoność.

* * *

Kłopoty z Dianną zaczęły się, gdy miała trzy lata. Któregoś dnia w południe, przed pójściem spać, chciała napić się wody z kranu. Minka usłyszała plusk wody cieknącej coraz dłużej i dłużej, aż w końcu weszła do kuchni.

– Dianna? Co robisz, kochanie?

Dziewczynka wpatrywała się w ścianę nad zlewem, ściskając w rączce kubeczek.

– Dianna? Chodź do łóżka.

Nie odezwała się ani nie drgnęła. Minka zakręciła kran, pogłaskała córkę po włosach i ujęła ją pod brodę. Buzia Dianny pozbawiona była wyrazu jak twarz porcelanowej lalki.

Ani namowy, ani potrząsanie nie wywoływały żadnej reakcji.

Minka wzięła Diannę na ręce i pobiegła z nią do salonu. Chwyciła słuchawkę masywnego czarnego telefonu.

– Centrala? Potrzebuję taksówki! Moja córka... coś jej jest... Przyślijcie tu taksówkę!

Serce waliło jej jak oszalałe. Z trudem łapała powietrze. Wyjęła Donniego z łóżeczka. Dianna leżała na jej ramieniu sztywna i rozpalona. Z trudem utrzymując równowagę, Minka złapała torebkę i zeszła na dół, chcąc poczekać na taksówkę na chodniku. W czasie jazdy starała się ocucić

Diannę. Chcąc jak najszybciej dostać się do lekarza, zapomniała zapłacić kierowcy za kurs.

Dianna ocknęła się następnego dnia i z pozoru nic jej nie dolegało, ale doktorzy stwierdzili, że ta śliczna dziewczynka miała poważny napad padaczkowy. Zalecili podawanie luminalu i fenytoiny w dużych dawkach, co miało powstrzymać napady, ale powodowało czasowe otępienie jej lotnego umysłu. Kiedy rozpoczęła naukę w szkole, musiała się bardzo starać, by mieć dobre stopnie, tak mąciło jej się w głowie wskutek leków i zmęczenia – do czasu gdy lekarze dobrali właściwe dawki.

Kłopoty się nie skończyły. W niedzielę, dwa tygodnie przed siódmymi urodzinami, Dianna została na noc u babci Van. Następnego ranka Roy zabrał ją do domu, żeby przed pójściem do szkoły jeszcze zobaczyła się z Minką. Na dworze zrobiło się zimno, więc Minka, z Donniem na rękach, wypatrywała ich przez drzwi balkonu na piętrze. Donnie miał prawie pięć lat, ale był delikatny i drobny jak na swój wiek, więc Minka nie wzbraniała się przed braniem go na ręce.

Patrzyła, jak Roy parkuje po przeciwnej stronie ulicy. Dianna obeszła samochód. Miała na sobie jasnobrązowy wełniany płaszczyk, który uszyła jej Minka, zapięty pod szyję przed zimnem. Podniosła głowę i pomachała Mince. Zafalowały kręcone włosy związane na karku. Ruszyła biegiem przez ulicę, zostawiając za sobą smużkę pary.

Nadjechał lśniący nowością buick sedan z ogromną metalową maskownicą. Nie miał czasu się zatrzymać, na dodatek jezdnia była śliska. Zapiszczały hamulce. Roy wrzasnął. Minka krzyknęła, bezradnie stojąc na balkonie. Ciemne loki Dianny zniknęły pod białą oponą.

Zanim Minka wybiegła chwiejnym krokiem z domu, chodnik pokrył się krwią Dianny. Na głowie widniała biała skóra z czerwonymi plamami, w miejscu gdzie auto wyrwało pęk włosów. Roy wyciągnął z bagażnika

wojskowy koc, rozłożył na oblodzonym chodniku i przeniósł Diannę. Zamrugała powiekami i otworzyła oczy.

Pojawił się sąsiad z kubkiem kakao – gest bezsilności wobec dramatu. Rozległo się wycie karetki. Kierowca popędził do szpitala,
z Minką na tylnym siedzeniu trzymającą na rękach Diannę, Roy ruszył za nim swoim samochodem.

Po wykonaniu prześwietleń i badań po kilku dniach w szpitalu stwierdzono, że stan Dianny pozwala na powrót do domu – wskutek wypadku straciła trochę włosów i na zawsze pozostał jej płaski placek z tyłu czaszki. Przez wiele następnych lat Minka bacznie obserwowała, czy nie pojawią się opóźnione skutki wypadku. Mało brakowało, by Dianna zginęła, a Minka straciła drugą córkę.

Mogła wiele wytrzymać, ale tego na pewno by nie zniosła. Była o tym przekonana.

* * *

Minka znalazła nowy kościół, w odległości spaceru od domu, należący do Chrześcijańskiego i Misyjnego Sojuszu, i tam zaspokajała swoje potrzeby duchowe. Zainteresował ją światowy zasięg jego działalności. Nabożeństwa odprawiali przyjezdni misjonarze, opowiadali fascynujące historie o plemionach kanibali z dalekich stron, o aniołach trzymających straż wokół obozowiska. Te opowieści otworzyły jej oczy na części świata, o których nie miała sposobności uczyć się w szkole.

Gdy Dianna zobaczyła, że Minka przyjęła chrzest w tym Kościele, też poprosiła o ochrzczenie. Odtąd co tydzień chodziła z matką i bratem na nabożeństwa. Minka zaczęła postrzegać Boga jako Ojca w niebiosach – Kogoś, kto interesuje się nie tylko całą ludzkością, lecz także prywatnym

życiem Minki. Nieśmiało modliła się o mądrość i dobre rady, jak ma postępować w trudnym związku z Royem.

Tej mądrości i rad potrzebowała coraz pilniej.

Pewnego dnia, Dianna była wtedy jeszcze małym brzdącem, Roy wszedł do kuchni, gdy Minka stała przy zlewie i zmywała naczynia. Chodził tam i z powrotem za jej plecami, a jego oczy ciskały błyskawice. Nagle zapytał:

– Kim on jest? Widziałaś się z nim wczoraj wieczorem?

Coś ją ścisnęło w żołądku. Płynąca woda parzyła w ręce. Minka wyregulowała kran, wyżęła zmywak i zaczęła szorować zęby widelca. Takie bezsensowne gadanie słyszała ostatnio coraz częściej, ni stąd, ni zowąd.

– Roy, przestań.

– Kto to taki? Kogo masz na boku?

Stanął za jej plecami.

– Powiedziałam, przestań. Dobrze wiesz, że nigdy cię nie zdradziłam. – Włożyła kubek w mydliny i sięgnęła po zmywak. – Kiedy, u licha, miałabym czas na coś takiego? Późnym wieczorem, po powrocie autobusem do domu? Po czternastu godzinach pracy?

Przypominał zbliżający się do celu bombowiec B-17.

– Umówiłaś się z nim dziś wieczorem, kochanie? – Znajome pieszczotliwe słowo nie brzmiało serdecznie. – Chcesz się zabawić?

Miała już dość.

– Daj spokój, Roy. Lepiej posprzątaj własne podwórko.

Przez chwilę woda płynęła, robiąc bąbelki. Raptem Minka poczuła szarpnięcie za prawe ramię. Mydliny prysnęły na ubranie. Roy obrócił ją i w tym momencie coś zamajaczyło jej przed oczami.

Pięść Roya trafiła ją w nos, łamiąc chrząstkę.

Poczuła przenikliwy ból i zaraz potem ciepło tryskającej krwi. Zachwiała się i odwróciła do zlewu. Po twarzy ciekły jej łzy zmieszane z krwią, kapały na sukienkę. Patrzyła, jak wirują w mydlinach, coraz mętniejszych i ciemniejszych.

Cios przywołał dawne wspomnienie. Miała może z siedem lat. Rąbała drewno do pieca w kuchni i gdy chciała wyjąć siekierę z kloca, trzonek odskoczył, uderzając ją prosto w twarz. Poleciała krew. Krzyki Minki ściągnęły Jennie.

Na farmie łatwo było o wypadek, a do lekarza długo jechało się bryczką. Jennie nastawiła Mince nos, przykładając kanty obu rąk, potem zakleiła go plastrem i posłała córkę do łóżka. „Leż nieruchomo”, powiedziała z troską.

Tym razem Jennie przy niej nie było i nie usłyszała pokrzepiających słów. Stała w ciszy. Poczuła rękę Roya na plecach. Drugą podsunął jej ścierkę. Pomógł wytrzeć twarz.

Żadne z nich nie zauważyło, że mała Dianna patrzy na nich, stojąc we wnęce na korytarzu.

– Chyba jest złamany – powiedziała Minka. Nigdy dotąd nie czuła się tak poniżona, tak stłamszona. – Złamałeś mi nos.

– Yyy... Musi cię obejrzeć lekarz. Chodź, zawiozę cię. – Nagle znów był przy niej dawny Roy.

Minka przyłożyła ręcznik do twarzy. Roy przyniósł jej buty. Zabrał kluczyki do samochodu i dzieci. Pomógł jej wsiąść do auta. Poprosił, żeby nie mówiła lekarzowi, co się stało. Złożył obietnicę, jaką niezmiennie składają wybuchowi mężczyźni:

– To się już więcej nie powtórzy, kochanie.

* * *

O dziwo, dotrzymał słowa. Choć wciąż pił i słyszał mroczne głosy w głowie, nigdy więcej nie uderzył żony. Nadal jednak ją dręczył, nawet może jeszcze bardziej. Zdarzało się, że spał na dworze, pod schodami na ganek, uzbrojony w dwa mosiężne kastety, chcąc odpędzić wyimaginowanych adoratorów Minki. Raz chlusnął na żonę whisky, po czym zabrał Diannę i ruszył do miasta. Minka wybiegła za nimi. Gdy zatrzymał go policjant, Roy wskazał na mokrą od alkoholu sukienkę Minki i zarzucił jej pijaństwo. Po czym wyprostował się jak struna i splunął policjantowi w twarz, za co tamten przywalił mu pałką.

Ojciec Roya już nie żył, ale matka, Florence, wciąż mieszkała pod Aberdeen. Gdy okazało się, że ma raka i musi być operowana, Roy i Minka zaprosili ją do siebie. Minka zmieniała jej opatrunki i opiekowała się nią podczas rekonwalescencji. Florence kochała swojego syna, ale nie mogła znieść tego, że pije i krzywdzi żonę, na której zawsze mógł polegać, i dzieci. Postawiła przy drzwiach wejściowych łóżko polowe, obok położyła kij baseballowy, mówiąc: „Niech no tylko przyjdzie do domu pijany, ze mną będzie miał do czynienia”.

Royowi cały czas huczało w głowie. Czytał w gazetach o amerykańskich chłopcach walczących obecnie w Korei. Nocą dwie różne wojny mieszały mu się w snach. Żeby zająć czymś myśli, chodził do kina na czarno-białe horrory, które nie działały na niego tak mocno jak własne barwne koszmary. Alkohol tłumił i rozluźniał, więc Roy pił więcej i więcej. Nie zdawał sobie sprawy, że jego manie i omamy pod wpływem alkoholu tylko się nasilają.

Rozmowa pomagała rozładować napięcie. Czasem, gdy Minka pracowała do późna, opowiadał Diannie i Donniemu makabryczne historie na dobranoc, o swoich kolegach w płonących samolotach, którzy przez

interkom błagali go, żeby ich zestrzelił. Choć latał daleko od azjatyckiego teatru wojny, opowiadał o japońskich żołnierzach, którzy torturowali jeńców, wbijając im drzazgi pod paznokcie.

Snuł takie opowieści, duchem będąc zupełnie gdzie indziej, w ogóle nie myśląc o tym, że mówi do małej dziewczynki w koronkowej koszuli nocnej i do małego chłopczyka w pajacyku ze stopkami.

Rozpaczliwie szukając nadziei i pomocy, któregoś razu Minka wybrała się autobusem do Fort Snelling, gdzie od zakończenia drugiej wojny światowej mieścił się okręgowy urząd do spraw kombatantów. Zapracowani urzędnicy nie potrafili jej pomóc, oświadczyli tylko, że na szczęście jej mąż nie bije dzieci. Podczas jednego z napadów Roy zagroził Mince rozwodem, nawet wynajął prawnika i kazał mu sporządzić pozew, w którym zarzucał żonie niestworzone rzeczy. Wkrótce potem odwiedziła ich Florence. Poszła z synową do kancelarii prawniczej, gdzie oznajmiła: „Jestem jego matką. A to – dźgnęła palcem dokumenty – jest stek kłamstw”.

Nikt nie umiał pomóc. Nikt nie umiał uzdrowić tego rozbitego człowieka.

Roy wycofał pozew. Pozostali małżeństwem do jego śmierci. Ale Minka już miała dość. Nie wytrzymywała ciągłego napięcia i gróźb ani bezsensownych napadów złości. Nie mogła znieść wystraszonych spojrzeń dzieci chowających się po kątach. Uznała, że problemem jest alkoholizm Roya, a rozwiązaniem trzeźwość. Nie ma innej możliwości.

John i Dorothy mieszkali teraz w Kalifornii. Ich zdaniem było tam przyjemnie, dużo się działo – miejsce nadawało się w sam raz do rozpoczęcia nowego życia. Leżało daleko, nad oceanem, którego Minka nigdy nie widziała. Daleko od Roya i kłopotów, których nie chciał – a może nie mógł – się pozbyć.

Minka podjęła bolesną decyzję. Sprzeda swój śliczny dom, z którego jest taka dumna. Wyjedzie z miasta, które kocha; opuści zbór; zostawi mamę i siostrę. Przeflancuje dzieci na obcy teren. I postawi swojemu mężowi ultimatum.

Będzie mógł do nich wrócić, gdy wytrzeźwieje.

Ani chwili wcześniej.

Rozdział dwunasty

1955–1961

Na lotnisku Minka uściskała mamę i siostrę. Jennie chwyciła córkę za ramiona i popatrzyła jej w oczy długo i badawczo, mówiąc bez słów: Dasz radę. Nieraz zmagałaś się z przeciwnościami. Jesteś silna i podjęłaś słuszną decyzję.

Jennie i Jane stały obok siebie, patrząc, jak Minka idzie z dwójką dzieci po płycie lotniska i wchodzi po stromych schodkach do samolotu.

– Do widzenia! – krzyknął do nich Donnie.

Minka trzymała dzieci za ręce, pomagając im wejść na pokład. Nie okazywała smutku, podobnie jak Jennie i Jane. Płakać powinno się w samotności.

Radość Donniego i Dianny z pierwszej podróży samolotem studziły myśli o tym, co musieli porzucić.

– Tatuś też jedzie? – zapytał nieśmiało Donnie.

Minka nie potrafiła dobrze tego objaśnić. Choć chciała, żeby dzieci rozumiały, co się dzieje, jak mogła to wytłumaczyć, nie mówiąc źle o ich ojcu? Na takie pytania odpowiadała ogólnikowo. „Musi zostać, bo ma pracę”. „Kocha was, ale nie może się z nami zabrać... Dojedzie później”.

Dianna nie zadawała pytań. Częściej niż Donnie była świadkiem kłótni, słyszała płacz mamy zza zamkniętych drzwi i czuła, jak wali jej serce, gdy tato zachowywał się niczym szaleniec i coraz bardziej wszystkich zastraszał.

Podczas podróży dzieci ze zdumieniem patrzyły przez okienka. Przez chwilę Minka żałowała, że nie ma z nimi Roya, który opowiedziałby ośmioletniej córce i sześcioletniemu synowi, jak bezpieczne jest teraz latanie samolotem – nie tak jak w czasach wojny i w jego koszmarnych snach. Lot wyglądał zupełnie inaczej niż misje Roya nad Europą. Ładne panie w sztywnych czapkach i szytych na miarę mundurkach roznosiły lunch i kawę. Dzieci starały się nie zważać na ostry ból w uszach i kłęby dymu papierosowego, unoszące się w kabinie.

Kalifornia dawała nadzieję. Latem tego roku, 1955, Walt Disney założył w Anaheim w Kalifornii pierwszy park rozrywki, niepodobny do niczego, co przedtem istniało, i w mowie podczas ceremonii otwarcia powiedział: „Witam Was wszystkich, którzy wchodzicie do tej szczęśliwej krainy”.

Czterysta mil dalej na północ, w tym samym Złotym Stanie, Minka miała nadzieję, że przywiodła swoje dzieci do szczęśliwszej krainy i że na tym terenie nad zatoką San Francisco rozpoczną nowe, bezpieczne życie. Starała się stłumić resztki obaw związanych z tym, że opuściła męża, przeprowadziła się daleko od matki i siostry i przez to nieodwołalnie i ostatecznie zerwała więzi z Betty Jane.

Po wylądowaniu całą trójkę powitali przy bramce John i Dorothy. Gdy szli do samochodu Johna, Minka uprzytomniła sobie, że krajobraz, który ich otacza, wcale nie przypomina jej wyobrażeń o tropikalnym skwarze i słonecznych plażach. W kalifornijskim pejzażu światło współistniało z ciemnością. Na przedmieściach Oakland chłodna letnia bryza przekomarzała się ze słońcem, natomiast San Francisco, po drugiej stronie

zatoki, tonęło we mgle tak gęstej, że niknęły w niej wszystkie miejskie wieżowce.

Z szarej mgły wystawały masywne wieże i betonowe pale Bay Bridge, łączącego Oakland z San Francisco. Przez pofalowaną zatokę płynęły łodzie, w bezpiecznej odległości od potężnych frachtowców z różnych zakątków świata, dostarczających lub odbierających towary z portu w Oakland.

– Gdzie są kokosy? – zapytał Donnie, opierając się rękami o przednie siedzenie eleganckiego auta Johna i Dorothy.

Po przeprowadzce na zachód Stanów John zaczął z powodzeniem handlować samochodami. Mieli jedno dziecko, Betty, która była już dorosła.

– Tu nie ma palm kokosowych – odparł John, wyciągając rękę do tyłu i mierzwiąc chłopcu włosy. – Ale jeżeli popatrzysz w tamtą stronę w bezchmurny dzień, zobaczysz pomarańczowe łuki mostu Golden Gate i może nawet błysk światła na Skale.

Malec słuchał z otwartymi ustami opowieści Johna o dwustu pięćdziesięciu więźniach federalnych, którzy przebywali na wyspie Alcatraz, wśród nich Robert Stroud, przemyślny i brutalny Ptasznik z Alcatraz.

– Napędzisz im strachu – wtrąciła Dorothy.

– Muszą wiedzieć, dokąd się przeprowadzili – odrzekł ze śmiechem John.

Z początku mieszkali u Johna i Dorothy, ale Minka lubiła być na swoim. Poza tym wiedziała, że brat i bratowa dawno temu odzwyczaili się od dzieci biegających z pokoju do pokoju.

Po kilku miesiącach pieniądze uzyskane ze sprzedaży nieruchomości w Minneapolis poszły na zakup małego otynkowanego domu przy Linwood

Avenue, znajdującego się w odległości zaledwie czterech mil od zatoki. Nie było tam piwnicy, a ponieważ Minka wychowała się w rejonie nawiedzanym przez tornada, z początku miała wrażenie, że dom mógłby z łatwością oderwać się od ziemi.

Ogród też nie był godzien tej nazwy, nie rosły w nim piękne dalie. Za to salon mógł się poszczycić oknem wykuszowym, półkami wpuszczonymi w ściany i wykładziną dywanową ze ślicznym różanym wzorem. Nowoczesną kuchnię wyposażono w zabudowany piekarnik. W krótkim czasie dom wyglądał doskonale, stosownie do starej tradycji DeYoungów.

Jak Jennie przed wieloma laty, tak teraz Minka została samotną matką. I podobnie jak wówczas Jennie, również stawiła czoło trudnościom i wzięła się do pracy. Gdy zapisywała dzieci do szkoły, zapytała sekretarkę Okręgu Szkolnego, czy nie szukają pracowników.

– Potrzebujemy kogoś do stołówki – odrzekła kobieta.

– Świetnie.

Dostała tę pracę. Ku swej radości dowiedziała się też, że będzie pracować nie tylko blisko swoich dzieci, ale i w tych godzinach, gdy są w szkole.

Tej jesieni, wraz z początkiem roku szkolnego, chodniki nie pokryły się pomarańczowymi i czerwonymi liśćmi. Pory roku w Oakland zmieniały się niezauważenie – jesień przychodziła mniej więcej miesiąc później, a zima była łagodna. Minka tęskniła za różnorodną pogodą na Środkowym Zachodzie, za zaspami i jeziorami skutymi lodem, który skrzył się zimą, za liściastymi drzewami w barwnych szatach, które jesienią zapierały dech w piersiach, i za jaskrawymi tulipanami, które śmiało zapowiadały wiosnę. Zawsze żyła zgodnie z wyraźnie zaznaczającymi się porami roku; adaptacja

do kolejnych zmian wywoływała poczucie przebywania w pobliżu jakiegoś rozregulowanego zegara.

Na Zachodnim Wybrzeżu panowała również inna atmosfera – w porównaniu ze znanymi Mince częściami kraju tutejsi mieszkańcy mieli bardziej liberalne poglądy, tworzyli społeczności, które w dużej mierze pochodziły z różnych rejonów świata: z Chin, Meksyku, Bliskiego Wschodu Azji czy Afryki, należały do różnych narodów i kultur, mówiły w nieznanych językach.

Minkę przytłaczały niekiedy wszystkie te zmiany. Nabrała pewności, dopiero gdy trafiła do wspólnoty religijnej Grand Avenue Alliance, w której cała jej rodzina szybko poczuła się swojsko. Siedząc wieczorami przy śpiących dzieciach, którym nie zagrażała postać zwana tatusiem, Minka wiedziała, że decyzja o przyjeździe tutaj była słuszna.

Dni upływały jej na pakowaniu kanapek, owoców i mleka, a potem na rozwożeniu papierowych toreb z lunchem do okolicznych szkół podstawowych. Nikt nie był tak obowiązkowy i pracowity jak dawna farmerka z Dakoty Południowej. Mimo to musiała zaciskać pasa.

Znalazła sobie jeszcze jedną pracę wieczorami: dzwoniła do ludzi w imieniu Amerykańskiego Towarzystwa Onkologicznego. Nie było jej stać na opiekunkę do dzieci, a John i Dorothy mieli za dużo własnych spraw, żeby jej pomagać. Musiała zostawiać Diannę i Donniego samych w domu. Między jednym a drugim telefonem
z prośbą o dotację dzwoniła do dzieci i gdy córka podnosiła słuchawkę, zawsze mówiła to samo.

– Nie podchodź do drzwi. Wszystko w porządku?

Dianna przytakiwała, po czym dziesięć minut później znów brzęczał telefon.

– Wszystko w porządku? Nikomu nie otwieraj drzwi.

Raz po raz sprawdzała, co się u nich dzieje, dopóki nie poszły spać. Po powrocie do domu późnym wieczorem poprawiała pościel, całowała miękkie policzki i wsłuchiwała się w oddechy dzieci, gorączkowo starając się wymyślić lepszy sposób na życie.

Rok po przeprowadzce do Oakland przyjechał Roy.

* * *

Obiecał, że nie będzie pił, i dotrzymał słowa. Cały poprzedni rok mieszkał w suterenie u Jennie, gdzie podlegał kontroli teściowej. Bez dzieci i bez Minki, która umiała stworzyć stabilny dom, żył w poczuciu dryfowania, braku zakotwiczenia.

Gdy rozmawiali ze sobą przez telefon, a zdarzało się to dość rzadko, Roy składał Mince obietnice. Jennie potwierdzała, że jest trzeźwy. Któregoś razu zaproponowała, że gdy zięć przeniesie się do Kalifornii, ona też to zrobi. Minka wierzyła, że Bóg każdego może zmienić. Dzieci tęskniły za ojcem. Ale zasadniczym warunkiem ich umowy było zachowanie trzeźwości. Latem 1956 roku Minka zgodziła się na jego przyjazd.

Roy złożył wymówienie w Minneapolis, kupił nowiutkiego buicka sedana i ruszył do Kalifornii. Jennie nie zamierzała zostawić go bez nadzoru, więc nie spuszczała go z oka, choć oznaczało to rozstanie z czterdziestotrzyletnią Jane.

Jane, choć zawsze odznaczała się wdziękiem i urokiem, pozostawała w tak bliskich stosunkach z matką, że nie umiała związać się z nikim spoza rodziny. Ostatnio zaczęła jednak umawiać się ze swoim krajanem z Aberdeen, niegdyś kolegą szkolnym Roya, pracującym w zarządzie przedsiębiorstwa kolejowego. Chris Froehlich nosił drogie garnitury i palił cygara. Jane straciła dla niego głowę i postanowiła na razie zostać w Minneapolis.

Tego lata prezydent Eisenhower podpisał ustawę o budowie z funduszy federalnych sieci autostrad międzystanowych, dzięki której w ciągu kilku dziesięcioleci podróż samochodem z Minneapolis do Oakland skróciła się do trzech dni. Trasa Roya i Jennie wiodła krętymi bocznymi drogami. Mijał dzień za dniem, a oni przemierzali równiny, miasta i budzące grozę Góry Skaliste, wzniesienia, jakich Jennie nigdy dotąd nie widziała.

– Och, gdybym tylko miał któryś z moich samolotów – rozmarzył się Roy, kiedy stanęli na odpoczynek – bylibyśmy na miejscu w niecały dzień. Lot nad tymi górami to dopiero jest coś.

Nigdy więcej nie usiadł za sterami samolotu i z tęsknotą wspominał uczucie, jakie ma człowiek, gdy ucieka przez chmury.

Roy i Jennie zamieszkali u Minki. Dzięki obecności mamy Minka już się nie martwiła o dzieci, gdy pracowała wieczorami. Dianna i Donnie przyjęli powrót taty z euforią. Minka – z niepewnością. Postępowanie Roya niewątpliwie wymagało podjęcia drastycznych kroków, ale z drugiej strony rodzina powinna się trzymać razem. Minka była w rozterce; chciała wierzyć, że Roy naprawdę się zmienił.

Wykorzystując swoje umiejętności kreślarskie, Roy szybko znalazł pracę. Minka ubierała odświętnie dzieci, gdy szli spotkać się z nim pod biurem. Roy z kolei lubił chwalić się nimi przed kolegami. Znów jak dawniej urządzali weekendowe wycieczki samochodem – nad jezioro Merritt, będące właściwie laguną pływową w sercu Oakland, które przypominało im, odrobinę, ukochane Miasto Jezior i ich najszczęśliwsze wspólne lata.

Gdy przychodziła jakaś szczególna okazja, jechali do Playland, do parku rozrywki na plaży w San Francisco albo do restauracji Grand Lake Drive In w Oakland, którą nazywano Club 19, ponieważ hamburger kosztował tam dziewiętnaście centów. Któregoś razu Minka opowiedziała

dzieciom, jak to w dawnych czasach cała jej rodzina – ojczym, mama, siostra i ona – piła od święta jeden koktajl mleczny na spółkę.

– Ja mogę sam wypić cały koktajl mleczny – oświadczył z dumą Donnie.

Słysząc to, Minka zrozumiała, że choć borykali się z trudnościami, jej dzieci nie przeszły tego co ona. Miały lepsze życie.

Przez pierwsze miesiące ponownego wspólnego mieszkania dorośli zachowywali się tak, jakby zawarli nieco krępujący rozejm; dzieci to wyczuwały i starały się trzymać na uboczu.

Aż pewnego dnia Roy wstąpił do baru w sąsiedztwie. Słabo oświetlone wnętrze przywitało go jak starego przyjaciela.

Gdy Minka poczuła zapach piwa, zagroziła mu konsekwencjami. Czuła się rozdarta jak nigdy dotąd. Dzieci były starsze, bardziej przywiązane do ojca, więc raczej nie udałoby się ukryć jego pijackiego zachowania. Roy złożył jej kilka drętwych obietnic, ale nie ulegało wątpliwości, że alkohol ma nad nim władzę, a on nie będzie umiał mu się przeciwstawić.

W któryś weekend wybrali się całą rodziną na przejażdżkę. Jennie siedziała z tyłu, z dziećmi. Roy prowadził, a kobiety gawędziły przez oparcie siedzenia. Ni stąd, ni zowąd Roy skręcił raptem w stronę chodnika.

Wjechał na trotuar.

Przechodnie z krzykiem przywarli do witryny drogerii. Dwa koła samochodu uderzyły o krawężnik. Ponieważ pasy bezpieczeństwa nie były jeszcze wtedy obowiązkowe – nakaz jeżdżenia w pasach wprowadzono dziesięć lat później – mały Donnie wpadł na tył przedniego siedzenia, a Diannę przytrzymała w pasie Jennie.

– Roy! Co robisz! – krzyknęła Minka.

Skręcił kierownicę. Samochód wrócił na jezdnię. Przez chwilę wydawało się, że doszło do tego zdarzenia przez nieuwagę.

Nagle Roy znowu skręcił mocno kierownicę i samochód wpadł na chodnik.

– Roy! – wrzasnęła Minka, chwytając się deski rozdzielczej i gwałtownie odwracając głowę w stronę męża. – Przestań! Jedź jak należy!

Na jego twarzy błąkał się słaby uśmiech. Obie ręce leżały na kierownicy. Z papierosa, który tkwił między wargami, spadał na spodnie popiół.

Samochód znów podskoczył, wjeżdżając dwoma kołami na chodnik. Kolejni przechodnie uciekali w bok. Jakiś mężczyzna coś zawołał, ale nikt w samochodzie nie usłyszał, co to było. W końcu Jennie ryknęła:

– Roy! Zatrzymaj się!

Roy wcisnął hamulec. Samochód stanął i wszyscy polecieli do przodu.

Jennie wzięła torebkę i wysiadła. Zabrała dzieci, po czym odwróciła się do córki. Minka wpatrywała się w Roya cała rozdygotana, oparta plecami o boczną szybę.

– *Kom maar hier, Minnie* – powiedziała Jennie.

Minka wymacała klamkę i za drugim razem otworzyła drzwi. Wysiadła i zatrzasnęła je za sobą. W czwórkę stali na chodniku, nie odrywając wzroku od samochodu, aż w końcu Roy odjechał, już
prawidłowo, po jezdni.

Nikt się nie odezwał. Ruszyli w kierunku przystanku autobusowego. Podczas jazdy Minka siedziała wyprostowana niczym kukła, miała wilgotne oczy, myślami była gdzieś daleko. Gdy dojechali do domu, samochód Roya stał na podjeździe.

Dianna pierwsza wbiegła do środka. Roy siedział na krześle w drzwiach kuchni, trzymając w poprzek kolan karabin – dziewczyna pierwszy raz w życiu zobaczyła broń. Roy wstał.

Dianna odruchowo się cofnęła. Wybiegła na dwór i popchnęła brata, mamę i babcię na chodnik.

– Tato ma broń! Uciekajmy!

Razem pobiegli do najbliższych sąsiadów, słysząc strzały za plecami. Kiedy sąsiadka dzwoniła na policję, Jennie stała w drzwiach, a Minka ze ściśniętym gardłem tuliła do siebie dzieci.

Po niedługim czasie przyjechała policja, Roya aresztowano. Gdy Minka i Jennie wróciły z dziećmi do domu, zobaczyły podziurawiony kulami sufit, pozostałości po polowaniu, jakie Roy urządził na jakieś nieodgadnione stworzenie.

* * *

Roy został natychmiast przewieziony do stanowego szpitala psychiatrycznego w Camarillo, prawie czterysta mil na południe. Minka odczekała parę tygodni, zanim pojechała z dziećmi drogą wzdłuż wybrzeża, do rozległego zakładu, gdzie pacjenci mieszkali w budynkach przypominających ośrodek misyjny. Dianna i Donnie szli między szpalerami palm z bijącym sercem i z nadzieją, że w miejscu, które wygląda jak tropikalny kurort, uda się wyleczyć ich tatę. Starali się nie patrzeć na zakratowane okna.

Zaproszono ich do gabinetu lekarza i tam po krótkiej chwili przyprowadzono Roya. Dianna z przejęciem rzuciła się ku niemu, ale naraz stanęła, wlepiając weń wzrok, który mówił: To nie jest mój tato!

Jego krucze włosy były białe jak śnieg. Luźne bawełniane spodnie i koszula wisiały na nim jak na wieszaku. Z dnia na dzień zmizerniał i się postarzał. Stał przed nimi jakiś schorowany obcy człowiek.

– Proszę. – W jego cichym głosie rozbrzmiewała rozpacz, jakiej dzieci nigdy wcześniej nie słyszały. Z paniką w ciemnych oczach mówił: – Proszę

cię, zabierz mnie do domu. Dłużej tego nie zniosę.

Poszli na spacer. Idące z tyłu dzieci słyszały strzępy rozmowy:

... przypinali pasami... zawijali w mokre prześcieradła... wstrząsy elektryczne...

Wybuchowe i nieprzewidywalne zachowanie Roya zostało wreszcie zdiagnozowane. Lekarz w białym kitlu wytłumaczył Mince, jakie procesy chemiczne zachodzą w mózgu. Powiedział, że jej mąż nigdy się nie wyleczy i ze względów bezpieczeństwa nie może mieszkać w domu. Na koniec wymienił okropną jak sam opis nazwę choroby.

Schizofrenia paranoidalna.

Minka nie rozumiała tej medycznej terminologii. Wiedziała tylko, że chce być z mężczyzną, którego kiedyś znała. I że tak się nie stanie.

Roy wrócił do Oakland, zamieszkał w małym mieszkaniu i utrzymywał się z renty. Od tej pory odwiedzał rodzinę tylko z okazji świąt i czasem czyichś urodzin – we czwórkę już nigdy nie mieszkali pod jednym dachem. Minka nie zamierzała się rozwieść; powiedziała, że będzie przy nim na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, i postanowiła dotrzymać przysięgi.

Po załamaniu nerwowym praca w pełnym wymiarze godzin była dla Roya nazbyt stresująca. Stwierdzono trwałe inwalidztwo. Dramatyczne przeżycia złamały w nim ducha.

I tak miał szczęście, że nie trafił na leczenie do kliniki położonej bliżej domu. Dwa lata wcześniej doktor Walter Freeman, wynalazca i propagator makabrycznej metody zwanej „lobotomią za pomocą szpikulca do lodu”, która w jego przekonaniu najskuteczniej leczyła schizofrenię, otworzył praktykę ledwie czterdzieści mil na południe od miejsca, gdzie tamtego przygnębiającego popołudnia Roy strzelał z karabinu w sufit.

* * *

Z czasem Jennie kupiła dom w Oakland. Któregoś popołudnia zapytała Minkę, czy nie mogłaby spędzić u niej kilku dni, ponieważ ma gorączkę i pada ze zmęczenia. Jej stan się nie poprawiał, a gorączka rosła.

Niedługo potem jedenastoletnia Dianna, wróciwszy do domu na lunch, zastała babcię Van w łóżku, nieprzytomną, z pianą na ustach. Zadzwoniła po mamę do pracy. Minka w pośpiechu wróciła do domu, szczęściem zdołała jakoś ocucić Jennie. W nocy chora zaczęła wołać raz po raz:

– Minka! Minnie! Min... Minnie... Minka! Min...

– Jestem, mamo. Wszystko w porządku. Uspokój się.

Długo uspokajała Jennie, choć ogarniał ją popłoch. Ta blada, osłabiona kobieta nie może przecież być jej niezłomną matką.

Przyjechała karetka. W szpitalu zdiagnozowano u Jennie chorobę Brighta, zapalenie naczyń krwionośnych w nerkach.

– Gdybym zaczął ją leczyć piętnaście lat temu, byłbym ją uratował – powiedział lekarz do Johna i Minki – ale teraz... – Pokręcił głową.

Po powrocie do domu Minka od razu zadzwoniła do Jane.

– Musisz natychmiast przyjechać.

Jane nie dotarła do Kalifornii na czas. Jennie, owdowiała emigrantka z Holandii, umarła 25 stycznia 1958 roku, przeżywszy niemal pół wieku w przybranej ojczyźnie. Była kochana do końca życia. Choć mieszkała w Oakland zaledwie półtora roku, w ostatniej drodze żegnały ją dwadzieścia cztery rodziny, wypełniając dom pogrzebowy pięknymi kwiatami.

Minka zajęła się wszystkim, co należało zrobić – zorganizowała pogrzeb, przyjęła żywność ofiarowaną przez członków zboru, zaopiekowała się przyjezdnymi gośćmi – ale wewnętrznie była pusta, czuła się jak liść unoszony na wietrze.

Od rozstania z Betty Jane nic nie przytłoczyło jej tak jak śmierć Jennie. W wolnej chwili opadały ją myśli, których nigdy nie wypowiedziała: Szkoda, że nie zapytałam cię, jak dałaś sobie radę po śmierci taty, czy kiedykolwiek chciałaś się poddać i wrócić do Holandii. Nigdy cię nie spytałam, co czułaś, widząc Betty Jane. Wiem, że to maleństwo ujęło cię za serce tak samo jak mnie. Czy myślałaś o niej od czasu do czasu?

Roy przyszedł na pogrzeb i uczcił pamięć kobiety, którą zawsze szanował i z którą liczył się może nawet bardziej niż z własną matką. Kwiaty od niego były najpiękniejsze: wielki bukiet czerwonych róż. Ten gest wzruszył Minkę. Znów zapragnęła, by życie nie niosło chorób, które dzielą rodziny, i nie odbierało im tych, których kochają.

Oszczędności Jennie, tak ciężko zapracowane, przeszły na jej dzieci. Lwią część dostali John i Jane. Minka uważała, że spieranie się o pieniądze po matce jest przejawem braku szacunku. Poprosiła tylko o tysiąc dolarów, które przekazała na ustanowienie stypendium imienia jej matki w Simpson Biblical College, gdzie pracowała potem przez wiele lat jako kucharka na letnich obozach.

Jennie i Minka nigdy nie okazywały sobie uczuć. Nie obejmowały się ani nie całowały na pożegnanie, nie prawiły sobie nawzajem komplementów ani czułości. Teraz jednak, po niedzielnym nabożeństwie, Minka wstępowała do niewielkiej kwiaciarni opodal cmentarza i kupowała bukiet świeżych kwiatów. Dzieci siedziały cicho w samochodzie, w którym zapach kwiatów łączył się z wyczuwalnym smutkiem ich mamy, tworząc aurę powagi i szacunku. Potem przyglądały się, jak Minka podchodzi do grobu Jennie, przeciera płytę i kładzie kwiaty.

Dopiero te ciche wizyty na grobie uzmysłowiły Diannie i Donniemu, jak głęboka więź łączyła ich matkę i babcię Van.

* * *

Doświadczenie życiowe nauczyło Minkę zbierać siły w trudnych chwilach i iść do przodu. Ale tym razem miała odbyć tę drogę z dziećmi, a posiadanie dzieci pogłębiało udrękę, gdy przychodziły ciężkie czasy. Częściej niż dotychczas Minka klękała do modlitwy. Modlenie się było czymś więcej niż samym rytuałem, raczej stanowiło coś na kształt liny bezpieczeństwa wśród codziennych wyzwań. Już nie chodziła do kościoła po prostu dlatego, że tak się robi w porządnej rodzinie. Świątynia stała się dla niej miejscem, w którym otrzymywała wskazówki, jak kierować własnym życiem, i dostawała wsparcie od innych członków zboru.

Mimo tylu zmian w domu Minka znalazła sobie zawód, w którym okazała się niezrównana. Gotowanie i organizowanie pracy w kuchni zawsze przychodziło jej z łatwością. Okręg Szkolny Piedmontu awansował ją na kierowniczkę stołówki. Musiała układać cotygodniowy jadłospis, a także wymyślać dania z kurczakiem i tłuczonymi kartoflami lub zapiekanki makaronowe z sosem serowym. Nauczyciele mieli do wyboru bardziej urozmaicone potrawy, specjalne desery, kolorowe sałatki i maślane bułeczki.

Latem Minka przygotowywała posiłki na obozach dla dziewcząt z organizacji Camp Fire Girls, a także na obozach kościelnych aż w Oregonie. W przerwach między obowiązkami wychodziła na dwór, spacerowała między strzelającymi w niebo sekwojami i oddychała żywicznym sosnowym powietrzem. Nad okolicznymi lasami piętrzyły się szczyty gór. Do jezior i strumieni spływała zimna woda z lodowców. Pod względem krajobrazu i klimatu tamte strony radykalnie różniły się od Dakoty Południowej z jej upalnym latem i płaskimi, otwartymi terenami.

Dianna i Donnie często towarzyszyli Mince podczas tych letnich wyjazdów. Dianna dzieliła pokój z Minką w obozowisku dziewcząt,

a Donnie spał z chłopcami w obozowisku po drugiej stronie drogi. Minka widywała syna w weekendy, gdy zmieniał się turnus.

– Mamo, musisz zobaczyć, jak dobrze pływam – oznajmił pewnego razu chłopiec.

W trójkę spędzali popołudnie nad głębokim jeziorem w górach. Podrastająca córka i syn skakali z pomostu, wołali, żeby Minka im się przyglądała, namawiali ją, żeby się przyłączyła. Minka nie umiała pływać, ale z radością patrzyła na rozbawione, roześmiane dzieci.

– Widziałaś coś takiego? – krzyknął Donnie, demonstrując jakąś nową akrobację.

Pragnęła, żeby był z nimi Roy – taki Roy, jakiego znała przed wieloma laty. Spodobałoby ci się tutaj, Roy. Popisywałbyś się przed nimi.

Roy nie zniknął całkowicie z życia swoich dzieci. Nawet gdy nie wiedziały, gdzie mieszka ani co robi, rzadko kiedy opuszczał ich szkolne przedstawienia. Któregoś roku, gdy Dianna pojechała bez Minki na obóz w Kanadzie, Roy przyszedł na dworzec autobusowy, żeby pożegnać się z córką. Tego lata wysyłał jej paczki z kostiumami kąpielowymi, szortami i swetrami, wszystkie ubrania supermodne i w odpowiednim rozmiarze.

Nikt z rodziny nie mógł mieć mu za złe, że cierpi na chorobę, która wywołuje taką dezorientację, i że alkohol tak zaburza jego osobowość. Kochali go mimo wszystko. Minka nie zamierzała pogrążać się w żalu. Straciwszy w życiu tak wiele, postanowiła cenić to, co niesie teraźniejszość.

Uwielbiała te letnie obozy: krzyki rozradowanych dzieci, śmiech niosący się w kotlinach, wieczory przy ognisku, wspólne śpiewy albo gawędy misjonarzy. Jej pokój zdobiły konstrukcje z patyczków od lodów, bransoletki i naszyjniki z koralików. Każdego tygodnia Dianna i Donnie dumnie przynosili mamie kolejne odznaki za naukę Pisma Świętego.

Była wdzięczna, że mogła dać swoim dzieciom takie życie. Nic im nie groziło ze strony ojca, a jednocześnie nie wstydziły się, że ich rodzice są rozwiedzeni. A przede wszystkim nie doiły krów, nie wyciągały wody ze studni, nie rąbały drewna – w ogóle nie musiały pracować fizycznie. Podczas letnich wakacji całymi dniami strzelały z łuku, jeździły konno, spotykały rówieśników z różnych zakątków kraju, uczyły się na pamięć wersetów z Biblii i miały przekonanie, że Pan Bóg bardzo je kocha. To była wspaniała odpowiedź na jej
modlitwy.

Pan Bóg stał się małżonkiem, jakiego nigdy nie miała, niezłomnym przyjacielem, schronieniem przed samotnością i zmartwieniami. Gdy odczuwała dotkliwy ból po stracie Jennie i Roya, gdy cierpiała, nie mogąc wejrzeć w życie Betty Jane, odnalazła niepojęty spokój. Boskie pocieszenie zawsze przychodziło wtedy, gdy potrzebowała go najbardziej.

Niejednej letniej nocy, patrząc na księżyc, zastanawiała się, czy Betty Jane jeździła w dzieciństwie na obozy. Wyobrażała sobie, że córka wygrywa wszystkie konkursy ze znajomości biblijnych wersetów, że piecze nad ogniskiem pianki cukrowe. Tyle lat minęło. Jej maleństwo zapewne miało już męża i własne dzieci.

Wieczorami, gdy zelżał upał, Minka znów modliła się za pierworodną córkę. Boże, spraw, żeby Betty Jane znalazła wspaniałego mężczyznę, który będzie ją kochał całym sercem, pobłogosław ich potomstwem i daj im szczęście. Najbardziej modlę się o to, Ojcze, żeby każdego dnia mogli zaznać Twojej miłości i łaski, bez względu na to, gdzie przebywają.

Czasem, gdy pomagała wydawać jedzenie czekającym w kolejce obozowiczkom, zastanawiała się, czy pośród uroczych twarzyczek za galaretką truskawkową albo tłuczonymi kartoflami nie zobaczy kiedyś własnej wnuczki, która odpowie na jej spojrzenie.

* * *

Piątego maja 1961 roku astronauta Alan Shepard jako pierwszy Amerykanin poleciał w kosmos, kilka tygodni po radzieckim kosmonaucie, pierwszym człowieku, który dokonał tego wyczynu. Jak inni Minka oglądała transmisję telewizyjną oniemiała z wrażenia. Gdy się urodziła, na drugą stronę oceanu można się było dostać tylko statkiem, a teraz człowiek przekroczył granice Ziemi. Mimo wszystko była jednak zbyt zapracowana, by zareagować na to zdarzenie inaczej niż zdumieniem. Ta wiadomość nie zawładnęła jej życiem.

Zauroczyła natomiast pewnego dziewięcioletniego chłopca mieszkającego na wsi w Wisconsin. Zafascynowany, oglądał start rakiety na trochę zamazanym ekranie czarno-białego telewizora, w jednosalowej szkole. Postanowienie, które wtedy podjął, pchnęło go do nauki; towarzyszyło mu w wiejskiej szkole podstawowej, potem w szkole średniej i na studiach w Akademii Lotniczej. Ostatecznie dopiął swego i uczestniczył w czterech misjach wahadłowców kosmicznych.

Owego chłopca łączył szczególny związek z Minką, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Przyszły astronauta, który pewnego dnia miał odbyć niezabezpieczony spacer w przestrzeni kosmicznej, był jej wnukiem.

Rozdział trzynasty

1961–1977

Po śmierci mamy Jane i Mince coraz bardziej doskwierało mieszkanie tak daleko od siebie. Jane już nie była samotna, w roku 1959 wyszła za mąż za Chrisa Froehlicha, ale tęskniła za siostrą. W końcu oboje rozwiązali tę sprawę: przeprowadzili się do Oakland i początkowo zamieszkali z Minką i z dziećmi, a potem przenieśli się do własnego domu.

Od czasu do czasu siostry spotykały się przy kawie i rozmawiały o tym, jak gwałtownie unowocześnia się Ameryka, często w sposób, który budził ich przerażenie. Mężczyźni mieli rażąco długie włosy. Kobiety nosiły skandalicznie krótkie sukienki. Angielscy chłopcy z grzywkami niemal zasłaniającymi oczy królowali na scenie muzycznej, a hordy fanów wrzeszczały i mdlały z wrażenia podczas koncertów. Nowe czasopismo o nazwie „Playboy” początkowo wywoływało oburzenie, ale wszystko, co młody wydawca zdążył wydrukować, sprzedawało się na pniu.

W pewien piątek, w tygodniu poprzedzającym Święto Dziękczynienia w 1963 roku, sale w szkołach Piedmontu nagle wypełniły się wrzawą podczas lekcji.

– Coś się stało – powiedziała jedna z pracownic stołówki, wchodząc na zaplecze.

Minka przyjmowała akurat zamówienie i nie zauważyła, że coś jest nie w porządku. Zanim kobiety sprawdziły, co się dzieje, do kuchni wpadła urzędniczka z biura.

– Nasz prezydent – wykrztusiła przez łzy.

– Słucham? Co z nim? – zapytała Minka.

– Strzelano do niego. W Teksasie ktoś strzelił do prezydenta Kennedy’ego.

– Wyjdzie z tego? Czy to poważne? Kiedy to się stało? – Kobiety ze stołówki zasypały sekretarkę pytaniami.

– Nie wiem. Jeszcze nie ma żadnych wiadomości.

W porze lunchu wydano oświadczenie: JFK nie żyje.

Wszystkie pracownice stołówki, razem z Minką, płakały. Szkołę zamknięto; uczniowie i nauczyciele rozeszli się do domów. Stało się coś niepojętego. Rodzina Kennedych – ujmująco uśmiechnięty prezydent oraz modnie i elegancko ubrana Jackie – była ucieleśnieniem doskonale prosperującego kraju. Minka podziwiała tę parę.

Oglądała transmisję telewizyjną z pogrzebu i jak wszystkim na świecie jej też zakręciły się łzy w oczach, gdy kamery pokazały małego Johna juniora, który w dniu swoich trzecich urodzin salutuje przed trumną ze zwłokami ojca, przewożoną na Cmentarz Narodowy w Arlington. Kraj pogrążył się w żałobie, jednocześnie rozprzestrzeniały się budzące strach pogłoski. Kto dopuścił się takiego czynu? Rosjanie, mafia, Fidel Castro czy mężczyzna, którego aresztowano, Lee Harvey Oswald?

To był kres Camelotu, do którego porównywała Jackie Kennedy Biały Dom. Kilka lat później niezadowolenie, dotychczas dające o sobie znać słabymi pomrukami, wybuchło z pełną siłą. Wydawało się, że na Południu

szaleje nowa wojna domowa, organizowano marsze protestacyjne z Selmy do Montgomery w Alabamie, Martin Luther King mówił, że ma marzenie.

Minka i kobiety pracujące z nią w szkolnej kuchni dyskutowały o gwałtownych demonstracjach obrońców praw człowieka w pobliskim Berkeley, gdzie młodzi ludzie zajęli parki, a sklepy zamknięto i zabito deskami. Potem zamordowano pastora Kinga i jeszcze jednego z braci Kennedych. Zdawało się, że świat się wali.

W tych czasach niepewności Minka straciła brata, Johna; zmarł w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, niedługo po tym jak stwierdzono u niego raka mózgu. Od czasów dzieciństwa, gdy brat naigrawał się z jej nieśmiałości, więź między nimi zbytnio się nie zacieśniła. John bardzo się od niej różnił, był człowiekiem, który reagował szybko i śmiało. Ale Minka go kochała i opłakiwała odejście kolejnego DeYounga.

Żal po stracie najbliższych i strach w sercu Minka pokonywała z pomocą wiary. Czytała Biblię i czerpała siłę z psalmów, zwłaszcza z Psalmu Pierwszego, który mówi, że ten, kto ma upodobanie w Panu, jest „jak drzewo zasadzone nad strumieniami wód”*, wyrośnie prosto i pokryje się dobrymi owocami. Udzielała się w zborze, prowadziła zajęcia dla dzieci według programu *Nosiciele światła*, robiła figurki z filcu umieszczane na flanelowej tablicy dla zilustrowania opowiadanych historii, a nawet pisywała krótkie piosenki, żeby urozmaicić lekcje.

Jeśliby porównać jej wiarę do krwi płynącej w żyłach, to dzieci były dla niej jak bicie serca.

Dianna, mimo następstw padaczki i brania leków, celowała we wszystkim. Minka posłała ją na lekcje gry na fortepianie i w niedługim czasie dziewczyna pięknie wykonywała trudne klasyczne utwory. Była wyróżniającą się uczennicą i zaraz po siedemnastych urodzinach została

przyjęta do Westmont, prywatnego college'u w Santa Barbara. Minka była zachwycona.

Donnie poszedł inną drogą. Jako mały chłopiec żarliwie się modlił, niczym kaznodzieja. Gdy miał dziewięć lat, Minka zabrała oboje dzieci na krucjatę Billy'ego Grahama w San Francisco. Gdy charyzmatyczny ewangelista zaprosił słuchaczy do modlitwy o osobistą więź z Jezusem, Donnie bez wahania pobiegł w kierunku podium.

Z czasem jednak praktyki religijne interesowały go coraz mniej i Minka, która potrafiła porozumieć się z dziećmi, zaczęła mieć trudności w kontaktach z synem. Wiedziała, że brakuje mu męskiego wychowania, a Roy nie mógł mu tego zapewnić. Donnie sprzeciwiał się jej na każdym kroku.

Kiedy któregoś razu wdał się w awanturę ze swoim przyjacielem, Minka nic mu o tym nie mówiąc, poszła na policję i poprosiła funkcjonariusza, żeby porządnie nastraszył chłopaka. Policjant zrobił dokładnie to, o co prosiła: wsadził Donniego do radiowozu i zawiózł go do dzielnicy, w której działali dilerzy narkotyków, a narkomani żyli na ulicach.

Donnie zbagatelizował obawy matki, ale stawiła mu czoło.

– Posłuchaj, chłopcze, musisz wybrać – oświadczyła. – Można pójść albo do nieba, albo do piekła. Drzwi otwiera się do siebie albo od siebie. Musisz żyć nie tylko po to, by poznać Pana, ale i po to, by Pan był osią twojego życia. Jest wielka różnica między poznaniem Go a oddaniem się w Jego ręce.

Odpowiedź Donniego przejęła ją strachem.

– Mamo, nie martw się o mnie. Zawsze znajdę jakieś rozwiązanie.

Nie wiedziała, jak postąpić z nastoletnim synem. Uważała, że nie potrafi wychować młodego człowieka w warunkach zupełnie innych niż te, w których sama dorastała. Poradziła się wędrownego kaznodziei, ojca

trzech synów. Rada była krótka: „Powiem ci to samo, co powiedziałem swojej żonie. »Zejdź mu z pleców i nie wstawaj z kolan«”.

Minka posłuchała jego rady i przestała ganić syna. W zamian uklękła i gorąco się modliła.

W roku 1967 dowiedziała się, że zostanie podwójną babcią. Tej wiosny Dianna, która nie ukończyła studiów w college’u i wyszła za mąż za trenera sportowego, urodziła syna, który dostał na imię Gary. Kilka miesięcy później także Donnie został ojcem. Jego córka otrzymała imię Dawn.

Choć Donnie wciąż chodził do szkoły średniej, wziął ślub ze swoją dziewczyną i przez kilka miesięcy mieszkał z nią u Minki. Od narodzin Betty Jane minęło prawie czterdzieści lat. „Dzidziuś” Donnie miał teraz zaledwie siedemnaście lat. Mimo to, gdy Minka wzięła na ręce Dawn, wpadła w zachwyt, jak wtedy, za pierwszym razem.

Łóżeczko Dawn stanęło w sypialni babci, i to ona tuliła płaczące niemowlę i karmiła je butelką. Nadal pracowała w pełnym wymiarze godzin, ale gdy maleństwo zachorowało, całą noc przesiedziała przy nim w rozkładanym fotelu z podnóżkiem. Nastoletni rodzice jeszcze nie dojrzeli do zajmowania się dzieckiem. Choć opieka nad niemowlęciem była uciążliwa, Minka po raz trzeci w życiu zakochała się po uszy w malutkiej dziewczynce. Kiedy Donnie z żoną przeprowadzili się do własnego mieszkania, Minka nadal codziennie po pracy zajmowała się Dawn.

Wiedziała, że nowo narodzone dziecko jest darem i zostanie nim na zawsze.

* * *

Minka i Roy żyli osobno przez długie lata, rzadko się kontaktowali. Po rozstaniu Roy zamieszkał z inną kobietą. Ale na koniec, gdy umierał,

potrzebował Minki. Tylko jej.

Zachorował na raka prostaty z przerzutami do kości. Odezwał się na początku 1972 roku, po dwóch miesiącach pobytu w szpitalu dla kombatantów. Miał krwawienie do mózgu i wysięk do płuc. Zadzwonił do Minki.

– Możesz przyjechać? Przyjedź i zostań na noc – poprosił.

Ledwie go rozpoznała, gdy weszła na salę. Choć miał tylko sześćdziesiąt dwa lata, wyglądał dużo, dużo starzej, był chudy i wycieńczony jak nigdy. Ale przenikliwe spojrzenie oczu rozszerzających się na jej widok przekonało ją, że to ten sam Roy, którego znała od 1935 roku.

Na szafce nocnej leżała Biblia. Roy, który nigdy nie miał szczególnych potrzeb związanych z kościołem czy religią, czytał teraz Biblię i rozmawiał z kapelanem szpitalnym. Ta wiadomość trochę ją pokrzepiła.

Roy poprosił pielęgniarkę o łóżko dla żony. Okazało się, że dostanie tylko fotel i koc.

– Co to, to nie. Ona zbyt ciężko pracuje, żeby tak spać – odparł, po czym zwrócił się do Minki: – Idź do domu, kochanie. I przyjdź jutro.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział do żony. Gdy przyszła następnego dnia, leżał w śpiączce. Minka siedziała przy nim, słuchając rzężącego oddechu. Trzymała jego wychudłą rękę w swojej dużej dłoni, ściskała ją i gładziła.

Napływały do niej dobre wspomnienia, same dobre. Jak wirują na parkiecie i Roy cierpliwie uczy ją kroków. Jak po narodzinach Dianny przynosi czerwoną różę, którą wciąż przechowywała zasuszoną w książce dziecka. Jak namawiają się, żeby zrobić wielką niespodziankę Diannie i Donniemu rankiem w Boże Narodzenie.

Przypominała sobie jego okrzyki radości na widok ulubionego indyka z sosem ostrygowym, które trwały tak długo, aż dzieci nie mogły powstrzymać się od śmiechu. Wracała myślami do ich długich samotnych spacerów podczas rodzinnych wakacji. Pamiętała jego szeroki uśmiech, gdy któreś z dzieci znalazło prezent na swoim łóżku.

Nigdy nie zapomniała, że ten drobny mężczyzna – nawet gdy alkohol uczynił z niego okrutnika – ani razu nie szydził z jej dużych stóp ani z dużych wykrzywionych rąk, które teraz obejmowały jego dłoń.

Łzy płynęły jej po policzkach. Żal ścisnął jej serce tak mocno, że aż skrzywiła się z bólu. Roy był taki uzdolniony, obdarzony tyloma talentami, które zniszczyły choroba i urazy psychiczne. Może za słabo walczył ze swoimi demonami. A może nie.

Był jedynym mężem Minki, jedynym mężczyzną, którego chciała poślubić. Śmierć 6 lutego 1972 roku uwolniła go wreszcie od wieloletniego cierpienia.

* * *

Gdy Dianna i Donnie wyprowadzili się, Minka sprzedała dom przy Linwood Avenue i kupiła mniejsze mieszkanie. Przez wiele lat koncentrowała się przede wszystkim na dzieciach i teraz potrzebowała czasu, by wyjść z pochłaniającej ją bez reszty roli matki. Jeśli nie liczyć krótkiego okresu, gdy Roy walczył na wojnie, Minka nigdy nie mieszkała sama. Z początku nie mogła się przyzwyczaić do ciszy w mieszkaniu, choć regularnie rozmawiała z dziećmi i odwiedzała wnuki. Z czasem znalazła sobie nowe zajęcia i zaczęła doceniać ciszę umożliwiającą zadumę i modlitwę.

Zapisała się na kurs malarstwa; okazało się, że ma dobre oko i lekką rękę do pędzla. Malowała barwne pejzaże i martwe natury, którymi

obdarowywała rodzinę i przyjaciół. Robiła narzuty na drutach i szydełkiem, również rozdawane w prezencie. Znajome uczyły ją coraz bardziej skomplikowanych ściegów i cierpliwie odpowiadały na jej pytania.

Od młodych lat w kółku krawieckim w Aberdeen ciekawił ją szeroki świat. Bieżące wydarzenia w równym stopniu ją zdumiewały, co bawiły. Lekarz z Afryki Południowej, o nazwisku Barnard, brał organy jednego człowieka i wszczepiał je drugiemu. Ospa wietrzna, po prawie dwunastu tysiącach lat od pojawienia się, została niemal całkowicie wytępiona. Gubernatorem Kalifornii został gwiazdor filmowy Ronald Reagan, a prezydentem – hodowca orzeszków ziemnych Jimmy Carter.

Ludzi ogarnęło pragnienie monumentalnych dokonań, czego przykładem było zbudowanie bliźniaczych, absurdalnie wysokich wieżowców w Nowym Jorku, każdy na sto dziesięć pięter, albo przygotowania do wystrzelenia statku kosmicznego w dziesięcioletnią podróż na krańce Układu Słonecznego. Minka przyjmowała takie rewelacje ze zdumieniem.

W roku 1977, po dwudziestu dwóch latach pracy w Okręgu Szkolnym Piedmontu, przeszła na emeryturę. W tym czasie większość jej rodziny przeprowadziła się na południe Kalifornii. Jane i Chris oraz Dianna z mężem i trójką małych dzieci mieszkali w hrabstwie Orange, oddalonym o prawie dzień jazdy samochodem. Minka chciała być bliżej nich i bardziej uczestniczyć w ich życiu. Duża część jej zajęć z konieczności wiązała się z ciężką pracą, ale największe znaczenie miała dla niej rodzina. Cieszyła się na myśl, że spędzi lata na emeryturze, rozpieszczając tych, których kocha.

Postanowiła przeprowadzić się po raz kolejny, do miasteczka na wybrzeżu, gdzie osiadła Jane, i z siostrą dożyć wieku, który wyznaczył jej Bóg. Po dziesiątkach lat ciężkiej pracy była zabezpieczona finansowo. Dostawała emeryturę i na mocy umowy zawartej z pracodawcą, Okręgiem

Szkolnym Piedmontu, miała opłacone koszty opieki lekarskiej do końca życia.

Ani ona, ani pracodawca nawet sobie nie wyobrażali, na jak długo zawierają tę umowę.

---

* Biblia Warszawska, Księga Psalmów 1, 3.

Rozdział czternasty

1981–2000

Światła w samolocie były przygaszone. Minka siedziała zgarbiona pod cienkim kocykiem, słuchając szumu silników. Na sąsiednim fotelu drzemał jej nastoletni wnuk Gary. Po drugiej stronie siedziała Jane; miała zamknięte oczy, ale Minka nie była pewna, czy siostra śpi. W nazbyt chłodnej kabinie pasażerskiej świeciły się tu i tam słabe lampki do czytania.

Obie siostry już owdowiały. Mąż Jane Chris umarł przed trzema laty, w 1978 roku. Chciały trochę urozmaicić sobie życie, więc Minka zaproponowała podróż – zabierze każde z wnuków na luksusowe wakacje. W pierwszą podróż wybrali się w trójkę, z pierworodnym Dianny, na trzy tygodnie do Europy. Uwieńczeniem zwiedzania miał być pobyt w kraju, w którym Minka została poczęta, w ojczyźnie jej przodków, która obecnie nosiła nazwę Królestwo Niderlandów.

Wszystko się zmieniło od 1930 roku, gdy pojechała tam Jennie, mając przy sobie zdjęcie Betty Jane, które dała jej Minka. Teraz Minka mknęła przez chmury, wysoko nad trasą przepływu statku, którym przez wiele dni podróżowała jej mama. Po tylu latach brak Betty Jane mniej dawał się Mince we znaki, przybrał postać gorzko-słodkiej pustki, którą zawsze

nosiła gdzieś w sobie i z którą się pogodziła. Ilekroć powracały wspomnienia, coś ściskało ją za serce i nieoczekiwanie budziły się emocje; wtedy po prostu modliła się za córkę.

Minka, Jane i Gary wylądowali w Niemczech i dalej podróżowali autokarem turystycznym. Przez dwa tygodnie objeżdżali Alpy. Gdy weszli do pierwszego ogromnego zamku na trasie, Minka spojrzała na Jane i powiedziała: „Wyobrażasz sobie, ile czasu zajęłoby wysprzątanie czegoś takiego? Ledwie by człowiek skończył, już musiałby zaczynać od nowa”. Spędzali całe dnie na łodzi płynącej po Renie, otoczeni górami, których szczyty bieliły się śniegiem przez cały rok.

W każdej restauracji i w każdym hotelu podawano pyszny, świeżo upieczony chleb. Gary żartował sobie z Minki i Jane, które od dzieciństwa przyzwyczajone do oszczędnego życia, zawijały resztki jedzenia w serwetki i chowały do torebek. Była jednak pewna umiejętność, nabyta w dzieciństwie, która okazała się przydatna w tej podróży. Pierwszy raz od dziesięcioleci siostry miały sposobność mówić po niemiecku, w języku, którego nauczyły się, mieszkając u wujka na farmie. Z początku brakowało im słów, ale już po kilku dniach mówiły płynnie.

W Szwajcarii pojechali kolejką zębatą do jakiejś wysoko położonej wioski i gdy obudzili się następnego ranka, wszystko było pokryte grubą warstwą śniegu. Tym razem siostry naśmiewały się z Gary’ego. Wciąż pamiętały, jak podczas śnieżnych zim w Dakocie Południowej jeździło się saniami na nabożeństwa do kościoła. Gary zaś nigdy nie widział takiej masy śniegu i zafascynowany tym widokiem, wciąż ciągnął je do okna.

Podróż skończyła się w Holandii, u przyrodnich sióstr Jennie. *Tante* Jane i *tante* Martha były niewiele starsze od Minki. Minka utrzymywała z nim kontakt listowny, ale dopiero teraz spotkały się osobiście. Ciotki serdecznie przywitały swoje siostrzenice po niderlandzku, wyrzucając

słowa jak karabin maszynowy. Minka i Jane szybko przestawiły się na nowy język i służyły Gary’emu jako tłumaczki.

Żałowały, że nie mogą odwiedzić krewnych ze strony ojca. Dowiedziały się przed laty, że niemal cała rodzina Bena zmarła na hiszpankę w 1918 roku.

Jeżdżąc po okolicy, Minka i Jane widziały te same wiatraki, na które patrzyli ich rodzice w minionym wieku, zaglądały do sklepów z pamiątkami, gdzie okna i podłogi lśniły holenderską czystością, której Jennie nauczyła córki. Wśród wystawionych towarów – ręczników, dzwonków i zegarków – największą popularnością cieszyły się drewniane saboty. Minka wzięła do ręki parę takich butów i pogładziła kolorowe kwiatki namalowane na żółtym drewnie.

Nie były to pierwsze chodaki, które Minka widziała w swoim życiu. Przed dziesiątkami lat, gdy Jennie wróciła z ostatniego pobytu w tym kraju, przywiozła maleńkie saboty w prezencie dla Betty Jane, która nigdy nie miała ich włożyć.

Zwiedzanie Europy sprawiło Mince wiele radości i pozwoliło jej stworzyć spójny obraz własnego dziedzictwa. Ale nie czuła się tam jak w domu. Co by było, zastanawiała się, gdyby Bouche i Tjiske de Jong nie zmienili swoich imion na Ben i Jennie, gdyby nie odważyli się rozpocząć nowego życia w dalekim kraju? Tego nie sposób sobie wyobrazić.

Kim byłaby Minka, gdyby nie Dakota Południowa czy Roy? Gdyby nie Dianna i Donnie? Gdyby nie Betty Jane?

* * *

Wkrótce po powrocie z podróży Minka przyjęła pod swój dach nowego domownika: najstarszą córkę Donniego Dawn, która mieszkała z nią, gdy była malutka. Dziewczyna w spokoju spędzała u babci letnie miesiące przez

kilka ostatnich lat, z dala od chaotycznego życia domowego w Oakland. Gdy skończyła piętnaście lat, z błogosławieństwem Donniego przeprowadziła się do babci na stałe.

Minka kochała wszystkie swoje wnuki, ale z Dawn łączyła ją szczególna więź. W minionych latach miały bez liku wspólnych doświadczeń, od karmienia butelką w środku nocy po spędzanie popołudni na plaży, kiedy Minka pilnowała wnuczki bawiącej się w piasku albo pływającej na bodyboardzie. Mimo ogromnej różnicy wieku były do siebie podobne – obie praktyczne i spokojne, z wiarą w ciężką pracę.

Oprócz zmiany adresu dom babci niewiele się zmienił od czasu, gdy Dawn pierwszy raz u niej mieszkała. Od wieków były tam te same meble, ręczniki i naczynia. Ilekroć ktoś napomknął, że powinna kupić nowy telewizor, Minka mówiła żartem: „Jestem pewna, że będzie działał jeszcze dziesięć lat”. W kuchni znajdowała się automatyczna sekretarka, najprostsza, ale spełniała swoją funkcję. Minka szyła sobie spodnie, o prostym kroju, z łatwego do prania poliestru, który kupowała w sklepie tekstylnym na wyprzedaży. Sama wykonywała naprawy w mieszkaniu.

Dawn znalazła sobie pracę i zapisała się na kursy wieczorowe, żeby dostać świadectwo ukończenia szkoły średniej. Co wieczór Minka zawoziła wnuczkę do szkoły i czekała do końca zajęć w samochodzie na parkingu, czytając nabożne książki do zapadnięcia zmroku, a potem modląc się cicho. Nauczyła ją prowadzić samochód, szydełkować i piec ciasta. Razem oglądały raz i drugi *Przeminęło z wiatrem*, które weszło na ekrany, gdy Minka miała dwadzieścia osiem lat i spotykała się z Royem. W filmie grało jej dawne bożyszcze, Clark Gable.

W niedzielę chodziły do kościoła luterańskiego, który wybrała sobie Minka po przeprowadzce do miasteczka. Pragnęła, żeby dołączyła do nich

Jane z mężem; Jane odpowiadała praktyka religijna, znajoma od dzieciństwa.

Minka żyła wygodnie z emerytury przez sześć lat. Ponieważ dopisywało jej zdrowie, nie widziała powodu, by nadal nie pracować. Pojechała do miejscowego Kmartu i dostała pracę, polegającą na zapełnianiu półek w sklepie. Zarobione pieniądze chętnie przeznaczała na prezenty dla swojej wielopokoleniowej rodziny. Zafundowała pozostałym członkom rodziny Dianny wakacje w Europie, na jakie wcześniej zabrała Gary'ego. Z okazji osiemnastych urodzin Dawn pojechała z nią na Hawaje. Gdy Minka się dowiedziała, że córka Dianny Cathy lamentuje, że musi rozpocząć nowy rok szkolny w starych i niepasujących ciuchach, kupiła i wysłała jej masę nowych ubrań.

Szczególnie chętnie ofiarowywała datki misjonarzom, gdy gościli u niej w zborze i pokazywali slajdy, na których widać było maluchy żyjące w takim ubóstwie, jakiego nie potrafiłoby sobie wyobrazić żadne amerykańskie dziecko.

Minka pracowała w Kmarcie na różnych stanowiskach przez piętnaście lat, do osiemdziesiątego siódmego roku życia.

* * *

Świat szedł naprzód. Minka miała osiem lat, gdy na mocy dziewiętnastej poprawki do konstytucji Amerykanki otrzymały prawa wyborcze; w roku 1984 przyglądała się, jak Geraldine Ferraro kandyduje na stanowisko wiceprezydenta. We wrześniu następnego roku Minka przeczytała w „Orange County Register", że badacze wreszcie znaleźli wrak Titanica na dnie oceanu nieopodal Nowej Fundlandii. Ogromny transatlantyk wypłynął w morze rok po jej narodzinach.

Minka przeżyła również światowe ruchy polityczne. W październiku 1917 roku, tuż przed jej szóstymi urodzinami, wybuchła w Rosji rewolucja i komuniści przejęli władzę. Równo siedemdziesiąt dwa lata później tłumy mieszkańców Berlina Wschodniego młotami rozwalały mur berliński.

Od narodzin Minki świat zmienił się prawie nie do poznania. Naukowcy opisywali upływ czasu, używając własnych określeń: epoka industrialna, epoka kosmiczna, epoka informacyjna. Minka zachowała swoje wspomnienia, w większości tak wyraźne jak zmarszczki na jej dłoniach.

Jak wyciągała wiadra wody ze studni i dźwigała je do kuchni, doprowadzając do uszkodzeń miękkich kości.

Jak siedziała w wygódce na farmie wujka, dzwoniąc zębami i widząc w świetle lampy wydychaną parę i wysokie zaspy na polach.

Jak kąpała się raz w tygodniu w metalowej balii w kuchni, w wodzie podgrzanej na piecu i używanej przez pięć osób po kolei.

Jak leżała w łóżku dzień w dzień, gdy zachorowała na odrę i miała wysypkę na całym ciele albo gdy zachorowała na świnkę i spuchła jej twarz, a mama co rusz przynosiła jej melasę i wilgotne ściereczki.

Potem, w jej wspomnieniach, świat zaczął wirować coraz szybciej i szybciej, niczym drewniane koniki na karuzeli.

Kostka wystająca spod sukni jakiejś pani, ujrzana przelotnie, gdy Minka siedziała w bryczce i czekała na mamę, która poszła sprzedać w mieście słoiki z masłem.

Maszyna, zwana aeroplanem, która wznosiła się do nieba nad Aberdeen, tak jakby czarodziej ciągnął ją na sznurku.

No i wojny – tyle wojen! Ta pierwsza, Wielka Wojna, stała się realna dopiero później, gdy w mieście zobaczono żołnierzy z amputowanymi kończynami. Ta druga zabrała jej ukochanego. Wszystkie następne istniały dla niej głównie na stronach gazet i w relacjach telewizyjnych.

Widziała krach na giełdzie w 1929 i katastrofę promu Challenger w 1986. Za jej życia odkryto penicylinę i doszło do ludobójstwa. Baseballista Babe Ruth bił rekordy, Bonnie i Clyde popełniali przestępstwa, a Neil Armstrong spacerował po Księżycu. Wynaleziono wtedy spadochron, jaki znamy dzisiaj, i akcelerator cząstek, krzyżówkę i komputer.

Z nurtem życia Minka przepłynęła od początku wieku do końca. Na progu nowego tysiąclecia była jak zawsze zapracowana. Miała pełny etat w Kmarcie, gdzie awansowała na kasjerkę. Wieczorami robiła szydełkiem narzuty, szyła sukienki z falbankami dla wnuczek, do późna w nocy rozwiązywała łamigłówki słowne. Zajmowała się rękodziełem: robiła naszywane cekinami bieżniki na stół, klaunów w falbaniastych strojach i spiczastych kapeluszach oraz stroiki bożonarodzeniowe, udekorowane lampkami i malutkimi bombkami.

Minka ułożyła sobie życie dokładnie tak, jak jej odpowiadało. Miała schludny i zadbany dom, zajęcia, które stymulowały jej twórczy umysł, pracę i posługi kościelne, które zaspokajały jej potrzebę bycia pożyteczną. Miała niezawodnego Pana Boga, któremu służyła, ludzi, których kochała, i rodzinę, którą hołubiła.

I zawsze, zawsze miała Jane.

* * *

Przez prawie dziewięć dziesięcioleci stałym elementem w życiu Minki była pełna wigoru młodsza siostra, która pod wieloma względami ją wyprzedzała, ale również w dużej mierze polegała na solidnej starszej siostrze. Mieszkały osobno zaledwie kilka lat, gdy toczyła się wojna i gdy Minka uciekła z dziećmi do Oakland. Przez ostatnie dwadzieścia trzy lata życia Jane mieszkała w odległości niecałych dwóch przecznic od Minki, odwiedzały się nawzajem kilka razy dziennie.

Dla wnuków Minki stanowiły jedność: „Babcia-i-Jane”, mówili. Ubierały się podobnie, jeździły razem na wakacje, należały do tego samego zboru, chodziły na te same przyjęcia. Ich nieskazitelne mieszkania były urządzone w takich samych jasnych kolorach: białym, żółtym i pomarańczowym. Gdy Minka wybierała się na zebranie rady kościelnej albo na przyjęcie, Jane pożyczała jej sukienkę. Gdy Jane była chora, Minka wiozła ją do lekarza.

Mając osiemdziesiąt parę lat, Jane zaczęła podupadać na zdrowiu. Dolegało jej serce, a potem coś jeszcze. Początkowo objawy były nieznaczne, ale szybko się nasiliły. Minka wracała do domu po całym dniu pracy i często zastawała Jane na tarasie od frontu, ładnie ubraną, umalowaną jaskrawą szminką, która trochę wychodziła poza obręb ust.

– Chcę iść do miasta – mówiła wtedy Jane.

Minka pragnęła w spokoju zjeść domowy obiad, ale hamowała irytację, mówiąc:

– Dokąd chciałabyś pójść, kochanie?

Jane wymieniała nazwę restauracji albo sklepu i Minka ją tam zawoziła. Po kilku minutach Jane oznajmiała:

– Jestem zmęczona. Zabierz mnie do domu.

Jane zawsze oczekiwała, że wszystko potoczy się po jej myśli, ale takie sytuacje świadczyły o czymś innym. Bywało też, że Jane pukała do drzwi Minki o szóstej rano i skarżyła się:

– Zabrałaś mi ubranie, Minka.

– Nie zabrałam.

– Zabrałaś. Ty.

– Nie, Jane. Wejdź i się rozejrzyj. Nie mam twoich ubrań.

Zachowanie Jane zmieniało się coraz bardziej. Przestała sprzątać tak starannie, jak to robiła od dzieciństwa, więc Minka dbała o oba mieszkania.

Chodziła z siostrą do lekarzy. Dawali leki, mówili, że trzeba mieć Jane na oku. W końcu Minka po raz ostatni zrezygnowała z pracy, żeby poświęcać więcej czasu siostrze.

Z domu Jane zaczęły znikać różne przedmioty. Duży obraz, który Minka dla niej namalowała. Eleganckie srebra stołowe. Urna z prochami jej męża. Jane nie mogła sobie przypomnieć, co się stało z tymi rzeczami, ale pewnego dnia Minka zauważyła, że po lunchu Jane wyrzuca do śmieci talerz.

Kiedy indziej, gdy były razem w kuchni, Jane pochyliła się tak nisko nad kuchenką gazową, że mało brakowało, a przypaliłaby rękaw. Znowu poszły do lekarza. Gdy ten naciskał na Jane, żeby mu powiedziała, jak się nazywa, odrzekła:

– Powinnam dać ci w twarz.

Lekarz wziął Minkę na stronę i oświadczył:

– Pani siostra cierpi na demencję. Nie może dłużej mieszkać sama. To zbyt niebezpieczne. Powinna mieć lepszą opiekę, a pani nie zdoła jej tego zapewnić. Uważam, że należy poszukać dla niej domu opieki.

Po tej rozmowie Minka przepłakała całą noc.

Niedługo potem Jane dostała udaru, upadła i złamała kość biodrową. Mogła sięgnąć po telefon, ale nie wykręciła numeru alarmowego 911. Zadzwoniła pod numer, który znała najlepiej: do starszej siostry.

Minka usłyszała w słuchawce jakiś bełkot. Nie miała nowoczesnego aparatu, w którym wyświetlałby się numer dzwoniącego, ale było to zbyteczne. Znała Jane na wylot. Pognała do samochodu i przejechała krótki kawałek do jej mieszkania. Siostra leżała na podłodze z nienaturalnie wykrzywionymi ustami. Minka zadzwoniła po karetkę.

Jane nie wróciła już do swojego mieszkania. Została przewieziona do domu seniora, potem do innego, bardziej nowoczesnego, niedaleko miejsca,

gdzie mieszkała Dawn. Ten drugi znajdował się na zboczu wzgórza w San Clemente, godzinę jazdy samochodem, ale Minka jeździła tam, gdy tylko mogła.

– Gdzie jest mama? – pytała często Jane, patrząc Mince przez ramię, w stronę drzwi.

Minka nie miała serca powiedzieć siostrze, że ich mama nie żyje. Więc z uśmiechem tylko obejmowała jej drobną rękę, wychudłą i pokrytą starczymi plamami. Pamiętała jej nieduże, delikatne palce, których tak jej niegdyś zazdrościła.

– Dzisiaj mama nie przyszła, kochanie.

Jane z westchnieniem zamykała oczy.

– Następnym razem weź ze sobą mamę.

– Postaram się – mówiła Minka, nie chcąc kłamać.

Potem opowiadała siostrze, jaka jest pogoda, o czym było telewizyjne kazanie, co się działo u znajomych ze zboru. Zachęcała ją do jedzenia, karmiła łyżką, gdy Jane krzyżowała ręce na piersi i wpatrywała się w okno.

Minka zachowała mieszkanie siostry, utrzymywała w nim czystość i porządek na wszelki wypadek, zawsze trzymała rozsunięte zasłony, żeby wpadło światło i roztaczał się piękny widok na ocean. Któregoś dnia zaproponowała Jane, że zawiezie ją na parę godzin do domu, ale ta wpadła w popłoch, zaczęła gwałtownie protestować i w końcu wcisnęła głowę w poduszki. Nie mogła znieść myśli, że zobaczy ostateczny dowód tego, co się dzieje i co znika.

W swoje osiemdziesiąte siódme urodziny znów upadła i po raz drugi złamała kość biodrową. Pogrążyła się w apatii i smutku.

W lipcu 2000 roku do Minki zadzwonił lekarz. Jane została przewieziona do hospicjum; koniec był bliski. Minka spakowała walizkę

i pojechała do Dawn z zamiarem zostania u niej tak długo, jak to będzie konieczne.

Jane już nie mówiła, a właściwie nie wypowiadała zrozumiałych słów. Ale ostatniego dnia wyciągnęła rękę w taki sposób, jakby ledwie mogła ją unieść. Minka nachyliła się, sądząc, że Jane chce dotknąć jej twarzy. Ale dotknęła lśniącego złotego medalionu na jej szyi.

– Dostałam go od ciebie, pamiętasz? – powiedziała Minka.

Z pewnością to wiedziała, a może przyciągnął jej uwagę błysk złota? Jane trzymała medalion w palcach, puściła i jeszcze kilka razy wyciągała do niego rękę.

Wieczorem przed wyjściem Minka rozmawiała z pielęgniarką.

– Jeśli coś się zmieni, cokolwiek, od razu do mnie zadzwońcie, dobrze? – poprosiła.

– Tak, oczywiście – przytaknęła pielęgniarka.

Ale nikt nie zadzwonił. Gdy pospiesznym krokiem weszła następnego ranka do pokoju, ciało jej siostry było już zimne. Wzięła Jane za rękę, opadła na krzesło i się rozpłakała.

– Przepraszam, Jane. Powinnam tu być.

Jane była jej towarzyszką przez osiemdziesiąt siedem lat. Gdy odeszła, zabrała ze sobą dużą część jej serca.

Z czasem Minka oddała krewnym większość mebli siostry, jej ładne ubrania przekazała misjonarzom. Sama zatrzymała ogromne kartonowe pudło ze śliczną biżuterią. Gdy doskwierała jej samotność, wyciągała ciężkie pudło i z wysiłkiem stawiała na łóżku, po czym siadała przy skarbcu i wyjmowała kilka ozdób. Kiedy przesuwała korale między palcami, jedno po drugim wracały wspomnienia. Nie potrafiła się rozstać z tymi klejnotami; były ostatnim osobistym ogniwem łączącym ją z młodziutką

Jane, która niegdyś nazwała siostrę znaną z zamiłowania do błyskotek Cyganką.

Niecałe trzy tygodnie później, gdy Minka chodziła jeszcze w głębokiej żałobie, zadzwoniła do niej krewna mieszkająca w regionie zatoki San Francisco. Minka dostała następną złą wiadomość. Jej syn, którego wciąż nazywała w myślach małym Donniem, trafił do szpitala. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Jane. Ale sięgając po słuchawkę, przypomniała sobie, że Jane odeszła.

* * *

Donnie, podobnie jak Dianna, w dzieciństwie był wrażliwy i posłuszny. Wystarczyło, że Roy strzelił palcami i powiedział: „Przywołuję cię do porządku”, a zarówno syn, jak i córka brali się w garść. Roy dał Donniemu w skórę tylko raz, po tym jak jego syn razem z synem sąsiada podpalił jakieś papiery w garażu.

Niedługo po przeprowadzce do Oakland, gdy Minka pracowała na dwóch posadach, żeby związać koniec z końcem, sześcioletni Donnie poszedł na pobliską stację benzynową. Choć był nieśmiały, zebrał się w sobie i spytał pracownika, czy nie mają dla niego jakiejś pracy, bo chce pomóc mamie. „Może mógłbym nalewać paliwo?” Mężczyzna popatrzył przeciągle na chudego chłopaczka o piegowatej buzi, z której biła powaga, i zaproponował mu czyszczenie wodotrysku z wodą pitną dla klientów, za co płacił mu kilka centów dziennie.

Donnie całe życie mieszkał w regionie nad zatoką San Francisco. Spłodził jeszcze dwie córki, Alexandrię i Anastasię. W dojrzałym wieku z trudem szukał drogi przez życie. Kilkakrotnie się rozwodził i był bez pracy, ale zdrowie mu generalnie dopisywało. Minka ciągle się modliła

i trzęsła z niepokoju o tego słodkiego chłopca, który wciąż raz na tydzień do niej dzwonił.

– Co robisz, mamo? – pytał jak zawsze cicho, gdy podniosła słuchawkę.

– Rozmawiam z tobą! – odpowiadała, nie posiadając się z radości.

Wiadomość, że Donnie jest w szpitalu, spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Zadzwoniła do syna, a on jak zawsze starał się zbagatelizować sprawę: „Nie martw się mamo. Będzie dobrze”. Ale gdy Minka skontaktowała się telefonicznie z lekarzem, powiedział, żeby jak najszybciej przyjechała. Wyruszyły więc razem z Dawn samochodem w długą drogę na północ, zabierając trójkę małych dzieci, prawnuczków Minki, śpiących na tylnym siedzeniu. Gdy dojechały do szpitala, Donnie był nieprzytomny. Miał tętniaka mózgu i nie zgodził się na skomplikowane leczenie, które uratowałoby mu życie, ale byłby skazany na wózek inwalidzki.

Patrząc na syna, przypomniała sobie radę wędrownego kaznodziei: „Zejdź mu z pleców i nie wstawaj z kolan”. Usiadła przy łóżku Donniego i zaczęła się modlić – żarliwie. Trzymała go za rękę przepełniona strachem i miłością. Choć nie otworzył oczu, Minka do niego mówiła.

– Donnie, mój chłopcze, pamiętasz, co zawsze odpowiadałeś, gdy ci powtarzałam, że Jezus jest drogą? Mówiłeś: „Mamo, nie martw się o mnie. Zawsze znajdę jakieś rozwiązanie”. Teraz nie masz wyboru. Idziesz do Pana. Zapamiętałeś? Pan jest jedyną drogą.

Minka poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni. Łzy popłynęły jej po twarzy. Była zupełnie pewna, że usłyszał jej słowa.

– To nie jest sytuacja, z której możesz się wydostać, mój chłopcze. Teraz jesteś całkowicie zależny od Niego. W Nim twoja cała nadzieja.

Wiedziała, jak prawdziwa, jak żywa jest jej wiara. Drogi Pana wykraczają poza ludzkie rozumienie, poza ludzką świadomość. Wierzyła,

że Donnie połączy się z Bogiem i znajdzie w Nim pociechę, nawet jeśli nie może odezwać się do matki.

Wieczorem 8 sierpnia, dwadzieścia cztery dni po stracie jedynej siostry, Minka pożegnała się z jedynym synem.

* * *

Trzy tygodnie później Minka i Dawn stały na szczycie wzgórza w górach Santa Ana. Był piękny dzień, temperatura około siedemdziesięciu stopni Fahrenheita, czyste niebo. Lekki wiatr rozwiewał im włosy. W dole ciągnęły się połacie krzaków szałwii, polnych kwiatów i pierzastych traw rosnących kępami. Obie kobiety trzymały w rękach urny. Jane i Donnie chcieli być skremowani.

Minka wybrała to miejsce, ponieważ Donnie kochał góry. Jane bardzo lubiła wszystkie dzieci i wnuki siostry i brata. Po śmierci będzie razem z ukochanym Donniem.

Minka stała teraz z wysoko uniesioną głową, pogrążona w zadumie. Wiał wiatr, który osuszał jej łzy na policzkach i szarpał nogawkami spodni. Przepełniała ją wdzięczność za dar długiego życia i wielu łask. Bóg pomógł jej wielokrotnie się podnieść, choć przygniatały ją ciężary i doświadczała bolesnych strat. Przeżyła matkę, męża, brata, siostrę, ich dzieci, przyjaciół, nawet własnego syna. Wiedziała, że Pan daje i Pan zabiera.

U progu dziesiątej dekady życia uznała, że jest w takim miejscu, gdzie to, co wzięła, znacznie przewyższa to, co dała.

Rozdział piętnasty

22 maja 2006

Świt przyniósł delikatną mżawkę, nietypową dla późnowiosennego dnia w krainie słońca, palm i ciepłej bryzy od oceanu. Gdy słabe światło zaczęło się sączyć przez plastikowe pionowe żaluzje w sypialni, Minka jeszcze kilka minut poleżała w łóżku, pod starą kołdrą w biało-żółte kwiatki. Ten szczególny dzień już od dawna nie przejmował jej smutkiem. Stał się corocznym wydarzeniem, jak Święto Dziękczynienia czy Boże Narodzenie, dniem modlitwy i wspominania. I wdzięczności.

Tego dnia przypadały urodziny Betty Jane. Choć trudno to sobie wyobrazić, pierwsze dziecko Minki miało siedemdziesiąt siedem lat.

Minęły dziesięciolecia, ale Minka jasno i wyraźnie pamiętała te bezcenne dni z nowo narodzoną córką. Ciężar cieplutkiego dziecka, słodki zapach, zachwycającą aksamitną skórę, różowe policzki i ściągnięte usta. Tamte tygodnie były najwspanialsze w życiu Minki, a zarazem najokropniejsze. Wówczas matka i córka istniały poza światem, niemal nic nie zakłócało ich spokoju.

Ze smutkiem myślała o tym, co się wydarzyło na koniec, lecz nie żałowała tamtej decyzji, nawet teraz, gdy wiedziała, że będzie wiecznie tęsknić za córką. Oddała Betty Jane z miłości. Nie przestała jej kochać.

I nigdy więcej jej nie zobaczyła.

Tego dnia, gdzieś na świecie, Betty Jane świętowała swoje urodziny. Choć Minka traciła kolejnych bliskich, nie wątpiła, że jej pierwsza córka żyje – zastanawiała się tylko, gdzie jest, jaki tort zje w tym dniu, kto do niej zadzwoni z życzeniami. Minka wyobrażała sobie dzieci i wnuki, i dom pełen miłości.

Wszyscy, którzy wiedzieli o Betty Jane, już umarli. Honus i Jennie. Pastor Kraushaar. Panna Bragstad i panna Questad. Jane. Jej bratowa Dorothy. Roy. Reszcie rodziny i znajomych nie przyszłoby do głowy, że Minka ukrywa jakąś historię, że ma jeszcze jedno dziecko.

Mieszkała w cichym domu, ale tego ranka było tam ciszej niż zwykle. Czuło się coś szczególnego w powietrzu. Może sprawił to deszcz.

Nie była pewna, skąd się bierze to wrażenie.

Nawet w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat Minka zazwyczaj wstawała wcześnie. Najpierw ścieliła łóżko, wygładzając kwiecistą narzutę, żeby nie było ani jednej zmarszczki. Potem wkładała spodnie i sweter, wieszała koszulę nocną na haczyku na drzwiach i siadała w fotelu z Biblią w rękach. Panu Bogu zawsze ofiarowywała pierwszą część dnia. Później zaczynała się „gonitwa” – Minka, jak zawsze, była zaganiana.

Chcąc zmniejszyć opłaty za czynsz, wykonywała różne drobne prace przy budynku, w którym oprócz jej mieszkania znajdowały się jeszcze trzy. Zajmowała się papierkową robotą, gdy wprowadzali się i wyprowadzali lokatorzy. Zamiatała chodniki i dbała o zieleń: wyrywała chwasty, sadziła rośliny odporne na niedostatek wody i intensywnie czerwone begonie. Podlewała rabaty wczesnym rankiem, jak to się robi w suchym regionie, starając się nie marnować wody i nie robić kałuż na betonie.

W zależności od dnia tygodnia Minka miała jeszcze inne zajęcia. We wtorki gościła u siebie panie z kółka biblijnego. Przyjmowała je kawą i herbatą oraz ciasteczkami własnego wypieku, a potem razem studiowały słowo Boże i modliły się o wspólne sprawy. W piątki wykonywała różne posługi dla zboru, roznosiła ulotki i odmawiała modlitwy. Co niedziela chodziła na nabożeństwa, w razie potrzeby służyła pomocą: bawiła się z maluchami w szkółce niedzielnej albo szykowała przekąski dla uczestników zebrania wspólnoty. W pozostałe dni miała jeszcze inne zajęcia.

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem starała się wypełnić sobie czas. Po stracie siostry i najmłodszego dziecka zaległa wokół niej ogłuszająca cisza. W następnych latach setki razy odwracała się, żeby powiedzieć coś Jane, i sięgała po telefon, żeby zadzwonić do Donniego, po czym nagle nieruchomiała, uprzytomniwszy sobie, co się stało.

Większość ludzi uważała, że Minka odznacza się niewzruszoną odpornością na przeciwności losu, nikt jednak nie wiedział, co czuje człowiek, który przeżył niemal wszystkich znanych sobie ludzi. Gdyby nie jej niezawodny Bóg, brzemię samotności również i ją zepchnęłoby do grobu. W tych ostatnich latach Minka była pewna, jak nigdy wcześniej, nie tylko tego, że Bóg istnieje, lecz również Jego absolutnej dobroci.

Od tak dawna składała dzięki Panu Bogu, że weszło jej to w krew. Tego dnia, jak zawsze 22 maja, rozmyślała o darze, który przechowywała w sercu przez siedemdziesiąt siedem lat.

Minka wiedziała, że musi wstać, ubrać się i zjeść lekkie śniadanie przed wyjściem z domu. Ale te przeciągające się wspomnienia i rozmyślania sprawiały jej przyjemność: Wszystkiego najlepszego, moja kochana Betty Jane. Mam wrażenie, że w dniu twoich urodzin jestem najbliżej ciebie.

Jej rozmyślania przeobraziły się w modlitwę.

– Panie Boże, modlę się, żeby Betty Jane była szczęśliwa i miała udane życie, gdziekolwiek teraz jest. Choć spędziłyśmy razem zaledwie kilka tygodni, jestem wdzięczna za tę łaskę. Mam nadzieję, że moja córka wie równie dobrze jak ja, że bardzo ją kochasz.

Po modlitwie Minka otworzyła oczy.

Zamyśliła się.

Po chwili wypowiedziała jeszcze jedną prośbę. Impulsywną. Niedorzeczną. Dotąd niewypowiadaną.

– Panie Boże, chciałabym jeszcze raz zobaczyć Betty Jane, zanim umrę. Nie będę zakłócać jej spokoju ani wkraczać w jej życie. Chcę tylko zobaczyć, jak wygląda. Proszę Cię, Panie Boże.

* * *

Kilka godzin później tego dnia, w miejscu oddalonym o dwa tysiące mil, kobieta, która nazywała się Ruth Lee, zabrała się do swoich codziennych prac. Była już z mężem na kawie w miejscowym McDonaldzie i właśnie miała zająć się ogrodem. Należało wypielić dojrzewające truskawki, zasadzić warzywa i krzewy owocowe na własny użytek oraz dynię, cukinię i kabaczka na sprzedaż jesienią w przydrożnym straganie.

Ruth niemal całe życie mieszkała w Wisconsin, w ślicznym regionie, który zachwycał pagórkowatym krajobrazem i wyrazistymi porami roku. Zimą piętrzyły się zaspy, wśród których pole za domem państwa Lee wyglądało jak z obrazka. Wiosną widok był idylliczny: bezmiar niebieskiego nieba, białe chmurki i żyzna czarna ziemia uprawna, z początkiem lipca pokryta wysokimi do kolan łanami kukurydzy.

W swoim schludnym białym domu na farmie Ruth wraz z mężem, z którym przeżyła prawie pięćdziesiąt osiem lat, wiedli dobre, szczęśliwe

życie i wychowali sporą gromadkę dzieci. Mieli wiele powodów do chluby: wszystkie dzieci skończyły studia i prowadziły udane życie. Jeden z synów nawet cieszył się sławą. Na stodole wisiała tablica z dumnym napisem: „Witajcie w Viroqua, w rodzinnym mieście astronauty Marka Lee”.

Zaterkotał telefon. Dzwonił syn Ruth Brian, trzecie z kolei dziecko. Tego dnia już raz do niej telefonował, jak zwykle rano, w drodze do pracy. Tym razem chciał przekazać mamie wiadomość.

Listonosz przyniósł tego dnia ważną przesyłkę, będącą odpowiedzią na prośbę, którą Brian niedawno złożył w imieniu matki. Było to orzeczenie sądu Dakoty Południowej, zezwalające na odtajnienie dokumentów adopcyjnych Ruth.

Pod koniec rozmowy Brian zapytał, jak minął jej dzień i czy planuje coś wielkiego na wieczór.

Mieli powód do świętowania. Przecież nie był to zwykły dzień.

Ruth obchodziła siedemdziesiąte siódme urodziny.

Część trzecia

Dziedzictwo

Raport z kontroli poadopcyjnej
dot. pastora Pedera Nordslettena,
zam. Wallingford, Iowa
i Betty Jane DeYoung (Ruth Priscilli)

4 listopada 1930

Gdy przyszłam do domu w Wallingford, zastałam wszystkich przy kolacji. [...] Członkowie rodziny i wspólnoty bardzo się przywiązali do adoptowanej dziewczynki, uroczego dziecka, które rośnie i rozwija się prawidłowo.

Rodzina mieszka na plebanii, dużej, umeblowanej starannie i wygodnie; zarówno pastor, jak i jego żona powiedzieli, że są bardzo zadowoleni z nowego domu. Przeprowadzili się tu z Jewell, w stanie Iowa, 31 października zeszłego roku. Dom stoi w rozległym, dobrze utrzymanym ogrodzie, niemal w parku, który jest idealnym miejscem do zabawy dla dzieci.

Rodzina planuje wyjechać w połowie maja do Dakoty Południowej, żeby dopełnić formalności adopcyjnych i odwiedzić krewnych w Moe, na południe od Canton.

Harriet Mickelson,

pracownica opieki społecznej

4 listopada 1930

Nocowałam w domu państwa G., członków zboru, którym opiekuje się pastor Nordsletten. Parafianie wysoko cenią pastora i jego rodzinę. Twierdzą, że wspólnota bardzo się cieszy z tej zmiany i ma nadzieję, że pastorostwo zostaną u nich na długo. Także oni pokochali dziewczynkę; jedna z tamtejszych rodzin jest chętna zaadoptować dziecko, jeśli tylko znajdzie równie miłe i urocze.

Harriet Mickelson,
pracownica opieki społecznej

Rozdział szesnasty

Ruth wiedziała, że jest adoptowanym dzieckiem.

Rodzice powiedzieli jej dość wcześnie, że urodziła ją młoda kobieta holenderskiego pochodzenia, która miała na nazwisko DeYoung albo de Jong. Ruth nie pamiętała, w jakim była wieku, gdy ją o tym poinformowano; traktowała ten fakt jako coś jej właściwego, jak kręcone włosy czy piegi na nosie. Uważała, że historia jej narodzin niczym się nie różni od historii narodzin braci. Najstarszy był adoptowany, a dwaj następni nie. W jej rozumieniu każde z nich było dzieckiem Nordslettenów, i tyle.

Czasem zastanawiała się nad imieniem, jakie dała jej matka: Betty Jane. Dziwnie się z nim czuła: jakby wsuwała stopy w cudze buty nieodpowiedniego rozmiaru. Ruth nie dociekała, jakie były okoliczności jej narodzin, nie dlatego, że bała się poznać prawdę albo nie chciała zranić uczuć rodziców. Po prostu nie widziała w tej historii luk, które należałoby wypełnić. Nie przeszło jej przez myśl, by wypytywać o szczegóły.

Kiedy nowi rodzice pierwszy raz zobaczyli Ruth w Luterańskim Domu Miłosierdzia w Sioux Falls, w Dakocie Południowej, 1 lipca 1929 roku, natychmiast się w niej zakochali.

– Byłaś uroczym, słodkim dzieciaczkiem – mówiła później matka.

Przyjechali z tetrowymi pieluchami, porządnie wyprasowanymi i ułożonymi w stosik, ze skarpetkami i kaftanikami. Zastali dziewczynkę w ślicznym ubranku, które jej biologiczna mama uszyła z wielką pieczołowitością na kilka dni przed rozstaniem.

Rodzicami adopcyjnymi Ruth zostali pastor Peder Nordsletten i jego żona Olava, oboje norweskiego pochodzenia. Zabrali do Sioux Falls najmłodszego syna, sześciolatka Kenny'ego. Chłopiec nie mógł się doczekać spotkania z siostrą. Obiecał, że w drodze powrotnej będzie siedział obok niej na tylnym siedzeniu i jej pilnował.

Po odebraniu dziecka wrócili do Jewell w stanie Iowa, gdzie pastor prowadził zbór. Jednym z ich pierwszych gości po powrocie był zaprzyjaźniony filipiński misjonarz, który przybył do Stanów Zjednoczonych na dalsze studia. Kiedy wszyscy zastanawiali się nad wyborem imienia, jego propozycja wzbudziła najwięcej entuzjazmu. Od tamtej pory dziewczynka nosiła imiona Ruth
Priscilla.

Pamiętając swoje doświadczenia w opiece nad trójką chłopców, państwo Nordslettenowie uważali, że Ruth sprawiała najmniej kłopotu – pewnie dlatego, że to dziewczynka – i zewsząd słyszeli, że adoptowane dziecko jest bardzo miłe. Synowie wypełniali plebanię męską energią od rana do wieczora, lecz nawet oni stawali jak wryci na widok maleńkiej siostry. Uciszała ich jasnymi spojrzeniami i nagłymi uśmiechami. W niedługim czasie gaworzyła i zaśmiewała się w odpowiedzi na ich figle.

Z upływem lat, gdy Ruth rosła, śpiewała w chórze kościelnym, wieszała na ramie łóżka skarpetę na prezenty gwiazdkowe, traciła mleczne zęby, zawierała przyjaźnie i z małej dziewczynki stawała się panną, nigdy nie przeszło jej przez głowę, że gdzieś daleko pewna kobieta pisze listy, prosząc choć o strzępy informacji na jej temat. Ruth nie wiedziała, że

22 maja, gdy ona świętuje swoje urodziny, ta kobieta o niej myśli i modli się za nią.

Nie miała pojęcia, że jej biologiczna matka nosi przechowywane jak skarb zdjęcie kilkutygodniowej Ruth, ze słowami na odwrocie: Najsłodsza dziewczynka na świecie – Betty J.

* * *

W październiku 1929 roku, gdy Ruth uczyła się siadać i łapać braci za włosy mięciutkimi paluszkami, Nordslettenowie spakowali się i przeprowadzili z Jewell, położonego w samym środku Iowa, do małej rolniczej miejscowości w północno-zachodnim rogu tego stanu.

Peder Nordsletten prowadził trzy kościoły w regionie, z których głównym był luterański kościół pięciu zborów, znajdujący się w odległości kilku przecznic od centrum miasteczka. Zamieszkał z rodziną na plebanii przy 2nd Street, po przekątnej od świątyni. Dom był piętrowy, przestronny, z łazienką, jadalnią i wieloma sypialniami. Chłopcom rozbłysły oczy, gdy zobaczyli duży ogród, z rabatami i jabłonią obsypaną owocami. Nad frontową alejką zwisały cienkie gałęzie brzozy, miło witając przychodzących.

Zanim procedura adopcji Ruth dobiegła końca, pracownice opieki społecznej kilkakrotnie składały Nordslettenom niezapowiedziane wizyty. W raportach nie szczędziły pochwał. „Rodzina wywarła na mnie bardzo korzystne wrażenie. To szczerzy i uczciwi ludzie. W domu jest zdrowa atmosfera”. Adopcja nie budziła żadnych wątpliwości; lepszych rodziców trudno było sobie wyobrazić.

Właśnie tam, na Środkowym Zachodzie, Ruth nauczyła się raczkować, potem chodzić i biegać. Musiała dorównać trzem braciom. Ogród za

plebanią był dla dzieci jak dżungla. Odkrywały w nim najrozmaitsze kryjówki pobudzające wyobraźnię.

Ruth zazwyczaj stosowała się do reguł ustanowionych przez rodziców, ale miała jedną skrywaną słabość.

Uwielbiała wchodzić na drzewa.

Przyzywały ją kołyszące się na wietrze gałęzie. Gdy dziewczęta i chłopcy zastanawiali się nad wyborem drogi zawodowej i pójściem w ślady swoich rodziców, Ruth postanowiła, że zamieszka w dżungli, będzie się wspinać na drzewa i bujać na lianach. Najpierw jednak musiała nabrać wprawy.

Miała wokół siebie mnóstwo drzew, postanowiła zdobyć je wszystkie po kolei. Podwijała spódnicę, obejmowała pień i właziła na górę. Umiała ocenić giętkość gałęzi, naciskając na nią ręką albo nogą, zanim stanęła całym ciężarem. Wyrobiła sobie te umiejętności sama, bez pomocy braci.

Wchodziła na drzewa coraz wyżej i wyżej kuszona błękitem nieba nad głową, aż przerzedzały się gałęzie i roztaczał widok na okolicę. Znajdowała solidną gałąź, podekscytowana, że udało jej
się wejść tak wysoko. Widziała wysoką wieżę ceglanego kościoła, dach poczty, dzieci biegnące za psem i dalej, za granicami miasteczka, rozległe, płaskie pola, które ciągnęły się aż po horyzont.

Prawdziwym wyzwaniem było jednak schodzenie. Sukienka zaczepiała się o gałęzie i owijała wokół nóg. Ruth udało się zejść wiele razy i nikt jej nie przyłapał na wspinaniu się na drzewa. Aż któregoś dnia usłyszała klapnięcie drzwi z siatką przeciw owadom i rozległ się głos mamy.

– Ruth!

Spojrzała w dół, zastanawiając się, jak by tu szybko zejść z tak wysoka. Gdybym tylko miała lianę! – pomyślała. Odkrzyknęła wesoło, mając

nadzieję, że jej głos odbije się jak piłka od ziemi, a nie spadnie jej mamie prosto na głowę.

– Już idę!

W tym momencie ich spojrzenia spotkały się w prześwicie między liśćmi. Widząc, że mama otwiera szeroko usta, załamuje ręce i pędem biegnie w kierunku domu, Ruth zdała sobie sprawę, że będzie źle.

Mama znów krzyknęła, tym razem głośniej i w stronę wnętrza domu.

– Peder!

Drzwi na werandę skrzypnęły i trzasnęły. Z otwartych okien plebanii doleciał Ruth rozgorączkowany głos mamy.

– Co się stało?! – odkrzyknął tato, po czym rozległy się jego szybkie, ciężkie kroki na piętrze i schodach.

– Peder, Peder! Ruth jest na drzewie!

Schodziła powoli w dół, starając się nie zahaczyć sukienką o gałąź i uniknąć surowych spojrzeń rodziców. Została ukarana, mimo to nie przestała wchodzić na drzewa przez wiele następnych lat. Nie potrafiła się powstrzymać. W końcu Olava postanowiła nie zważać na to w nadziei, że córka wydorośleje.

Gdy Ruth stała obiema nogami na ziemi, pracowała z ojcem w ogrodzie. Przy zdwojonej sile burz piaskowych i kryzysu gospodarczego posiadanie dobrej ręki do roślin i ogrodu położonego niedaleko studni było bezcenne. Ruth szybko nauczyła się rozpoznawać, które rośliny są chwastami i trzeba je wyrywać, które potrzebują miejsca, żeby się rozrastać, a które drabinki, żeby się piąć. Nauczyła się też, kiedy najlepiej jest zbierać owoce i warzywa. Zrywała słodki groszek wprost do spódnicy i siadała pod płotem w ogrodzie, otwierając strączki i zajadając perłowe kulki.

Olava ładnie ubrała córkę w sukienkę z falbankami i posłała do dwusalowej szkoły, gdzie dziewczynka nauczyła się czytać i liczyć i gdzie pewien kolega namówił ją podstępnie, żeby dotknęła językiem zamarzniętego łańcucha huśtawki.

Minka, mieszkająca w sąsiednim stanie, w Dakocie Południowej, delektowałaby się wiadomościami, że córka wiedzie tak pogodne życie. Pozostawała jej tylko nadzieja, że rodzice otaczają Betty Jane troską i miłością. Byłaby szczęśliwa, wiedząc, że dziewczynka ma rodzeństwo, z którym może się bawić. Pozbawiona jednak szczegółowych informacji od panny Bragstad, mogła jedynie polegać na swojej wyobraźni i nie ustawać w modlitwie.

* * *

W roku 1935, kiedy Minka poznała przystojnego handlarza owocami o imieniu Roy, Ameryka zmagała się z krachem finansowym. Wielu farmerów na Środkowym Zachodzie znalazło się w trudnym położeniu kilkanaście lat wcześniej. Rząd już nie gwarantował wysokich cen bydła i zboża, jak podczas pierwszej wojny światowej. Farmerzy nie potrafili unieść obciążeń finansowych, nie mogli spłacić kredytów bankowych ani sprzedać ziemi na ich pokrycie, ponieważ spadła wartość gruntów. Coraz więcej banków plajtowało. W 1920 roku upadło ich w Iowa sto sześćdziesiąt siedem, a rok później już pięćset pięć.

Miasteczko Wallingford leżało z dala od głównych szlaków na zachód, które biegły wiele mil na północ, przez Minnesotę, i bardziej na południe, przez Iowa. Drogami tymi ciągnęły karawany zdesperowanych ludzi, którzy stracili prawie wszystko, zdezelowanymi pikapami i ciężarówkami wieźli rodzinę, zwierzęta domowe i hodowlane oraz cenne resztki dobytku ułożone w wysokie sterty i zwisające po bokach. Zazwyczaj zmierzali na

zachód, w stronę dużych miast albo plantacji sałaty, w ślad za pogłoskami o Ziemi Obiecanej, a gdy docierali na miejsce, okazywało się, że nie ma terenów, na które nie spadłoby nieszczęście.

Siedząc w bujanym fotelu obok trzeszczącego radia, Peder słuchał ponurych wiadomości.

– O czym oni mówią? – zapytał ojca jeden z synów, również przysłuchując się „pogawędkom przy kominku” prezydenta Franklina Roosevelta.

– Cicho bądź. Potem porozmawiamy.

Pochylił się, by lepiej słyszeć zapewnienia prezydenta, że nadchodzą zmiany, że będzie pomoc dla ubogich i reformy finansowe w całym kraju.

Zarówno członkowie zboru, jak i podróżni przejeżdżający od czasu do czasu przez miasteczko potrzebowali światełka nadziei. Więc pastor Nordsletten szukał go, przeczesując księgę słowa Bożego. Przygarbiony, jako że był wysokim mężczyzną, siedział nad Biblią i notatnikiem z żółtymi kartkami, pisząc kazania, które dawałyby pociechę i przede wszystkim wyrażały Bożą prawdę.

Ludzie zadawali sobie pytania: Dlaczego Bóg nas karze? Czyż nie jesteśmy bogobojni, chodzimy do kościoła i dzielimy się tym, co mamy? Chcieli wiedzieć, jak sprowadzić deszcz. Jak przywrócić do naturalnego stanu tereny, na których potężne burze pyłowe zwiały wierzchnią warstwę gleby? Jak wyciągnąć swoich chłopców z błotnistych okopów w dalekich krajach? Zwracali się do mądrego pastora, którego umysł był istną krynicą cytatów i wersetów z Pisma Świętego.

Dla Ruth Peder był po prostu ojcem. Stosunek córki do ojca zawsze wiązał się z jej rozumieniem Boga.

Na skrzydełku obwoluty angielskiej Biblii, którą kupił przed narodzinami Ruth, Peder umieścił swoje nazwisko, zapisując je wyraźnym

pismem, jakim przygotowywał niezliczone szkice kazań, złożone w stos na biurku, i jakim notował w księdze zakupów swoje wydatki, wszystkie co do jednego. Ruth widziała, jak uważnie ojciec studiuje Pismo Święte, chcąc poznać każdą księgę i wiedzieć, gdzie znajduje się jaka opowieść.

Wiele lat później, długo po jego śmierci, Ruth otwierała Biblię i czytała notatki i zapiski.

Peder Nordsletten

5 sierpnia 1923

Z czasem Peder zapisywał daty, ilekroć zanosił zniszczoną księgę do introligatora i przynosił nowo oprawioną.

Nowa oprawa luty 1928

Nowa oprawa luty 1938

Na stronie wakatowej notował, ile razy czytał Biblię od początku do końca. Angielskiego nauczył się w młodości. Gdy starał się jak najlepiej opanować ten język, pomagało mu czytanie słowa Bożego w języku, w którym najprawdopodobniej miał je głosić.

Skończyłem czytać pierwszy raz, niedziela, 1 maja 1927

17 lutego 1929 – zacząłem czytać tę Biblię drugi raz.

Skończyłem, niedz. 27 sierpnia 1932

Zacząłem trzeci raz 2 kwietnia 1942

Panie, spraw, by pogłębiła się moja wiara, gdy to czytam.

Przeczytałem trzeci raz, niedziela 19 marca 1944

Bogu niech będą dzięki

Peder nie tylko zachęcał wiernych do zgłębiania Pisma Świętego, które tak dobrze znał, lecz również miał bogaty repertuar cytatów, które

z upodobaniem przytaczał przy każdej okazji. Podając komuś rękę, mówił: „Stalowy uścisk dłoni, żebyś poczuł, że nie jesteś sam na tym świecie”. Inne ulubione napomnienie zaczerpnął z Waltera Scotta: „Jakąż to sieć splątaną tkamy, kiedy wprawy w kłamstwie nie mamy”.

Osadzony głęboko w wierze Peder wydawał się człowiekiem nieugiętym, odpornym na życiowe burze. Jego wiara wykuła się jednak w ogniu cierpienia po bolesnej stracie.

Minęło wiele lat, zanim Ruth się dowiedziała, jak wielka to była strata.

Rozdział siedemnasty

Gdy pod koniec życia ojciec Ruth opisał swoje dzieciństwo, zrobił to bez cienia skargi i goryczy, choć jego rodzina przeżyła tragedię, która zmieniła ją na zawsze; Peder, najstarszy z piątki rodzeństwa, miał wtedy dziesięć lat.

Urodził się w Ameryce 9 lipca 1886 roku. Jego rodzice niewiele wcześniej przybyli do Ameryki z Norwegii. Zostali obdarzeni potomstwem, które przychodziło na świat jedno po drugim, ale żyli w trudnych warunkach. Ojciec Pedera Ole pracował dla George R. Newell Company w Minneapolis. Jego zarobki u hurtownika produktów spożywczych nigdy nie przekroczyły jedenastu dolarów na tydzień. Nieraz było tak, że szedł pieszo trzy mile do pracy, żeby zaoszczędzić pięć centów na bilecie tramwajowym.

Któregoś wieczoru spadła lampa w kuchni. Pożar szybko się rozprzestrzenił. W domu była piątka małych dzieci. Mama Pedera Marie robiła wszystko, żeby zdławić ogień. Gdy zapaliła się jej sukienka, kobieta wybiegła w popłochu na dwór. Ogarnęły ją płomienie. Dzieci uratowano, ale po siedmiu koszmarnych godzinach śmierć zabrała Marie Nordsletten.

Ojciec Pedera żył ze złamanym sercem. Tak jak umiał, zajmował się małymi dziećmi, które potrzebowały ojca, ale brakowało im matki. Zarabiał

niewiele, więc z trudem wiązali koniec z końcem. Rodzinna tragedia rzuciła go na kolana i jak później napisał syn, „przyczyniła się do głębokiego nawrócenia ojca”. Ole otworzył w końcu Biblię, którą dostał od rodziców, gdy wyjeżdżał z Norwegii do Ameryki. Słowa Pisma go uratowały. Po latach mówił, że największy cios w życiu był dlań zarazem największym błogosławieństwem – dał mu wiarę.

Mieszkający w Norwegii rodzice napisali do Olego, że mogą zaopiekować się dwójką jego dzieci. Wybrano jedenastoletniego Pedera i siedmioletnią Annę, ponieważ byli najspokojniejsi.

Razem z sąsiadem dzieci pojechały pociągiem do Nowego Jorku, tam wsiadły na statek i popłynęły trzecią klasą, wśród najbiedniejszych pasażerów, do Europy. Dotarły na miejsce tuż przed Bożym Narodzeniem, zostawiwszy przygnębioną rodzinę i kraj w stanie wojny z Hiszpanią.

Przez następne cztery lata Peder i Anna przebywali u podstarzałych dziadków. Peder napisał, że byli „prawymi ludźmi, więc wychowali nas zgodnie ze swoim sumieniem, bardzo starannie”. Mieszkali na dobrze prosperującej farmie, w dużym domu z bali, który wiele lat później spłonął do cna. Tę rodzinę najwyraźniej prześladowały pożary.

Peder był konfirmowany w kościele luterańskim. Niedługo po konfirmacji przyszła wiadomość od ojca o ponownym ożenku. W 1902 roku rodzeństwo wróciło do Ameryki, tym razem odbywszy podróż samodzielnie. Znalazło się w chacie zbudowanej z darni, na pustej, surowej równinie w Dakocie Północnej, gdzie osiedlił się ich ojciec z drugą żoną i dziećmi.

Macocha nie była okrutna, tylko nie miała serca. Nigdy nie uznała dzieci za swoje. Zdawało się, że nieustannie pragnie czegoś, co jest gdzieś indziej niż w miejscu ich zamieszkania – zieleńszej trawy albo garnka ze

złotem. W takiej pełnej napięć atmosferze Peder obserwował, jak ojciec czerpie siłę z rozbudzonej wiary, z więzi z Bogiem.

Pewnego dnia, prowadząc woły, Peder poczuł, że Pan go wzywa. Postanowił, że zostanie kaznodzieją. Oszczędzając pieniądze, najął się do ciężkiej pracy. Gdy miał dwadzieścia trzy lata, wstąpił do seminarium duchownego w południowo-wschodniej Minnesocie. Pierwszy rok w Red Wing Seminary okazał się ogromnie trudny. Jego angielskie słownictwo pozostawiało wiele do życzenia, niewiele rozumiał z tego, co mówili nauczyciele. Ponieważ nie ukończył ósmej klasy w szkole, musiał iść na kurs uzupełniający.

Pilnie się uczył, znajdując oparcie w modlitwie oraz kolegach i pracownikach uczelni. „Był głęboko wzruszony”, jak napisał, gdy 25 maja 1916 roku otrzymał dyplom.

Dwa lata później ukończył seminarium luterańskie w St. Paul, w Minnesocie i następnego dnia poślubił ukochaną Olavę, z którą zaręczył się dziesięć lat wcześniej. W okresie narzeczeństwa Olava pracowała jako pielęgniarka w katolickim szpitalu w Kanadzie i studiowała w Moody Bible Institute w Chicago. Przeżyli w związku małżeńskim czterdzieści dwa lata.

* * *

Ruth uwielbiała swoją rodzinę, braci też. Nie wyobrażała sobie bez nich życia.

Orville trafił do domu Nordslettenów jako niemowlę zaraz po śmierci ich pierwszego syna i wszedł w rolę najstarszego dziecka tak, jakby była dla niego stworzona. Z dokumentów adopcyjnych wynikało, że miał francuskie pochodzenie, ale z czasem jego oszczędność i sposób bycia zaczęły się kojarzyć rodzicom z cechami właściwymi Szkotom. Wobec tego przezwali go Scotchy.

Gdy Scotchy zarobił dziesięć centów, wrzucał je do skarbonki. Kręcił głową, widząc, że młodsi bracia nie mają wewnętrznej dyscypliny. Pewnego razu obwieścił im: „Mógłbym wytapetować cały swój pokój dolarami, które zaoszczędziłem. A wy dwaj nie macie nic”.

Olin, urodzony półtora roku po Scotchym, był jego całkowitym przeciwieństwem. W rodzinie przezwano go Ole, co wymawiało się O-li. Ten z kolei trzymał swoje centy w kieszeni do czasu, gdy naszła go na coś chętka, najczęściej na byle co. Ole rozśmieszał Ruth do łez swoimi figlami, ale to jemu ze wszystkich dzieci rodzice najczęściej wymierzali karę; po prostu trudniej było przywołać go do porządku. W jego wypadku upodobanie do swawoli równoważyła jednak szczodrość serca: gdy wreszcie zdołał zaoszczędzić trochę pieniędzy, kupił ojcu radio.

Któregoś dnia na oczach rodziców i Ruth, którzy czekali na niego w samochodzie, bez skrępowania skradł dziewczynie całusa. Wszyscy byli zaskoczeni, dziewczyna też – choć nie czyniła mu wyrzutów.

Nie mając jeszcze dwudziestu lat, Ole chciał się zatrudnić na statku rybackim i poszedł na rozmowę kwalifikacyjną. Kiedy go zapytano, czy umie gotować, odparł bez wahania: „Pewnie, że umiem”. Ruth powątpiewała, czy jej starszy brat potrafił w tamtym czasie zagotować choćby wodę – nigdy nie widziała go w kuchni. Dostał jednak tę pracy i szybko wszystkiego się nauczył. Ostatecznie został pastorem, ale nigdy nie stracił zamiłowania do wędkarstwa.

Najmłodszy brat miał na imię Kenneth. Kenny czesał się dokładnie tak jak ojciec: włosy gładko do tyłu, wysmarowane pomadą. Uwielbiał wałęsać się po pobliskiej żwirowni i pływać w jeziorze Spirit czy Okoboji. Choć był najmłodszy, charakterem nie pasował do pozostałych braci – nie był tak swawolny jak Ole ani tak stanowczy jak Scotchy.

Przy czwórce żwawych dzieci o różnych osobowościach każdy dzień był dla Olavy wyzwaniem. Tylko w jednym miejscu nie tolerowała złego zachowania, mianowicie w domu Bożym. Zdarzało się, że Ole i Kenny dostawali klapsa zapobiegawczo, jeszcze przed pójściem do świątyni, po którym następowała obietnica surowszej kary, jeżeli będą niegrzeczni. Scotchy i Ruth unikali kary, ponieważ podczas poprzednich nabożeństw dobrze się zachowywali. Wiedzieli, że gdy tato wygłasza kazanie, trzeba być aniołkiem.

W życiu Nordslettenów sprawy kościelne splatały się ze sprawami rodzinnymi. Ponieważ w kościele nie było miejsca na kancelarię, w salonie na plebanii zawsze panował nieskazitelny porządek, na wypadek gdyby ktoś ze zboru przyszedł zasięgnąć porady, złożyć skargę albo poprosić o modlitwę. Skromny pokój, w którym stały pianino i proste meble, służył również do słuchania muzyki i radia. Miejscowa nauczycielka chętnie korzystała z tego instrumentu, dając lekcje dzieciom z miasteczka. W zamian uczyła za darmo Ruth.

Początkowo, nie mogąc spędzać czasu na powietrzu, co lubiła najbardziej, Ruth czuła się tak, jakby ją zamknięto w klatce. Stołek był za twardy, a miarowe uderzenia metronomu brzmiały jak powolne tykanie zegara. Z czasem jednak obowiązek przekształcił się w pasję.

Plebanię wypełniała muzyka. Peder i Olava doskonale śpiewali. Wszystkie dzieci grały na instrumentach. Scotchy na trąbce, Ole na puzonie, Kenny na klarnecie. Ruth grała na pianinie i brała lekcje śpiewu, a potem zaczęła grać na klarnecie, jak najmłodszy brat.

Wieczorami Peder siadał w bujanym fotelu, przy radiu. Dzieci schodziły się na kolejny odcinek serialu przygodowego *Jack Armstrong*, a z czasem *Captain Midnight*. Peder i Olava lubili audycję *Fibber McGee and Molly*.

W salonie zapadała biblioteczna cisza, w której dawało się słyszeć jedynie trzeszczące głosy z radia.

Wokół stołu w jadalni koncentrowało się życie rodziny. Przy nim wszyscy zbierali się na posiłki. Tu Olava układała kolorowe kawałki materiałów i szyła patchworkowe narzuty. Tu cała rodzina grała w gry: w karty, w kulki, w gry planszowe, takie jak monopol. Ruth uwielbiała trzymać bank, gdy jej bracia grali z kolegami w tę grę. Ochoczo układała stosiki kolorowych banknotów i wypłacała 200 dolarów, ilekroć gracz przeszedł przez pole „Start”.

Od najwcześniejszych lat Ruth odznaczała się miłym usposobieniem, ale zdarzały jej się napady uporu. Pewnego pogodnego dnia spakowała swoją brązową walizeczkę i pomaszerowała na stację kolejową, która znajdowała się w odległości kilku przecznic. Peder przytrzymał Olavę w domu, a sam zadzwonił na centralę i poprosił o połączenie z kasą na dworcu.

– Lada chwila pojawi się u pana moja córka. Czy mógłby pan mieć ją na oku, dopóki nie przyjdę?

Gdy Ruth weszła do piętrowego budynku dworca, sięgnęła do kieszeni i z westchnieniem pomyślała: Powinnam była poprosić Scotchy’ego o pożyczkę. Wzruszyła ramionami i postanowiła zbadać teren. Długi prostokątny budynek należał do najbardziej dekoracyjnych w miasteczku, w dachu miał zwieńczone łukiem okna mansardowe. W centralnej części znajdowała się poczekalnia, w każdym rogu pawilon i zadaszona przestrzeń dla podróżnych. Proste szyny biegły po horyzont, pobudzały wyobraźnię, emanowały energią odległych miast.

Stojąc w bezpiecznej odległości, Ruth spojrzała w dół na tory. Klapnęła na drewnianą ławkę i spróbowała wyobrazić sobie, że pusty teraz dworzec

jest pełen ludzi wyruszających w poszukiwaniu przygód. Zaczęło jej burczeć w brzuchu. Pewnie zbliża się pora lunchu, pomyślała.

Uznała, że ucieczka w daleki świat nie jest taka interesująca, jak jej się wydawało. Gdy Peder i Olava przyszli na stację, chętnie wróciła z nimi do domu.

* * *

Na dzieciństwo Ruth składały się ogrzewane przy kominku rękawiczki z jednym palcem, torby cukierków za jednego centa ze sklepu w centrum miasteczka i śliczny rower marki Schwinn na urodziny. We wspomnieniach zachował się zapach domowych pączków Olavy i miękkich ciasteczek z melasą, prosto z pieca, oraz letnie obozy biblijne i muzyka bigbandowa.

Rodzinie dobrze się wiodło. Chłopcy, starsi od Ruth o dziewięć, osiem i sześć lat, z czasem opuszczali po kolei dom. Scotchy wstąpił do marynarki. Ole został rybakiem, a potem poszedł do seminarium duchownego. Kenny wyjechał do Minneapolis i zatrudnił się w Braniff Airways. Żaden z nich nie zginął podczas drugiej wojny światowej, która skończyła się, gdy Ruth wchodziła w dorosłość.

W czasach gdy setki tysięcy Amerykanów traciło dach nad głową, Nordslettenowie mieszkali w komforcie, dobrze się odżywiali i byli kochającą się rodziną. Ruth mierzyła się również z wyzwaniami. Jak wielu zaznała w młodości straty, doświadczyła strachu i cierpienia. Ale generalnie te lata były radosne i pełne miłości. Ruth Priscilla – niegdyś nazywana Betty Jane – miała błogosławione dzieciństwo.

Tak jakby ktoś nieznajomy modlił się za nią przez całe jej życie.

Rozdział osiemnasty

– Zgodziłem się zostać wędrownym kaznodzieją – poinformował córkę Peder, gdy usiedli do obiadu.

– Twój ojciec od dawna chciał wykonywać tę pracę – rzekła Olava, przysuwając sobie krzesło. – Dotrze do ludzi w kościołach całego kraju.

– Ale to oznacza, że przeprowadzimy się do Minnesoty – dodał Peder, bacznie przyglądając się twarzy Ruth.

Rodzice wysłuchali jej pytań i zapewnili ją, że zmiana jest korzystna dla całej rodziny. Zamieszkają w nowym domu, zanim Ruth pójdzie jesienią do siódmej klasy.

Dziewczynę ogarnęła euforia, ale i lekki niepokój: Wallingford był jej domem, odkąd sięgała pamięcią. Po jedenastu latach wszystko miało się zmienić.

Najpierw przeprowadzili się do Fergus Falls w Minnesocie. Liczące dziesięć tysięcy mieszkańców miasto wydawało jej się ogromne – w Wallingford nie mieszkało nawet dwieście pięćdziesiąt osób. W północnej części miasta znajdował się okazały szpital stanowy, jeden z ostatnich zakładów psychiatrycznych, zbudowanych według projektu

Thomasa Kirkbride’a. Gmach wyglądał jak niebotyczny zamek i niekiedy mieścił nawet dwa tysiące pacjentów.

Ruth skończyła w Fergus Falls siódmą i ósmą klasę. Szybko zawarła przyjaźnie i gdy nadeszła mroźna zima, razem z koleżankami jeździła na łyżwach po miejscowych stawach. Zanim córka rozpoczęła naukę w szkole średniej, Peder i Olava uznali, że najlepszym miejscem na siedzibę pastora będzie Minneapolis. Należało przypuszczać, że jedno z największych miast w kraju zaoferuje mieszkańcom wiele możliwości, poza tym leżało w centrum regionu, dzięki czemu Peder poświęcałby mniej czasu na podróże.

Peder cieszył się z nowej pracy. Odwiedził kościoły w dwunastu stanach i czterech prowincjach w Kanadzie, zatrzymując się w ponad stu plebaniach. Wygłaszał przesłania do wiernych na specjalne zaproszenie zborów i doradzał pastorom jako doświadczony duchowny.

Ruth i Olava ceniły sobie wygody miejskiego życia. Ruth codziennie dojeżdżała do szkoły tramwajem i w krótkim czasie nauczyła się swobodnie poruszać po mieście. Dobrze się ubierała, nawet przy skromnych dochodach pastora, i potrafiła zjednać sobie ludzi wdziękiem i pogodnym usposobieniem.

Kilka lat później jedna z nauczycielek tak napisała o Ruth w pamiątkowej księdze na koniec roku szkolnego: „Bez wątpienia tryskasz energią atomową. Oby nigdy się nie wyczerpała. Przypominaj sobie jednak trochę częściej, że oprócz radosnej strony życia jest również ta poważna”.

Inna nauczycielka napisała: „Dzięki tobie ożyły moje lekcje angielskiego”.

Przez te lata, gdy Peder podróżował, Ruth i Olava jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Jeździły tramwajem na zakupy i zwiedzały miasto;

razem chodziły na nabożeństwa. Gdy chciały zrobić sobie szczególną przyjemność, szły do kina. Olava najbardziej lubiła *Lassie, wróć*.

Trwała wojna; dla Ruth kartki na zakup racjonowanych towarów były rzeczą równie oczywistą jak banknoty. Ponieważ jej mama nie prowadziła samochodu, przynajmniej nie doskwierało im racjonowanie paliwa. Znajomi ze szkoły i ze zboru czasami opowiadali o toczących się daleko walkach: o braciach, synach, mężach i przyjaciołach, którzy nie wrócili z Normandii czy Iwo Jimy. Przed tragicznymi doświadczeniami chroniło ją jednak bezpieczne życie, jakie stworzyli jej rodzice, podobnie jak w latach Wielkiego Kryzysu.

Sporadycznie towarzyszyła ojcu w podróżach. Gdziekolwiek zawitali, obsypywano ją komplementami: że jest taka ładna, że wyrosła na wspaniałą dziewczynę, że ojciec musi być z niej dumny. Ona z kolei była dumna z ojca i bardzo za nim tęskniła, gdy wyjechał z domu.

– Jak długo cię nie będzie tym razem? – zapytała przed którymś z jego wyjazdów. – Chłopcom pomagałeś przygotować się do konfirmacji, niedługo moja kolej.

Ruth uczyła się pilnie przed ceremonią publicznego wyznania wiary, ale była przekonana, że szybciej zrozumiałaby *Mały katechizm Lutra*, gdyby siedział przy niej tato i wyjaśniał jej poszczególne nauki, które znał na wylot.

Peder obiecał córce, że wróci na czas.

Po konfirmacji Ruth nadal w pełni korzystała z miejskiego życia. Ale ni stąd, ni zowąd, po zaledwie dwóch latach w Minneapolis, znów trzeba było się pakować. Wiele lat później Ruth dowiedziała się ku swemu zdumieniu, że gdy oni szykowali się do wyjazdu z Minneapolis, właśnie przeprowadziła się tam pewna pani, Minka Disbrow, i zamieszkała tylko dwie mile od ich przyjemnego parterowego domu. Być może chodziły

między półkami tego samego sklepu spożywczego albo ocierały się o siebie w tramwaju, a może śpiewały hymny, stojąc niedaleko od siebie w luterańskim kościele.

Nordslettenowie przenieśli się do rolniczego miasteczka Viroqua w stanie Wisconsin, gdzie Pederowi przydzielono ostatnią parafię. Ruth, która w Minneapolis rozpoczęła naukę w szkole średniej, znów była nową uczennicą, ale miało się to więcej nie powtórzyć. Miasteczko pochłonęło ją bez reszty, została tam do końca życia.

* * *

W porównaniu z okazałym Minneapolis życie w małym Viroqua w południowo-zachodniej części Wisconsin przypominało powrót do przeszłości i do miasteczka w Iowa, gdzie znajdował się pierwszy dom rodzinny Ruth.

Mamy mieszkać w tej zapadłej wiosze? – cisnęło jej się na usta.

Ruth przyzwyczaiła się do ładnych ubrań, nosiła sukienki, a jeśli już spodnie, to wyprasowane i z bluzką. Natomiast dziewczęta w Viroqua chodziły w dżinsach z podwiniętymi nogawkami, w skarpetkach wywiniętych do kostek i w półbutach z paskiem skóry innego koloru w miejscu, gdzie była sznurówka, do tego wkładały białe koszule frakowe swoich ojców. Ruth patrzyła na nie, mając wrażenie, że znalazła się w obcym kraju.

Plusem było to, że do niewielkiej szkoły średniej uczęszczała jej daleka kuzynka Anita, która z ochotą posłużyła za przewodniczkę. Skora do śmiechu i pewna siebie Ruth wpasowała się w nowe otoczenie bez kłopotu. Była urodziwą dziewczyną, córką nowego pastora i intrygującą nowością dla uczniów, którzy znali się od czasu wspólnych zabaw w kościelnym przedszkolu.

Nie minęło wiele czasu, a Ruth, ku własnemu zdumieniu, poczuła się swobodnie we „wsiowym” środowisku. Nawet zaczęła się pokazywać w lokalnym stroju, w dżinsach z podwiniętymi nogawkami i w skarpetkach wywiniętych do kostek, tylko zamiast koszuli frakowej musiał jej wystarczyć T-shirt. Zapinane na guziki koszule jej ojca były za duże dla dziewczyny tak drobnej budowy.

Ruth poznała Charlesa Lee, ledwie rozpoczęła naukę w nowej szkole. Lubiła rozmawiać z przystojnym kolegą, choć niekiedy dziwiło ją jego zachowanie.

– Co się z nim dzieje? – zapytała któregoś dnia Anitę.

– Jak to?

– Czasem zachowuje się naprawdę dziwacznie. Jednego dnia całkiem fajnie nam się rozmawia, a następnego żartuje sobie ze mnie albo robi coś w tym stylu.

Na twarzy kuzynki pojawił się szeroki uśmiech.

– O co chodzi?

Anita z trudem wykrztusiła:

– To nie on.

– A kto? Ja?

– Chcę powiedzieć, że ten drugi to nie Charles.

Ruth zmarszczyła brwi poirytowana. Co to ma znaczyć?

– To Chester, jego brat. Charles ma brata bliźniaka. Identycznego.

– Co takiego?! – Ruth splotła ręce na piersi. Ale w kącikach jej ust igrał lekki uśmieszek.

– Chester i Charles czasem zamieniają się miejscami. Od lat robią takie figle. Nabierają nauczycieli, rodziców, kogo się uda.

Ruth już zaczęła obmyślać zemstę, ale rozbawienie walczyło z oburzeniem – i okazało się silniejsze.

– Przynajmniej już wiem, że nie jest głupi – stwierdziła ze śmiechem.

Nigdy więcej nie dała się oszukać. Gawędziła sobie z Charlesem, a Chester się z nich naśmiewał. Wkrótce zaczęli ze sobą chodzić.

Przez całą szkołę średnią Ruth i Charlesa uważano za parę. Jego rodzina należała do innego zboru luterańskiego w miasteczku, ale Charles z czasem przeszedł do zboru pastora Nordslettena.

Latem, razem z wieloma uczniami z miasteczka, Ruth jeździła na obozy biblijne. Nadal śpiewała i grała na pianinie. W szkole średniej jej zamiłowanie do muzyki wzrastało. Najbardziej lubiła muzykę bigbandową Glenna Millera, Tommy’ego Dorseya i Sammy’ego Nestico. Kiedy w domu płynęła z radia muzyka, z czasem nawet rodzice chętnie jej słuchali. Choć członkowie rodziny mieszkali daleko od siebie, utrzymywali bliskie kontakty. Scotchy stacjonował w bazie marynarki wojennej w Corpus Christi, w Teksasie. Gdy przyjeżdżał do domu, Ruth z upodobaniem chodziła w jego kurtce marynarskiej. Czasem jeździła pociągiem do Kenny’ego, który mieszkał w Minneapolis, również do Olego i jego żony. Ole uczył się w seminarium i miał zostać duchownym jak ojciec. Ruth nie posiadała się z radości, gdy bracia razem z powiększającymi się rodzinami przyjeżdżali w odwiedziny. Olava promieniała, mając pod dachem wszystkie dzieci, a Ruth uwielbiała gwar i harmider – dyskusje, pogawędki i śmiech.

Dla Ruth dom pełen ludzi był synonimem szczęścia.

* * *

Rankiem 28 maja 1947 roku, gdy Ruth szykowała się na uroczyste wręczenie świadectw ukończenia szkoły średniej, promienie słońca

wpadały przez okna. Była ubrana w kostium, na który nałożyła tradycyjną togę, i w białe skórzane sandały, niedawno kupione. Przed wyjściem do szkoły zrobiono jej zdjęcie na trawniku przy plebanii. Niebo jaśniało błękitem zapowiadającym ciepło i nadejście lata, choć temperatura tego dnia gwałtownie spadła i na horyzoncie zbierały się chmury.

Podczas nabożeństwa promocyjnego słońce wpadające przez okna zbladło, a potem zgasło. Niespodziewana śnieżyca wszystkich zaskoczyła. Odziani w togi absolwenci, ze świadectwami w rękach, uciekli przed zimnem do samochodów albo puścili się pędem do domów.

Charles i Ruth poszli pieszo przy padającym śniegu. Zanim dotarli do domu, sandały Ruth przemokły na wylot. Po wyschnięciu zdeformowały się i zesztywniały; Ruth więcej ich nie nosiła. W Viroqua spadło tej nocy dziesięć cali śniegu. Burza śnieżna pobiła rekordy na Środkowym Zachodzie; niektórych nie pobito aż do zamieci z maja 2013 roku.

Mieszkająca w Minneapolis Minka Disbrow nadal wracała myślami do swojej starszej córki, również wtedy gdy trzymała na rękach maleńką Diannę. Nadal pisała listy do panny Bragstad. Miała nadzieję, że Betty Jane ukończy szkołę średnią, co jej samej nie było dane. Czy następnej jesieni pójdzie na studia? Czy się zakochała? Czy jest szczęśliwa? – mnóstwo pytań cisnęło jej się do głowy.

Ruth była wówczas starsza od Minki, gdy ta wyjeżdżała z Domu Miłosierdzia ze złamanym sercem, które nigdy nie uleczyło się całkowicie. Minka przeżyła wczesną młodość w smutku, Ruth spodziewała się, że czeka ją jasna, obiecująca przyszłość.

* * *

Późnym latem 1948 roku Charles zaprowadził Ruth do jubilera. Odkładał część pieniędzy zarobionych w lokalnym przedsiębiorstwie właśnie na ten

dzień. Gdy wybrali pierścionek zaręczynowy, zapytał Ruth, czy chciałaby go założyć.

– Nie – odparła.

Charles już wiedział, że zbliża się napad uporu.

– Na pewno nie?

– Chcę, żebyś włożył mi go na palec, jak się należy, gdy będziemy sam na sam – odrzekła stanowczo.

Charles szybko pojął, że gdy Ruth się uprze, nie pozostaje nic innego, jak jej ulec. Słuszność tej konkluzji potwierdziła się nieraz w ciągu dziesięcioleci ich wspólnego życia. Gdy nie spoczywały na nich zaciekawione spojrzenia ekspedientów, Ruth dała sobie wsunąć pierścionek na palec.

Kufer na wyprawę już czekał wypakowany rękawicami kuchennymi, koronkowymi serwetkami, fartuchami i naczyniami. Ruth i Olava przez lata robiły i kupowały rzeczy, które pewnego dnia miały się znaleźć w domu Ruth. Gromadziły porcelanę firmy Jewel Tea i kobaltowe szkło z czasów Wielkiego Kryzysu, osobno zawijały w papier każdy przedmiot. Przez wiele następnych lat Ruth dokupowała kolejne naczynia, tworząc kolekcję, która przetrwała niezliczone przyjęcia świąteczne i dotyk małych rączek, chętnych do „pomocy”.

Więź między Ruth a jej mamą zawiązała się już pierwszego dnia, gdy się spotkały w Domu Miłosierdzia. Razem śpiewały, pracowały w kuchni i sprzątały domy w Minneapolis, żeby mieć więcej pieniędzy, gdy Peder podróżował. Rok po roku, latem i jesienią, robiły przetwory z warzyw i owoców; razem nasłuchiwały, kiedy „strzelą” pasteryzowane słoiki. Te umiejętności okazały się dla Ruth bezcenne, gdy wekowanie i zamrażanie produktów żywnościowych stało się nieodzownym elementem jej życia rodzinnego.

Olava przekazała córce swoje najcenniejsze przepisy kulinarne. Jej zupa jarzynowa na wołowinie była ulubionym daniem całej rodziny, a wypieki błyskawicznie znikały ze stołu, gdy usiadły przy nim dzieci. Ole tak się wyraził o jej ciastach: „Były nie z tego świata, raczej z tamtego”.

Choć dom był pełen dzieci, Olava znajdowała czas na rozwijanie swoich zainteresowań. Nie pobierając lekcji, odkryła w sobie talent do malarstwa olejnego. Potrafiła wyobrazić sobie płynący statek albo górzysty pejzaż, choć w promieniu setek mil nie było oceanu ani gór – widoki na płótnie ożywały pod jej pędzlem. Dzieci i wnuki zachowały obrazy kuźni, jelenia, wodospadu czy żaglowca, by przypominały ich babcię przyszłym pokoleniom.

Po wyjeździe z Minneapolis Olava zaczęła podupadać na zdrowiu. Z powodu postępującego gośćca poruszanie palcami sprawiało jej coraz więcej bólu. Miała również astmę i ciężko oddychała nawet przy wykonywaniu prostych czynności.

Mimo to cieszyła się każdą chwilą spędzoną z dziećmi. Opowiadała im o swoim życiu, o tym, jak była pielęgniarką podczas pierwszej wojny światowej albo jak prawie się utopiła w Two Rivers, gdy miała piętnaście lat.

To było tak: niosła lunch i gorącą kawę ojcu i szwagrowi, którzy kosili trawę na łące za rzeką. Musiała przejść na drugi brzeg po kładce z dwóch okorowanych belek. Jedną ręką trzymała kawę, drugą jedzenie, a szła po śliskim drewnie. W połowie kładki straciła równowagę i wpadła do rzeki.

Zachłysnęła się zimną wodą. Poczuła, że palą ją płuca – woda wypychała z nich powietrze. Tonęła, gdy nagle „zjawił się przy mnie Jezus, Pan w białych szatach, bez wątpliwości”. Przemówił do niej. Poprosiła o darowanie jej win. Razem odmówili *Modlitwę Pańską*.

Szwagra Olavy zaintrygował jakiś dziwny hałas dobiegający od strony rzeki. Znajdował się niedaleko brzegu, gdy intuicja podpowiedziała mu, że ma biec. Skoczył do wody i wyciągnął Olavę, położył ją na taczkach, które stały opodal, i popędził przez kładkę do domu.

Olava opisała później to zdarzenie, tak kończąc swoją relację: „Gdy czasem słyszę o ludziach, którzy umarli przez utonięcie, myślę o tym, czego sama doświadczyłam, gdy Pan Jezus znalazł się tak blisko mnie w Two Rivers, w północnej Minnesocie. Być może oni też mieli podobne spotkanie z Jezusem, nim zabrała ich śmierć”.

Nie wiedziała, że taki dokładnie wypadek spotkał dziadka Ruth ze strony matki, Bena, który utonął w wodach jeziora w sąsiednim stanie, trzynaście lat po tym, jak Olava otarła się o śmierć.

* * *

Ruth i Charles pobrali się 24 września 1948 roku. Panna młoda miała dziewiętnaście lat. Była to uroczystość rodzinna: ojciec udzielił ślubu, brat Scotchy poprowadził Ruth do ołtarza, szwagierka Arlett zagrała na organach, Ole odśpiewał pieśni, a Kenny usadził gości w ławkach. Jedynym zmartwieniem tego dnia był stan zdrowia Olavy. Scotchy i Kenny przyprowadzili ją do kościoła, ale była już poważnie chora.

Po ślubie Charles przeprowadził się na plebanię i zamieszkał z Ruth i jej rodzicami pod jednym dachem. Państwo młodzi nie mieli ani centa, ale nie posiadali się ze szczęścia. Zaznawszy tyle radości w rodzinie, gdzie było czworo dzieci, Ruth stwierdziła, że z kilkorgiem więcej będzie tylko weselej.

– Chcę mieć szóstkę dzieci! – oznajmiła Charlesowi.

Charles spojrzał na nią bacznie i odrzekł:

– Jeżeli pojawi się szóstka, będzie mile przyjęta i kochana.

Wkrótce znaleźli sobie mieszkanie. Przeprowadzali się jeszcze kilka razy i cały czas odkładali pieniądze, aż w końcu wpłacili tysiąc dolarów zaliczki na budowę małego domu na południowych obrzeżach miasteczka. Miesięczna rata wynosiła czterdzieści osiem dolarów.

Wtedy pojawiły się dzieci. Zaledwie kilka miesięcy po pierwszej rocznicy ślubu Ruth zorientowała się, że jest w ciąży. Po ciężkim porodzie urodziła córkę Deb i ochoczo zajęła się domem i dzieckiem. Niecałe półtora roku później ucieszyła ich wiadomość, że następnego lata przyjdzie na świat ich drugie dziecko.

Radość trwała jednak krótko. Pragnienie Ruth, by mieć sześcioro dzieci, zostało poddane próbie.

Rozdział dziewiętnasty

To był najdłuższy miesiąc w jej życiu.

Ugrzęzła w domu, który do niej nie należał, wodziła wzrokiem po meblach w sypialni i słuchała, jak po pokojach kręcą się członkowie rodziny męża i jak bawi się ich malutka córka. Chciała karmić półtoraroczną Deb, tulić ją, gdy płakała, i być obecna w życiu rodziny. Wolała zajmować się czymkolwiek, byle nie tkwić samotnie w tym pokoju. Ale doktor stanowczo zalecił bezwzględny odpoczynek w łóżku.

Kłopoty zaczęły się zaraz po tym, jak Ruth dowiedziała się, że znowu zaszła w ciążę. Była niezależną młodą kobietą, a musiała liczyć na innych, by dotrzymywali jej towarzystwa, pozwalali przez chwilę bawić się z pełną wigoru córką i nawet zaspokajali jej zupełnie prywatne potrzeby. Musiała hamować się z całej siły, by nie wyskoczyć z łóżka i nie rzucić się na pomoc.

Doceniała zaangażowanie, z jakim opiekowała się nią teściowa, ale wolałaby mieć własny pokój, własny dom i normalne życie.

Jednak nade wszystko chciała mieć zdrowe dziecko, więc podporządkowała się zaleceniom doktora i leżała w łóżku.

Brakowało jej mamy, wówczas już zbyt chorej, żeby opiekować się córką albo wnuczką. Tęskniła za zupą jarzynową na wołowinie, za

delikatnym dotykiem ręki na czole albo na ramieniu, gdy mama opatulała ją kocem.

Ruth od dawna wiedziała, że jej mama straciła nowo narodzone dziecko, ale teraz ten fakt przemawiał dobitniej. To musiał być ogromny cios dla Olavy i Pedera. Ruth położyła rękę na brzuchu i przeszył ją strach. Czy i ją czeka takie nieszczęście?

Miesiąc wreszcie dobiegł końca i Charles znów zawiózł ją do lekarza. Ruth miała wrażenie, że niebo nigdy nie było takie niebieskie, a powietrze nigdy nie pachniało tak świeżo. Poczuła się jak więzień wypuszczony za dobre sprawowanie, odzyskała pogodę ducha. Chyba zostanie nagrodzona za ścisłe przestrzeganie zaleceń i wynik badania będzie pomyślny. Słowa lekarza przyjęła z ciężkim sercem.

– Nie wiem, czy płód żyje. Zabierzemy panią do szpitala i sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku.

Ruth przyłożyła obie dłonie do lekko zaokrąglonego brzucha. Nie dopuszczała do siebie myśli, że dziecko nie żyje. Po przyjeździe do szpitala Charles zadzwonił do krewnych i poprosił, żeby uklękli i pomodlili się za dziecko.

Lekarz powiedział, że Ruth nie musi już leżeć w łóżku, ale trzeba poczekać, by określić stan płodu. Kardiotokograf został wynaleziony dopiero sześć lat później, a ciąża była zbyt wczesna, by stetoskopem usłyszeć bicie serca.

Po miesiącu Ruth wreszcie poczuła upragnione ruchy, co dowodziło, że jej dziecko żyje.

W sierpniu 1952 roku urodził się Mark Charles; chłopiec był zdrowy, ważył dziewięć funtów i dziewięć uncji. Po latach Ruth przypomniała sobie tamte spędzone w łóżku dni i pomyślała: Ileż by nas ominęło, gdybyśmy go stracili!

Macierzyństwo obudziło w niej radość, której istnienia mogła się tylko domyślać, i miłość, którą dotychczas znała tylko na pozór. Ten stan jednak okazał się głębszy i cudowniejszy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Ale drugi poród też był trudny, a powrót do pełni sił trwał wiele dni.

Choć Ruth uwielbiała swoje dzieci, zaczęła się zastanawiać, czy marzenie o szóstce jest realne.

* * *

W 1954 roku Charles zaczął pracować na fermie norek, gdzie w stojących długimi rzędami szopach i zagrodach z siatki hodowano tysiące zwierząt. Państwo Lee z dziećmi zamieszkali na terenie posiadłości w małym domu, który z czasem musieli rozbudować. Ruth zajmowała się od rana do wieczora maluchami i domem, a w niedzielę brała udział w nabożeństwach w kościele należącym do prowadzonej przez ojca parafii. Mroźnego dnia pod koniec stycznia 1957 roku rodzina powiększyła się o kolejnego syna, Briana Michaela.

Choć ta ciąża również rozpoczęła się od pobytu w szpitalu, niedługo potem sprawy przybrały pomyślny obrót. Była to jej najlżejsza ciąża ze wszystkich, a sam poród przebiegł szybko, niemal bez bólów. W Ruth wstąpił nowy duch i wróciło pragnienie posiadania dużej rodziny.

Czasem miała wrażenie, że jej potomstwo odziedziczyło figlarność po swoim wujku Olem, choć zważywszy na to, że Ruth została adoptowana, nie było z nim połączone więzami krwi. Dzieciaki miały żywą wyobraźnię i figle w głowie.

Któregoś dnia, podczas sprzątania, Ruth uderzyła jakaś dziwna cisza. Nawet gdy mały Brian spał w ciągu dnia, nigdy nie robiło się tak cicho. Nieomylny znak, że w domu, gdzie są małe dzieci, szykują się kłopoty.

Ruth przeszła na palcach od jednego pokoju do drugiego, rozglądając się za Deb i Markiem. Zajrzała do pokoju z tyłu domu, gdzie Brian spał na rozkładanej kanapie. Na głowie miał hełm do gry w rugby, który tak kochał i tak często nosił, że zakładanie go do snu nie było niczym nadzwyczajnym.

Ale nawet hełm nie chronił całkowicie Briana przed jego rodzeństwem. Ośmioletnia Deb i sześcioletni Mark stali nad swoją ofiarą. Najpierw jedno, potem drugie pochylało się nad maluchem i delikatnie podnosili mu powieki. Gdy się skrzywił albo zamrugał, odskakiwali z rozdziawionymi ustami i skręcali się ze śmiechu, a Deb przykładała palec do ust, dając bratu znak, żeby był cicho. Chwilę później znowu robili to samo. W ataku śmiechu zwalali się czasem na kanapę.

Ruth starała się zdusić śmiech. Po chwili uchyliła drzwi na tyle, by rozległo się skrzypienie.

Deb i Mark z minami winowajców odskoczyli od Briana.

– Co robicie? – zapytała Ruth, udając, że ich nie obserwowała.

– My? Nic – odparli chórem, wzruszając ramionami i rozglądając się wokoło.

– Podnosiliście Brianowi powieki?

– Nieee – zapewniła matkę Deb.

– Nie podnosiliśmy – potwierdził Mark.

– Widziałam was. – Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Dzieci znów zaprzeczyły.

Zabawę zepsuło kłamstwo. Gdyby Ruth nie była świadkiem tych figli, prawdopodobnie uwierzyłaby w te zapewnienia. Wiedziała, że nie może puścić płazem oszukaństwa. Przypomniała sobie jeden z ulubionych cytatów swego ojca: „Jakąż to sieć splątaną tkamy, kiedy wprawy w kłamstwie nie mamy”.

– Idziemy. W tej chwili – rzekła, dając znak, żeby zostawili śpiącego brata i poszli za nią.

Zaprowadziła ich do łazienki, by nauczyli się czyścić mydłem usta ubrudzone kłamstwem.

– Żebyście nigdy więcej nie kłamali – powiedziała stanowczym tonem.

Deb i Mark wytarli załzawione oczy i spojrzeli jedno na drugie. Skrzywili się, czując gorycz mydła w ustach.

– Nie będziemy – przyrzekła Deb, a Mark kiwnął głową.

Ruth była przekonana, że pewnie znowu skłamią. Z dziećmi tak już jest: trzeba je zachęcać ku dobremu – ich charakter będzie się kształtował wtedy, gdy nada mu się kierunek.

* * *

Olava walczyła z chorobą przez lata, ale w końcu zaczęła przegrywać. Potem okazało się, że oprócz gośćca i astmy miała białaczkę. Gdy lekarze to stwierdzili, było już za późno na leczenie.

Miłość do rodziny dawała jej siłę w tej walce. Dzieci i wnuki wnosiły radość do jej przepełnionego bólem świata. Cieszyła się, gdy ją odwiedzali, wypełniając dom gwarem i śmiechem, przywodząc na myśl wspomnienia. Jej wnuki, jak się zdawało, miały niespożytą energię – trudno sobie wyobrazić, że i ona była kiedyś taka silna.

Deb, Mark i Brian z ochotą jeździli do dziadków z obu stron. Babcia i dziadek Lee, rodzice Charlesa, mieszkali przy Main Street w Viroqua, naprzeciwko luterańskiego kościoła Dobrego Pasterza. Mieli dom z dużym gankiem, gdzie w Dniu Dziękczynienia zasiadała cała rodzina i oglądała paradę, wypatrując brata bliźniaka Charlesa, Chestera, który należał do Gwardii Narodowej i niemal zawsze uczestniczył w defiladzie.

Z domu dziadków Lee wystarczało przejść przez ogród na tyłach i niewielki lasek, by dojść do domu drugich dziadków.

Na plebanii u Nordslettenów dzieci mogły biegać z jednego pokoju do drugiego, okrążając cały parter. Gdy robiło się za głośno, Olava i Ruth sadzały dzieci przy stole i przypinały paskami do krzeseł, dając coś do jedzenia. Dzięki temu mogły nabrać sił, zanim puszczą dzieci i znów zaczną się harce.

Ruth widziała, jak jaśnieje twarz jej mamy, gdy przyprowadza do niej dzieci albo gdy bracia przyjeżdżają z rodzinami do miasteczka. Wszyscy się śmiali, opowiadali znane historie, słuchali nowych.

Nic więc dziwnego, że Olava nie chciała opuszczać swojej rodziny. Ale słabnące ciało ciągnęło ją na drugą stronę wieczności, do której zbliżyła się przed wieloma laty, gdy wpadła do rzeki.

Kiedy Ruth spodziewała się czwartego dziecka, postanowiła zachować tę wiadomość dla siebie, aczkolwiek niechętnie. Po co zasmucać mamę tym, że nie pobuja kolejnego wnuka na kolanach ani nie pocałuje aksamitnych policzków? Po co przypominać jej o tym wszystkim, czego już nie zazna? Choć Olava była chora od co najmniej dziesięciu lat, Ruth nie wyobrażała sobie bez niej życia.

W ostatnich dniach i godzinach Ruth siedziała przy niej w szpitalu, gdy tylko mogła. Ciąża nie była jeszcze widoczna, ale maleństwo towarzyszyło im w tamtych chwilach. Ruth poruszała się między skrajnościami: radością i smutkiem, nadzieją i strachem, życiem i śmiercią.

Pół roku później, 2 grudnia 1960 roku, gdy urodził się Timothy James, zachwyt Ruth miał słodko-kwaśny posmak. Wydała na świat nowe życie, ale tej nowo narodzonej istoty jej mama już nie weźmie na ręce. Olava odeszła do Pana Jezusa.

* * *

Ruth opłakiwała śmierć matki i martwiła się o ojca, który mieszkał teraz sam na plebanii. Pragnęła zadzwonić do Olavy z wiadomością, że Timowi wyrżnął się pierwszy ząbek, że stawia pierwsze niepewne kroki, opowiedzieć jej o kolejnych etapach dzieciństwa Deb, Marka i Briana, wyznaczonych świadectwami szkolnymi i programami uroczystości bożonarodzeniowych, o zabawnych domowych sytuacjach.

Ruth i Charles pielęgnowali te same wartości i tradycje co jej rodzice, mieli je wpisane jakby w geny. Bóg, rodzina i zbór były filarami ich życia. Ruth śpiewała w chórze i przez pięćdziesiąt lat grała w kobiecym kwintecie. Razem z Charlesem uczyła w szkółce niedzielnej.

Pięć lat po Timie, w lutym 1965 roku, urodziło się ich piąte dziecko, Carrie Ann, a niewiele ponad rok później Jay Parker. Jay począł się tak szybko po narodzinach Carrie, że znajomi Ruth i Charlesa pytali ich w żartach, czy wiedzą, jak powstaje ciąża. Między najstarszą Deb a najmłodszym Jayem było piętnaście i pół roku różnicy. Jak zakładał pierwotny plan Ruth, po domu biegała szóstka dzieci.

Pierwszy raz zajmowała się dwójką dzieci w pieluchach. Miała wrażenie, że jeśli nie zmienia flanelowych pieluch, to je pierze, trze, wiesza i ledwie złoży w kostkę, znowu są w użyciu.

Potrafiła okiełznać chaos, jaki panuje w domu pełnym dzieci, ale taki wysiłek mógł wyczerpać nawet osobę tryskającą energią „atomową”. Przez dziesiątki lat na jej szafkach wisiały kartki z dwoma długimi cytatami. Były przyklejone taśmą i pożółkłe ze starości. Dzień w dzień Ruth czytała podtrzymujące na duchu słowa z wiersza *Courage* Waltera Wintle’a:

Jeśli myślisz, że zostałeś pokonany, to już przegrałeś;

Jeśli myślisz, że nie masz śmiałości, to się nie ośmielisz;

Jeśli chcesz wygrać, ale boisz się, że nie zdołasz,

To prawie na pewno poniesiesz porażkę.

Wielokrotnie powtarzała sobie napomnienie Ronalda Russella o tym, czego dzieci potrzebują najbardziej:

Dziecko, które słyszy słowa zachęty, będzie człowiekiem ufnym.

Dziecko, które poznaje prawdę, będzie człowiekiem sprawiedliwym...

Państwo Lee pracowali od świtu do nocy, a gdy ich dzieci zaczęły podrastać, im też wyznaczono obowiązki na farmie. Dzieląc czas między pracę a rodzinę, między naukę a sport, były nieustannie czymś zajęte. Rodzina gromadziła się przy stole jadalnym, bywało, że nawet po zapadnięciu zmroku. Gdy dzieci siedziały na swoich miejscach, odmawiano modlitwę przed posiłkiem: „Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem. Pobłogosław dary, które spożywamy”.

Któregoś razu, podczas kolacji, Charles zadał jedno ze swoich prowokacyjnych pytań:

– Czy ktoś ma dzisiaj jakąś zagadkę?

– Ja mam – odezwał się Brian, podając Deb miskę z tłuczonymi kartoflami.

– No to mów.

W ciszy słychać było tylko stukanie widelców o talerze i odgłosy przeżuwania. Na twarzach domowników siedzących wokół stołu malowało się oczekiwanie i ciekawość, co też wymyślił Brian.

– Ma okna i chodzi. Co to jest?

Roziskrzone spojrzenie Briana zaintrygowało członków rodziny. Wszyscy rozglądali się wokoło z nadzieją, że coś w tym pokoju podsunie im pomysł rozwiązania zagadki.

– Może... zegar z kukułką? – ktoś zaproponował.

– Nie – odparł Brian.

Siedem par oczu szukało jakiegoś przedmiotu w jadalni, oprócz szyb w oknach, z całą pewnością pozbawionych nóg.

– Samochód?

– Nie.

Brian siedział coraz bardziej zadowolony z siebie, gdy reszta proponowała kolejne rozwiązania, również takie, które bez wątpienia były niewłaściwe. W rodzinie Lee nikt nie chciał uchodzić za głupka, co nie sprosta byle zagadce. Zwłaszcza starsza dwójka nie mogła pozwolić, żeby pobił ich młodszy brat. Nawet mały Jay coś dukał, usiłując sklecić słowo.

Kolacja stygła. Ruth uznała, że czas zakończyć tę zabawę.

– Poddajemy się – oznajmiła, puszczając oko do średniego syna.

Brian uśmiechnął się triumfalnie i zabrał się do jedzenia.

– No i co to jest? – zapytał Tim.

Cała rodzina czekała w napięciu.

Brian uniósł brwi i objął wzrokiem wszystkich przy stole.

– On nie zna odpowiedzi! – rozległ się czyjś skonsternowany głos.

Twarz chłopca oblał rumieniec winy.

– Co takiego? Nie masz odpowiedzi na własną zagadkę? – zwrócił się do syna Charles.

– No... nie.

Część domowników jęknęła, część parsknęła śmiechem. Historia pod tytułem „Co ma okna i chodzi?” przeszła do legendy. Brianowi nigdy tego nie zapomniano.

Dziadkowie, wujowie, ciotki i kuzyni zawsze byli obecni w ich życiu. Ojciec Ruth zakończył posługę i przeszedł na emeryturę w 1962 roku, ale

nadal prowadził specjalne spotkania modlitewne i zastępował pastorów w obowiązkach, gdy go o to prosili. Dostarczał również odzież rodzinom indiańskim, mieszkającym w Dakocie Północnej i Południowej. Po operacji kolana i na skutek artretyzmu jego sprawność fizyczna ograniczyła się i do końca życia chodził o dwóch laskach.

Brian często pomagał dziadkowi Pederowi w domu: kosił trawnik albo wyrzucał śmieci. Zawsze dostawał za to pieniądze, półdolarówkę, którą Peder wyjmował z opakowania po dezodorancie Old Spice, gdzie trzymał drobne.

– Za dużo mi płacisz – rzekł któregoś razu Brian.

– Nie chcę, żebyś po mojej śmierci opowiadał ludziom, że twój dziadek był skąpcem – odparł Peder.

Co roku latem Peder zapraszał całą gromadkę Lee na obiad do restauracji *drive-in* Hokey's South Lawn. Na tę wyprawę z niecierpliwością czekały zwłaszcza dzieci. Wszyscy zasiadali przy kilku połączonych stołach piknikowych i zaczynali opowiadać ulubione historie z życia rodziny.

– Pamiętacie, jak Tim miał cztery, może pięć lat i poszedł za swoim psem Dukiem po skutym lodem strumieniu? Szukaliśmy go całe wieki...

– Kiedyś norka ugryzła Briana w palec, a potem druga dziabnęła go w tyłek, i to nie raz, ale dwa razy!

– A ta przejażdżka latającym dywanem? Tato trzepał dywanik przez barierkę na pięterku w garażu i barierka się złamała. Akurat przechodziła koło garażu mama i zobaczyła, jak tato leci na dywaniku i ląduje cało na ziemi, wciąż trzymając go w rękach.

– Albo ta historia, jak mama i Deb poszły na zakupy, gdy Carrie i Jay byli bardzo mali. Ekspedientka u J.C. Penneya myślała, że mama jest

babcią. Po wyjściu ze sklepu Deb powiedziała do mamy: „Widzisz, ciągle ci powtarzam, że powinnaś ufarbować włosy!”.

Wszystkie dzieci dobrze się uczyły, miały wiele zajęć pozalekcyjnych i należały do szkolnych drużyn sportowych. Ruth często zabierała maluchy i pędziła na rozmaite imprezy, w których uczestniczyły starsze dzieci: popisy cheerleaderek, walki zapaśnicze, zawody lekkoatletyczne, mecze baseballowe, przedsięwzięcia skautowskie. Popołudniowe drzemki nie zawsze przebiegały bez zakłóceń, obiady często jadło się późno, plany dnia wielokrotnie trzeba było zmieniać. Charles nieraz stał na trybunach, wciąż w ubraniu roboczym. Ale ani on, ani Ruth nigdy nie opuścili meczu.

Państwo Lee mogliby pozować do obrazu Normana Rockwella. Byli typowymi Amerykanami z obszarów wiejskich, ich synowie służyli w armii i wszystkie dzieci ukończyły college. Członkowie rodziny okazali się ludźmi wielu talentów i osiągnięć.

Jeden z nich oderwał się od ziemi i sięgnął gwiazd.

Rozdział dwudziesty

Już w dzieciństwie Mark miał umysł jak brzytwa – wszyscy to widzieli. Uczył się chętnie, bez ponaglania, i dostawał najlepsze stopnie. Miał również doskonałe wyniki w sporcie. Młodsi bracia i siostra ubóstwiali go. Ruth, zajęta opiekowaniem się kolejnymi dziećmi, była zadowolona, że jej drugie dziecko jest samodzielne.

Tego samego dnia, gdy Alan Shepard poleciał w kosmos w 1961 roku, dziewięcioletniemu Markowi i jego koledze kazano siedzieć w klasie podczas przerwy. Żeby uczcić wystrzelenie rakiety, chłopcy ulepili „pociski” rakietowe z całej glinki modelarskiej, jaką znaleźli w szkole. Potem spryskali „pociski” wodą pitną z wodotrysku i podrzucili do góry, żeby przykleiły się do sufitu w klasie. Podczas lekcji, gdy nauczycielka pokazywała, na czym polega rozbiór zdania, „pociski” zaczęły spadać uczniom na głowy.

Pani, wziąwszy Marka na stronę, poprosiła o wyjaśnienia. Chłopak odrzekł na to, że był przekonany, iż pociski zostaną tam w górze już na zawsze. Nauczycielka spojrzała na niego z namysłem i powiedziała: „Powinieneś pójść do biblioteki i dowiedzieć się, co to grawitacja”.

Udał się więc do biblioteki miejskiej, znalazł książkę o Isaacu Newtonie i przygotował prelekcję dla całej klasy. Otworzył się przed nim nowy wielki

świat. Przeczytał wszystkie biografie i autobiografie, jakie były w bibliotece. Patrząc, jak Alan Shepard leci w kosmos, postanowił, kim będzie, gdy dorośnie. Od tamtej pory każdy krok przybliżał go do celu. Nauczyciele ze szkoły podstawowej i średniej nieświadomie przyczyniali się do spełnienia jego marzeń.

Mark pragnął polecieć w kosmos.

Zapisał się do skautingu i zdobył najwyższy stopień, zostając tak zwanym Eagle Scoutem. Z radością dowiedział się, że do organizacji należało bardzo wielu astronautów i znaczna ich część też zdobyła ten najwyższy stopień. Po ukończeniu szkoły średniej został przyjęty do Akademii Lotniczej. Zrobił licencjat z inżynierii wodno-lądowej i przez lata pilotował myśliwce. Potem kontynuował studia w MIT i uzyskał dyplom na wydziale budowy maszyn, w zakresie zaawansowanych materiałów kompozytowych, co doceniła NASA.

Któregoś roku Mark przyjechał do domu na Boże Narodzenie i zaczął opowiadać o programie rekrutacji astronautów przez NASA. Ruth była czymś zajęta w kuchni, ale w końcu zaczęła się zastanawiać, dlaczego ta sprawa tak go zajmuje. Po chwili uprzytomniła sobie, że Mark nadzwyczajnie drąży temat.

– Chyba nie chcesz lecieć w kosmos? – zapytała, bacznie mu się przyglądając.

Mark wytrzymał jej spojrzenie i odpowiedział szczerze i otwarcie, jak to mieli w zwyczaju wszyscy Lee.

– Chcę.

Po dwudziestu latach zdążania do wyznaczonego celu Mark pierwszy raz napomknął o swoich planach w gronie rodzinnym. Wszyscy się zdumieli, ale ponieważ Ruth i Charles zawsze wspierali dzieci w ich zamierzeniach, wsparli więc i Marka.

Nikt nie wątpił w jego zdolności i nie dziwił się, gdy w siedemnastoosobowej grupie kandydatów na astronautów, wybranej z ponad pięciu tysięcy chętnych, znalazł się też Mark.

W styczniu 1986 roku, siedem miesięcy po tym jak Mark ukończył szkolenie, wahadłowiec Challenger eksplodował siedemdziesiąt trzy sekundy po starcie, wskutek czego zginęli wszyscy na pokładzie. Spadające na ziemię szczątki obserwowano na ekranach telewizorów nie tylko w całych Stanach Zjednoczonych, lecz i na całym świecie. Podekscytowani uczniowie amerykańskich szkół oglądali w klasach transmisję na żywo startu wahadłowca, w którym znajdowała się Christa McAuliffe, pierwsza nauczycielka lecąca w kosmos. W rezultacie tragedia nabrała jeszcze większych rozmiarów, uwidoczniło się też ryzyko związane z badaniami przestrzeni kosmicznej.

Mark, który w swojej grupie szkoleniowej właśnie znalazł się na pierwszym miejscu jako uczestnik następnych lotów, zadzwonił do rodziców. Chciał, żeby zrozumieli, jak duże jest tak naprawdę niebezpieczeństwo. Jego determinacja nie osłabła – ich wsparcie również.

Pod koniec kwietnia 1989 roku bliższa i dalsza rodzina Lee zebrała się na wąskim pasie plaży w Cocoa Beach, odrobinę na południe od przylądka Canaveral. Mark miał odbyć swój pierwszy lot kosmiczny wahadłowcem Atlantis. Dwa dni przed startem NASA zaprosiła astronautów i ich rodziny na grilla w willi nad morzem. Przed wejściem do domu krewni Marka, podobnie jak pozostali goście, zostali poddani badaniom lekarskim. Agencja rządowa nie mogła dopuścić do tego, żeby ktoś z załogi zaraził się i dostał bólu gardła albo gorączki.

Choć wszyscy rozumieli bez słów, że mogą się więcej nie zobaczyć, na przyjęciu panowała pogodna atmosfera. Brian jak zwykle wprowadził lekki

nastrój, sypiąc dowcipami, ale każdy był świadom powagi sytuacji i celowości działań. Po kilku godzinach pięciu członków załogi wahadłowca Atlantis musiało opuścić przyjęcie. Ruth mocno uściskała syna, ale się nie rozpłakała.

Gdy astronauci kończyli przygotowania, ich krewni zwiedzili Centrum Kosmiczne Kennedy’ego, a późnym wieczorem zobaczyli platformę startową. Autobusy podwiozły ich pod potężną, jasno oświetloną konstrukcję. Przewodnik wyjaśnił, co się znajduje na platformie: ogromne zbiorniki paliwa, skomplikowana instalacja odprowadzająca spaliny i zanieczyszczoną wodę po starcie, osiem ogromnych śrub, o średnicy czterech cali, którymi były przytwierdzone do platformy rakiety wspomagające i które rozpadały się na pół podczas odpalania silników, a także kosze do ewakuacji astronautów do bunkra w razie awarii.

Serce biło Ruth jak młotem, gdy bacznie oglądała te skomplikowane i niezmiernie ważne elementy, które musiały idealnie działać, żeby wynieść jej syna w przestrzeń kosmiczną i sprowadzić z powrotem do domu.

Wysoko w górę wznosił się potężny zbiornik zewnętrzny, wielkości niemal połowy boiska do rugby, o wadze ponad miliona pięciuset tysięcy funtów, z czego prawie tyle ważył wypełniający go ciekły tlen i ciekły wodór. Do boków zbiornika przylegały dwie rakiety wspomagające, które przyspieszały lot przez pierwsze dwie minuty od startu, oraz znajoma biała sylwetka orbitera Atlantis ze statecznikami podobnymi do płetw.

Ruth, która w młodości wchodziła na drzewa i podziwiała pierwszą pralkę w swoim domu rodzinnym, patrzyła na to wszystko oszołomiona jak jeszcze nigdy w życiu. Gdy odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na tę straszliwą maszynerię, którą miał lecieć jej trzydziestosześcioletni syn, nie mogła się nadziwić, że rodzina uczestniczy w takiej misji.

Ostatecznie pierwszy lot Marka został odwołany w czasie T-31 sekund z powodu awarii pompy. Kolejną próbę wyznaczono za cztery dni. W tym czasie państwo Lee zwiedzili Disney World, Sea World, Rocket Park i kino IMAX w Centrum Kosmicznym, starając się nie myśleć, że coś ściska ich w żołądku.

Rankiem 4 maja wsiedli w końcu do jednego z autobusów, które miały ich zawieźć do punktu widokowego w kompleksie startowym 39. Dzień był ciepły, jasne słońce rozgrzewało jezdnię i odbijało się od szyb. Każdy z członków rodziny ubrał się w czerwoną koszulkę z napisem: Viroqua, Wisconsin, rodzinne miasto astronauty Marka C. Lee.

Przed odjazdem z miejsca zbiórki w Meritt Island wujek Ole wstał z fotela i zwrócił się do pasażerów, z których jedną połowę stanowili krewni Marka, a drugą krewni i przyjaciele pozostałych astronautów.

– Przepraszam państwa. Proszę o chwilę uwagi – powiedział przesadnie monotonnym głosem. – Podczas tej wycieczki będę służył państwu jako przewodnik.

– Oho, będzie kazanie – rzucił któryś z pasażerów, wywołując salwę śmiechu.

– Skądże, tylko pieśń. – Ole odchrząknął, puścił oko do Ruth i roześmiał się. – Żarty na bok. Nazywam się Ole Nordsletten i jestem dumnym wujem astronauty Marka Lee. Pewna grupa ludzi w Seattle mówi do mnie „pastorze”. Jestem przekonany, że każdy z was, podobnie jak cała nasza rodzina, ma miliony wspomnień związanych z tymi chłopcami. Pamiętam Marka, gdy był jeszcze małym brzdącem biegającym po farmie w Viroqua. A teraz patrzymy, jak zapisują się na kartach historii.

Ole nabrał głęboko powietrza i powiódł spojrzeniem po twarzach pasażerów, znów zatrzymując wzrok na swojej młodszej siostrze. Przypomniał mu się dzień, gdy rodzice przywieźli do domu maleńką Ruth –

dziewczynkę, która się śmiała z jego żartów i była niegasnącym promyczkiem słońca dla rodziny.

– Tego nadzwyczajnego dnia jestem niezwykle dumny z mojej siostry Ruth i szwagra Charlesa, no i oczywiście mojego siostrzeńca Marka. Jestem przekonany, że każdy z was takimi samymi uczuciami darzy swojego astronautę. Jeśli państwo pozwolą, chciałbym pomodlić się za bezpieczny start, udaną misję i bezpieczny powrót naszych bliskich.

W autobusie rozległy się pomruki aprobaty. Ole zamknął oczy i jął głębokim głosem wypowiadać słowa, które płynęły dalej, niż leciał wahadłowiec. Ruth myślała o swoich rodzicach, którzy nie posiadaliby się ze zdumienia, widząc to wszystko. Olava nie żyła od prawie trzydziestu lat, a Peder umarł w 1974 roku, w dniu, w którym Mark otrzymał dyplom ukończenia Akademii Lotniczej. Nie chciało się wierzyć, że nie ma go już piętnaście lat.

Gdy dotarli na taras widokowy, zajęli miejsca na trybunach i przygotowali się na długie czekanie. Przez głośniki nadawano komunikaty kontrolerów misji i kontrolerów startu. Komentator objaśniał, co się dzieje podczas kolejnych etapów przygotowań. Astronauci byli cały czas w kontakcie z kontrolerami i odpowiadali na pytania. W rozgrzanym powietrzu lśnił wahadłowiec znajdujący się w odległości trzech mil.

Ruth patrzyła przez okulary przeciwsłoneczne na platformę startową. Lekki wiatr rozwiewał jej krótko obcięte włosy. Wiedziała, że Mark już jest w kabinie załogi, leży na plecach, z nogami w powietrzu, przypięty pasami do fotela podczas długich procedur kontrolnych. Wstrząsały nią emocje. Ekscytacja. Lęk. Ogromna duma.

Zapadła cisza, gdy w głośnikach rozległ się przyjemny męski głos i rozpoczęto odliczanie. Wszyscy się denerwowali, niepewni, czy start nie zostanie przerwany, jak przed kilkoma dniami. W czasie T-14 sekund, gdy

trzysta tysięcy galonów wody wylało się na platformę, żeby stłumić potężne fale dźwiękowe, spod wahadłowca zaczęły się wydobywać kłęby pary.

Ruth tak waliło serce, że niemal słyszała łomotanie w klatce piersiowej.

Na siedem sekund przed startem rozbłysły jaskrawe płomienie przy silnikach głównych. Obłoki pary pokryły niemal całą platformę. Odliczanie trwało: dwa, jeden, zero... start.

Huk dosięgnął widzów po kilku sekundach. Nawet gdy wznosili okrzyki, uderzał w nich niczym natarczywe dźwięki perkusji. Ruth nie odrywała wzroku od wahadłowca, którego pchały w górę sprawiające piekielne wrażenie rakiety. Czuła, jak serce wyrywa się ku nim, ku Markowi. Spod ciemnych okularów płynęły jej łzy. Ciekły po policzkach niemal wszystkim – ten spektakularny i majestatyczny widok był bez wątpienia godny łez. To, co ludzie widzieli i co jeszcze mieli zobaczyć w życiu, z pewnością nie dorówna buchającym spod rakiet płomieniom, natężeniu ani intensywności barw.

Mając w pamięci niedawną katastrofę promu Challenger, przez pierwsze dwie minuty wszyscy przeżywali męki. Ale zegar tykał, spokojnie ogłaszano szczegółowe komunikaty, rodziny astronautów zaczęły oddychać z ulgą. Ludzie ściskali się i klepali po plecach, nieustannie spoglądając w niebo. Chętnie zostaliby tam dłużej, ale podjechały autobusy i kazano im wsiadać.

Przy najróżniejszych przekąskach i alkoholu świętowano do późna w nocy. Członkowie rodziny Lee siedzieli przykuci do telewizora, śledząc transmisję na kanale NASA w sieci kablowej. Gdy wahadłowiec wszedł na orbitę okołoziemską, napięcie zelżało. Ponieważ ich pobyt już się przedłużył, wiele osób zaczęło rezerwować loty do domu i następnego dnia się rozjechało. Ruth pożegnała się z dziećmi, braćmi i ich żonami i razem z Charlesem wróciła samolotem do Wisconsin.

Po czterech dniach na orbicie wahadłowiec wrócił na Ziemię i wylądował w Kalifornii. Ruth poczuła ulgę, gdy usłyszała w słuchawce głos Marka. Powiedział jej, że podczas startu okropnie trzęsło, czuł się tak, jakby jechał samochodem po żwirowej drodze pełnej kolein. Był zdumiony, że Ziemia widziana z Kosmosu jest taka mała. Okrążenie kuli ziemskiej trwało ledwie dziewięćdziesiąt minut. Po powrocie świat wydał mu się mniejszy, doświadczenie życiowe człowieka – bardziej trywialne i zarazem bardziej doniosłe.

W następnych ośmiu latach Mark uczestniczył jeszcze w trzech lotach i czterokrotnie spacerował w przestrzeni kosmicznej; licząc wszystkie misje, spędził trzydzieści trzy dni na orbicie i okrążył Ziemię pięćset siedemnaście razy. Rodzice, większość rodzeństwa i krewni byli obecni podczas każdego startu.

Szczególnie wiele nerwów kosztowała ich trzecia misja w 1994 roku. Wówczas Mark odbył niezabezpieczony spacer w przestrzeni kosmicznej, wyposażony w plecak odrzutowy, który miał przetestować. Zostało to uwiecznione na oszałamiających zdjęciach: Mark, w olśniewającym białym skafandrze i błyszczącym złotym hełmie, unosi się nad zaokrągloną powierzchnią niebieskiej Ziemi, a za nim widać niezgłębioną czarną przestrzeń. Jakieś sto pięćdziesiąt mil w dole rodzina z niepokojem słuchała komunikatów NASA, czekając na wiadomość o jego szczęśliwym powrocie na pokład wahadłowca Discovery.

Jedynie garstka ludzi w dziejach ludzkości doświadczyła podróży w przestrzeń kosmiczną. Dzięki wieloletniej pracy i niezłomnemu dążeniu do celu chłopiec z Wisconsin spełnił swoje szalone marzenia.

* * *

Po pierwszym locie wahadłowca w 1989 roku Ruth też wprowadziła zmiany w swoim życiu. Jej gniazdo prawie opustoszało. Od jakiegoś czasu pracowała w niepełnym wymiarze godzin, prowadząc księgowość w swoim kościele. Gdy zbliżało się Boże Narodzenie, uznała, że trzeba zwiększyć budżet domowy. Zgłosiła się do pracy w okresie przedświątecznym w ruchliwym markecie dwie mile od domu. Ten nowy wówczas Walmart znajduje się teraz w śródmieściu.

Po świętach kierownik sklepu zaproponował Ruth dalszą pracę. Lubiła to gwarne i pełne życia miejsce. Nie minęło wiele czasu, a zamiast na kilka godzin zatrudniła się na pełny etat. Pracowała w Walmarcie bez mała dwa dziesięciolecia, aż przeszła na emeryturę, mając siedemdziesiąt osiem lat.

Wielu klientów znało jej rodzinę i chętnie z nimi gawędziła. Wydawało się, że całe miasteczko z zainteresowaniem ogląda relacje telewizyjne z podróży kosmicznych Marka. Reszta dzieci też ciężko pracowała, żeby mieć udane życie. Każde z nich napawało ją dumą.

Z upływem czasu Ruth przekonała się o słuszności twierdzenia, że w życiu można być pewnym tylko zmiany.

Gdy była małą dziewczynką i siedziała na drzewie, nigdy by nie przypuszczała, że tak może się potoczyć jej życie. Zaprowadziło ją daleko od domu dla samotnych matek w Sioux Falls, w Dakocie Południowej. Ruth nic nie wiedziała o tym, jak została poczęta, ale poświęcenie i modlitwy okazały się silniejsze niż skutki brutalnej napaści na szesnastolatkę nad jeziorem Scatterwood. Z popiołów powstało wielkie piękno.

Nastąpiło odkupienie, ale miało się wydarzyć coś jeszcze. Coś, czego Ruth się nie spodziewała, a co przyniosło jej wiele radości. Coś, na co bardzo stara kobieta czekała niemal całe życie.

Miało nastąpić odbudowywanie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tysiące mil dzieliło dwie kobiety, które miały takie samo DNA, a jednak były sobie właściwie obce. Ta odległość skróciła się nie w wyniku ich własnych starań, lecz na skutek ciekawości młodszego pokolenia.

Brian Lee był twardym żołnierzem, który zdecydowanie dążył do celu, ale zawsze miał bliski związek z mamą – i nie wstydził się tego okazywać. Jako nastolatek, po długim dniu w szkole, po treningu rugby, po pracy w miejscowym markecie, gdzie pakował klientom zakupy do toreb, siedział do późna z mamą przed
telewizorem i oglądał *Tonight Show* Johnny’ego Carsona. Gdy w domu mieszkało jeszcze troje rodzeństwa, matka i syn wykorzystywali tę okazję, by pobyć razem i pośmiać się przy programie, który bawił ich oboje.

Brian zamierzał pójść w ślady Marka i studiować w Akademii Lotniczej. Jak Mark należał do skautingu i zdobył najwyższy stopień w tej organizacji, zostając Eagle Scoutem; był doskonałym lekkoatletą, rugbystą i zapaśnikiem. Również miał dobre stopnie w szkole. Odrzucono go ze względu na słaby wzrok, wobec czego wstąpił do Korpusu Piechoty Morskiej.

Dwa lata później został przyjęty do elitarnej Akademii Wojskowej w West Point. Ukończył studia w stopniu podporucznika;
szybko ożenił się ze swoją dziewczyną ze szkoły średniej Teresą; potem rozpoczął karierę w wojskach lądowych, gdzie doszedł do stopnia podpułkownika. Dyplom MBA otrzymał na uniwersytecie w Syracuse. Ponieważ nie rozstał się z marzeniami o lataniu, uzyskał licencję pilota prywatnego.

Przez pięć lat pracował w Pentagonie. Gdy przeszedł na emeryturę wojskową, mając czterdzieści sześć lat, zatrudnił się jako inżynier w przedsiębiorstwie z siedzibą w Alabamie, które realizowało zamówienia związane z obronnością. Po latach przenoszenia się z miejsca na miejsce Brian i Teresa oraz dwójka ich dzieci wreszcie mogli osiąść gdzieś na dłużej. Tyle że Alabama leżała daleko od farmy rodziców Briana w Wisconsin.

Więź z rodzicami była zakorzeniona w psychice Briana równie silnie jak wstawanie wcześnie rano, podawanie godziny według standardów stosowanych w wojsku czy zawsze i wszędzie jazda samochodem z dozwoloną prędkością. Jeśli tylko nie przebywał za granicą w sprawach służbowych, codziennie dzwonił do domu i sprawdzał, czy u rodziców wszystko w porządku. Jeśli ktoś z rodziny miał jakieś kłopoty, zwłaszcza mama lub tato, Brian nie przestawał o tym myśleć. Kiedy Ruth przechodziła operację serca pod koniec 2005 roku, nie myślał o niczym innym.

Jak na głębokie Południe zrobiło się przenikliwie zimno tego dnia. Choć przywykła do ostrych zim na Środkowym Zachodzie, Ruth nie potrafiła się rozgrzać. W kominku palił się ogień, mimo to siedziała w grubym swetrze skulona na kanapie u Briana. Charles już położył się spać. Od operacji,

którą miała przed czterema miesiącami, nie mogła się pozbyć uczucia zimna, marzła od stóp do głów.

Po dwumiesięcznym pobycie na Florydzie, dokąd wyjeżdżali co roku jak wielu emerytów „odlatujących” do ciepłych krajów, odwiedzili w drodze powrotnej Briana i Teresę w Alabamie. Zaczęli spędzać zimy na Florydzie przed ośmiu laty, gdy obchodzili pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Zawsze zatrzymywali się w hotelu w Cocoa Beach, gdzie goszczono ich, gdy Mark uczestniczył w misjach kosmicznych. Charles odpoczywał przy basenie albo wrzucał monety do automatów w salonach gier, a Ruth grała w shuffleboard i odwiedzała innych wakacjowiczów.

Po powrocie rodziców z wakacji w lutym 2006 roku Brian często myślał o stanie zdrowia Ruth. Pewna sprawa dręczyła go od lat. Ilekroć był u lekarza albo przechodził badania kontrolne, pytano go, na co chorowała jego rodzina. Niezmiennie odpowiadał, że nic nie wie o przodkach ze strony mamy. Z upływem czasu ta sprawa zaprzątała go coraz bardziej.

Brian zastanawiał się, czy nie porozmawiać o tym z Ruth, ale najpierw chciał sam to przemyśleć. Miał zwyczaj analizować każdą kwestię pod różnymi kątami – między innymi dlatego był tak ceniony przez pracodawcę. W końcu uznał, że jest gotów poruszyć temat. Zapytał otwarcie, jak to robili wszyscy w rodzinie Lee.

– Posłuchaj, mamo. Myślałaś o tym, żeby zobaczyć swoją dokumentację adopcyjną? Może byśmy dowiedzieli się czegoś o twoich biologicznych rodzicach. – Po chwili dodał: – I uzyskali jakieś informacje dotyczące kwestii zdrowotnych, ważne dla nas wszystkich.

Z przyciszonego telewizora dochodził ich głos spikera czytającego wiadomości.

– Tak, przyszło mi to na myśl. – Ruth spojrzała na Briana. Przekonał ją argument, że coś może być korzystne dla jej dzieci. Dla rodziny zrobiłaby

wszystko. – Tylko nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Mogę popytać i zobaczyć, co się da zrobić – zaproponował Brian. – Jeśli nie chcesz, zostawię temat. Ale jeśli się zgodzisz, przetrę szlak.

– Dobrze. Spróbujmy – odparła Ruth.

– Oprócz tego, co mi mówiłaś, wiesz coś jeszcze?

Brian słyszał od Ruth, że jego biologiczna babcia była holenderskiego pochodzenia i że jakoś stała się brzemienna, co oczywiste, ale nic ponadto.

– Niewiele mi powiedziano. Dziewczyna, to znaczy moja biologiczna matka, miała na nazwisko DeYoung albo de Jong... Nie wiem, jak to się pisało. No i jest list.

– List? – zdziwił się Brian. Pierwszy raz o tym słyszał. – Od kogo?

– Napisał go ktoś z ośrodka, z którego mnie zabrano. Byłam wtedy niemowlęciem. List skierowano do mamy i taty. Wspomniano w nim o mojej biologicznej matce i o Holandii. Zdaje się, że pochodziła z Holandii.

– Gdzie jest ten list?

– W naszej skrytce w banku.

– Coś takiego. – Przez chwilę usiłował wyobrazić sobie, co może zawierać. – Będzie mi potrzebna kopia. A potem zacznę szukać w internecie.

– Dobrze. Po powrocie do domu pójdę do banku.

Tego wieczoru, gdy Ruth położyła się do łóżka, Brian siedział jakiś czas wpatrzony w ogień na kominku, a myśli rozbłyskiwały mu w głowie niczym iskry w palenisku. Teraz już nie można się wycofać, uznał w duchu.

Poczuł, że jak nigdy przedtem pali go ciekawość.

Drugiego marca, w czwartek, Brian wrócił z pracy do domu i usiadł przed komputerem. Rozmawiał już z Ruth, która wyjęła list ze skrytki

i przeczytała go od nowa. Był adresowany do dziadków Briana i wysłany z Luterańskiej Opieki Społecznej (LOS) w Dakocie Południowej. Przełożona Luterańskiego Domu Miłosierdzia Bertha Bragstad, jak widniało w podpisie, przesyłała informacje na temat chrztu Ruth, o które prosili rodzice adopcyjni.

Brian znalazł stronę Luterańskiej Opieki Społecznej w Dakocie Południowej. Kliknął „Kontakt”, po czym wypełnił formularz, podając imię i nazwisko, numer telefonu i adres e-mailowy. W miejscu przeznaczonym na uwagi napisał zwięźle:

> Pomagam mojej mamie odszukać jej biologicznych rodziców. W roku 1929 została adoptowana za pośrednictwem luterańskiego stowarzyszenia, które zajmowało się wyszukiwaniem rodzin
> adopcyjnych w Dakocie Południowej. Mama pragnie się dowiedzieć, jakie informacje można uzyskać przez telefon lub pocztą/
> e-mailem, a jakie drogą urzędową za pośrednictwem instytucji stanowych lub lokalnych. Z góry dziękuję za pomoc. Brian Lee

Następnego dnia dostał odpowiedź. Chcąc mieć pewność, że całe to przedsięwzięcie nie jest szukaniem igły w stogu siana, wysłał dokładne dane – nazwiska, daty, nazwy miejscowości – do specjalisty w dziedzinie prawnych kwestii poadopcyjnych w LOS. Poprosił o potwierdzenie, że Ruth rzeczywiście została adoptowana za ich pośrednictwem, i spytał, czy zachowały się jakieś dokumenty.

W następny poniedziałek przyszedł krótki e-mail. Brian powinien skontaktować się z sekretarzem sądu i rozpocząć procedurę odtajnienia dokumentów adopcyjnych. Mogą jedynie potwierdzić, że Ruth została adoptowana za pośrednictwem Luterańskiej Opieki Społecznej. Nic więcej.

Siedząc w pustym biurze, Brian poczuł dreszcz ekscytacji, jaki przebiega po plecach detektywowi, gdy natknie się na nowy trop w niewyjaśnionej, starej sprawie. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Natychmiast wyszukał numer telefonu Wydziału Opieki Społecznej w Urzędzie Stanowym w Dakocie Południowej.

Tydzień później otrzymał wniosek o odtajnienie dokumentów adopcyjnych i przekazał go osobie, z którą kontaktował się w LOS. Potem wyjechał z miasta w dwutygodniową podróż służbową do Bostonu, gdzie mieściła się filia przedsiębiorstwa, w którym pracował. Często rozmyślał o podjętych poszukiwaniach. Zastanawiał się, co powiedzą jego bracia i siostry, którym jeszcze nic nie mówił o tej misji. Czy będą zadowoleni? A może się zdenerwują? Ze wszystkimi utrzymywał bliskie stosunki, ale wkroczył na niezbadany teren i nie wiedział, jaka będzie reakcja rodzeństwa.

Dziewiętnastego kwietnia Ruth otrzymała przesyłkę z LOS, zawierającą odstąpienie od przesłuchania i wniosek do sądu. Brian polecił jej przesłać te dokumenty do sądu w Dakocie Południowej. Zrobili kolejny krok do przodu.

Procedura była prosta: należało wykonać papierkową robotę, a potem czekać, aż system to przemiele. Briana absorbowały sprawy zawodowe i rodzinne – dwójka jego dzieci kończyła letni semestr
w college’u, myślami często jednak wracał do poszukiwań. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, czeka go zderzenie z przeszłością, której fragment od dawien dawna budził jego ciekawość.

Mimo to starał się myśleć realistycznie. Średnia długość życia człowieka, który urodził się na początku dwudziestego wieku, wynosiła pięćdziesiąt cztery lata. Jego własna matka zbliżała się do osiemdziesiątki. Bez względu na to, kim byli jego biologiczni dziadkowie, prawdopodobnie

umarli dawno temu. Mogli mieć więcej dzieci; jeśli tak, będzie musiał postępować ostrożnie. Wiele czytał o spotkaniach po latach. Odniósł wrażenie, że każda pokrzepiająca i ściskająca za serce historia ma – ku przestrodze – swą przeciwwagę w historiach ludzi rozżalonych i odrzuconych.

Starał się nie łudzić nadzieją, że gdzieś, może w domu spokojnej starości, wciąż żyje jedno z jego dziadków.

Wiedział, że na pewno otrzyma jakieś informacje. Luterańska Opieka Społeczna prowadziła skromną działalność, ale przez lata trochę się zmodernizowała: całe swoje archiwum skopiowała na mikrofilmach.

Nawet akta z początku zeszłego wieku.

Dwudziestego drugiego maja 2006 roku – w dniu siedemdziesiątych siódmych urodzin Ruth – przyszedł list zawierający podpisaną przez sędziego decyzję. Brian przekazał ją do LOS, dołączając czek na dwieście dolarów. I znów czekał. Wreszcie, pod koniec czerwca, akurat gdy z Teresą szykowali się do wyjazdu do Wisconsin na ślub, dostał krótki e-mail. Zawiadomiono go, że przesyłka z dokumentacją adopcyjną została wysłana pocztą do jego matki.

Ostatnie zdanie w tym e-mailu brzmiało zagadkowo: „Gwoli ostrzeżenia, akta liczą około 270 stron”.

* * *

W środę 28 czerwca na wiejskiej drodze w Wisconsin pojawił się listonosz i zatrzymał przy czarnej skrzynce na listy, którą reperowano już wielokrotnie, ponieważ przewracały ją pługi śnieżne. Po wrzuceniu rachunków i ulotek miejscowego Walmartu ledwie zdołał wepchnąć dużą kopertę z adresem zwrotnym Luterańskiej Opieki Społecznej w Dakocie Południowej.

Nieco później Ruth Lee wzięła przesyłkę ze stołu w jadalni, gdzie zostawił ją Charles, zabrawszy adresowane do niego listy. Przesunęła ręką po żółtej kopercie: była gruba prawie na dwa cale i ciężka jak księga opisująca jakąś historię – w tym wypadku historię życia.

Odłożyła przesyłkę z powrotem na blat i zadzwoniła do Briana na komórkę. Gdy usłyszała jego głos, wyrzuciła z siebie na jednym oddechu:

– Przyszła. Paczka z dokumentacją. Jest wielka. Nie wiem dlaczego.

Nie miała pojęcia, dlaczego trzeba było zapisać tyle stron papieru, żeby dokonać całkiem legalnej adopcji. Może coś było nie w porządku? Jakaś straszna choroba?

Brian siedział przy biurku i przeglądał arkusze kalkulacyjne. Wstał i z walącym sercem zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Żałował, że dzielą go od matki i przesyłki aż cztery stany.

– Chcesz ją otworzyć? A może wolisz poczekać do naszego przyjazdu w sobotę?

Za trzy dni miał być z Teresą w Wisconsin. Nie wiedział, czy matka woli poczekać, czy od razu otworzyć przesyłkę. Gdyby mógł wypożyczyć samolot i polecieć do rodziców na farmę, zrobiłby to bez namysłu.

– Hm... bo ja wiem? Twój ojciec mówi, żeby otworzyć, ale chyba poczekam.

– Każda decyzja będzie dobra – odparł Brian.

Ruth zostawiła paczkę na stole jadalnym, ale szybko tego pożałowała. Krążyła wokół niej przez cały dzień. Patrzyła w bok, ale nie odnosiło to skutku. Miała wrażenie, że paczka ją przywołuje. Ruth powstrzymywała się. Onieśmielała ją sama jej wielkość.

Brian przyjedzie. Pomoże jej uporać się z tym, co jest w tych dokumentach. Powtarzała sobie, że lepiej poczekać.

W piątek wieczorem, gdy Charles położył się spać, ciekawość wzięła górę. Ruth usiadła przy stole, rozerwała kopertę i wyjęła gruby plik skserowanych kartek. Drżały jej ręce, gdy zaczęła je przerzucać. Zorientowała się, że nie są ułożone chronologicznie. Co więcej, były nieuporządkowane i dotyczyły różnych rzeczy.

Urzędowe blankiety.

Dokumentacja prawna.

Kilka fotografii, ale odbitki były takie ciemne, z takim ziarnem, że nie mogła rozpoznać twarzy.

I listy. Mnóstwo listów.

Zaczęła je czytać. Większość, kilkadziesiąt, napisała młoda dziewczyna. Młoda matka.

Moja matka, nagle przemknęło jej przez głowę. Pisze o małym dziecku, które ma na imię Betty Jane. Pisze o mnie. Ruth od dzieciństwa nie słyszała tego imienia ani o nim. Niespodziewane poczucie, że istnieje związek między tym imieniem a nią, przykuło ją do krzesła.

29 maja 1934

Kochana Panno Bragstad!

Nie zapomniałam o urodzinach Betty Jane, oby Pani tak nie myślała. Przykro mi, że nie zdążyłam wysłać tego krótkiego listu w odpowiednim czasie. Mam jednak szczerą nadzieję, że jej urodziny były udane i dobrze się bawiła przez cały dzień. [...]

Jeśli Pani coś o niej wie albo ją widziała, proszę napisać i powiedzieć. [...]

Ruth uprzytomniła sobie, patrząc na datę, że w liście jest mowa o jej piątych urodzinach. Czy to znaczy, że jej biologiczna matka pisała ten list pięć lat po jej adoptowaniu? Ruth wzięła do ręki następny list.

Sierpień 1933

Nasze plony i ludzi wokoło są warte tyle co nic. Udało nam się zebrać trochę kartofli. Resztę rzeczy musimy kupować.

Niektórzy jeszcze nie widzą, że przyszedł kryzys. Możliwe, że to do nich dotrze pod koniec zimy. [...]

Czy Pani słyszała coś o Betty Jane, a może ją widziała? Często o niej myślę w ciągu dnia. Oby oni zawsze mieli o niej dobre zdanie – o to się modlę. [...]

Ruth zamgliły się oczy. Zamrugała, żeby widzieć wyraźnie, i przerzuciła kolejne kartki.

25 czerwca 1933.

4 grudnia 1935.

6 stycznia 1947.

Tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy? W tym roku skończyła szkołę średnią; po zakończeniu uroczystości w sali gimnastycznej szła z Charlesem ulicą tamtego majowego dnia, gdy niespodziewanie rozpętała się śnieżyca. Nawet wtedy jej biologiczna matka wciąż pisała o niej w listach?

Znieruchomiała. Zapatrzyła się w okno, czarne późną nocą, w którym odbijało się ostre światło lampy na stole. Przepełniało ją uczucie pewności.

Ona mnie kochała całym sercem.

Ruth sięgnęła po telefon komórkowy. Dłużej niż zazwyczaj wstukiwała numer Briana. Gdy się odezwał, miała w oczach łzy.

– Ona nigdy o mnie nie zapomniała, Brianie – powiedziała drżącym głosem. – Te listy... jest ich tyle!

– Listy? Są tam listy?

– Mnóstwo. Pisała przez lata... pytała o mnie...

Brian poczuł bolesny ucisk w gardle. W oczach też zakręciły mu się łzy. Tego najmniej się spodziewał.

– Czy tam jest napisane, jak ona się nazywała? Znasz jej imię, mamo?

– Tak.

Ruth spuściła wzrok na kartkę z napisanym na maszynie harmonogramem czynności podjętych w Sprawie nr 359; w mojej sprawie, przemknęło jej przez myśl.

– Miała na imię Minnie.

Rozdział dwudziesty drugi

Późnym wieczorem następnego dnia Brian wjechał do miasteczka Viroqua. Po długiej podróży zawiózł Teresę do jej rodziców, cały czas myśląc o przesyłce leżącej na stole u mamy. Pierwszy raz w życiu miał ochotę przekroczyć dopuszczalną prędkość na drogach, choćby odrobinę.

Ruth czekała na niego w drzwiach domu na farmie. Po zwyczajowych powitaniach z rodzicami Brian nie mógł dłużej czekać.

– Mamo, gdzie są akta?

– Na stole.

Charles poszedł spać, a Ruth zaprowadziła syna do jadalni. Choć wiedział, jak wygląda przesyłka, był zaskoczony rozmiarami dokumentacji. Usiadł przy owalnym drewnianym stole, Ruth obok niego. Zaczął czytać.

Część dokumentów trudno było odcyfrować, ponieważ wyblakł atrament, zwłaszcza listy młodej Minnie. Za to nie zmieniło się jej pismo, więc Brian szybko je poznał i mógł odczytać niemal wszystkie. Była tam również korespondencja między jego dziadkiem, pastorem Nordslettenem a Domem Miłosierdzia, w którym przebywała Minka. Próbował wyobrazić sobie dziadka, kojarzącego mu się z pouczającymi sentencjami i srebrnymi

półdolarówkami, jako młodego żonatego pastora, który pisze list z zamiarem zaadoptowania małej dziewczynki.

Coś przykuło jego wzrok. W części zatytułowanej „Historia dziecka” zauważył długi akapit opisujący „rozstrzygnięcie sprawy”. Wpatrywał się w kartkę, nisko pochylając głowę, jakby w ten sposób mógł lepiej zrozumieć prawdziwy sens słów.

Przeczytał ten fragment jeszcze raz.

Nagle wezbrał w nim niepohamowany gniew. Brian był zawodowym żołnierzem. Instynktownie chronił i bronił człowieka. Sam miał córkę, która była piękną młodą kobietą, i nie potrafił sobie wyobrazić, co by czuł, gdyby ktoś chciał ją skrzywdzić.

Uznał, że nie ma co owijać w bawełnę, i powiedział:

– Mamo, ona została zgwałcona.

Ruth wbiła wzrok w Briana, unosząc brwi i rozchylając usta.

– Jak to?

– Tak tu jest napisane. Była... hmm... – Zerknął na kartkę. – Była z koleżankami nad jeziorem... Zaczepili ją obcy mężczyźni. Została zgwałcona. – Znów spojrzał na kartkę. – Sprawcy nie schwytano.

Ruth zapłonęła gniewem. Nie wiedziała, co zrobić z tą zaskakującą wiadomością. Po chwili zaczęła się wyraźnie trząść. Jakiś mężczyzna dopuścił się takiego czynu. Z przygnębieniem uświadomiła sobie, że napastnik był jej ojcem.

Ta informacja położyła się cieniem na wieczorze i zmąciła radość z ich odkrycia. Z dokumentacji wynikało, że ów mężczyzna był starszy od Minnie, a zatem na pewno już nie żył. Nawet gdyby ustalono jego tożsamość, nie mógłby zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Przez blisko osiemdziesiąt lat Ruth żyła nieświadoma tych faktów. Gdy czasem myślała o swoich biologicznych rodzicach, wyobrażała sobie dwoje

młodych ludzi, którzy nieumyślnie poczęli dziecko. Teraz poznała prawdę – jej życie było rezultatem brutalnego czynu. Biologiczny ojciec zrobił coś potwornego. Nie mieściło się jej to w głowie. Zawsze ogromnie podziwiała adopcyjnego ojca; nigdy nie przyszło jej na myśl, że biologiczny ojciec mógł się aż tak od niego różnić. Kontrast był szokujący. Nie potrafiła sobie poradzić z kłębiącymi się w niej uczuciami.

Natomiast uzmysłowiła sobie jedno: jak niezwykła była miłość do niej jej matki.

* * *

Po powrocie do teściów późnym wieczorem Brian nie potrafił zapanować nad gonitwą myśli. Gdy czytał listy, czuł narastającą sympatię do tej nieznanej młodej dziewczyny, swojej babci, która tak mocno kochała córkę. Czuł również, jak wzbiera w nim wściekłość na mężczyznę, który spłodził tę dziewczynkę. Jak on mógł?! Człowiek z nim spokrewniony...

Ale zaraz przyszła kolejna myśl: Gdyby tego nie zrobił, nie byłoby go tutaj. Świeżo poznane fakty rozbudziły w nim sprzeczne emocje.

Fakty, które być może pomogą dowiedzieć się, kim była ta Minnie.

Z akt wynikało, że urodziła się 10 listopada 1911 roku. Miała na imię Minka. Po mężu nazywała się Disbrow, ale nie wiadomo, ile razy wyszła za mąż. Urodziła przynajmniej jeszcze jedno dziecko, córkę Diannę. Przestała pisać listy w 1947 roku. Od tego czasu minęło prawie sześćdziesiąt lat; brak o niej jakichkolwiek dalszych informacji.

Mając taki natłok myśli, Brian prawie nie spał tej nocy.

Ledwie nastał świt, włożył szorty i T-shirt i przeszedł pół mili do domu rodziców, głęboko oddychając chłodnym powietrzem, dużo przyjemniejszym od wilgotnego powietrza w Alabamie. W dobrze mu znanej kuchni mamy nasypał mielonej kawy do papierowego filtra i zalał ją

całym dzbankiem wrzątku. Miał przed sobą długi ranek. Ruth krążyła po domu, szykując się do pracy w Walmarcie.

Rozłożył na stole dokumentację. Poczuł przypływ energii przed czekającym go zadaniem. Pióro tylko skrzypiało, gdy wypisywał nazwiska i daty na żółtej kopercie. Także nazwy miejscowości oraz lata, gdy Minka przebywała w danym miejscu. Ułożył wszystkie dokumenty i listy chronologicznie i ponownie przeczytał całą korespondencję.

W końcu położył pióro na stosie kartek.

Zebrał dość informacji, żeby rozpocząć poszukiwania w internecie. Tyle że przebywał na wsi w Wisconsin i jego rodzice nie mieli komputera. Musiał przenieść się do domu teściów.

Po godzinie szperania w sieci jego entuzjazm przygasł. Kimkolwiek była ta Minka, nie pozostał po niej ślad. Nic nie znalazł w rejestrze zgonów systemu ubezpieczeń społecznych ani w nekrologach. Nic nie znalazł także w ogłoszeniach narodzin, co dotyczyłoby córki, Dianny Disbrow. Sprawdził każdą wymienioną w dokumentacji miejscowość w stanach Dakota Północna i Południowa, Minnesota, Iowa i Rhode Island. Przejrzał strony na temat drugiej wojny światowej, szukając wzmianki o mężu Minki Royu. Nic nie znalazł.

Oparł się plecami o krzesło. Wbił wzrok w monitor. Zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. I wtedy przypomniał sobie, jak znalazł kiedyś potrzebne mu numery telefonów – o wiele prościej i wygodniej, niż gdyby szperał w grubej książce telefonicznej.

Na portalu whitepages.com. Założył okulary i wszedł na stronę.

Imię i nazwisko: Minka Disbrow. Nie znał nazwy stanu ani miasta, nie znał kodu pocztowego. Nacisnął „enter”.

Jeden wynik. Adres w Kalifornii. Numer telefonu.

Czuł, jak wali mu serce. Wpatrywał się w nazwisko na ekranie.

Zawołał Teresę.

– Musisz to zobaczyć – powiedział. Ze zdumieniem patrzyli na wyświetlone informacje, uprzytamniając sobie, co z nich wynika: matka Ruth prawdopodobnie żyje.

Brian chciał się upewnić. Na ekranie, obok nazwiska i adresu Minki, widniała informacja, że po zapłaceniu kilku dolarów można uzyskać dalsze dane, takie jak: wiek, nazwiska krewnych, poprzednie miejsca zamieszkania i inne. Mógłby porównać je z tym, czego dowiedział się z akt. Spojrzał na żonę.

– Zrób to. Nie masz nic do stracenia – powiedziała.

Czując się trochę jak natręt, Brian kliknął na link i wpisał numer karty kredytowej. Pojawiły się dane osobiste.

Minka Disbrow. Data urodzenia: 10 listopada 1911. Wiek: 94 lata.

To ona.

* * *

Kilka godzin później rodzina Briana siedziała na wybetonowanym tarasie na farmie. Rodzeństwo Briana, Deb i Tim, z rodzinami też przyjechało w odwiedziny. Na stole, przy którym niegdyś tradycyjnie spotykali się wszyscy domownicy, stały naczynia po niedzielnym obiedzie na świeżym powietrzu. Do kiełbasek, upieczonych na grillu przez Tima, zjedli fasolkę w sosie pomidorowym, sałatkę ziemniaczaną i sałatkę owocową. Z tarasu, znajdującego się opodal ogrodu warzywnego, widać było jasnozielone łodygi kukurydzy i płożące się pędy dyni, które lśniły w ostatnich promieniach słońca.

Gdy Ruth wstała, żeby wynieść sztućce i miski po sałatkach, Brian i Teresa też się podnieśli.

– Pomożemy ci, mamo – rzekł Brian.

Poszli wydeptaną ścieżką w stronę werandy za domem. Reszta rodziny nie wiedziała, że Ruth, Brian i Teresa niecierpliwie czekają na dzwonek telefonu. Wcześniej tego dnia Ruth zostawiła wiadomość na sekretarce automatycznej.

Na sekretarce Minki.

Gdy Brian znalazł tego ranka numer telefonu do Minki, razem z Teresą pojechał do Walmartu. Wszedł do sklepu, odszukał mamę w pokoju socjalnym i wyrzucił z siebie najświeższe wiadomości.

– Odszukałem twoją biologiczną matkę. Możliwe, że nadal żyje.

Po powrocie do domu Ruth przez dłuższą chwilę spoglądała na cyfry, które Brian zapisał na żółtej kopercie. Nagle zaczęła się denerwować. Była pewna, że Minka, jeśli żyje, ucieszy się z tej wiadomości. Ale jeśli nie żyje? Jeśli ta wiadomość przyszła o kilka miesięcy za późno? Ogarnął ją niepokój.

A jeśli odnalazła biologiczną matkę, by zaraz ją stracić?

Opanowała strach i wybrała numer. Mimo woli poczuła ulgę, słysząc standardowe powitanie automatycznej sekretarki. Drżącym głosem wypowiedziała kilka słów i natychmiast tego pożałowała. Trzeba było najpierw przećwiczyć sobie tę wiadomość.

Ruth, Brian i Teresa aż podskakiwali na krzesłach, ilekroć tego dnia słyszeli dzwonek telefonu. Ale telefonowali tylko miejscowi znajomi. Brianowi przychodziły na myśl różne ewentualności. Może Minka nie odsłuchała wiadomości? Może wyjechała w podróż albo odwiedza rodzinę?

A jeśli odsłuchała wiadomość i nie chce oddzwonić?

Mogło też być tak, że numer był nieaktualny i wcale nie zadzwonili do Minki Disbrow.

Przez cały dzień Brian krążył nerwowo między domem a dworem, majstrując przy tym i owym. Jak jego mama nie potrafił siedzieć bezczynnie, jeśli wiedział, że jest coś do naprawienia. Kilka desek na zewnętrznej ścianie domu odpadło podczas niedawnej burzy. Wszedł na drabinę, przymocował pomalowane na biało deski nad gankiem i uszczelnił szpary. Tak się przykładał do pracy, że pot wystąpił mu na czoło.

Ilekroć wchodził do domu, pytał cicho:

– Odezwała się?

Za każdym razem Ruth kręciła głową.

W porze obiadowej, gdy dojechało więcej osób, powstał w domu zamęt. Jedni rozpalali grilla, inni nakrywali do stołu, jeszcze inni rozlewali napoje. Okazja do rozmowy o Mince nadarzyła się dopiero, gdy Brian i Teresa zaczęli pomagać Ruth przy sprzątaniu.

– Mamo, chcesz zadzwonić jeszcze raz? – zapytał Brian, gdy weszli do domu i zostali sami.

Ruth rozejrzała się po kuchni i kiwnęła głową, nie patrząc na syna.

– Chcę, ale najpierw posprzątajmy tutaj, a potem chwilę odpocznijmy.

Brian nie dyskutował ani nie nalegał.

– Dobrze. Pomożemy ci. Od czego chcesz zacząć?

Umyli miski i sztućce, resztki jedzenia przykryli folią, wytarli blaty. Gdy powiesili ścierki na uchwycie piekarnika, Brian znów zapytał:

– Chcesz teraz zadzwonić?

Ruth spojrzała w okno. Przyłożyła rękę do srebrnego naszyjnika. Znów kiwnęła głową.

– Tak... Tylko ustawmy krzesła ogrodowe i posprzątajmy na zewnątrz.

Teresa zerknęła na Briana. Wyszli na dwór. Wrzucili do ogniska papierowe serwetki i jednorazowe talerze. Zrobili porządek z krzesłami.

Reszta rodziny gawędziła przy ognisku. Brian czuł, że jego mama będzie się tak dręczyć cały wieczór.

– Chcesz, żebym do niej zadzwonił? – zapytał w końcu.

Ruth popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– O tak... Mógłbyś?

Poszli na oszkloną werandę z tyłu domu, gdzie pozostali ich nie słyszeli. Brian już przemyślał – i odrzucił – różne wersje rozpoczęcia tej rozmowy.

„Dobry wieczór. Chciałbym zapytać, czy oddała pani dziecko do adopcji w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku”.

Odpada.

„Dobry wieczór. Mam na imię Brian. Moja mama jest pani pierwszym dzieckiem...”

Odpada.

„Dobry wieczór. Jestem pani wnukiem...”

Hm... odpada.

„Dobry wieczór. Nazywam się Brian Lee, dzwonię z Wisconsin. Staram się ustalić pewne fakty związane z adopcją mojej matki. Procedura została przeprowadzona w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym. W dokumentacji jest wymienione pani nazwisko. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań w tej sprawie?”

To brzmi lepiej.

Spojrzał na numer zapisany na kopercie i wystukał cyfry.

W dalekiej Kalifornii zadzwonił telefon.

* * *

Tego ranka Minka nie poszła do kościoła, co rzadko się zdarzało. Została w domu, ponieważ czuła się wyjątkowo zmęczona, a poza tym niedługo miał wystąpić w telewizji jeden z jej ulubionych kaznodziei. Po lunchu przysnęła.

Słyszała dzwonek telefonu, ale na szczęście po to przecież istniała sekretarka automatyczna – nie trzeba wyskakiwać z łóżka jak pajacyk z pudełka, żeby dowiedzieć się, kto dzwoni. Maszynka się włączyła, a Minka znów zapadła w sen.

Po pewnym czasie wstała, z nowymi siłami, i wysłuchała wiadomości, wypowiedzianej niepewnym kobiecym głosem. Niewiele z tego zrozumiała. Kobieta podała swoje nazwisko i numer telefonu, powiedziała, że dzwoni z Wisconsin, nic więcej.

Minka nie znała nikogo w Wisconsin. Przyszło jej na myśl, że to może znajoma ze zjazdów kościelnych, na które regularnie jeździła.

Wyciągnęła książkę telefoniczną i odszukała spis numerów kierunkowych. Przesuwała palec po stronie, aż znalazła Wisconsin. Okazało się, że wymieniono tam kilkanaście numerów kierunkowych, także ten, który poprzedzał numer telefonu podany w wiadomości. Minka zastanawiała się przez chwilę, ale wciąż nie mogła przypomnieć sobie, żeby wśród osób, które poznała na zjazdach, był ktoś z Wisconsin.

Postanowiła zignorować tę wiadomość.

Gdy po południu znów rozległ się dzwonek telefonu, Minka podniosła słuchawkę.

– Słucham.

Odezwał się nieznajomy mężczyzna o sympatycznym głosie z akcentem, którego nie rozpoznawała. Ku jej zdziwieniu zaczął zadawać

sondujące, osobiste pytania dotyczące jej życia, jej przeszłości. Poprosiła o powtórzenie. Mężczyzna powiedział to wszystko jeszcze raz.

Szukał biologicznej matki swojej mamy.

Wspomniał o Dakocie Południowej. Napomknął o Domu Miłosierdzia.

Jej serce zgubiło rytm. Ale żyła na tym świecie dziewięćdziesiąt cztery lata i nie była łatwowierna – czytała w czasopismach artykuły ostrzegające przed złodziejami, którzy wykradają dane osobowe obywateli w podeszłym wieku. Przerwała mężczyźnie i sama zaczęła zadawać pytania.

– Jakie imię otrzymała pana matka po urodzeniu? – W jej głosie pobrzmiewało niedowierzanie.

– Betty Jane.

Nagle świat stanął w miejscu. Srebrny zegar, który wisiał nad podstawką telefonu na ścianie, odpłynął gdzieś daleko.

Choć to imię nie uleciało jej z myśli ani z serca nawet na jeden dzień od narodzin córki, od dawna nie słyszała, żeby ktoś wypowiedział je na głos. Zupełnie zniknęło przed sześcioma laty, razem z ostatnią osobą, która je znała – z siostrą Jane.

– Gdzie się urodziła?

– W Sioux Falls, w Dakocie Południowej.

Serce przyspieszyło rytm, czuła pulsowanie w uszach. Dudniło jej w głowie ostatnie pytanie. Całą sobą pragnęła usłyszeć jedną jedyną odpowiedź.

– Kiedy się urodziła?

– Dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku.

Z trudem zdołała wydobyć z siebie głośniejszy dźwięk niż szept.

– To mnie pan szuka. Ja... ja jestem biologiczną matką pana mamy.

Wtedy ten mężczyzna wypowiedział osiem słów. Jedno na każde z ośmiu dziesięcioleci wyczekiwania, by je usłyszeć.

– Czy chce pani porozmawiać ze swoją Betty Jane?

Czas zaczął się cofać z błyskawiczną szybkością. Wszystko się zakołysało.

Pod Minką ugięły się nogi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Minka osunęła się na krzesło w jadalni, położyła zaciśniętą lewą dłoń na przezroczystej folii, chroniącej obrus przed zabrudzeniem. Trzymała słuchawkę tak mocno, że rozbolał ją nadgarstek. Ale nie zważała na ból, tylko starała się pamiętać, że ma oddychać.

W słuchawce rozległ się głos.

– Halo?

Starsza kobieta. Nieznajoma osoba. Jej kochana córeczka?

– Halo? Jestem twoją Betty Jane.

Później Minka nie potrafiła sobie przypomnieć, co wtedy powiedziała. Przez następnych kilka minut miała mętlik w głowie i w sercu. Przedstawiła się, jak gdyby nigdy przedtem się nie spotkały. Jak gdyby każdy dzień przez te siedemdziesiąt siedem lat nie był wypełniony tęsknotą za tą kobietą.

Minka chłonęła głos córki. W głowie dudniło: Betty Jane, Betty Jane.

– ... mamy sześcioro dzieci – mówiła kobieta. Minka starała się zapamiętać każde słowo. – Dwie córki i czterech synów...

– Sześcioro dzieci? – powtórzyła ze zdumieniem Minka, uświadamiając sobie, że liczba jej wnuków raptem się podwoiła.

Betty Jane wymieniła ich imiona, powiedziała, kim są z zawodu. Wszyscy byli dorośli, to jasne. Minka słuchała jak w transie zasypana szczegółowymi informacjami o ludziach, którzy są jej krewnymi.

Właściciel firmy. Pilot lotnictwa. Astronauta, który odbył cztery loty w kosmos. Siły zbrojne. West Point. Nauczyciel. Inżynier w firmie pracującej dla NASA. Nauczycielka.

Przytłoczyło ją tyle wiadomości. NASA... West Point... wychowawcy...

Astronauta?!

Później będzie to musiała wszystko przetrawić.

W domu państwa Lee w Wisconsin panowały zgiełk i zamieszanie. Gdy Brian przekazał słuchawkę Ruth, wybiegł na dwór, gdzie siedziało jego rodzeństwo i ojciec. Zamiast jak zwykle spokojnym, stosownym tonem krzyknął wyraźnie podekscytowany.

– Hej, posłuchajcie! Zgadnijcie, z kim teraz rozmawia nasza mama. – Wiedział, że nigdy by się nie domyślili. – Ze swoją biologiczną matką w Kalifornii!

Dopiero to zdanie przyciągnęło ich uwagę. Brian mówił im niedawno, że stara się odszukać ich biologicznych dziadków, ale nie informował ich na bieżąco o postępach działań. Jeszcze dobę wcześniej uważał, że niewiele odkrył.

– Właśnie rozmawia z nią przez telefon.

Deb nie odrywała od niego oczu.

– Chyba żartujesz – bąknęła.

– Ona jeszcze żyje? – zapytał Charles.

– Żyje – odparł Brian. – Przed chwilą zadzwoniłem do niej i zadałem jej kupę pytań... właściwie tylko próbowalem, bo zaraz zaczęła mnie

maglować. To naprawdę jej matka, słowo daję. – Oparł ręce na biodrach i sapnął. – Aż trudno w to uwierzyć.

Deb ruszyła w stronę domu.

– Idę z tobą – powiedział Brian. – Chcę posłuchać, o czym rozmawiają.

Ruszyli razem przez trawnik i lekko pod górkę. Gdy weszli na oszkloną werandę, Teresa spojrzała na nich z uśmiechem. Ruth siedziała przy stole, z piórem i kartką papieru, które przyniosła jej Teresa. Szybko zapisywała jakieś słowa i liczby, kiwając głową i powtarzając co chwila: „Och!”.

Nadal siedząc na krześle w jadalni, Minka opowiedziała co nieco o sobie. O mężu, dzieciach, swojej pracy. Było tego za dużo, żeby zmieścić w kilku minutach.

Co pewien czas słyszała w tle czyjeś głosy. Jeden rozpoznała: mężczyzny, który rozmawiał z nią na początku i którego podejrzewała o oszukaństwo.

– Czy to mój wnuk?

– Tak, Brian. To on cię znalazł.

Z całych sił pragnęła, żeby ta rozmowa się nie skończyła. Chciała zatrzymać tę chwilę, chwycić ją mocno i już nie puścić. A jeśli się rozłączy i to wszystko okaże się nieprawdą? Jeśli to był sen, na pewno nie chciała się obudzić.

Wymieniły się adresami. Betty Jane – być może powiedziała, jak ma teraz na imię, ale Minka tego nie usłyszała – obiecała, że przyśle zdjęcia swojej rodziny i własne zdjęcia z dzieciństwa. Minka nie posiadała się ze szczęścia.

– Tylko pamiętaj, żeby napisać na kopercie numer mojego mieszkania – kilkakrotnie przypominała Minka.

Choć oprócz niej w budynku mieszkało jeszcze troje sąsiadów, kochanych ludzi, niemal członków rodziny, Minka nie mogła znieść myśli, że nastąpi jakieś opóźnienie w dostarczeniu przesyłki.

Nie chciała czekać ani sekundy dłużej, żeby zobaczyć twarz swojej Betty Jane, przez tyle lat widzianej jedynie w wyobraźni.

Rozmowa dobiegała końca. Dzieci Ruth słyszały, jak ich mama podaje swój adres i obiecuje wysłać zdjęcia. Znowu powtarza numer telefonu. Mówi „do widzenia”. Gdy odłożyła słuchawkę i spojrzała na rodzinę, miała na twarzy uśmiech zdumienia. Tim i Charles już dołączyli do pozostałych i wszyscy stłoczyli się na werandzie.

– Co mówiła? – zapytał Brian.

– Hm... niech zbiorę myśli... Dorastała w Dakocie Południowej. Jej mąż był lotnikiem i walczył w drugiej wojnie światowej, już nie żyje. Miała syna i córkę, syn umarł kilka lat temu. Pracowała jako kucharka w stołówce Okręgu Szkolnego. Potem pracowała w Kmarcie. Chodzi do kościoła. I dba o otoczenie budynku, w którym mieszka. Wygląda na to, że dopisuje jej zdrowie.

– Przyśle ci zdjęcia? – zapytała Teresa.

– O tak. I chce, żeby przysłać jej zdjęcia was wszystkich i moje stare zdjęcia. Będę musiała wybrać... Odszukać je i zrobić odbitki w markecie. – Spojrzała na kartkę. – Mam tu jej adres. Kazała mi koniecznie napisać numer mieszkania. Parę razy to powtarzała. Powiedziałam... że do niej przyjadę.

– Pojadę z tobą – natychmiast zaofiarował się Brian.

Ruth spojrzała na niego.

– Też chcę ją poznać. Pojedziemy razem. Możliwie jak najszybciej.

Zdawali sobie sprawę, że choć poszukiwania się zakończyły, ta podróż właśnie się zaczynała.

* * *

Minka siedziała przy stole i długo trzymała w ręce telefon. Ledwie czuła, że łzy płyną jej po policzkach. Głowę rozsadzał jej natłok wiadomości o Betty Jane – serce rozsadzały emocje towarzyszące ich rozmowie. Po tylu latach, po tym wszystkim, co przeżyła.

Ta nowa rzeczywistość wyglądała pięknie. Jak tamten dzień, gdy pierwszy raz wzięła na ręce swoje nowo narodzone dziecko, gdy świat się zmienił, otworzył, nabrał rumieńców. Wszystko się zmieniło. Ona sama też.

Pod koniec rozmowy uprzytomniła sobie coś niezwykle zachwycającego. Sześć tygodni temu, gdy wypowiedziała swoją naiwną modlitwę, obiecała, że nie wkroczy w życie córki. Poprosiła Boga, żeby pozwolił jej tylko spojrzeć na Betty Jane, ośmieliła się liczyć na fotografię.

A dziś jej córka chce się z nią spotkać.

– Wkrótce coś ustalimy – obiecała Ruth.

Minka nie zdawała sobie sprawy, jak długo siedziała przy stole, zanosząc dziękczynne modlitwy, przeżywając na nowo tę rozmowę. W końcu znów włączyła telefon i wystukała dobrze znany numer. Wszyscy, którym powiedziała o swojej pierworodnej córce, nie żyli. Ten sekret znała jeszcze jedna żyjąca osoba, ale dowiedziała się o tym nie od Minki, a potem tylko raz rozmawiały na ten temat.

Telefon odebrała druga córka Minki, Dianna, mieszkająca w Oregonie.

– Zgadnij, kto do mnie zadzwonił – wypaliła Minka.

– Hm... Cathy? Gary? Grant?

Diannie wydawało się, że najprawdopodobniej chodzi o jej własne dzieci.

– Betty Jane.

Imię nic nie mówiło Diannie. Nigdy przedtem go nie słyszała.

– Kto?

– Betty Jane. Moje... moje dziecko.

Przed kilkudziesięciu laty, gdy Dianna była nastolatką, Roy zabrał córkę na lunch i zdradził jej różne sekrety rodzinne. Może był pijany, może chciał namieszać. Szyderczym tonem wyjawił Diannie, że matka urodziła kiedyś dziecko i oddała je do adopcji.

Wiadomość wstrząsnęła „grzeczną dziewczynką", której życie obracało się wokół kościoła. W końcu Dianna zebrała się na odwagę i opowiedziała o tym mamie. Po długim milczeniu Minka odrzekła tylko tyle: rzeczywiście tak było, ale jej pierwsza córka trafiła do dobrego domu, koniec, kropka. Nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Dopiero teraz, przez telefon, wyjawiła córce całą historię. Dianna nie widziała jeszcze mamy tak przejętej.

– Kochanie, oni chcą tu przyjechać, zobaczyć się ze mną. Chcą również poznać ciebie! – Minka piała z radości. – Wydają się tacy mili. To wszystko nie mieści mi się w głowie.

* * *

Niedługo potem Minka wyjęła ze skrzynki na listy wypchaną kopertę. Gdy tylko zobaczyła adres z Wisconsin, pobiegła do domu i otworzyła przesyłkę.

W środku był list od Ruth, ale wzrok Minki przyciągnęły fotografie. Wyjęła je drżącymi, powykrzywianymi rękami. W oczach zakręciły jej się łzy. Wreszcie patrzyła na swoją córeczkę, którą tylko sobie wyobrażała przez te wszystkie dni, miesiące i lata.

Na jednym zdjęciu: Betty Jane, pulchne roześmiane niemowlę. Minka przyglądała się rysom twarzy i rączkom, wciąż pamiętając miękką skórę dziecka.

Na drugim zdjęciu: bosa dziewczynka, z kwiatkami w kędzierzawych włosach, mruży oczy w jaskrawym słońcu, a tuż za nią stoją rodzice adopcyjni.

Dalej: piękna młoda kobieta umalowana ciemną szminką, w sukni z odsłoniętymi ramionami, z pogodnym uśmiechem patrzy za siebie.

I jeszcze jedno: dojrzała kobieta z mężem i szóstką dorastających dzieci, wszyscy ubrani w stylu lat siedemdziesiątych. Już siwieją jej włosy.

Minka wpatrywała się w każde zdjęcie, nisko pochylając głowę, żeby dostrzec każdy szczegół. Jeden z synów Ruth przypominał syna Dianny Granta. Ruth była uderzająco podobna do mamy Minki Jennie. Każda fotografia świadczyła o dobrym, satysfakcjonującym życiu. Było na nich wszystko, czego Minka życzyła swojej kochanej Betty Jane i o co modliła się do Boga.

Właśnie dlatego zgodziła się ją oddać. Żeby Betty Jane to wszystko miała.

Z trudem przestawiała się na inne myślenie. Po latach, choć w wyobraźni próbowała „postarzyć” Betty Jane, wciąż się spodziewała, że wróci do niej mała dziewczynka.

Rana nadal sięgała głęboko. I tak już miało pozostać. Ilekroć powracało wspomnienie utraty dziecka, Minka płakała.

* * *

Dziesięć dni po ich pierwszej rozmowie przez telefon Brian napisał do Minki list.

Kochana Minko!

O rety, co tu się działo przez te dwa tygodnie!!! Wciąż kręci mi się w głowie, Tobie zapewne również. Dla mamy była to jazda na emocjonalnej karuzeli. Sądzę, że Ty też tak się czułaś. Ale muszę przyznać, że włożyłem w te poszukiwania całe serce i po przeczytaniu tej dokumentacji przekonałem się, że były warte czasu i wysiłku...

Powiem Ci szczerze i otwarcie: jesteś niezwykła!! Cieszę się, że mam taką babcię!!! Przypuszczam, że przeżyłaś szok, gdy się dowiedziałaś, że Twoja rodzina podwoiła się z dnia na dzień...

Potem Brian opowiedział jej o swoich braciach i siostrach, o sobie, swojej żonie i dzieciach. Na koniec:

Mógłbym tak pisać cały dzień, ale wtedy ten list nie trafiłby na pocztę. Więc na tym skończę, dołączę zdjęcia i zacznę planować spotkanie Twoje, mamy i Dianny (mam nadzieję). Uważam, że nie ma co z tym zwlekać...

Serdecznie pozdrawiam

Twój (nowy) wnuk Brian

Minka wzięła do ręki list, przeczytała go po raz drugi. O tak, pomyślała, przyjeżdżajcie choćby dzisiaj!

Brian miał najwięcej zajęć z nich wszystkich, ale po jeszcze jednej rozmowie przez telefon ustalili datę. Piątek 18 sierpnia.

Minka miała kilka tygodni, żeby przygotować swoich najbliższych na tę sensacyjną wiadomość. Żaden z jej drogich przyjaciół i starych znajomych nie wiedział o istnieniu Betty Jane. Jej własne wnuki też o tym nie słyszały. Trzeba dużo wyjaśnić, to pewne. Przez całe życie starała się strzec swojej prywatności, a teraz będzie musiała się odsłonić.

Najważniejsze, że Betty Jane wróciła. Wszystko inne było tak naprawdę bez znaczenia.

* * *

Wreszcie nadszedł sierpień. W przeddzień spotkania wnuk Minki Gary, nauczyciel w szkole średniej i ojciec dwóch małych bliźniaczek, przyleciał z Oregonu. Chciał wesprzeć babcię i sfilmować to wydarzenie. Jego matka Dianna miała dołączyć po końcowych zajęciach, na które chodziła w college'u. Grant, podobnie jak pozostałe wnuki, zdębiał, gdy usłyszał o Ruth i o gwałcie. Ale również z przejęciem patrzył na rozradowaną babcię.

W czwartek Minka wpadła w szał wypieków. Dowiedziała się, że Ruth uwielbia słodycze, zwłaszcza o smaku czekoladowym, cytrynowym i lukrecjowym. W solidnej blaszanej formie upiekła placek z bakaliami, paluszki cytrynowe i ciasteczka cynamonowe. Kupiła największe opakowanie czerwonej lukrecji, jakie znalazła
w sklepie.

W nocy niewiele spała. Kotłowało jej się w głowie. Żałowała, że jej siostra Jane, także Honus nie mogą dzielić z nią radości. Jej największe marzenie, które nie opuszczało jej od 1929 roku, miało się spełnić. Może to wyglądało absurdalnie, zważywszy na jej wiek, ale czuła się tak, jakby w życiu zaczynało się coś nowego, jakby stała na początku, a nie na końcu drogi.

O świcie uznała, że już nie zaśnie. Wstała, doprowadziła pokój do porządku, nakryła do stołu. Postawiła pączki, kulki czekoladowe i orzechy. Pokroiła arbuza i dwa gatunki melona. Grant, wysoki mężczyzna o łagodnym usposobieniu, kręcił się po mieszkaniu, próbując uspokoić babcię rozmową. Wyszedł z nią na dwór i razem ucięli kilka gałązek

bugenwilli, które Minka położyła między dwiema świecami na stole jadalnym.

Goście mieli przyjść o wpół do dziesiątej rano. Minka chciała, żeby wszystko wyglądało idealnie.

Ruth nocowała w hotelu opodal lotniska w hrabstwie Orange, dwadzieścia sześć mil na północ od domu Minki. Tej nocy też niewiele spała. W ogóle nie pamiętała swojej biologicznej matki, nie tęskniła za nią przez ostatnie siedemdziesiąt siedem lat ani nie pisała listów z prośbą o wiadomości o niej przez trzy czwarte wieku. Teraz dowiedziała się, że Minka na nią czekała. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że przez te siedemdziesiąt siedem lat jej matka powracała do wspomnień, myślała o niej i tęskniła za nią.

Pogrążona w myślach, mało się odzywała. Brian poszedł po kawę i ciastka. Teresa krążyła cicho po wspólnym pokoju, szykując się do wyjścia. Ruth usiadła przy biurku i zaczęła pisać kartkę na pamiątkę tego spotkania. Starała się zrobić to jak najlepiej, ale nie potrafiła wyrazić słowami dokładnie tego, co czuje.

Minko, droga mamo!

Wreszcie spotkamy się osobiście – nie mogę się doczekać tej chwili. Wiem, że nasze spotkanie jest odpowiedzią na modlitwy i dlatego chcę Ci dać figurkę modlącego się anioła. Czas upłynie nam o wiele za szybko, ale jestem pewna, że zobaczymy się jeszcze nieraz. Teresa zrobiła album ze zdjęciami od nas wszystkich dla Ciebie i Dianny. Jest zupełnie wyjątkową synową... nazywam ją swoją córką.

Serdecznie pozdrawiam

Ruth

Brian przyniósł pączki i wielki bukiet z białych margerytek, różowych róż i delikatnych lilii, opakowany w różowy celofan.

– Pomyślałem, że będziesz chciała dać jej kwiaty – powiedział.

– Jakie piękne. – Ruth podeszła do syna, dotknęła bukietu i powąchała róże. – Spodobają jej się.

A przynajmniej tak przypuszczała. Właściwie mało wiedziała o swojej matce. Ale kto nie lubi róż?

Dochodziła dziewiąta. Zjechali windą na dół. Brian poszedł po samochód. Ruth czekała w holu i patrzyła na jadalnię, gdzie goście jedli śniadanie. Byli jej obcy, tak samo jak kobieta, z którą miała się wkrótce spotkać. Zastanawiała się, czy ona i Minka są do siebie podobne. Gdybyśmy stanęły obok siebie, czy ludzie domyśliliby się, że ona jest moją matką?

Ruth nabrała głęboko powietrza i spojrzała na siebie. Była zadowolona, że przynajmniej dobrze się prezentuje tego szczególnego dnia. Starannie wybrała strój: białe spodnie i gładką bluzkę z ozdobnym haftem przy szyi, porządny zegarek i biżuterię.

Minka krążyła po mieszkaniu. Przygotowała pokój gościnny i znowu coś przesunęła na stole. Na koniec ubrała się: włożyła białe spodnie i gładką bluzkę z ozdobnym haftem przy szyi, porządny zegarek i biżuterię.

Nie wiedząc, czym wypełnić czas, zaczęła znowu chodzić tam i z powrotem i wynajdywać sobie zajęcia. Zamiotła chodnik przed domem i równo ustawiła krzesła na tarasie. Uznała, że lampa nad garażem nie jest dość czysta, więc poszła do pralni, wzięła ścierkę i wytarła klosz z kurzu i pajęczyn. Na dokładkę przetarła tabliczkę z numerem domu.

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak obserwować wskazówki zegara.

I czekać.

Ostatni raz.

Ruth nie odzywała się, gdy jechali autostradą. Brian, siedzący za kierownicą, rozglądał się wokoło i mówił, jak bardzo tu się zmieniło, ile przybyło domów. Choć dużo podróżował, tymi drogami nie jeździł od trzydziestu lat, odkąd stacjonował w bazie Korpusu Piechoty Morskiej w pobliskim Twentynine Palms.

Zjechał z autostrady, jak pokazywała mapa, którą wydrukował z internetu. Teresa go pilotowała. Drogi przy wybrzeżu, prowadzące nad ocean, były kręte. Mało brakowało, a Brian dwukrotnie skręciłby w niewłaściwym miejscu. W końcu zobaczyli tabliczkę z nazwą ulicy, przy której mieszkała Minka. Wszyscy troje poczuli uderzenie adrenaliny.

Skręcili, minęli niezabudowaną parcelę i zobaczyli podjazd. Na betonowym chodniku stał wysoki mężczyzna, który w jednej ręce trzymał kamerę wideo, a drugą radośnie wymachiwał.

Brian wjechał na podjazd. Wtedy ją zobaczyli – staruszkę, która szła ku nim zamaszystym krokiem, uśmiechając się tak promiennie, jak świeci słońce wschodzące na prerii.

Rozdział dwudziesty czwarty

Samochód zwalniał.

Serce mało nie wyskoczyło Mince z piersi, ale nogi niosły ją do przodu. Kątem oka widziała, że Grant już stoi z kamerą na podjeździe.

Za szybami samochodu mignęły twarze. Zmrużyła oczy i spojrzała na miejsce obok kierowcy, ale nie było tam Betty Jane. Błysk siwych włosów dostrzegła u kogoś na tylnym siedzeniu. Zrobiła krok przed siebie, otworzyła tylne drzwi i natknęła się na pęk kwiatów.

Za bukietem zobaczyła twarz swojej córki, tę, którą znała tylko z fotografii, i usłyszała głos, który znała tylko z rozmów przez telefon.

Wszystko zniknęło przysłonięte jednym pragnieniem. Żeby wziąć ją w ramiona. Za chwilę już tuliły się w objęciach.

Zamgliły jej się oczy. Głos zamarł w gardle. Ramiona mocno zacisnęły się dokoła córki, dłonie przylgnęły do jej pleców. Ponad dwadzieścia osiem tysięcy dni czekała na to, żeby znów przytulić swoje dziecko. Jej radość nie miała granic.

Betty Jane. Jej Betty Jane wreszcie wróciła. Noworodek, dziewczynka, nastolatka, młoda matka, babcia. Oto ona, gdy jest pulchnym niemowlęciem, bawi się w przebieranki, gubi pierwszy ząbek, maluje usta,

wkłada suknię ślubną, oczekuje pierwszego dziecka, czwartego, szóstego. Oto ona, świeżo upieczona babcia, kobieta, której dzieci wyfrunęły z gniazda, starsza pani. Wszystko naraz, całe życie w mgnieniu oka.

Minka nie była tego świadkiem, ale czekała, nieustannie czekała, dotrzymując obietnicy, że nigdy nie zapomni – i teraz, aż się nie chce wierzyć, Betty Jane została jej zwrócona.

W końcu Minka rozluźniła ramiona, cofnęła się nieco i znów spojrzała na twarz kochanej Betty Jane: pomarszczoną jak jej własna i znajomą przecież tylko z oglądanych ostatnio fotografii. Minka była jednak pewna, że rozpoznaje bladoniebieskie oczy. Spojrzała w nie, a wtedy córka znów się przytuliła i pocałowała ją w policzek. Minka z trudem wydobyła głos zduszony tysiącami nigdy niewypowiedzianych słów miłości.

– Jesteś cudowna... tak jak sobie wyobrażałam.

Ruth wkładała bukiet w jej ręce, Teresa już podchodziła, żeby się przywitać, za nią Brian, wnuk, który sprowadził jej dziewczynkę do domu. Czas zawirował; Minka starała się uchwycić tę chwilę, ale porwała ją fala.

Przytuliła Briana z taką siłą, że ze śmiechem ledwie wykrztusił pierwsze słowa:

– Nie tak mocno, babciu!

Minka zadrżała ze wzruszenia i niemal straciła równowagę. Ruth i Brian przytrzymali ją, obejmując za ramiona, i odwrócili się do Teresy, żeby zrobiła im zdjęcie.

– Boża moc... – szepnęła Minka, myśląc o wypowiadanych latami modlitwach, które sprawiły, że wreszcie nadeszła ta chwila.

– O rety! – zdumiała się Teresa, gdy opuściła aparat i objęła wzrokiem matkę i córkę. Nie wyglądały jak osoby, które widzą się po raz pierwszy. Coś je splatało, na jej oczach – to nie ulegało wątpliwości.

– I co wy na to? – rzekł Brian.

Grant uwieczniał wszystko od chwili, gdy Minka szła chodnikiem. Z trudem trzymał kamerę prosto, witając gości i przyjmując uściski. Wzruszenie również ściskało go za gardło.

Minka przyłożyła czoło do twarzy Ruth. Przytuliły się do siebie.

– Ale historia – odezwała się Ruth. – Siedemdziesiąt siedem lat – dodała rozpromieniona.

Minka przeskakiwała myślami od tamtych cudownych dni w Domu Miłosierdzia, z nowo narodzoną córką, do tego spotkania z Betty Jane, od dnia rozstania do chwili obecnej.

– W końcu wróciłaś w objęcia swojej matki. Sporo ci to zajęło – zażartowała Minka, ściskając córkę.

Jedną ręką przyciskała bukiet, drugą Ruth.

– Co za wspaniały dzień – dodała.

– Rzeczywiście wspaniały – przytaknęła Ruth.

– Wejdź do środka. Czas, żebyś zapoznała się ze swoim domem – oznajmiła Minka i westchnęła z zadowoleniem.

Minka stanęła przy drzwiach, zapraszając wszystkich do domu. Brian wniósł walizkę Ruth, która zostawała tu na trzy dni. Mieszkanie było małe, ale wygodne, meble w większości staromodne, ale obicia zachowały kolor i były czyste. Minka lubiła bibeloty, uważała, że są „urocze”, niektóre miała od wielu lat: glinianego ptaszka, aniołka z pękiem różowych kwiatów.

Wstawiła stoliki ze szklanymi blatami, przez które przenikało słońce, i rozwiesiła suszone kwiaty, które wystarczyło odkurzać, żeby zachowały świeżość. Zadbała o porządne oświetlenie i fotele, w których wygodnie się siedziało i czytało. Wystrój mieszkania przypominał Brianowi dom jego mamy.

Sfatygowana Biblia Minki leżała tam, gdzie ją najchętniej czytała, obok notesu, pióra i książeczki z łamigłówkami, które rozwiązywała czasem do późna w nocy.

– Lubię, kiedy mi głowa pracuje – oświadczyła.

Przyniosła szklany wazon na kwiaty. Ruth i Brian oglądali zdjęcia na półkach w salonie. Wiele z nich przedstawiało Ruth i jej dzieci.

– Jak to się stało, że nasze zdjęcia już są wystawione? – zapytał Brian. – Czym na to zasłużyliśmy?

Minka wskazała Ruth.

– To dzięki mojej córce jesteście tacy ważni! – Szturchnęła Briana w bok i zaczęła się śmiać.

Brian z Teresą wyjęli prezenty dla Minki. Albumy pełne zdjęć członków rodziny Lee. Gruby skoroszyt z kopią całej dokumentacji adopcyjnej – każda z dwustu siedemdziesięciu dwóch kartek w osobnej koszulce, również wszystkie listy Minki, które wysyłała przez lata. Pisała je w tak ciężkich czasach i tak dawno temu, że już nie potrafiła przypomnieć sobie ich treści.

Ruth wręczyła jej napisaną w hotelu kartkę na pamiątkę tego spotkania i glinianą figurkę anioła. Brian i Teresa podarowali Mince jeszcze jednego anioła i też dołączyli okolicznościową kartkę.

Minko!

Niech ten anioł trzymający w rękach serce przypomina Ci, że zawsze nosiłaś w swoim sercu Ruth. Jesteśmy szczęśliwi, że Cię odnaleźliśmy. Pan Bóg czuwał nad nami i przywiódł nas dziś tutaj. Brian jest zachwycony, że ma babcię Minkę.

Pozdrawiamy Cię gorąco

Brian, Teresa, Annya i Taylor

Minka spojrzała z wdzięcznością na Briana i Teresę.

– To nie wszystko – powiedziała Teresa, dając Mince listy własnoręcznie napisane przez każde z sześciorga dzieci Ruth, listy z wyrazami miłości i wdzięczności.

Minka sięgnęła po album, żeby dopasować każdy list do autora i zapamiętać jego imię. Byli jej rodziną. Jej wnukami. Listy od nich były serdecznym gestem powitania w ich rodzinie, więcej niż cennym skarbem. Mince brakowało słów, by okazać radość.

Po lunchu do małego mieszkania przybyli goście. Liczne grono przyjaciół Minki osłupiało na wieść o jej sekrecie. Ze zdumieniem patrzyli na rozpromienioną starszą panią, która opowiada o swojej utraconej przed laty córce i jej cudownym odzyskaniu. Minka zaprosiła ich, żeby poznali Ruth, uprzedzając, że nie mogą długo zostać. Przyszli gromadnie, z ciastkami, chlebem i zupą. Po chwili już ściskali Ruth, Briana i Teresę jak członków swoich rodzin.

Minka przedstawiała Ruth, obejmując ją w talii.

– To jest Ruth! – powtarzała na okrągło i zaraz dodawała, nie mogąc się powstrzymać: – To jest moja Betty Jane.

Ruth, która zawsze czuła się swobodnie wśród nieznajomych, przyjmowała to zainteresowanie z uśmiechem, uczyła się imion ludzi i poznawała ich związki z Minką. Wielokrotnie opowiadała ciekawostki o sobie: gdzie dorastała, ile ma dzieci.

– Naprawdę sześcioro! – mówiła ze śmiechem, widząc ich szeroko otwarte oczy.

Minka nie zdawała sobie sprawy, że wpatruje się w twarz Ruth i stara się odczytać to, czego nie była świadkiem, chce zapamiętać zaokrąglenie policzków i błysk w oczach.

Brian i Teresa krążyli po pokoju, gawędząc z gośćmi, a Grant wszystko filmował.

– Coś niezwykłego, prawda? – rozlegało się zewsząd.

Późnym popołudniem Grant i Brian pojechali na lotnisko po Diannę. Ponieważ kończyła studia licencjackie w college'u w Oregonie, mogła zostać tylko na jedną noc, ale i tak postanowiła przyjechać, żeby poznać swoją siostrę. Zanim weszła do mieszkania, Minka i Ruth chwyciły ją w objęcia.

– Zawsze chciałam mieć siostrę – powiedziała jedna i druga ku radości ich mamy.

Zarówno Ruth, jak i Dianna były już babciami. Ale dopiero teraz, pierwszy raz w życiu, Minka spała tej nocy z córkami pod jednym dachem.

* * *

W sobotę rano Minka przygotowała dla wszystkich śniadanie, a jej wnukowie dokonali różnych napraw w jej mieszkaniu: uszczelnili prysznic i zamontowali pod zlewem nowy młynek do odpadków.
Po serii uścisków Grant z Dianną, ku swojemu niezadowoleniu, polecieli z powrotem do Oregonu. Pozostali wybrali się na długą przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.

Ruth przyglądała się białym grzywom fal w miejscach, gdzie autostrada biegła blisko oceanu, i słuchała opowieści mamy o latach spędzonych w okolicach z klimatem jak w tropikach. Ruth nigdy nie była nad brzegiem Oceanu Spokojnego.

Minęli San Onofre z potężną elektrownią jądrową na samym brzegu, której białe kopuły kłuły w oczy tutejszych mieszkańców. Przejechali obok Camp Pendleton, bazy piechoty morskiej, gdzie przed trzydziestu laty młody Brian odbywał szkolenie strzeleckie. Minka opowiadała o społecznej

akcji, w której bierze udział, polegającej na robieniu paczek dla żołnierzy stacjonujących poza granicami kraju. Zdarzało się, że cały jej garaż był wypełniony darami, które czekały, aż ktoś je posortuje.

Jeszcze dwa miesiące przedtem Minka sama prowadziła samochód po okolicznych drogach. Gdy jej cztery kółka się popsuły, sprzedała samochód właścicielowi warsztatu. I tak, w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, przestała siadać za kierownicą.

Już było widać, że Minka i Ruth pasują do siebie jak dwie połówki jabłka. Poklepywały się nawzajem i troszczyły jedna o drugą. Podczas gdy większość osób, nawet kochających się par, zaczyna rozmowę każda na swojej pozycji, by spotkać się pośrodku drogi, one sprawiały wrażenie, że myślą i poruszają się jak jeden organizm.

Brian i Teresa dostrzegli przedziwne podobieństwo między matką a córką. Obie były bardzo pracowite, chętnie służyły innym i zawsze lubiły trzymać rękę na pulsie. Miały dobrą intuicję i znały się na ludziach. Choć były oszczędne, uwielbiały biżuterię. W tych samych latach Minka pracowała w Kmarcie, a Ruth w Walmarcie. Nawet ubierały się podobnie, nie umawiając się przedtem.

Minka i Brian od pierwszej chwili nadali swoim wzajemnym stosunkom formę serdecznego przekomarzania i tak już miało pozostać. Brian żartował sobie z Minki. Wtedy ona zerkała na niego, po czym posyłała stojącej obok osobie wymowne spojrzenie: No i co ja mam z nim zrobić? A następnie odpłacała mu tym samym.

Od śmierci babci Lee minęło dwadzieścia pięć lat i, jak słusznie zauważyła Teresa, Brian był zachwycony, że znów ma babcię.

* * *

Tego wieczoru na spotkanie z rodziną Lee przyjechała wnuczka Minki, Dawn. Ponieważ mieszkała razem z Minką tyle lat, wydawało jej się, że wie o niej wszystko. Nic dziwnego, że nie posiadała się ze zdziwienia, gdy usłyszała o pierwszym dziecku babci i o okolicznościach, w jakich się poczęło. Jeśli z tego powodu zaczęła się martwić o Minkę, jej niepokój rozwiał się w ciągu kilku sekund od poznania Ruth. Minka promieniała szczęściem. Dawn polubiła Ruth od pierwszego wejrzenia.

Wieloletnia przyjaciółka Minki, Charlotte, zaprosiła wszystkich do swojego domu, który stał na stromych nadbrzeżnych skałach.

Gdy Dawn i Teresa wybrały się do miasta po kawę, Ruth, Brian i Minka, chcąc spędzić więcej czasu razem i korzystając z ładnej pogody, udali się pieszo do Charlotte. Tuż obok jej domu mieszkała dawniej Jane. Obie siostry przyjaźniły się z Charlotte i zawsze wymawiały jej imię z niemiecka, z akcentem na drugiej sylabie.

Minka zatrzymała się przy podjeździe prowadzącym do domu siostry.

– Tu mieszkała Jane – powiedziała cicho. Spojrzała na Ruth i Briana. – Polubilibyście ją.

Serce Minki rwało się w stronę tynkowanego domu z czerwonymi dachówkami. Bardzo żałowała, że jej siostry już nie ma i nie pozna Betty Jane.

Gdy Teresa i Dawn przyjechały do Charlotte z napojami od Starbucksa, wszyscy rozsiedli się na tarasie, w białych fotelach z intensywnie niebieskimi poduszkami. W dole widać było surferów podskakujących na falach w ostatnich promieniach słońca oraz ciągnące się daleko w morze molo, tutejszą atrakcję historyczną, punkt przemytu alkoholu w czasach, gdy Ruth przyszła na świat.

Gdy zrobiło się chłodniej, Charlotte zaprosiła starsze panie do środka i razem z Minką oprowadziła Ruth po swoim wystawnym domu. Potem

usiadły w salonie i zaczęły przeglądać albumy ze zdjęciami, słuchając entuzjastycznych komentarzy Charlotte.

– Minka jest genialna, gdy chodzi o wystrój wnętrz, słowo daję – zaczęła Charlotte. – Co roku prosiłam ją, żeby organizowała moje przyjęcia bożonarodzeniowe.

– Czyli kolacje przy stole – wtrąciła Minka. – Na jakieś czterdzieści osób.

– Tutaj? – zapytała Ruth, rozglądając się po okazałym pokoju.

– O tak, tutaj. Dawniej pomagałam również w kuchni. Robiłam przystawki i różne przekąski. Ale z czasem przychodziło coraz więcej osób, więc Charlotte zaczęła zatrudniać firmy organizatorów przyjęć, a ja zajmowałam się tylko dekoracją wnętrz.

– Tylko popatrz. – Charlotte wskazała fotografię miniaturowego żaglowca. – Sama go zrobiła. Tego rodzaju upominki przygotowałyśmy dla gości któregoś roku.

– Och, jaki piękny! – Ruth pochyliła się nad fotografią, przesuwając palce po plastikowej osłonie zdjęcia. – Te maleńkie żagle i precyzyjne detale.

Minka przyglądała się ruchom dłoni Ruth. Pomyślała o swojej matce. Jennie nie żyła już prawie pięćdziesiąt lat, ale Minka pamiętała ją doskonale.

Ruth miała identyczne ręce jak Jennie.

– A tu jest coś innego. Wtedy – Minka dotknęła zdjęcia – robiłyśmy bałwany. Co roku wybierałyśmy inny motyw.

– I ty to wszystko robiłaś? – zapytała Ruth oczarowana wykonaniem.

– O tak. Na długo przedtem szłyśmy do sklepu dla rękodzielników.

– Uwielbiam roboty ręczne. Żałuję, że mnie tu wtedy nie było – westchnęła Ruth. – Któregoś roku pomagałam Teresie przygotować dom na

tradycyjne „Zwiedzanie Domów”, gdy Brian stacjonował w Illinois. Też mieliśmy motyw przewodni... pluszowe misie.

– Minka umie zrobić wszystko – powiedziała Charlotte. – Szyje, pięknie układa kwiaty...

– Ja też lubię układać kwiaty – wtrąciła Ruth. – I wyrabiać ładne przedmioty. Co roku urządzam nasze stoisko z dyniami przy domu.

– To pewnie cecha dziedziczna – zauważyła z uśmiechem Charlotte.

* * *

Tego wieczoru Minka do późna piekła ciasto biszkoptowe na samych białkach, udekorowane truskawkami. Dowiedziała się, że Teresa ma w niedzielę urodziny, i uprzytomniła sobie, że będzie to pierwsza uroczystość rodzinna obchodzona wspólnie.

Następnego ranka poprosiła Briana, żeby wyjął wielkie pudło, które wnuki Minki nazywały „szkatułką z błyskotkami”, w którym znajdowała się cała biżuteria jej i Jane. Wyjęła kilka naszyjników, po czym zawołała do sypialni Ruth i Teresę.

– Lubicie biżuterię? – zapytała.

Była niemal pewna, co odpowiedzą. Od dwóch dni słyszała ich ochy i achy, gdy jedna zachwycała się dodatkami do stroju drugiej.

Ruth spojrzała na Minkę i uniosła brwi.

– Czy ja lubię biżuterię? – powtórzyła znaczącym tonem i pochyliła się nad ozdobami.

W dużym pudle było mnóstwo puzderek, dziesiątki. W każdym kolczyki, pierścionek i naszyjnik, dopasowane kolorem. Były tam kosztowności z wizerunkiem słoni. Ozdoby z miedzi. Hawajskie naszyjniki z muszelek. Pamiątki rodzinne. Długie kolczyki. Lśniące zegarki. Nawet

ktoś, kto nie gustował w biżuterii, nie mógłby oderwać od nich oczu, taka ich była rozmaitość.

Ruth miała silne i żarliwe zamiłowanie do biżuterii. Niemal wrodzone.

– Chcę, żebyście coś sobie wybrały. Niech każda zabierze do domu naszyjnik. Weźcie, który chcecie – oznajmiła Minka, po czym wskazała na Teresę. – Ponieważ dziś są twoje urodziny, możesz wybierać pierwsza.

Po głębokim zastanowieniu Teresa wybrała szklany naszyjnik z wisiorkiem z pojedynczą perłą. Przyszła kolej Ruth. Wodziła dłonią po sznurach kosztowności, dokładnie przyglądała się kamieniom i metalom, aż w końcu zdecydowała się na serduszko ozdobione kolorowymi kamykami.

Z tego przejęcia Minka zapomniała, że ma dla Ruth jeszcze jeden prezent. Minęło wiele dni od wyjazdu gości, gdy przypomniała sobie o pewnym przedmiocie schowanym głęboko w szafie. Musiała czekać do następnych odwiedzin, żeby dać Betty Jane podarunek, przywieziony przez Jennie z Holandii w 1930 roku: parę małych drewnianych bucików, przeznaczonych dla wnuczki, którą widziała tylko raz w życiu.

* * *

Podczas trzydniowego pobytu Ruth cały czas przebywały razem, od porannej kawy do późnowieczornych rozmów w salonie. Ani na moment nie zapadła niezręczna cisza. Matka i córka pozostawały w harmonii.

Choć Minka starała się zatrzymać każdą chwilę, poniedziałek nadszedł za szybko. Już raz próbowała spowolnić czas, w domu dla samotnych matek, ale i wtedy, i teraz zegar tykał nieubłaganie.

Ruth, Brian i Teresa wylatywali w południe, do Wisconsin i do Alabamy.

– Niedługo znów się spotkamy – powiedziała Ruth, stojąc przy walizce i trzymając matkę za ręce.

Minka ze spokojem kiwnęła głową. Bóg obdarzył ją łaskami, o jakie nawet nie prosiła, i z pewnością na nich się nie skończy.

– Ściągniemy cię do Wisconsin. Poznasz resztę rodziny – dodała Teresa.

– Tak się stanie. – W głosie Briana brzmiała pewność.

– Wierzę w to – rzekła Minka.

Jeszcze nigdy nie czuła się taka spełniona. Poczucie straty dziecka nosiła w sobie tak długo, że stało się po prostu częścią jej samej, bólem, który nie odstępował jej przez dziesięciolecia. Kochała tylu ludzi, straciła ich, pracowała z całych sił. A teraz dostała nowe życie, jeszcze intensywniejsze.

Gdy Brian niósł bagaże do samochodu, Minka i Ruth szły obok siebie w stronę podjazdu. Pożegnanie zaczęło się od Teresy. Po chwili Minka wzięła w objęcia Briana, swoją bratnią duszę, chłopca, od którego dostała najcenniejszy prezent w całym swoim życiu, i to u jego kresu.

Potem Minka zwróciła się do córki. Starała się pamiętać, by mówić do niej Ruth, ale w sercu zachowała na zawsze Betty Jane, którą straciła i odzyskała.

– Przyszła ta chwila – powiedziała z uśmiechem Minka.

– No właśnie – odparła Ruth. Dwie pary identycznych niebieskich oczu wpatrywały się w siebie. – Było cudownie. Przecudownie.

Minka nie wypuszczała Ruth z objęć. Ściskało ją w gardle, ale nie pozwoliła sobie na płacz.

– Kocham cię – wyszeptała, rozkoszując się tymi słowami, tym, że je wypowiada i że są słyszane. – Tak się cieszę... – Załamał jej się głos, ale dokończyła: – Tak się cieszę, że Brian mnie odnalazł.

– Ja też, babciu – wtrącił Brian. Nie lubił pożegnań, nawet nie chciał wymówić słów „do widzenia”. – Wkrótce się zobaczymy.

Przeciągali chwilę rozstania, najdłużej jak się dało. Brian zapalił silnik i opuścił szyby, gdy Teresa wsiadała do samochodu. Ruth usiadła z tyłu i wystawiła rękę przez okno. Minka cofnęła się o parę kroków. Wszyscy machali rękami, krzyczeli na do widzenia. Brian wyjechał tyłem z podjazdu.

Minka zmrużyła oczy w słońcu i patrzyła, jak odjeżdżają. Zobaczyła, jak córka odwraca się i posyła jej ostatnie spojrzenie. Długo stała tam nieruchomo, a potem wróciła do swojego cichego mieszkania.

W chwili gdy przestąpiła próg, przyszły do niej te słowa.

Teraz możesz mu wybaczyć.

Skamieniała. Nieraz słyszała głos Pana Boga i stosowała się do Jego wskazówek. Doskonale wiedziała, kogo On ma na myśli.

Macka.

Dotychczas bardzo rzadko myślała o ojcu Betty Jane. Nie chowała do niego urazy ani nienawiści. Dawno temu postanowiła skupiać się na tym, co sama ma do zrobienia i co jest jej obowiązkiem. Nie łączyła Macka z prawie nieznośnym bólem rozstania z Betty Jane i potem z latami smutku i samotności. Ale teraz uprzytomniła sobie, że Mack ponosił odpowiedzialność nie tylko za to, że straciła niewinność, ale i za to – i w jej poczuciu to było o wiele gorsze – że straciła córeczkę.

I tak, po raz pierwszy „od zawsze”, pomyślała o mężczyźnie, który zmienił w ciągu kilku minut wszystko. Może potem wszedł na prostą drogę, założył rodzinę, żałował, co zrobił tamtego upalnego sierpniowego popołudnia. Może Ruth miała jeszcze inne rodzeństwo gdzieś na świecie. Nikt tego nie wiedział.

Przez chwilę Minka wyobraziła sobie Macka w podeszłym wieku, gdy w majowy poranek 1989 roku ogląda na ekranie telewizora lot wahadłowca

Atlantis w kosmos. Czy postało mu w głowie, że jego własny wnuk jest na pokładzie?

Zapewne nie. To przekraczało granice wyobraźni.

W porządku, Panie Boże, modliła się Minka, wybaczam mu. Poczuła, jak spływa z niej ciężar i smutek ostatnich siedemdziesięciu siedmiu lat, jak oswobadza się jej dusza. Taki cud mógł sprawić tylko Bóg. Dał człowiekowi możliwość wybaczenia, dał pokój, który przysłania przewinę, i dał możliwość uzdrowienia, które tę przewinę wymazuje.

* * *

Jadąc samochodem, Ruth, Brian i Teresa mieli wrażenie, że napina się lina, która ciągnie ich z powrotem.

– Nigdy bym nie pomyślał, że będzie tak miło – rzekł Brian.

Miał w pamięci relacje z różnych spotkań po długim niewidzeniu, o których czytał w internecie i w gazetach. Ten weekend w ogóle nie przypominał tamtych historii. Żadne z nich nie poruszało się po omacku wśród nowo poznanych osób. Mieli wrażenie, że dorastali razem z nimi, tylko ostatnio się nie spotykali, bo byli zajęci. Że po prostu dawno się nie widzieli.

Zebrani w jednym pokoju, wszyscy byliby zgodni, również Grant, Dianna i Dawn, że od pierwszej chwili każde z nich czuło, iż dzieje się coś magicznego i tajemniczego.

Na początku stulecia matka musiała oddać swoją córkę. Na początku następnego stulecia córka do niej wróciła. A jednak nie byli grupą obcych sobie ludzi. Nigdy nie byli sobie obcy.

Stanowili rodzinę.

Mieli wspólny dom.

Rozdział dwudziesty piąty

Ruth siedziała za kierownicą, sama w samochodzie, gdy zniknęła droga i zgasło słońce.

Jechała autostradą numer 14 przez otwartą przestrzeń, z lotniska w Madison do domu, rozmyślając o Marku i jego rodzinie, u których była w odwiedzinach. W uszach miała kolczyki z kamieniem oprawionym w złoto, które dostała od Minki, i naszyjnik z krzyżykiem, który kupiła do kompletu.

Kiedy zjechała ze wzgórza niedaleko Readstown, straciła przytomność. Samochód wjechał do rowu, uderzył w przepust pod jezdnią i wpadł do koryta wyschniętego strumienia.

Odzyskała świadomość oszołomiona, z rękami na kierownicy. Przejeżdżający kierowca wezwał pogotowie, a w tym czasie Ruth zadzwoniła z telefonu komórkowego do Charlesa i powiedziała mu, że nic jej się nie stało i żeby się nie martwił, ale musi przyjechać i jej pomóc.

Wiadomość wstrząsnęła całą rodziną, zwłaszcza Minką. Gdy tylko dowiedziała się o wypadku, zwołała swoje znajome ze zboru i padła na kolana. Spała niespokojnie do czasu, aż stwierdzono, że Ruth nic nie dolega. Potem okazało się, że ten incydent spowodowała zmiana leków na regulację ciśnienia krwi.

Minka była przekonana, że nie przeżyłaby utraty Betty Jane zaledwie siedem miesięcy po tym, jak ją odzyskała. Nie wierzyła, że Bóg przywiódł do niej jej pierwsze dziecko tylko po to, by je znowu zabrać. Zwłaszcza że szykowało się przyjęcie urodzinowe.

Ominęły ją wszystkie poprzednie urodziny córki, w sumie siedemdziesiąt siedem. Te muszą się odbyć, pomyślała, i ona zamierza się na nich pojawić.

W maju 2007 roku dzieci państwa Lee złożyły się na bilet lotniczy do Wisconsin dla Minki. Przyleciała na małe lotnisko w Madison. Brian zadbał również o to, żeby Dawn towarzyszyła Mince i służyła pomocą podczas przesiadki na lotnisku w Chicago.

Minka niecierpliwie czekała na ponowne spotkanie z córką, chciała zobaczyć miejsce, gdzie mieszkała od pierwszych lat szkoły średniej, i jeszcze bardziej włączyć się w życie jej rodziny.

Ich pierwsze spotkanie w sierpniu poszerzyło pod wieloma względami świat, w którym żyła Minka. Wkrótce po przyjeździe Ruth Minka została poproszona o wygłoszenie mowy na bankiecie na rzecz miejscowego ośrodka dla kobiet w ciąży, prowadzonego przez obrońców życia. Od tamtej pory pracowała tam raz w tygodniu jako wolontariuszka, zdecydowana robić to do czasu, aż nie będzie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą. Co poniedziałek chodziła do ośrodka, żeby modlić się za te przestraszone młode kobiety przyjmowane do tamtejszej kliniki, dziewczyny, których cierpienie tak dobrze znała. Postawiła sobie również za cel udzielać słów wsparcia i zachęty kierowniczce ośrodka, która swą życzliwością i kwalifikacjami bardzo przypominała jej pannę Bragstad.

Viroqua wyglądała sielsko, wszędzie pofałdowane pola uprawne, błękitne niebo i puszyste białe chmurki. Nie było tu tak ciepło jak w południowej

Kalifornii, zauważyła Minka, ale stale czymś zajęta, nie czuła chłodu.

Przede wszystkim poznała Charlesa, towarzysza życia Ruth od niemal sześćdziesięciu lat, który napomknął w żartach, że znalazł się w ciekawej sytuacji: niemal po półwieczu przerwy znów ma teściową. Minka polubiła go od pierwszej chwili.

Ruth pomogła Mince rozlokować się w pokoju gościnnym na piętrze, największym i najwygodniejszym, gdzie co rano pierwsze promienie słońca padały na ręcznie robione szmaciane chodniki. Przebywając w domu Betty Jane, Minka czuła się dziwnie i zarazem cudownie. Przez tyle lat usiłowała wyobrazić sobie, jak jej dziecko krząta się po własnym domu, jak wygląda w nieznanych pokojach, w kuchni, w salonie, w ogrodzie.

Teraz chodziła po domu, który tak długo zapewniał schronienie Betty Jane, po pokojach, które dawały poczucie bezpieczeństwa jej rodzinie. Przesuwała ręką po poręczy schodów, myśląc o latach, gdy córka po nich chodziła, gdy małe dzieci biegały w górę i w dół. Przyglądała się obrazom na ścianach, zastanawiając się, kiedy tu trafiły. Patrzyła przez okno na krajobraz, który jej córka znała od dziesiątków lat.

To wszystko należało do Betty Jane.

Z żalem pomyślała o wnukach, których nie kołysała tutaj do snu, o sennym, ciepłym ciałku, które nie przygniatało jej kolan, o zmierzwionych włosach, których nigdy nie głaskała. Tyle dziecięcych sekretów nie zostało wyszeptanych jej do ucha. Tyle białych świąt Bożego Narodzenia i imprez urodzinowych odbyło się bez niej.

Odsunęła od siebie te smutne myśli. Człowiek doświadcza w swoim życiu wyłącznie teraźniejszości, a jej teraźniejszość jest przepełniona radością.

Potem przyszły się przedstawić jej wnuki. Deb, najstarsze i najniższe dziecko Ruth, która intensywnie angażowała się w prace komitetów

kościelnych, prowadziła małą firmę i uprawiała ogród. Nie mogła się nadziwić, że babcia jest taka wysoka i ma taki mocny uścisk dłoni.

Potem przywitał się z nią Mark, słynny człowiek, który przeleciał w przestrzeni kosmicznej ponad trzynaście milionów mil. Przyprowadził swoich synów, dwóch cherubinków o kręconych włosach. Minka powiedziała mu z dumą, że jej mąż też był lotnikiem.

Następnie Tim, nauczyciel w szkole średniej, pojawił się z dwoma synami. Przyszedł prosto z mityngu lekkoatletycznego, gdzie udzielał się jako trener i osoba urzędowa. Najbardziej przejmował go fakt, że jego nowa babcia jest tak głęboko religijna i że jej córka została adoptowana przez pastora.

Potem zjawiła się Carrie, osoba o niezależnym charakterze i miękkim sercu, nauczycielka w szkole specjalnej i wielbicielka książek.

Tylko Jay, który mieszkał w Teksasie, nie przyjechał na to spotkanie. Ale Minka już go poznała. Kilka miesięcy przedtem przyleciał do Kalifornii i spędził u niej weekend. Zamówili wtedy jedzenie na wynos w chińskiej restauracji, poszli na targ z lokalnymi produktami, mieszczący się parę przecznic od domu, i uczestniczyli w nabożeństwie w kościele.

Minka, która zawsze żałowała, że nie ma wykształcenia, była ogromnie zadowolona z tego, że sześcioro dzieci Ruth uzyskało dyplomy ukończenia college’u, a czworo dalej się kształciło. W każdym z wnuków widziała cząstkę siebie.

Podobnie jak ona, dzieci Ruth odznaczały się stanowczością. Dbały o swą prywatność, ale szczodrze poświęcały czas i lubiły pomagać innym. Kilkoro chętnie hodowało rośliny. Przede wszystkim byli pracowici. Gdy przyglądała się ich twarzom, słuchała, jak żartują ze sobą i dzielą się z nią opowieściami rodzinnymi, stwierdziła, że choć są w średnim wieku, wciąż traktują ten dom jak własny, i poczuła, że rośnie jej serce.

Pokochała ich aż do bólu. Nigdy nie śmiała marzyć, że będzie miała taką rodzinę.

Przez te dziesiątki lat, gdy rozmyślała o rodzinie Betty Jane, gdy wyobrażała sobie, jacy to są ludzie i co o niej pomyślą, nawet jej się nie śniło, że okażą tyle serdeczności. Przyjęli ją tak, jakby zawsze należała do rodziny.

* * *

Podobnie jak Minka w Kalifornii, Ruth otworzyła swój dom dla wszystkich znajomych. Deb, Teresa i Beth, żona Tima, pomogły jej wysprzątać dom, pokroić owoce i upiec ciasteczka. Nakryły do stołu i położyły serwetki w ulubionym żółtym kolorze Minki. Wyjęły rodzinne albumy ze zdjęciami oraz fotografie z pierwszego spotkania z Minką w Kalifornii. Przyjaciele przybyli tłumnie, chcąc poznać biologiczną matkę Ruth, i ze zdumieniem stwierdzili, że w ogóle nie wygląda na prawie dziewięćdziesiąt pięć lat. Zaciekawieni, przeglądali stare dokumenty z akt adopcyjnych.

Ruth zabrała Minkę na spotkanie ze swoimi koleżankami i kolegami z Walmartu. Jeszcze nie wróciła do pracy po wypadku z marca, ale tamtejsi znajomi wiedzieli o spotkaniu z Minką sprzed roku. Gdy weszły do sklepu, otoczyła ich gromada ludzi pragnących poznać matkę o niezachwianej wierze.

W sobotę wszyscy pojechali na festiwal lotniczy ku czci Deke’a Slaytona we French Island, w hrabstwie LaCrosse. Mark wręczył tam doroczną nagrodę wybitnego lotnika stanu Wisconsin. Cała rodzina miała zaszczyt siedzieć w namiocie dla VIP-ów. Obejrzeli ewolucje dwupłatowca i helikoptera, które pikowały i zostawiały za sobą smugę dymu. Zobaczyli również Blue Angels, słynny zespół akrobacyjny marynarki wojennej, który

leciał czterema niebiesko-żółtymi hornetami w niewiarygodnie ciasnym szyku przy zachmurzonym niebie.

Minka obserwowała swojego wnuka, miejscowego bohatera, który z wielką swobodą przyjmował zainteresowanie publiczności, ściskał ręce, klepał po plecach znajomych, gawędził z widzami, ważnymi osobistościami i starymi przyjaciółmi.

Wieczorem państwo Lee urządzili rodzinny piknik na farmie, taki sam jak w dniu, gdy Ruth pierwszy raz zadzwoniła do Minki, niecały rok wcześniej. Jedli mięso z grilla, fasolkę i sałatki oraz ciasto cytrynowe, które mama Teresy upiekła dla Minki. Było dużo śmiechu, żartów i nowych opowieści. Minka zauważyła, że
jej nowy zięć Charles jest stabilizującą siłą w rodzinie, że odpowiada za prowadzenie gospodarstwa. Choć Charles i Ruth różnili się charakterem, stanowili klasyczny przykład związku, w którym przeciwieństwa się uzupełniają. Brian pomógł Mince lepiej zrozumieć stosunki między jego rodzicami, opowiadając historyjki, które rozbawiły wszystkich gości.

– Pewnego razu tato szykował w kuchni jakieś danie i zabrakło mu ekstraktu z wanilii – mówił Brian. – Wobec tego zwrócił się do mamy z pytaniem: „Ruthie, mamy jeszcze ekstrakt z wanilii?”. Po chwili zastanowienia mama odparła: „O tak, kupiliśmy butelkę w Meksyku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, gdy odwiedzaliśmy Briana i Teresę po narodzinach Taylora. Na pewno mamy. Poszukam w piwnicy”. Wtedy tato stwierdził: „Tej butelki już nie ma. To było dawno temu i prawdopodobnie została wyrzucona”.

Rozległ się tłumiony śmiech. Dzieci i wnuki państwa Lee już wiedziały, dokąd zmierza ta opowieść.

– Rękawica została rzucona – ciągnął z humorem Brian.

Charles stał z boku, z założonymi na piersi rękami, i kręcił głową.

– Więc mama pomaszerowała do piwnicy i po kilku minutach pojawiła się z butelką ekstraktu z wanilii, kupioną w Meksyku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku.

– Tacy są nasi rodzice – rozległ się czyjś głos z drugiego końca pokoju.

Minka rozkoszowała się tymi opowieściami, z zachwytem patrzyła, jakie swobodne są wzajemne kontakty członków rodziny i jaka silna miłość splata ich ze sobą.

* * *

Niedzielny poranek był ciepły i bezchmurny. Minka i Ruth obudziły się wcześnie, zjadły razem śniadanie i poszły do kościoła, niedaleko domu, po drugiej stronie drogi. To właśnie luterański zbór „Immanuel” objął opieką Peder Nordsletten, gdy przybył tu w 1945 roku. Od tamtej pory Ruth chodziła do tego kościoła. Trzydzieści osiem lat temu nabożeństwa zaczęto odprawiać w budynku mieszczącym się zaledwie sto siedemdziesiąt pięć jardów od wejścia do jej domu.

Dwa dni później, 22 maja 2007 roku, równo rok po tym jak wypowiedziała swoją niedorzeczną modlitwę, Minka siedziała w restauracji w Wisconsin, mając po prawej stronie Betty Jane. Przy dużych stołach, zsuniętych tak żeby wszyscy się zmieścili, zgromadziła się nowa liczna rodzina Minki.

Przed Ruth postawiono tort. Minka wreszcie widziała, jak jej córka zdmuchuje świeczki i wypowiada życzenie. Dzwoniły sztućce, rozlegał się gwar i śmiech, w blasku lamp migotały unoszone do ust szklanki z wodą. Sceneria była prosta i zwyczajna, a zarazem doskonała pod każdym względem. Warto było na to czekać. Jej córka była tego warta.

Przed powrotem do domu Minka miała jeszcze jedną ważną rzecz do zrobienia. Pochmurnego ranka Charles zawiózł ją i Ruth na cmentarz

w Viroqua, gdzie byli pochowani rodzice Ruth. Cmentarz mieścił się w rozległym parku za miasteczkiem, otaczały go zimozielone rośliny. Gdy Charles i Ruth wyrywali nieliczne chwasty wokół podwójnego nagrobka, Minka odczytywała napis: „Olava Nordsletten 1884–1960. Peder Nordsletten 1886–1974”.

Tysiące razy zastanawiała się, jacy oni są. Na zdjęciu, które pokazała jej kiedyś Ruth, wyglądali starzej, niż sobie wyobrażała. Na ich twarzach malowała się powaga, ale i życzliwość. Wielokrotnie pragnęła zamienić się z nimi miejscami. Spędziła długie noce, marząc o tym, że trzyma Betty Jane na kolanach, czesze jej włosy, całuje ją na dobranoc. A jednocześnie przepełniała ją wdzięczność – lepszych rodziców dla swojej kochanej Betty Jane nigdy by nie znalazła.

Patrząc, jak jej siwowłosa córka zmiata piasek z nagrobka, Minka poczuła nierozerwalną więź z tymi ludźmi. Ona dała Betty Jane życie. Nordslettenowie dali jej wspaniały dom i zostawili dziedzictwo wiary.

Zobaczymy się w niebie, pomyślała Minka, i wtedy wam podziękuję. Za to, że ją kochaliście. Za to, że daliście jej poznać Boga i pokazaliście, na czym polega dobre życie. Dziękuję za waszą dobroć i wychowanie jej na troskliwego i szczodrego człowieka.

Wkrótce Minka miała się pożegnać i wrócić do domu w Kalifornii. Czekało ją trudne, a zarazem radosne pożegnanie. Po niemal osiemdziesięciu latach złączyła się ze swoją Betty J. – najsłodszą dziewczynką na świecie. I nic nie mogło ich rozdzielić.

* * *

Przed stu laty, w drewnianym kościele na smaganej wiatrem prerii, młoda Holenderka słuchała odwiecznych słów niemieckiej Biblii, z której czytał pastor Kraushaar. Rozumiała zdania z Księgi Hioba, te o dawaniu

i zabieraniu. Ale nigdy by nie sądziła, że te słowa dokładnie sprawdzą się w jej własnym życiu ani że cena potwierdzenia ich prawdziwości będzie taka wysoka. Nie przeszło jej przez myśl, że kilka lat później, w skwarny dzień, nad jeziorem, wydarzy się coś, co rozedrze ją na pół, i że to rozdarcie zagoi się dopiero u kresu jej życia.

Skąd mogła wiedzieć, że największa łaska, jaką zostanie obdarowana, wyniknie z jej największego cierpienia? Albo że wiara, której ziarno zapadało dopiero wtedy w umysł upartej wiejskiej dziewczyny o kędzierzawych włosach, będzie ją krzepić dłużej, niż dane jest przeżyć większości ludzi?

Der HERR hat's gegeben, der HERR hat's genommen;

Der Name des HERRN sei gelobt.

W jej własnym życiu stało się, że Pan najpierw zabrał.

A gdy jej życie zbliżało się do końca, Pan oddał.

Chwała Panu.

Od autorki

Znowu razem

Kiedy babcia wypowiadała swoją modlitwę w dniu urodzin Betty Jane w maju 2006 roku, mój pierwszy syn miał zaledwie pięć tygodni. Doznałam szoku, gdy kilka miesięcy później mój brat Grant zadzwonił do mnie z wiadomością, że babcia odnalazła swoją niewidzianą od dawna córkę, o której istnieniu w ogóle nie mieliśmy pojęcia, i że on razem z naszą mamą Dianną wybiera się samolotem do babci do Kalifornii na spotkanie po latach.

Karmiąc syna, często zastanawiałam się, co by było, gdybym musiała go oddać, usiłowałam wyobrazić sobie udrękę, którą, jak się dowiedziałam, przeżywała babcia. Już sama myśl była nie do zniesienia i nie do pojęcia i za każdym razem doprowadzała mnie do łez.

Choć cieszyło mnie, że babcia w końcu odzyskała córkę, byłam półżywa z niewyspania, jak wszystkie matki w pierwszych miesiącach po porodzie. Przez następne kilka lat docierały do mnie co jakiś czas radosne nowiny o ich zażyłości, ale byłam zbyt zajęta gromadką swoich dzieci, by zwracać większą uwagę na to, co się działo poza moim domem w Oregonie.

Mimo to Brian Lee i ja nawiązaliśmy regularną korespondencję e-mailową, a on i jego żona – nasi nowi, nigdy niewidziani kuzyni – zaczęli

co roku przysyłać prezenty gwiazdkowe dla moich chłopców i bliźniaczek Granta.

Gdy babcia obchodziła setne urodziny w 2011 roku, artykuł Associated Press o jej spotkaniu po latach błyskawicznie rozszedł się w sieci. Oboje z Brianem uznaliśmy, że całe to zainteresowanie jest jakimś szaleństwem, i wtedy Brian napomknął, że ta historia nadaje się na książkę.

Na początku 2012 roku, mając błogosławieństwo Briana, babci i Ruth, zaczęłam zbierać materiały i pisać *Czekałam na ciebie*.

Mijały miesiące. Regularnie rozmawialiśmy z Brianem przez telefon i na wideoczacie. Nieustannie pisaliśmy do siebie SMS-y. Choć nigdy nie spotkaliśmy się w tak zwanym realu, z czasem zaczęłam mieć wrażenie, że jest moim trzecim bratem. On mi z lekka dokuczał, ja zaś wymyślałam mu różne pieszczotliwe przezwiska. Jak to w rodzinie.

W listopadzie zeszłego roku wreszcie poznaliśmy się osobiście. Brian, Teresa, Ruth i ja polecieliśmy do południowej Kalifornii, żeby spotkać się z babcią i ekipą z Tyndale, wydawcą naszej książki, oraz żeby udzielić wywiadów i wziąć udział w sesji fotograficznej. Tego dnia Stephen Vosloo zrobił znakomite zdjęcie na okładkę, przedstawiające babcię, która trzyma tak długo przechowywaną fotografię Betty Jane.

Minęły prawie dwa lata, odkąd zaczęłam pisać o Betty Jane. Przeczytałam setki stron listów babci o swoim dziecku. Opracowałam scenę rozpaczy, gdy rozstawała się z córeczką, i opowieści o nieprzespanych nocach, gdy płakała w poduszkę, chowając swoje wspomnienia głęboko w sercu przez tyle lat. Każdego dnia siadałam do pisania i patrzyłam na odbitkę zdjęcia babci i jej dziecka, wiszącą nad komputerem.

Teraz, wreszcie, miałam poznać Betty Jane.

Gdy skręciłam do przedsionka kościoła babci, gdzie czekali Ruth z Brianem, zobaczyłam surrealistyczny widok. Stała tam „Betty Jane”

siwowłosa, uśmiechnięta i taka niska! (Najwyraźniej tylko część z nas odziedziczyła po DeYoungach geny ponadwymiarowości).

Jestem osobą dość opanowaną, poza tym trochę krępowała mnie obecność kamer, a jednak ze łzami w oczach ściskałam mocno Ruth. Biorąc w objęcia Briana, czułam się tak, jakbym witała się z bliskim przyjacielem, niewidzianym przez jakiś czas.

W następnych dniach miałam okazję obserwować babcię, Ruth i Briana razem i była to jedna z największych przyjemności w moim życiu. Można by sądzić, że babcia i Brian znają się od wieków – ich ciągłe przekomarzanie się i inteligentne żarty sprawiały babci wielką radość.

Nigdy przedtem nie widziałam ludzi, którzy odnoszą się do siebie tak jak babcia i Ruth – niczym siostry, które utrzymują bardzo bliskie kontakty, ale nigdy nie dochodzi między nimi do tarć. Ilekroć się spotykaliśmy, miały na sobie podobne stroje i nawet ukochane „błyskotki”, choć nigdy się wcześniej nie umawiały. Poklepywały się nawzajem, pomagały sobie, jedna pilnowała torebki drugiej i w równym stopniu troszczyły się o siebie.

Moja mama twierdzi, że babcia zawsze nosiła w sobie jakiś smutek, który teraz zniknął. Reszta z nas przyznaje, że nigdy nie widziała jej tak szczęśliwej.

Od tamtego spotkania w Kalifornii wymieniam e-maile z dziećmi Ruth, a z Markiem i Jayem rozmawiam przez telefon. Brian i ja nadal toczymy potyczki, i to niemal codziennie. Z Ruth jestem w kontakcie. Modli się za mnie, gdy jestem chora. Kiedy w Wisconsin przychodzą mrozy, piszę do niej SMS-a, żeby uważała i nie wystawiała się na zimno.

Na długo zanim usłyszeliśmy o „Betty Jane” czy poznaliśmy smutną historię z przeszłości babci, moi bracia i ja twierdziliśmy zgodnie, że nie znamy drugiej równie niezwykłej osoby jak nasza silna, niezmordowana

i bezinteresowna babcia. Więc ani trochę nas nie dziwi, że jej pierwsza córka i jej dzieci też są niezwykłymi ludźmi.

* * *

Przez te wszystkie lata od pierwszego spotkania między babcią a członkami rodziny Lee gładko i płynnie zacieśniały się więzi, jakie łączą krewnych mieszkających daleko od siebie. Brian dzwoni do babci co środa i ucinają sobie pogawędkę.

– Podpułkownik Lee melduje się w naczelnym dowództwie – mówi Brian.

– Najwyższa pora! – odpowiada z zadowoleniem babcia.

Brian stał się również kimś w rodzaju jej dodatkowego opiekuna. Gdy któregoś razu przyjechała do niego do Huntsville w Alabamie, zauważył, że jej legitymacja członka najbliższej rodziny żołnierza jest ważna na czas określony. Wobec tego zawiózł babcię do najbliższego garnizonu wojskowego, żeby przedłużyć ważność legitymacji na czas nieograniczony.

Babcia odwiedza członków rodziny rozsianych po całym kraju – przylatuje do nas do Portland, jeździ do Briana do Huntsville. Choć nie może nadrobić zaległości z tych wszystkich lat, gdy nie znała sześciorga ze swoich wnuków i ich rodziców, stara się być z nimi podczas ważnych wydarzeń w ich życiu. Poleciała do Houston na chrzciny dziecka Jaya w jego kościele luterańskim i do Georgii, gdy syn Briana uzyskał dyplom ukończenia studiów w college’u i otrzymał powołanie do wojska.

Z upływem czasu moja rodzina zaobserwowała zastanawiające zjawisko. Zbliżały się setne urodziny babci, tymczasem odnosiło się wrażenie, że ona cofa się w latach. Nadal prowadziła ożywioną działalność dobroczynną. Jeździła też do Nashville na konferencje kościelne.

Jay i Brian zrobili jej niespodziankę na urodziny i przyjechali do Kalifornii. Okręg Szkolny Piedmontu w Oakland, który wciąż pokrywał koszty jej opieki medycznej, wysłał swojego przedstawiciela ponad czterysta mil na południe, by złożył jej życzenia. (Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że chcieli sprawdzić, czy ona wciąż jest na tym świecie!) Następnej wiosny Ruth i babcia poleciały samolotem do Briana, żeby uczcić swoje urodziny: niedawne setne babci i zbliżające się osiemdziesiąte trzecie Ruth.

Jesienią 2013 roku, tuż przed swoimi sto drugimi urodzinami, babcia poleciała z moją kuzynką Dawn na ślub syna Briana do Georgii, gdzie mieli się zjechać wszyscy Lee. Na krótko przed tą podróżą babcia – nie uwierzycie! – zapisała się do miejscowego klubu fitness i zamierzała chodzić na zajęcia kilka razy w tygodniu. „Chcę utrzymać siłę mięśni”, tłumaczyła. Podczas pierwszych zajęć jeździła na rowerku przez piętnaście minut. „Było ciężko – mówiła – ale starałam się myśleć o czymś innym”. Wciąż dba o otoczenie budynku, w którym mieszka.

W zeszłym roku, gdy babcia odwiedziła nas, tu w Oregonie, któregoś dnia miałam po nią pojechać do domu mamy. W pewnej chwili zauważyłam, że babcia nie ma okularów, więc spytałam, gdzie je położyła.

– Och, już nie są mi potrzebne – odparła. – Wzrok mi się tak poprawił, że znów dobrze widzę. Zakładam okulary tylko po to, żeby zasłonić worki pod oczami.

Wydaje mi się, że to najzupełniej właściwe, iż babcia widzi lepiej niż przez wiele ostatnich lat. Napatrzyła się na ciężkie strony życia, teraz więc rozkoszuje się jego pięknem w każdej postaci.

Posłowie

Kiedy się urodziłam, w listopadzie 1970 roku, babcia miała prawie sześćdziesiąt lat. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze wydawała mi się stara. Nigdy nie próbowałam wyobrazić jej sobie innej. Gdy pogrążyłam się w pracy nad tą książką, stwierdziłam, że muszę ożywić jej postać z różnych lat. Dlatego, pierwszy raz w życiu, siedziałam przy niej godzinami i zadawałam pytania, a potem słuchałam, jak babcia wraca do dawnych czasów i przywołuje obrazy świata, który przeminął.

Pieczenie jabłek na tylnej płycie kuchni w domu u wujka, aż owoce zaczynały tańczyć, miękkie, gorące, w sam raz do jedzenia. Słuchanie skrzypiącego pod butami śniegu, gdy szła kilka mil do szkoły w przejmującym zimnie, mrużąc załzawione oczy w jaskrawym słońcu, które odbijało się od zasp. Deptanie owsa w wysokim drewnianym silosie na farmie mlecznej, wśród plew fruwających w duchocie letniego popołudnia.

Lawina wspomnień pokazywała z detalami całe życie, o wiele więcej niż znaną mi część. Raz widziałam upartą dziewczynkę o kędzierzawych włosach, która zmaga się z nieśmiałością, tak samo jak ja w dzieciństwie. Innym razem prostoduszną nastolatkę, zrozpaczoną po rozstaniu z nowo narodzonym dzieckiem. Widziałam zapracowaną młodą kobietę, gdy

zaczyna wieść samodzielne życie, a świat wokół niej pogrąża się w chaosie wojny. Widziałam młodą mężatkę, która stara się nie stracić marzeń i przystojnego męża, podczas gdy i jedno, i drugie wymyka jej się z rąk, a potem samotną matkę, która utrzymuje dom ciężką pracą, a mimo to zadręcza się odwieczną myślą o tym wszystkim, czego nie może dać swoim dzieciom.

Im więcej się dowiadywałam, tym bardziej nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem historię babci w tej książce. Cała ekipa, pracownicy wydawnictwa i ja pracowaliśmy na pełnych obrotach przez pół roku, tocząc wyścig z czasem, choć byłam pewna, że jest go mnóstwo – nawet gdy babcia obchodziła sto drugie urodziny. Wydanie w twardej oprawie miało ukazać się 6 maja 2014 roku.

W kwietniu tamtego roku otrzymałam przesyłkę z Tyndale House Publishers, w której był pierwszy egzemplarz *Czekałam na ciebie*. Drżącymi rękami otwierałam kopertę. W oczach kręciły mi się łzy. Nie wyobrażałam sobie, że będzie to tak piękna książka, godny hołd oddany najniezwyklejszej osobie, jaką znałam, mojej kochanej babci. Każda godzina pracy nad tą opowieścią, przez ponad dwa długie lata, była świadectwem mojego szacunku dla babci.

Dwa tygodnie później siedziałam w samolocie do Kalifornii, z małą torbą podróżną, w której leżał ten pierwszy egzemplarz. Babcia, Ruth, Brian i ja byliśmy umówieni z Jenną Bush Hager, korespondentką NBC, która miała przeprowadzić z nami wywiad do programu *Today*, emitowanego 9 maja, w piątek, w przeddzień Dnia Matki. Babcia jeszcze nie widziała książki; chcieliśmy zrobić jej niespodziankę. Gdy dałam jej do przejrzenia maszynopis, umyślnie usunęłam rozdziały o dzieciństwie Ruth. Postanowiłam zostawić je na później, ponieważ byłam pewna, że babcia

zacznie rozsmakowywać się w każdym szczególe, w każdej scenie z życia, którego nie mogła dzielić z Ruth.

Spotkałam się z trójką Lee na lotnisku Johna Wayne’a w hrabstwie Orange i stamtąd pojechaliśmy do babci. Powitała nas w drzwiach mieszkania, mocno uścisnęła Ruth i mnie, ale zanim Brian i jego żona Teresa weszli do środka, babcia już zapadła się w swój ulubiony fotel. Wyglądała szczuplej niż zwykle. Miała na sobie gruby sweter, choć dzień był ciepły. Patrzyliśmy na nią zaskoczeni.

Po kilku minutach przykucnęłam koło jej fotela i wyjęłam książkę. Babcia chwyciła ją silnymi dłońmi i przesunęła zakrzywione palce po zdjęciu na okładce, przedstawiającym ją z Betty Jane. Pokazałam jej stronę z dedykacją i wkładkę z pięknymi fotografiami. Przerzuciłam kartki na sam koniec, do części z podziękowaniami, i przeczytałam je na głos. Babcia okazała największe zadowolenie z ostatniego podziękowania: „Panu Bogu, bo tak naprawdę to jest Jego książka”. „Słusznie. To prawda!”, powiedziała, kiwając zdecydowanie głową.

W ciągu kilku następnych dni, po rozmowach w kręgu rodzinnym, połączyłam ze sobą przykre fakty, które babcia niechętnie ujawniała. Okazało się, że lekarze niedawno stwierdzili u niej narośl w gardle i zlecili wykonanie rezonansu magnetycznego pod koniec tygodnia. Babcia miała trudności z przełykaniem.

– W tym cały problem – rzekłam stanowczo. – Ona się słabo odżywia.

Poszliśmy po kurczaka do jej ulubionej chińskiej restauracji, pokroiliśmy mięso na małe kawałki i tak długo koło niej krążyliśmy, aż zjadła. Ledwie przed pięcioma miesiącami, gdy widziałam, jak babcia pedałuje na rowerku w klubie fitness, zdawało się, że jest nie do pokonania. Dożyje przynajmniej stu piętnastu lat i będą o niej mówić w wiadomościach, pomyślałam. Teraz nabrałam wątpliwości.

Babcia zebrała siły do wywiadu dla telewizji, który został nagrany w słonecznym pokoju w hotelu oddalonym o kilka przecznic od jej domu. „Niewykształcona” (jak wciąż o sobie mówiła) była dojarka wcale się nie denerwowała, rozmawiając z córką i wnuczką byłych amerykańskich prezydentów – odpowiadała na pytania ze spokojem. Gdy ekipa wyszła na dwór, żeby sfilmować babcię i Ruth, jak przechadzają się pod rękę przy plaży, kamerzysta musiał je poprosić, żeby przeszły ten odcinek drogi jeszcze raz, bo babcia za szybko parła do przodu. Reszta z nas stała z boku i nie mogła pohamować uśmiechu.

Dopiero gdy wróciliśmy do mieszkania babci, okazało się, jak bardzo wyczerpał ją ten dzień. Z niepokojem myśleliśmy o tym, że następnego dnia rozjedziemy się do domów, a babcia dalej będzie mieszkała sama. Zastanawiałam się, kto po naszym wyjeździe będzie pilnował, żeby się dobrze odżywiała. Kurczowo trzymałam się myśli, że obfitsze posiłki przywrócą jej witalność.

Dwa tygodnie później, gdy telewizja nadała audycję, namówiliśmy babcię, żeby u kogoś zamieszkała, „póki nie ucichnie zainteresowanie mediów”. Nie chcieliśmy, żeby spadła na nią lawina telefonów. Babcia zapakowała swoje rzeczy do niewielkiej torby i zatrzymała się u Dawn, gdzie od dawna miała pokój. Nikt z nas nie przypuszczał, że już nigdy nie zobaczy swojego mieszkania.

Guz się powiększał. Babcia nie skarżyła się, nawet gdy przełykanie sprawiało jej ból i posiłki ograniczały się do odżywek białkowych i soku owocowego. Powiedziała, że jest gotowa poddać się leczeniu, nawet tak inwazyjnemu i przykremu jak chemioterapia, albo przyjmować pokarm przez sondę. W jej piersi wciąż tkwił niezłomny duch holenderskiej dziewczynki. Konsultowaliśmy się z lekarzami, ale w przypadku człowieka,

który ma sto dwa lata, wyczerpały się możliwości leczenia. Biopsja też była wykluczona.

Po zaledwie kilku dniach babcia już nie mogła samodzielnie chodzić. Przyjaciele wpadali z krótką wizytą, a do członków swojego umiłowanego zboru babcia nagrała kilka słów na taśmie. Rodzina Dawn opiekowała się nią dzień i noc, przekładając obowiązki zawodowe i zmieniając harmonogram zajęć szkolnych. Reszta krewnych często dzwoniła, kontaktowała się na bieżąco z Dawn, gdy babcia była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać przez telefon. Ruth martwiła się i modliła w swoim domu w Wisconsin. Chciała wsiąść w samolot i jeszcze raz zobaczyć się z mamą, ale podróżowanie w kwietniu okazało się dla niej trudne; miała bolesne obrzęki, które doktor starał się zmniejszyć lekami. Natomiast, kiedy tylko mogła, gawędziła z babcią przez telefon.

– Dobrze śpisz? – pytała. – Byłaś ostatnio u lekarza? Co mówił? Tak bym chciała cię zobaczyć. Dużo odpoczywaj. Kocham cię.

– U mnie w porządku. Tylko jestem trochę zmęczona – odpowiadała babcia. – Udało mi się wypić trochę tego nowego soku, który kupiła Dawn... takiego napoju z żurawin. Przyszedł mój pastor i miło sobie porozmawialiśmy. Też cię kocham, skarbie.

Dawn zadzwoniła do swoich kuzynów na początku czerwca.

– Przyjedźcie. Im szybciej, tym lepiej – oświadczyła.

Moi bracia, Brian i ja natychmiast zarezerwowaliśmy bilety na samolot.

Choć nie mieściło się nam to w głowach, babcia była u kresu swej drogi.

Gdy znaleźliśmy się u Dawn, zastaliśmy babcię opatuloną kocem w fotelu z podnóżkiem i odchylanym oparciem. Nawet w luźnym, miękkim szlafroku wyglądała tak, jakby skurczyła się jeszcze bardziej. Już nie

chciało jej się umalować ust ani założyć ulubionych „błyskotek”, ale spojrzała na nas przytomnie, ucieszona, że przyjechaliśmy. W ręce ściskała mały „kamień modlitewny” z wyrytym krzyżem, prezent od Teresy, który niedawno dostała.

Po kolei siadaliśmy na podłodze przy nogach babci i trzymaliśmy ją za rękę, rozmawiając o tym i o owym, żeby ukryć smutek. W pewnej chwili mój brat Gary wybiegł z pokoju, bo już nie mógł powstrzymać łez. Babcia zauważyła, że go nie ma, i spytała, dokąd poszedł. Usprawiedliwiliśmy go, mówiąc, że ktoś do niego zatelefonował, ale babcia miała bystry umysł, jak zawsze.

– Mój słodki Gary – szepnęła z westchnieniem.

Następnego dnia spotkaliśmy się wszyscy razem, żeby się z babcią pożegnać (ledwie mogę wystukać te słowa na klawiaturze, po tylu miesiącach). Każde z nas wiedziało, że jej niezwykle długie życie było rzadkim darem. Z wdzięcznością myśleliśmy o tym, że nie cierpiała na przewlekłą chorobę i że do końca zachowała świetną pamięć. Pragnęliśmy tylko jednego: być z nią jeszcze dłużej.

Babcia nie miała siły wstać z łóżka, wobec tego otoczyliśmy je gromadą. Położyłam się w poprzek łóżka i przez pościel gładziłam babcię po nogach. Z trudem rozmawialiśmy, uśmiechaliśmy się, choć pękało nam serce.

Coś zaprzątało jej myśli.

– Przykro mi, że nie mogłam upiec wam czegoś słodkiego – powiedziała chrapliwie, z wyraźnym trudem. – Chciałam zrobić ciasteczka cynamonowe.

Uśmiechnęliśmy się jeszcze szerzej. Mocniej pogładziłam babcię po nogach.

– Spotkałam panią, która piecze ciasteczka – mówiła dalej babcia. – Wystarczy zapłacić jej za składniki, a upiecze najróżniejsze rzeczy. Chcę jej dać pieniądze na ciasteczka dla was.

Rozkleiliśmy się. Pięcioro wnuków – dorosłe kobiety i dorośli mężczyźni, którzy mieli za sobą połowę życia – wszyscy płakaliśmy. Babcia powiodła po nas wzrokiem, zobaczyła spływające po policzkach łzy.

– Dlaczego płaczecie? – spytała cicho.

Ale oczywiście wiedziała dlaczego. Ta wiedza wypełniała przestrzeń. To była chwila ostatecznego pożegnania. Cała nasza miłość do babci, choć mogłaby przenieść góry, nie wystarczyła, by ją tu zatrzymać.

Każdy z nas spędził z nią chwilę na osobności. Ujęłam jej twarz w dłonie i całowałam ją bez końca. Powiedziałam jej, że ją kocham i że znów się zobaczymy.

Niecały tydzień później, krótko po północy 16 czerwca 2014 roku, otoczona całą rodziną Dawn, babcia cicho odeszła do nieba. Kamień modlitewny od Teresy nadal leżał w jej dłoni, symbol ośmiu lat z rodziną Betty Jane, które były jej dane. W następnych dniach cały dobytek babci – oprócz kilku rzeczy, które każdy z nas zachował na pamiątkę – został przekazany zgodnie z jej życzeniem organizacji charytatywnej.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w Kalifornii w kaplicy zboru, do którego należała babcia i który traktował ją jak swoją ukochaną mentorkę, czego wyrazem jest jej portret naturalnej wielkości, zawieszony w holu. Brian Lee i ja napisaliśmy razem mowę pogrzebową, świadectwo połączenia się obu rodzin na zawsze. Gdy pastor poprosił zebranych, by podchodzili do mikrofonu i dzielili się wspomnieniami o babci, ustawił się sznur ludzi i wszyscy opowiadali historie, w których przeplatał się ten sam wątek: To była kobieta, która kochała Boga, kochała ludzi i żyła w służbie Boga i ludzi.

Całej rodzinie niezwykle ciężko było pojąć, że babcia odeszła – i nadal tak jest. Część z nas zawsze traktowała ją jak matkę rodu, jej obecność była stała i pewna jak wschód słońca każdego dnia, nie wyobrażaliśmy sobie bez niej świata. Któregoś dnia, nie mogąc pohamować łez w miejscu publicznym, pobiegłam do najbliższej łazienki i rozszlochałam się w kabinie. Opanowałam się dopiero, gdy powiedziałam w duchu: Jesteś wnuczką Minki. Jej krew płynie w twoich żyłach. Masz dość siły, żeby znieść i to, żeby poradzić sobie ze wszystkim.

Rodzina państwa Lee spędziła z babcią osiem cennych lat, kiedy to na jej miłość, tak długo w duchu pielęgnowaną, odpowiadali szczerym, głębokim uczuciem. Przed pięćdziesięcioma dwoma laty Ruth pożegnała swoją adopcyjną matkę, teraz ta nowa żałoba zaskoczyła ją intensywnością. Jesienią poprzedniego roku, gdy spotkaliśmy się w Kalifornii na sesji fotograficznej, Ruth i Minka chodziły razem po sklepach, szukając ozdób bożonarodzeniowych. Miały mnóstwo radości, gdy udało im się znaleźć glinianego indyka i podkładki pod talerze ze wzorem w dynie, a nawet przed czasem przygotowały dekorację stołu u babci na Święto Dziękczynienia. Teraz Ruth nie mogła znieść myśli, że wszystkie śliczne bibeloty, hołubione przez dziesięciolecia i eksponowane tak pieczołowicie w zadbanym mieszkaniu babci, nigdy więcej nie będą tak pięknie ustawiane jej ręką.

Ruth znalazła pociechę, w pewnej mierze, za pośrednictwem tej książki. Gdy zyskała popularność wśród czytelników w Wisconsin, kluby książki i kółka kobiece zaczęły zwracać się do Ruth z prośbą, żeby przyjechała i podzieliła się swoimi refleksjami. Do dziś przyjmuje zaproszenia. Spotyka się z ludźmi w księgarniach, domach prywatnych i salkach kościelnych. Przynosi całą dokumentację adopcyjną – listy, dokumenty i fotografie,

starannie laminowane – i opowiada o Mince, o ich pierwszym spotkaniu i wspólnie spędzonych latach. Te wspomnienia koją jej serce.

My wszyscy nabieramy otuchy, widząc, jak opowieść o babci oddziałuje na ludzi. Nieznajomi przysyłają nam e-maile, piszą recenzje, zamieszczają komentarze w internecie. Zwierzają się, że czytali książkę ze łzami w oczach. Przyznają, że zakochali się w Mince i że jej życie ich poruszyło – pobudziło do miłości, do działania, do wybaczenia. Każdy przejaw uznania i wzruszenia świadczy o tym, że zwykły pojedynczy człowiek może oddziaływać na innych ludzi, gdy prowadzi prawe, szczodre i pełne miłości życie.

Co do mnie, często noszę teraz którąś z babcinych „błyskotek”. Nigdy nie byłam wielbicielką biżuterii, ale jej ozdoby chętnie wkładam, ponieważ ten drobny gest daje mi poczucie więzi z babcią. Za zgodą całej rodziny wzięłam coś jeszcze, co do niej należało i co zawsze chciałam mieć: jeden z obrazów, które namalowała w Oakland wiele, wiele lat temu. Wisiał u niej w salonie przez czterdzieści lat. Patrzę na niego codziennie.

Obraz przedstawia kryty strzechą dom nad rzeką. Nurt jest wartki, wzburzony, ale dom stoi mocno – nigdzie się nie wybiera. Babcia, która zawsze lubiła mocne kolory, namalowała jaskrawe pomarańczowe plamy na okiennicach i pod dachem. Podwórze okala potężny mur, ale jest w nim otwarta na oścież furtka, za którą widać kamienną ścieżkę.

Każdy może tam wejść.

Zostawiła otwarte drzwi do swojej pięknej, zagmatwanej historii, z jej cierpieniem i uniesieniem, i zachęca nas, byśmy na swojej drodze znaleźli odwagę i nadzieję, a przede wszystkim wiarę.

Oby życie każdego z nas było historią, którą trzeba opowiedzieć.

Obyśmy nie przestawali opowiadać.

O książce

Ożywianie przeszłości

Czytelnicy może się zastanawiają, jak powstaje książka opisująca ze szczegółami wydarzenia, które działy się aż sto lat temu.

Od pierwszych miesięcy 2012 roku prowadziłyśmy z babcią korespondencję obejmującą dziesiątki stron pytań i odpowiedzi, toczyłyśmy też rozmowy zarejestrowane na taśmach zawierających dziesiątki godzin nagrań. Potwierdziło się, że babcia ma zdumiewającą pamięć (tę cechę odziedziczyły obie jej córki). Ilekroć powracała do dziecięcych lat i przytaczała historię albo podawała szczegóły, które mogłam sprawdzić – na przykład odległość między dwiema farmami albo nazwisko sąsiada – potwierdzało się, że jest niewiarygodnie precyzyjna.

Oczywiście wszystkie informacje musiałam zweryfikować. Projekt historyczny, taki jak ten, wymaga wytężonych studiów. W ciągu ostatnich dwóch lat spędziłam niezliczone wieczory i weekendy w bibliotekach (z dala od moich rozbrykanych chłopców), sprawdzając mało znane fakty i opisując konkretne sytuacje, póki personel nie zgasił światła. Gdy wspominam o pogodzie danego dnia, o czyimś ubiorze, zażywanych lekarstwach, wyglądzie budynku, o ptakach czy o roślinach występujących w danym miejscu, czytelnik może być pewien, że zostało to sprawdzone.

W kwietniu 2013 roku mój nowy agent literacki powiedział, że jeśli ta książka ma być ukończona możliwie szybko – żeby babcia zdążyła się nią nacieszyć – muszę mieć doświadczonego pomocnika. Pojawiła się Cindy Coloma (która niedawno urodziła dziecko, jak dowiedziałam się ze wzruszeniem), została zatrudniona i podzieliłyśmy się pracą: zbieraniem materiałów, pisaniem i opracowywaniem tekstu.

Umieściłyśmy opowieść na tle wydarzeń historycznych. Przeprowadziłyśmy długie rozmowy z córkami babci – Ruth i Dianną, moją mamą – o ich dzieciństwie.

Brian przekazał mi kopię pełnej dokumentacji adopcyjnej Betty Jane. Te akta były skarbnicą informacji, zawierały ponad sto listów – setki stron – całą prywatną korespondencję między babcią a Domem Miłosierdzia i między Domem Miłosierdzia a rodzicami adopcyjnymi Betty Jane, pastorostwem Nordslettenami.

Wszystkie sceny przedstawione w książce pochodzą albo z relacji babci, albo z listów dołączonych do dokumentacji adopcyjnej.

Musiałyśmy jednak odtworzyć rozmowy, zwłaszcza te w pierwszych rozdziałach książki. Zwracałyśmy uwagę na to, żeby postacie rozmawiały tylko o tym, co ma pokrycie w faktach, i żeby ich wypowiedzi były zgodne z ich charakterami i poglądami. Gdy przypisywałyśmy jakieś odczucia, myśli i słowa osobie dawno zmarłej, na przykład pannie Bragstad czy pastorowi Kraushaarowi, wcześniej dokładnie analizowałyśmy ich listy i radziłyśmy się babci.

Ruth, Brian i Teresa przeczytali rozdziały dotyczące rodziny Lee i je uściślili. Babcia sprawdziła cały maszynopis i po dokonaniu kilku drobnych zmian zaakceptowała wszystko, co zawierał.

Podjęłam się tego zadania, wkładając w nie serce, a zarazem odczuwając pewien niepokój. Babcia była przecież silną kobietą, która

słusznie dbała o poufność historii swojego życia. Poza tym, ponieważ mieszkałyśmy w odległości setek mil od siebie, nie mogła sprawdzać każdego rozdziału, gdy kończyłam go pisać. Więc
gdy miałam gotowe pierwsze czternaście rozdziałów, poleciałam do Kalifornii, wręczyłam babci marker i poprosiłam, żeby je przeczytała, zaznaczając wszelkie nieścisłości. Byłam przygotowana, że będę musiała wprowadzić poprawki w każdym akapicie.

Gdy oddała mi maszynopis, zobaczyłam, że zmieniła trzy słowa. Potem powiedziała, że jest zachwycona i będzie z niecierpliwością czekała na resztę. Dla mnie była to największa pochwała, jaką kiedykolwiek otrzymałam.

Podziękowania

Dla Minki Disbrow, mojej ukochanej babci. Dziękuję, że twoje życie było historią, którą trzeba opowiedzieć, i że kochałaś naszą rodzinę tak mocno i tak długo. Żadne słowa nie opiszą miłości i podziwu, jakimi cię darzę, ale staram się to wyrazić na stronach tej książki.

Dla Ruth Lee. Uwielbiam cię od dnia naszego pierwszego spotkania, choć i tak kochałabym cię dozgonnie, ponieważ dałaś babci tyle radości. Dziękuję za szczodrość, z jaką dzielisz się swoją historią – i swoim życiem.

Z wielu przyczyn ta książka nie powstałaby bez Briana Lee. Dziękuję, że odnalazłeś babcię, że ją kochałeś i że pragnąłeś, by jej historia została spisana. Dziękuję za wsparcie finansowe, za twoje niestrudzone starania, by dostarczyć mi wiele drobnych informacji, bez względu na porę dnia czy nocy, za gorliwość, z jaką dbasz o wierność faktom. Żałuję tylko, że nie znaliśmy się przez całe życie.

Dla mojej partnerki w pisaniu Cindy Coloma. Nie mogłam marzyć o doskonalszej współtowarzyszce tej podróży. Dziękuję, że przejęłaś się tą historią, że wyperswadowałaś mi kilka pomysłów i że wzięłaś na siebie pracę, gdy musiałam ją przerwać. Twoje zdolności są zdumiewające.

Dla Dianny Disbrow Huhn. Mamo, dziękuję za konkrety, także te bolesne, dotyczące lat spędzonych w Minneapolis i w Oakland. Dzięki za to, że zawsze dodawałaś mi otuchy i modliłaś się za mnie podczas tej podróży.

Dla moich pierwszych i najlepszych przyjaciół – moich braci, Gary'ego i Granta Huhnów. Dziękuję za wspólne życie, za to, że podoba się wam opowieść o babci i że jesteście moimi wielkimi fanami, od zawsze.

Dla Charlesa Lee, Debbie Lee, Marka Lee, Tima Lee, Carrie Lee i Jaya Lee. Dziękuję, że podzieliliście się ze mną swoimi wspomnieniami i że jesteście integralną częścią tej historii. Szczególną wdzięczność odczuwam wobec Marka, który zweryfikował opis startu wahadłowca, i dzięki temu się nie zbłaźniłam.

Dla Dawn Disbrow Mediny. Dziękuję ci, że tak cierpliwie odpowiadałaś na pytania i przybliżyłaś mi lata spędzone z babcią. Dziękuję za to, że przez długi czas nad nią czuwałaś.

Jestem wdzięczna Teresie Lee, która na wszelkie sposoby wspierała to przedsięwzięcie – razem z Brianem – czytała robocze wersje i poprawiała błędy, a przede wszystkim dziękuję za to, że jest takim kochanym człowiekiem.

Jerry'emu Huhnowi. Nie mam wątpliwości, że mogłam z uporem realizować ten projekt dzięki wieloletniemu uprawianiu sprintu interwałowego w deszczu, pod twoim okiem jako doświadczonego trenera. Dziękuję, że nauczyłeś mnie wytrwałości, że nieraz zajmowałeś się czule moimi synami, żebym mogła się wymknąć i pracować.

Jestem szczególnie wdzięczna moim rodzicom za to, że wcześnie rozbudzili we mnie zamiłowanie do książek, które przerodziło się w nieprzemijającą pasję.

Janet Grant, mojej niezłomnej agentce, która zachwyciła się tą opowieścią tak samo jak ja i sprawiła, że marzenie stało się rzeczywistością. Dziękuję, że przez cały czas wskazywałaś mi drogę.

Całej ekipie z Tyndale House, która rozkochała się w opowieści o mojej babci i włożyła serce w to, by ukazać ją światu, zwłaszcza Sarah Atkinson, Kim Miller i Bonne Steffen, wyjątkowym redaktorkom. Dzięki wam nasze słowa są lepsze i wyrazistsze. Wdzięczność należy się także graficzce, Nicole Grimes, której twórczy talent uczynił tę książkę piękniejszą, niż mogłam kiedykolwiek marzyć.

Kumplom po piórze, przede wszystkim Karen Spears Zacharias, mojej pierwszej mentorce literackiej, za słowa zachęty i bardzo potrzebną dawkę realizmu oraz Billy'emu Coffeyowi, który czytał wstępne wersje rozdziałów i gdy widział, że mam stracha, kazał mi po prostu „nabrać powietrza i skoczyć". Oboje jesteście dla mnie codzienną inspiracją.

Wszystkim znakomitym pisarzom, których słowa wzbogaciły moje życie po tysiąckroć, zwłaszcza Rickowi Braggowi, który wyznał, że ta historia jest świetnym materiałem na książkę i powinnam ją spisać.

Lavelle Huhn, Jasonowi Dougherty'emu, Catherine Huhn oraz Samuelowi i Samancie Kochom, którzy wnieśli wiele dobrego do naszej rodziny.

Rodneyowi Schoenowi. Dziękuję, że mogliśmy zobaczyć kawałek dzieciństwa babci na zdjęciach z twego prywatnego zbioru i dowiedzieć się więcej o rodzinie wujka.

Wszystkim moim przyjaciołom, którzy znosili moją niemal zupełną nieobecność przez ostatnie dwa lata i cały czas mnie dopingowali. Podziękowania niech przyjmą: Laurel Lundberg, Sunia Gibbs, Wendy Dillree, Karen Streelman, Kim Spalding, April White, Tami Richardson, Connie Helland i Heidi Larson, która karmiła moją rodzinę, sprzątała mój

dom i uśmiercała domowe pająki, żebym mogła spokojnie pracować. Oraz Susan Askew, której to wszystko podobałoby się najbardziej.

Moim teściom, Dave’owi i Betty LaGrow, za to, że w nieskończoność gościli i żywili moich chłopaków, gdy ja zaszyłam się gdzieś i pracowałam.

Dziękuję wielu osobom z rozmaitych instytucji i stowarzyszeń, które pomagały mi zbierać materiały i udzielały informacji. Są to: Marcia Sylvester, Zion Lutheran Church; Kathie Allstot, Riverside Cemetery; pastor Joanne Nagele, Warner Lutheran; Ken Webb; Pam Videen, Minnesota Historical Society; L.J. Dean, National Railway Historical Society; William Brown, National Oceanic and Atmospheric Administration; Dale Kaiser, Oak Ridge National
Laboratory; Diana Farmer, National Climatic Data Center; Gretchen Sharp, Aberdeen Public Schools Foundation; Jeannet Bouma, Community of Heerenveen; Mary T, Find a Grave.

Barbarze Rolph, za sprawdzenie (i korektę) wyrażeń niemieckich; Janneke Jobsis-Brown, Annelien de Haan i Bouk de Vries Jobsis za skorygowanie wyrażeń niderlandzkich.

Bezgraniczna i dozgonna wdzięczność należy się mojemu mężowi Danowi – który otaczał mnie miłością, wziął na siebie mnóstwo dodatkowych obowiązków i ani razu nie zasugerował, że to marzenie jest szaleństwem – oraz moim synom, Cameronowi i Connorowi, którzy zrezygnowali z należnego im czasu z mamusią, żeby mogła pracować nad książką, i są radością mojego życia. Mój dom jest tam, gdzie wy trzej.

Nieustanne podziękowania składam nade wszystko Panu Bogu, bo tak naprawdę to jest Jego książka.

O autorkach

Cathy LaGrow zapałała miłością do książek w młodym wieku i nieraz wolała zatopić się w opowieści, niż bawić na dworze. Zamiłowanie do czytania nigdy w niej nie wygasło. Prawdopodobnie przeczytała ponad dwa tysiące tomów. Nałogowo kupuje nowości i nie nadąża z ich czytaniem.

Jej wcześniejsze próby pisarskie to blog *Windows and Paper Walls*, opowiadanie pod tytułem *A Good Mother* w serii Chicken Soup for the Soul i cotygodniowa rubryka w „All the Church Ladies” na stronie internetowej, założonej przez dziennikarkę Karen Spears Zacharias.

W 2006 roku, wkrótce po narodzinach swego pierwszego dziecka, Cathy i jej najbliżsi poznali tajemnicę jej babci Minki Disbrow, której nie wyjawiała przez prawie osiemdziesiąt lat. Okazało się, że gdy była siedemnastolatką, oddała do adopcji swoje dziecko. Matka Cathy Dianna jest jej drugą córką, urodzoną osiemnaście lat później. Praca nad *Czekałam na ciebie* rozpoczęła się na początku 2012 roku.

Cathy wyszła za mąż za chłopca, w którym się kochała od szkoły średniej, Dana. Ich małżeństwo trwa prawie dwadzieścia pięć lat. Cathy jest licencjonowanym pośrednikiem celnym, ale nie pracuje w zawodzie; uczy gry na pianinie. Mieszka w Oregonie. Często można ją zastać w kuchni,

przy pieczeniu ciast, albo zwiniętą w kłębek w fotelu, z książką w ręku. Uwielbia biegać, nawet wokół dwóch małych synów, gdy bawią się w parku niedaleko domu. Fascynuje ją niemal wszystko.

Ta książka jest jej debiutem.

Cindy Coloma jest poczytną pisarką znaną w całym kraju. Napisała dwanaście powieści, między innymi: *Beautiful* (nominowaną do Christy Award w 2010 i rekomendowaną przez Revolve Young Adult Tour w 2011); *The Salt Garden* (w 2004 uznaną przez „Library Journal" za jedną z najlepszych książek pisanych w popularnej konwencji gatunkowej); *Song of the Brokenhearted** (napisaną wspólnie z Sheilą Walsh, bestseller ECPA w 2013); *Orchid House* (bestseller ECPA w 2008); *Winter Passing* (nominowaną do Christy Award w 2001 oraz rekomendowaną przez magazyn „Romantic Times").

Cindy pisała teksty beletrystyczne razem z Sheilą Walsh, autorką bestsellerów, piosenkarką i prelegentką, a także współpracowała jako autor widmo z byłym prokuratorem federalnym oraz z komentatorem prawnym stacji telewizyjnej.

Jej twórczość obejmuje również prozę niefabularną. Cindy jest współautorką pamiętników: *Czekałam na ciebie* (wydane w maju 2014 przez Tyndale Momentum) oraz *It's a Wild Life: My Life Became a Zoo* (wydane w czerwcu 2014 przez Medallion Press) opisujące zoo z egzotycznymi zwierzętami w Michigan. Współtworzyła również program telewizyjny nadawany przez stację Nat Geo Wild. Opracowała i napisała książkę z gatunku literatury faktu *Renting Lacy: A Story of America's Prostituted Children* (razem z byłą członkinią Kongresu Lindą Smith). Jest autorką ponad stu artykułów.

Cindy wygłasza prelekcje, zajmuje się renowacją książek i prowadzi konsultacje dla początkujących pisarzy. Przemawiała podczas wystaw i zjazdów, między innymi na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie, podczas wydziałowych spotkań na Simpson University w Redding czy na konferencji LittWorld w Tagaytay na Filipinach. W miejscu zamieszkania współprowadzi od szesnastu lat kółko literackie.

Z piątką dzieci, od niemowlęcia do dwudziestoparolatka, jej dom jest zawsze pełen radości, śmiechu i walających się po podłodze zabawek. Ta nienasycona miłośniczka książek i kina marzy, jak mało kto, również o podróżach (także do świata podwodnego i w przestrzeń kosmiczną), ale najbardziej kocha dom. Razem z liczną rodziną mieszka w Redding w Kalifornii od ponad trzydziestu pięciu lat.

---

* Polskie wydanie: *Pieśń złamanych serc*, Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznań 2013.

Tytuł oryginału

The Waiting. The True Story of a Lost Child, a Lifetime of Longing, And a Miracle for a Mother Who Never Gave Up

Originally published in the U.S.A. under the title:
Waiting, by Cathy LaGrow

Copyright © 2014 by Cathy LaGrow

Polish edition © 2016 by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z o.o.
with permission of Tyndale House Publishers, Inc. All rights reserved.

Projekt okładki
Katarzyna Borkowska

Fotografie na stronie 1 okładki
© Mark Owen / Trevillion Images
© esthAlto / Matthieu Spohn / PhotoAlto Agency RF Collections / Getty Images

Opieka redakcyjna
Adam Gutkowski

Adiustacja
Ewdokia Cydejko

Korekta
Małgorzata Biernacka
Barbara Gąsiorowska

Copyright © for the translation by Maria Olejniczak-Skarsgård

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2016

ISBN 978-83-240-4151-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com